

ZESZYT STO SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

# ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
2008





ZESZYT STO SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

# ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
2008

BIBLIOTEKA «KULTURY»  
TOM 543

ISSN 0406-0393  
ISBN 2-7168-0211-4

---

**Éditeur: ASSOCIATION INSTITUT LITTÉRAIRE KULTURA**  
**91 av. de Poissy, Le Mesnil-le-Roi**  
**par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

---

**Imprimé en France**

Sławomir M. NOWINOWSKI

## ZAKOŃCZENIE DZIAŁALNOŚCI AMBASADY I KONSULATÓW RP W ZWIĄZKU SOWIECKIM JESIENIĄ 1939 R.

W chwili wybuchu II wojny światowej Polska posiadała na terytorium Związku Sowieckiego przedstawicielstwa jedynie w czterech miastach. Moskwa była siedzibą Ambasady, jej Wydziału Konsularnego oraz ataszatu wojskowego. W Mińsku i Kijowie działały Konsulaty Generalne, w Leningradzie zaś Konsulat<sup>1</sup>. Biorąc pod uwagę obszar państwa sowieckiego (21 700 tys. km<sup>2</sup>) lub liczbę jego mieszkańców (według budzących poważne zastrzeżenia oficjalnych danych: 170 467 tys., w tym 630 tys. narodowości polskiej) stan ten nie mógł uchodzić za satysfakcjonujący<sup>2</sup>. Nie był również adekwatny do skali zainteresowania Warszawy zamierzeniami *regime'u* bolszewickiego. W zestawieniu wszakże z ilością placówek, jakie w Związku Sowieckim utrzymywały inne państwa, sieć polskich przedstawicielstw prezentowała się wręcz okazale<sup>3</sup>. Kwestią

---

1. Placówki konsularne w Charkowie i Tbilisi zlikwidowano na wniosek władz sowieckich w 1937 r.

2. Dla porównania: na obszarze III Rzeszy (w granicach z 1937 r.) działało 14 konsulatów zawodowych RP (w tym 5 konsulatów generalnych) – E. J. Pałyga, *Stosunki konsularne Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1970, s. 222-225.

3. W latach 1936-1938 władze sowieckie wykorzystując argument braku parytetu pomiędzy liczbą własnych konsulatów za granicą i obcych na swoim

dyskusyjną pozostaje natomiast, w jakim stopniu dyplomacja II Rzeczypospolitej potrafiła to zdyskontować.

Zdarzało się nieraz słyszeć na Zachodzie – pisał wkrótce po zakończeniu misji w państwie bolszewików ambasador RP dr Wacław Grzybowski – wyrazy zdziwienia, jak niedokładnie mogły informować placówki dyplomatyczne w Moskwie. Zdziwionym wystarczyło pokazać normalne bytowanie tych placówek, aby wszystko stało się dla nich jasne. Dyplomata w kraju Sowiecieów może być lepiej lub gorzej zorientowany. Nie posiada jednak żadnego ze źródeł informacji, dostępnych w innych państwach<sup>4</sup>.

W rzeczy samej okoliczności, w jakich członkom tamtejszych korpusów: dyplomatycznego i konsularnego przyszło wykonywać swoje obowiązki, drastycznie odbiegały od przyjętych standardów. Gospodarze starali się przede wszystkim maksymalnie utrudnić im zdobywanie informacji. Kontakty z przedstawicielami aparatu państwowego w drugiej połowie lat trzydziestych zostały zawężone do kręgu najwyższych funkcjonariuszy Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych (*Narkomindel*). O zadzierzgnięciu oficjalnych relacji z kręgami partyjnymi lub wojskowymi w ogóle nie mogło być mowy. Nie istniały również formalne związki ze środowiskami: naukowym, dziennikarskim, literackim oraz artystycznym. W atmosferze „Wielkiej Czystki” nie mogły tym bardziej rozwijać się stosunki towarzyskie. Nawet incydentalne zetknięcie się z cudzoziemcami groziło obywatelom sowieckim znalezieniem się w sferze zainteresowania organów bezpieczeństwa. Roztaczały one także kontrolę nad personelem obcych placówek. Na porządku dziennym były prowokacje oraz próby korumpowania pracowników obsługi. Permanentna inwigilacja i rozmaite szykany ze strony NKWD ograniczały lub

---

terytorium zdołały doprowadzić do zniesienia części przedstawicielstw m.in. Japonii, Niemiec, Turcji oraz Włoch. Domagały się również całkowitej likwidacji nielicznych placówek konsularnych m.in. Czechosłowacji, Szwecji i Wielkiej Brytanii – Archiwum Akt Nowych – Warszawa [AAN], MSZ, t. 1472 B, k. 5-9, W. Grzybowski do MSZ 18 I 1937 r.; k. 13-14, W. Grzybowski do MSZ 7 III 1938 r.

4. J. Growski [W. Grzybowski], *W ZSRR. Notatki ze wspomnień*, Paryż 1940, s. 26. Por. *Dokumenty z dziejów polskiej polityki zagranicznej 1918-1939* [DDPPZ], pod red. T. Jędruszczaka i M. Nowak-Kiełbikowej, t. 2, Warszawa 1996, dok. 130, s. 284, Raport końcowy W. Grzybowskiego z 6 XI 1939 r.

wprost uniemożliwiały prowadzenie obserwacji terenu. Ustalenie podstawowych faktów urastało więc często do rangi poważnych problemów. Władze sowieckie reglamentowały bowiem również dostęp do prasy (zwłaszcza specjalistycznej i prowincjonalnej) oraz wydawnictw urzędowych<sup>5</sup>.

Praca w warunkach postępującej izolacji, psychicznego dyskomfortu, a niekiedy wręcz bezpośredniego zagrożenia życia wymagała od kandydatów na placówki w Związku Sowieckim szczególnych predyspozycji i kwalifikacji. Radca Ambasady RP w Moskwie i zarazem kierownik Konsulatu Generalnego RP w Kijowie – Jerzy Matusiński zaliczał do nich „spokojne nerwy, opanowanie, usposobienie pogodne i łatwe, dobry stan zdrowia”. Nie sądził jednak, aby właściwym było delegowanie nawet najlepiej wyselekcjonowanych urzędników do przedstawicielstw w państwie bolszewików na okres dłuższy niż dwa lata. Zwracał również uwagę na konieczność rekrutowania niższego personelu spośród osób sprytnych, znających język miejscowy, a przy tym zaufanych i zdyscyplinowanych<sup>6</sup>. W opinii mjr. dypl. Rafała Lucjana Protassowickiego – oficera Oddziału II Sztabu Głównego i zarazem pracownika kontraktowego Konsulatu Generalnego RP w Mińsku (używającego tam nazwiska „Władysław Wolski”), z racji:

stosowania przez Sowietarzy chwytów gdzie indziej nie używanych oraz wobec ogromnej zręczności ich polityki zagranicznej – należało wysyłać do ZSSR ludzi – wyjątkowo dobranych i przygotowanych, dobrze znających teren i zagadnienie lecz bez żadnych osobistych uprzedzeń i z góry ułożonych teorii<sup>7</sup>.

Jednoznaczna ocena stopnia profesjonalizmu personelu placówek dyplomatycznych i konsularnych RP w Związku Sowieckim na obecnym etapie badań wydaje się przedsięwzięciem dość

---

5. S. M. Nowinowski, *Specyfika funkcjonowania polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych w Związku Sowieckim (1936-1939)*, w: *Z dziejów polskiej służby dyplomatycznej i konsularnej. Księga upamiętniająca życie i dzieło Jana Nowaka-Jeziorańskiego (1914-2005)*, pod red. J. Farysia i M. Szerbińskiego, Gorzów Wlkp. 2005, s. 121-139.

6. AAN, MSZ, t. 6755B, k. 25-33, J. Matusiński do MSZ 30 V 1938 r.

7. Instytut Polski i Muzeum Gen. Sikorskiego – Londyn [IPMS], B I 6/h, dok. 3, k. 26-48, Mjr R. L. Protassowicki do płk. I. Modelskiego 28 X 1939 r.

ryzykownym. Wytworzona przez poszczególnych jego członków dokumentacja dostępna jest historykom jedynie we fragmentach. Pozostałe jej części uległy zniszczeniu, bądź też znajdują się wciąż w archiwach postsowieckich<sup>8</sup>. Nie przesądzając wyników dalszych studiów należy wszakże odnotować brak entuzjazmu dla kompetencji, metod i rezultatów działania polskich przedstawicielstw w ZSSR przebijający w relacjach pozostawionych przez urzędników służby zagranicznej II Rzeczypospolitej.

Piastujący w latach 1935-1939 funkcję kierownika referatu sowieckiego Wydziału Wschodniego resortu spraw zagranicznych – Stanisław Zabięto z perspektywy trzech dziesięcioleci uznał obsadę Ambasady w Moskwie za „bardzo średnią”. Grzybowski jako informator i obserwator Związku Sowieckiego był – według niego – „najwyżej poprawny. Nie pozostawił śladu lwiego pazura”. Najbliższego współpracownika ambasadora – radcę Tadeusza Jankowskiego uważał wprawdzie za urzędnika rozsądnego, trzeźwo patrzącego na sowiecką rzeczywistość, lecz nie posiadającego umiejętności syntetycznego ujmowania problemów, ani też większych talentów politycznych. Dlatego też – argumentował – punkt ciężkości studiów sowieckich pod koniec lat trzydziestych „przesunął się zdecydowanie do Warszawy, spoczywając na trzech filarach: moim referacie w MSZ, wywiadzie wojskowym Niezbrzyckiego i Biurze Studiów Rosja mjr. Bączkowskiego tzw. Ewidencji Oddziału II Sztabu Głównego”<sup>9</sup>. Wizytujący jesienią 1938 r. Ambasadę i jej Wydział Konsularny kierownik referatu w Biurze Personalnym MSZ – Tadeusz Chromecki konstatował, iż niezbyt intensywna praca zatrudnionego w nim personelu „ogranicza się do notowania codzienności

---

8. *Archiwalia polskiej proweniencji terytorialnej przechowywane w Państwowym Archiwum Federacji Rosyjskiej i Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojskowym: (archiwalia władz rosyjskich 1813-1918, archiwalia niemieckie z ziem zachodnich i północnych Polski do 1945, archiwalia Senatu WM Gdańska 1920-1939)*, pod red. W. Stępnia, Warszawa 2000.

9. Zakład Narodowy im. Ossolińskich [ZNO], sygn. 196/71, S. Zabięto, *Pamiętniki*, t. 3, *W służbie Rzeczypospolitej*, s. 569-570. Autor przekreślił nazwisko kierownika referatu „Rosja” Wydziału Studiów II Oddziału Sztabu Głównego. Od 1935 r. do III 1939 r. był nim mjr dypl. Wincenty Bąkiewicz. Kpt. Jerzy Niezbrzycki kierował referatem „Wschód” Wydziału Wywiadowczego II Oddziału Sztabu Głównego od XII 1930 r. do IX 1939 r.

sowieckiej”. Obie placówki określił jako „biura studiów, które teoretyzują i w ogóle mają wiele czasu”<sup>10</sup>. Jeszcze bardziej krytycznie brzmiała diagnoza postawiona przez mjr. Protassowickiego w jego raporcie z czynności w ZSSR. Należy jednak pamiętać, iż powstał on w okolicznościach niesprzyjających pisaniu chłodnych analiz.

Z małymi wyjątkami – twierdził szef mińskiej placówki wywiadowczej – na wszystkich stanowiskach spotykano ludzi nie tylko wcale nieprzygotowanych i nie znających Rosji Sowieckiej, traktujących swój pobyt tam jako przejściowy szczebel w dalszej karierze dyplomatycznej, lecz także były wypadki, że przysyłano ludzi wcale nie znających języka. Szczególnie fatalny był dobór ludzi w Moskwie. Chorując nagminnie na przeczulenie na punkcie protokołu dyplomatycznego i żywiąc głęboką odrazę do kraju i ludzi sowieckich nie tylko nie umieli wyrobić sobie jako takich stosunków w rządzie i społeczeństwie, lecz wyraźnie unikali styczności z otoczeniem i przejawami życia tutejszego. Znałem takich, którzy tygodniami nie wychodzili poza próg urzędu, zaś wyjeżdżali w teren tylko 2-3 razy do roku. Stąd głównym i niemal jedynym źródłem ich wiadomości była prasa oraz poselstwa i konsulaty obce, zaś ocena zjawisk mimo woli była naginana do teorii pokutujących na górze<sup>11</sup>.

Ambasador RP w Moskwie nie ukrywał przed podsekretarzem stanu w resorcie spraw zagranicznych – Janem Szembekiem, że głównym źródłem informacji o sowieckich realiach:

poza kolegami z korpusu, zwłaszcza zaś ambasadą japońską, która ma dużo kontaktów i wiadomości – są obserwacje czynione w czasie podróży, w rozmowach ze współpodróżnymi oraz nasłuch radiowy i prasa.

Odmienne jednak niż mjr Protassowicki oceniał ich wartość: „To wystarcza – utrzymywał – do zdania sobie sprawy z sytuacji”<sup>12</sup>. Poza lakoniczną notatką Szembeka nie są znane żadne dokumenty pozwalające na rozpoznanie tej kwestii.

---

10. Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych – Warszawa, 17/93, box 37, Sprawozdanie T. Chromeckiego z podróży do Mińska i Moskwy z 23 IX 1938 r.

11. IPMS, B I 6/h, dok. 3.

12. *Diariusz i teki Jana Szembeka (1935-1945)*, t. 4, oprac. J. Zarański, Londyn 1972, s. 124, Notatka z rozmowy z W. Grzybowskiem 12 IV 1938 r.

W opinii badacza stosunków polsko-sowieckich Grzybowski „wyrobił sobie w moskiewskim korpusie dyplomatycznym dość wysoką pozycję”<sup>13</sup>. Czy tak w istocie było? Bez wątpienia polski ambasador miał wszelkie dane, aby zyskać uznanie akredytowanych w stolicy Związku Sowieckiego dyplomatów. Léon Noël, który zanim został przedstawicielem Francji nad Wisłą, obserwował, jak wykonywał on obowiązki posła RP w Pradze, prezentował go jako „kolegę bardzo sympatycznego”, a także człowieka o wyjątkowej inteligencji, zwracającego na siebie uwagę „błyskotliwością i subtelnością sądów”<sup>14</sup>. Ambasador RP mógł imponować świetnym wykształceniem oraz poziomem kultury. Znał poza tym z autopsji, nie zaś z lektur, carską Rosję i w ten sam sposób zdążył odkryć naturę bolszewizmu<sup>15</sup>. Nic więc dziwnego, że konwersacje z nim określano jako frapujące lub nawet kształtujące. O sytuacji Grzybowskiego w Moskwie nie przesądzały wszakże przymioty jego umysłu czy charakteru. Zależała ona bowiem głównie od miejsca, jakie II Rzeczypospolita zajmowała aktualnie na arenie międzynarodowej. U schyłku lat trzydziestych bynajmniej nie należało ono do poczesnych. Ranga ambasadora RP w państwie bolszewików była wreszcie funkcją stosunków polsko-sowieckich, które wtedy układały się wręcz fatalnie<sup>16</sup>.

---

13. M. Kornat, *Ambasador Wacław Grzybowski i jego misja w Związku Sowieckim (1936-1939)*, „Zeszyty Historyczne” 2002, z. 142, s. 24. Autor doszedł do takiego przekonania po zapoznaniu się z raportami ambasadora Wielkiej Brytanii w Moskwie – lorda Chilstonea. Tamtejszy poseł ČSR zapamiętał go jako sympatycznego przedstawiciela starej dyplomatycznej szkoły, „dla którego jednak Związek Sowiecki był zagadką” – Z. Fierlinger, *Ve službách ČSR. Paměti z druhého zahraničního odboje*, díl 1, Praha 1947, s. 43. Por. *Dokumenty československé zahraniční politiky*, sv. 20, *Československá zahraniční politika v roce 1938*, díl 1, ed. J. Dejmeš et cons., Praha 2000, s. 583-585, dok. 380, Z. Fierlinger do MZV 27 VI 1938 r.

14. J. Łaptos, *Dyplomaci II RP w świetle raportów Quai d’Orsay*, Warszawa 1993, s. 268-270, dok. 268, L. Noël do Y. Delbosa 17 VI 1936 r.

15. J. S. Pacy, *Polish Ambassadors and Ministers in Berlin, Moscow and Paris, 1920-1945. Part I*, „The Polish Review” 1985, vol. 3, s. 248. Zob. S. M. Nowinowski, *Wacław Grzybowski (1887-1959). Szkic do portretu dyplomaty*, w: *Pokolenie spełnionego obowiązku. Studia z dziejów Polski i Polaków w kraju i na obczyźnie w XX wieku dedykowane Profesorowi Józefowi Garlińskiemu*, Gorzów Wlkp. 2004, s. 89-98.

16. W. Materski, *Tarcza Europy. Stosunki polsko-sowieckie 1918-1939*, Warszawa 1994, s. 295-346.



Ówczesny sekretarz legacyjny ambasady III Rzeszy w ZSSR – Hans von Herwarth twierdził w swych pamiętnikach, że na osobiste relacje między członkami moskiewskiego korpusu dyplomatycznego nigdy nie rzutowały napięcia pomiędzy państwami, które reprezentowali:

Negatywny stosunek do komunizmu łączył nas i pozwalał przesłonić niejedną linię podziału. [...] Współpraca wszystkich przedstawicielstw była tak bliska, jak gdyby chodziło o kontakty państw sojuszniczych. [...] Wymiana informacji o ZSRR nie była niczym nadzwyczajnym. Po paradach lub manewrach zbierali się obserwujący te wydarzenia zagraniczni *attaché* wojskowi i konfrontowali swoje wrażenia. Moskwa była bodaj jedynym miejscem na świecie, gdzie zgodnie współpracowali francuscy, niemieccy i polscy oficerowie. W pewnym sensie dawał już wtedy o sobie znać duch późniejszej europejskiej wspólnoty<sup>17</sup>.

Wprost niepodobna w to uwierzyć. Zapewne zadzierzgnięte w Związku Sowieckim przyjaźnie, z powodu odseparowania od lokalnej społeczności, kultywowano bardziej niż gdzie indziej, wszelako nic nie wiadomo, aby utrudniały one przestrzeganie zawodowych procedur lub wykonywanie powinności względem własnej ojczyzny. Dzielenie się wiedzą w gruncie rzeczy służyło jej pomnażaniu. Niedyskrecje zaś zwykle miały podłoże *stricte* polityczne. Nie inaczej przecież było w przypadku samego Herwartha. Chociaż uważał się on za przeciwnika narodowego socjalizmu, nie przyszło mu nawet do głowy, aby ostrzec któregoś z przebywających w Moskwie polskich dyplomatów przed konsekwencjami postępującego latem 1939 r. zbliżenia sowiecko-niemieckiego. Na swego powiernika wybrał sekretarza ambasady USA w Moskwie – Charlesa Bohlena. Jemu też w końcu wyjawiał 24 sierpnia treść tajnego protokołu dodatkowego do paktu Ribbentrop-Mołotow. Następnego dnia zgłosił się ochotniczo do Wehrmachtu i wkrótce potem w jego szeregach wziął udział w kampanii przeciwko Polsce<sup>18</sup>.

---

17. H. von Herwarth, *Między Hitlerem a Stalinem. Wspomnienia dyplomaty i oficera niemieckiego 1931-1945*, tłum. i oprac. E. C. Król, Warszawa 1992, s. 94-95.

18. *Ibidem*, s.242-270; P. Wandycz, *Telegram ambasadora Steinhardta*, „Zeszyty Historyczne” 1988, z. 84, s. 204-205. Por. Ch. Bohlen, *Witness to History 1929-1969*, New York 1972, s. 70-83.

Można jedynie zgadywać motywy, którymi kierował się ambasador USA w ZSSR – Laurance Steinhardt ukrywając przed Grzybowskiem zdobyte przez Bohlena informacje. Wobec polskiego kolegi dał on jedynie wyraz swego zdegustowania zawartym 23 sierpnia porozumieniem<sup>19</sup>. Spotkania ambasadora RP z szefami innych placówek dyplomatycznych w stolicy ZSSR okazały się równie bezowocne. Z reakcji reprezentanta Japonii – Shgenori Togo wynikało tylko, że decyzja Niemiec zaskoczyła go i oburzyła<sup>20</sup>. Ambasador Francji – Paul Émile Naggjar nie uznał za celowe powiadomić Grzybowskiego o swoich ustaleniach odnośnie zakresu planowanej kooperacji III Rzeszy i Związku Sowieckiego. Poprzestał na omówieniu przebiegu rozmowy z Władysławem Mołotowem, z której polski dyplomata wywiódł dość optymistyczny wniosek<sup>21</sup>. Nie udało się ustalić czy z Grzybowskiem kontaktował się w ostatnich dniach sierpnia ambasador Wielkiej Brytanii – William Seeds. Jeśli nawet, to i tak nie wyjawiał przed nim rewelacji przekazanych mu przez Steinhardta<sup>22</sup>. Sygnał zapowiadający ożywienie współdzia-

---

19. *Diariusz...*, t. 4, s. 771-772, W. Grzybowski do J. Becka 29 VIII 1939 r. O treści tajnego protokołu dodatkowego do paktu Ribbentrop-Mołotow Steinhardt niezwłocznie powiadomił Departament Stanu, a ten z kolei ambasadorów Francji i Wielkiej Brytanii w USA – P. Wandycz, *op.cit.*, s. 206-207.

20. *Diariusz...*, t. 4, s. 771-772. Zob. J. Wojtkowiak, *Stosunki radziecko-japońskie w latach 1931-1941*, Poznań 2000, s. 166-169.

21. A. G. Dąbrowski, *Stanowisko państw europejskich oraz Japonii i Chin wobec podpisania paktu o nieagresji między Związkiem Radzieckim a Niemcami w relacjach dyplomatów polskich*, „Teki Archiwalne” 1997, seria nowa, t. 2 (24), s. 107, dok. 7, Telegram W. Grzybowskiego do MSZ 23 VIII 1939 r.; *Diariusz...*, t. 4, s. 771-772. Zob. J. Pagel, *Polen und die Sowietunion 1938-1939. Die polnisch-sowjetischen Beziehungen in den Krisen der europäischen Politik am Vorabend des Zweiten Weltkrieges*, Stuttgart 1992, s. 268. O istocie paktu sowiecko-niemieckiego poinformował Paryż także R. Coulondre – ambasador Francji w Berlinie – A. M. Brzeziński, *Dyplomacja francuska wobec tzw. Paktu Ribbentrop-Mołotow*, w: *Niemcy w polityce międzynarodowej*, pod red. S. Sierpowskiego, t. 4, Poznań 1992, s. 307-316; M. Gmurczyk-Wrońska, *Polska – niepotrzebny aliant Francji? (Francja wobec Polski w latach 1938-1944)*, Warszawa 2003, s. 121-130.

22. W. Seeds objął placówkę w ZSSR po lordzie Chilstonie w I 1939 r. J. Tebinka, *Polityka brytyjska wobec problemu granicy polsko-radzieckiej 1939-1945*, Warszawa 1998, s. 48-53. Powszechnie panującego wśród francuskich i brytyjskich dyplomatów w Moskwie przeświadczenia o istnieniu

łania sowiecko-niemieckiego Herwarth wysłał ponoć również do włoskiego przedstawicielstwa w Moskwie, ale chyba nie wywołał tam poważniejszego rezonansu. W każdym razie próżno szukać go w raportach i telegramach Grzybowskiemu relacjonujących poglądy ambasadora Italii – Augusto Rosso. Uchodził on za przyjaciela polskiego dyplomaty, ale przecież wcale nie musiał być wobec niego do końca szczery. Zwłaszcza, że zażyłe kontakty łączyły go także z ambasadorem III Rzeszy – hr. Friedrichem Wernerem von der Schulenburgiem<sup>23</sup>. Rezultat przeprowadzonego przez Grzybowskiemu sondażu był więc jednoznaczny:

W opinii tutejszych kół dyplomatycznych pakt o nieagresji jest dużym sukcesem sowieckim, ponieważ może im zapewnić wolną rękę na początku konfliktu. Nikt natomiast nie wierzy, aby Sowiety zaangażowały się głębiej w kolaborację z Niemcami<sup>24</sup>.

Utwierdził on ambasadora RP w przekonaniu o taktycznym charakterze zwrotu w polityce zagranicznej Moskwy i Berlina oraz pozwolił mniemać, iż pakt Ribbentrop-Mołotow „nie przesądza stanowiska Sowietów na wypadek konfliktu i jest jedynie punktem wyjścia do dalszej rozgrywki”<sup>25</sup>.

---

tajnego protokołu odnośnie podziału Polski i aneksji państw bałtyckich nie podzielał tamtejszy poseł CSR – *Československo-sovětské vztahy v diplomatických jednáních 1939-1945. Dokumenty* [DČV], díl 1, Praha 1998, s. 76-79, dok. 21, Z. Fierlinger do E. Beneša 26 VIII 1939 r. Zob. *ibidem*, s. 80-81, dok. 22, Raport J. Smutnego z 26 VIII 1939 r.

23. Herwarth określał relacje między Rosso a Schulenburgiem jako „związek oparty na szczególnym zaufaniu” – *idem, op.cit.*, s. 250; M. Korinat, *op.cit.*, s. 22. O. Czarliński, *Wspomnienia attaché ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Moskwie*, oprac. A. Szczepańska, „Szczecińskie Studia Historyczne” 1994, nr 8, s. 126; K. Strzałka, *Między przyjaźnią a wrogością. Z dziejów stosunków polsko-włoskich (1939-1945)*, Kraków 2001, s. 57-67.

24. A. G. Dąbrowski, *op.cit.*, s. 109, dok. 10, Telegram W. Grzybowskiemu do MSZ 24 VIII 1939 r.

25. *Diariusz...*, t. 4, s. 771-772. Por. AAN, MSZ, t. 6655, k. 86-92. W. Grzybowski do MSZ 28 VIII 1939 r. Grzybowski był przeświadczony o prawdziwości swej tezy także po 17 IX 1939 r. Przypominając wiosną 1941 r. pakt Ribbentrop-Mołotow pisał: „Byłoby błędem mniemać, że towarzyszył mu dalej idący układ sojuszniczy i że kładł kres sowiecko-niemieckiemu antagonizmowi. W dziedzinie tego antagonizmu nastąpiło tylko zawieszenie broni doraźnie korzystne dla stron obu. [...] Nie jest również prawdą, aby jednocześnie z paktem nastąpił jakiś układ sowiecko-niemiecki, skierowany przeciwko Polsce. Dopiero sukcesy niemieckiego «Blitzkriegu» w Polsce

Doniesienia Grzybowskiiego z końca sierpnia 1939 r. dają wyobrażenie zarówno o jego faktycznej pozycji w moskiewskim korpusie dyplomatycznym, jak i bezradności w obliczu wołty dyplomacji sowieckiej. Przyczyny takiego stanu rzeczy należy upatrywać prawdopodobnie w skomplikowanej osobowości ambasadora. Zanim wstąpił on na drogę politycznej kariery z powodzeniem zajmował się działalnością naukową. Z wykształcenia był filozofem i pozostał nim także, gdy przywdział mundur dyplomaty.

Uzbrojony w metodykę dyscypliny filozoficznej – pisał jego przyjaciel Krystyn Ostrowski – nigdy nie przestawał doszukiwać się najgłębszej treści zjawisk, z którymi się stykał i które obserwował<sup>26</sup>.

Na placówce w Pradze jako teoretyk Grzybowski nie miał większego pola do popisu. Dopiero pełniąc misję w doświadczającym gwałtownych przemian Związku Sowieckim mógł zrealizować wcale niemałe aspiracje w tym zakresie. Koncentrował się więc na procesach długofalowych, bagatelizując zjawiska pozbawione – według niego – znamion trwałości. Analizował skutki wprowadzenia gospodarki planowej i bolszewickiej inżynierii społecznej. Frapowały go ideologiczne meandry stalinizmu. Starał się dotrzeć do samej istoty komunistycznego totalitaryzmu, albowiem głęboko wierzył, że determinuje ona również politykę zagraniczną ZSSR. Wyrobiwszy sobie jednak pogląd na jej strategię i taktykę wzbraniał się przed poddawaniem go okresowej weryfikacji. Śmiałym hipotezom nadał z czasem rangę pewników. Nadmiernie zaufał własnej intuicji, która podpowiadała mu, że rezultaty wizyty Ribbentropa w Moskwie będą skromne. W ostatnim raporcie, jaki złożył Józefowi Beckowi w sierpniu 1939 r., nie wykazał się wcale przenikliwością, dowodząc za to biegiłości w piętrzeniu paradoksów i zestawianiu kalamburów. Zawarty w dokumencie *passus*:

---

skłoniły Sowiety do wejścia na drogę bezprzykładnego wiarołomstwa i wykorzystania sytuacji dla zabezpieczenia się od zachodu” – *idem, Polska w walce o pokój 1919-1939*, Grenoble 1941, s. 38-39.

26. K. Ostrowski, *Przedmowa*, w: W. Grzybowski, *Byłem świadkiem. Wspomnienia i rozważania*, oprac. W. Pobóg-Malinowski i Cz. Chowaniec, s. 2, (kserokopia maszynopisu w zbiorach autora).

„sytuację naszą podpisanie paktu znacznie odciążyło” świadczył o postrzeganiu porozumienia sowiecko-niemieckiego wyłącznie w kategoriach taktycznej rozgrywki pomiędzy Warszawą, Paryżem i Londynem<sup>27</sup>. Wyrażona w liście do Szembeka opinia:

Niewiele bardzo mam elementów dla dokładniejszej orientacji, ale ulegam nastrojom wysoce optymistycznym. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Hitler idzie do przegranej<sup>28</sup>

sytuuje się już poza granicami zdrowego rozsądku.

Dokonana przez Grzybowskiego ocena sytuacji, jaka zaistniała po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow świetnie trafiała w nastroje panujące w Pałacu Brühla. Świadomość dalekosiężnych celów sowieckiej polityki zagranicznej również tam nie szła w parze ze zrozumieniem skali aktualnego zagrożenia. Dla szefa dyplomacji polskiej nie było wcale oczywiste, że II Rzeczypospolita stoi w obliczu zbrojnej konfrontacji nie tylko z Berlinem, lecz także z Moskwą<sup>29</sup>. Ogólne położenie charakteryzował jako nie najgorsze, zaś Sowiety wydawałw mu się „dość speszone po podpisaniu paktu o nieagresji z Niemcami”<sup>30</sup>. W instrukcji dla Rogera Raczyńskiego – ambasadora RP w Bukareszcie, Szembek stwierdził więc:

Nie przypuszczamy, aby współdziałanie niemiecko-sowieckie prze-

---

27. *Diariusz...*, t. 4, s. 771-772; AAN, MSZ, t. 6655, k. 51-52, W. Grzybowski do T. Kobyłańskiego (?) 22 VIII 1939 r. Zob. S. Żerko, *Stosunki polsko-niemieckie 1938-1939*, Poznań 1998, s. 449. Na postawione w połowie VIII 1939 r. przez przyjaciela pytanie, czy nie grozi Polsce porozumienie Hitler-Stalin „z głębokim przekonaniem zapewnił Grzybowski, że jest to wykluczone” – W. Kamieniecki, *Historycy i politycy warszawscy 1900-1950*, Wrocław 1992, s. 143.

28. *Diariusz...*, t. 4, s. 770, W. Grzybowski do J. Szembeka 29 VIII 1939 r. Latem 1939 r. ambasador deklarował w rodzinnym kręgu, że do wybuchu wojny nie dojdzie. Udając się do Moskwy pozostawił w Warszawie żonę i dzieci – Z. Kozarynowa, *Sto lat. Gawęda o kulturze środowiska*, Wrocław 1992, s. 194.

29. P. Hostowiec [J. Stempowski], *Eseje dla Kassandry*, Paryż 1961, s. 34; S. Żerko. *op.cit.*, s. 433-436. W dzienniku biurowym Becka z 1939 r. odnotowano tylko dwie audycje Grzybowskiego – 18 IV i 29 VII – Instytut Józefa Piłsudskiego – Nowy Jork [IJP-NJ], Zespół J. Weinsteina, t. 34/3.

30. *Diariusz...*, t. 4, s. 701, Notatka z rozmowy z J. Beckiem 28 VIII 1939 r. Por. E. Kwiatkowski, *Dziennik czynności ministra skarbu*, oprac. J. Rakowski, „Zeszyty Historyczne” 1991, z. 96, s. 80.

kroczyło dostawy surowców. [...] Nie przewidujemy jakiegokolwiek błędnej, agresywnej akcji Sowieców pod adresem naszym względnie Rumunii<sup>31</sup>.

Przekonanie o braku realnego zagrożenia ze wschodu równie silnie ugruntowane było wśród najwyższych czynników wojskowych II Rzeczypospolitej. Instrukcje, jakie otrzymał nowy *attaché militaire* w Moskwie – ppłk dypl. Stefan Brzeszczyński na początku czerwca 1939 r. eksponowały:

małe prawdopodobieństwo wojny, słabość Sowieców, wycieńczonych „czystkami”, nadzieję na ich życzliwą neutralność w razie naszego konfliktu z Niemcami, a nawet gotowość do pomocy materiałowej, gdybyśmy się o to zwrócili, gdyż nie leży w interesie Sowieców rozgromienie Polski i wspólna granica z Niemcami<sup>32</sup>.

Jakkolwiek marszałek Edward Śmigły-Rydz brał wówczas pod uwagę możliwość agresji sowieckiej, ale:

tylko w końcowym okresie wojny i jedynie wtedy, gdyby pod wpływem niepomysłnego dla nas obrotu spraw rząd rosyjski doszedł do przekonania, że Polacy kampanię bezapelacyjnie przegrali<sup>33</sup>.

Nic nie wskazuje, aby po 23 sierpnia zmienił swe nastawienie. Optymizm przyszłego Naczelnego Wodza opierał się głównie na opiniach MSZ<sup>34</sup>, uznawanych za w pełni miarodajne

---

31. M. Kornat, *Polska 1939 roku wobec paktu Ribbentrop-Mołotow. Problem zbliżenia niemiecko-sowieckiego w polityce zagranicznej II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2002, s. 598-599, dok. 40, J. Szembek do R. Raczyńskiego 2 IX 1939 r. Por. AAN, MSZ, t. 5357, k. 3-4, T. Jankowski do S. Zabięły 28 IX 1939 r.

32. IPMS, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 31 X 1939 r.

33. K. Sosnkowski, *Cieniom września*, Warszawa 1988, s. 46-47. Zapewniając inspektorów armii, że Moskwa zachowa wobec wojny polsko-niemieckiej „życzliwą co najmniej neutralność” Śmigły-Rydz miał latem 1936 r. stwierdzić: „nie nam nie pomoże trzymanie pewnych sił na wschodzie na wypadek jeśli Rosja Sowiecka będzie chciała na nas uderzyć; główne siły w całości muszą być przeciw Niemcom” – Biblioteka Jagiellońska – Kraków, sygn. 978 III, L. Mitkiewicz, W Wojsku Polskim 1930-1938, k. 336-337.

34. Według mjr. Protassowickiego w VIII 1939 r. Grzybowski osobiście zapewniał marszałka Śmigłego-Rydza o „życzliwej neutralności Sowieców” – IPMS, B I 6/h, dok. 3. Zob. E. Kwiatkowski, *op.cit.*, s. 77-78.

przez Oddział II Sztabu Głównego. Jego decydenci także nie docenili ciężaru gatunkowego paktu Ribbentrop-Mołotow, czemu zresztą trudno się dziwić, skoro większość z nich wykluczała wcześniej ewentualność porozumienia między Moskwą a Berlinem. Nieliczni, prezentujący odmienne stanowisko, uzasadniali je nie merytorycznymi argumentami, lecz swym „osobistym wyczuciem”<sup>35</sup>.

Udostępnione źródła nie upoważniają jednak do stawiania kierownictwu Oddziału II Sztabu Głównego zarzutu notorycznego lekceważenia sygnałów o zbliżeniu sowiecko-niemieckim i jego konsekwencjach. Za jedyny udokumentowany tego przypadku należy wszak uznać potraktowanie wiadomości pochodzących od *attaché militaire* w Berlinie – ppłk. dypl. Antoniego Szymańskiego<sup>36</sup>. „Proroczy” raport mjr. Protassowickiego z sierpnia 1939 r. – uznawany przez niektórych badaczy za dowód koronny – nie został bowiem dotychczas odnaleziony. Znane są jedynie jego zasadnicze tezy, *nota bene* z relacji samego zainteresowanego złożonej dwa miesiące później. Szef mińskiej placówki wywiadowczej twierdził w niej, iż niezwłocznie po zawarciu sowiecko-niemieckiej umowy handlowej (19 sierpnia) poinformował przełożonych o istnieniu tajnych klauzul wojskowych oraz terytorialnych dokumentu wymierzonych przeciwko Polsce, państwowemu bałtyckim i zapewne też Rumunii.

Napisałem wyraźnie tymi słowami, że w zbliżającej się wojnie Polski ew[entualnie] Aliantów przeciwko Niemcom, Sowiety wystąpią również. Lecz nie w formalnym sojuszu wojskowym z Niemcami, tylko samodzielnie, na własną rękę i w celach ściśle ograniczonych, a to ze względu na konieczność liczenia się z antyniemieckim nastawieniem społeczeństwa własnego i światowej międzynarodówki. Określiłem nawet w tym raporcie termin wystąpienia zbrojnego

---

35. Oddział II Sztabu Głównego: raport ppłk. Józefa Englishta, oprac. A. Grzywacz, „Arcana” 1999, nr 26, s. 142-143. Zob. R. Szawłowski, *Wywiad polski na Związek Sowiecki w 1939 roku*, w: *Europa NIE prowincjonalna. Przemiany na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej (Białoruś, Litwa, Łotwa, Ukraina, wschodnie pogranicze III Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1772-1999*, pod red. K. Jasiewiczza, Warszawa-Londyn 1999, s. 907-912.

36. A. Szymański, *Zły sąsiad. Niemcy 1933-1939 w oświetleniu polskiego attaché wojskowego w Berlinie*, Londyn 1959, s. 139-141; Oddział II..., s. 142-143.

Sowietów, mianowicie „w chwili jak tylko zarysuje się rozstrzygnięcie strategiczne na froncie polsko-niemieckim”<sup>37</sup>.

Pomimo kontrowersyjności pewnych sformułowań diagnoza mjr. Protassowickiego budzi uznanie. Wszelako tylko przy założeniu, że postawiona została przed 17 IX 1939 r. Nie potwierdza tego jednak żadne spośród znanych historykom źródeł. Prawdopodobieństwo nieotrzymania raportu przez Oddział II Sztabu Głównego wprawdzie istnieje, lecz wydaje się ono znikome. W dalszej części swej relacji mjr Protassowicki zaznaczył, że w nieco późniejszym terminie zameldował ponadto Warszawie o wstrzymaniu translokacji na Daleki Wschód jednostek Białoruskiego Okręgu Wojskowego<sup>38</sup>. Przypuszczalnie to właśnie na podstawie jego doniesień Oddział II Sztabu Głównego udzielił MSZ stosownych wyjaśnień<sup>39</sup>. Warto przy okazji zauważyć, iż w prowincjonalnym Mińsku niepodobna było przeniknąć arkanów sowieckiej polityki zagranicznej. Wobec braku dostępu do informacji nie pozostawało tam nic innego, jak kierowanie się przy ich odgadywaniu, wielce pożądanym u dyplomatów i funkcjonariuszy służb specjalnych, „osobistym wyczuciem”.

Oprócz mjr. Protassowickiego latem 1939 r. na terenie ZSSR pełniło służbę jeszcze dziewięciu oficerów wywiadu, zatrudnionych formalnie (pod zmienionymi personaliami) w charakterze urzędników kontraktowych w Ambasadzie i Konsulatach RP: w Moskwie – mjr dypl. Eugeniusz Dmochowski („Stanisław Dmochowski”), mjr dypl. Antoni Minkiewicz („Antoni Majewski”), mjr Wincenty Zarębski („Konstanty Brzewiński”) i mjr Stanisław Ratomski („Stefan Ratomski”), w Kijowie – kpt. Jan Kraczkiewicz („Józef Zdanowicz”), rtm. Włodzimierz Prosiński („Antoni Pieńkowski”), mjr dypl.

---

37. IPMS, B I 6/h, dok. 3. Por. R. Szawłowski, *op.cit.*, s. 912; W. Włodarkiewicz, *Przed 17 września 1939 roku. Radzieckie zagrożenie Rzeczypospolitej w ocenach polskich naczelnych władz wojskowych 1921-1939*, Warszawa 2002, s. 236.

38. Informował o tym MSZ kierownik Konsulatu Generalnego RP w Mińsku – Kazimierz Rudzki (nominalnie tamtejszy zwierzchnik mjr. Protassowickiego) – AAN, MSZ, t. 6655, k. 47, J. Szembek do W. Grzybowskiemu 17 VIII 1939 r.

39. M. Kornat, *Polska 1939...*, s. 382-383.



Mieczysław Słowikowski („Eugeniusz Zarębski”); w Mińsku – kpt. Gustaw Olszewski („Wacław Kryger”); w Leningradzie – kpt. dypl. Mieczysław Rutkowski („Stanisław Zakrzewski”). Do pracowników Oddziału II Sztabu Głównego należał także por. Stanisław Karnazycki („Stanisław Karnicki”) pełniący obowiązki szofera Ambasady<sup>40</sup>. Niestety nic nie można powiedzieć o meldunkach składanych centrali przez wyżej wymienionych oficerów w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch II wojny światowej<sup>41</sup>. Nie odnaleziono też sprawozdań, które po opuszczeniu ZSSR mieli oni obowiązek złożyć w reaktywowanym na emigracji Ministerstwie Spraw Wojskowych. Bez powodzenia poszukiwano również relacji por. Józefa Jedynaka zatrudnionego w biurze *attaché militaire*. W raporcie ppłk. Brzeszczyńskiego mowa jest tylko o demonstrowanej wówczas przez korpus oficerski Armii Czerwonej nieufności wobec Polski i „swego rodzaju *schadenfreude* z powodu grożącej nam napaści ze strony do niedawna «serdecznych przyjaciół»”. Zwierzchnicy wiedzieli ponoć również o żywionych przez niego obawach, iż Sowieci „mogą nas dobić, gdy nam się noga powinie”<sup>42</sup>. Według pomocnika *attaché militaire* – mjr. dypl. Stanisława Malecińskiego:

wrogie nastawienie Sowietów do Polski nie podlegało żadnej wątpliwości i wykluczało wszelkie optymistyczne nadzieje. Zawarcie

---

40. IPMS, B I 119/d, Notatka ppłk. A. Minkiewicza; *ibidem*, Załącznik nr 1 i 5 do raportu ppłk. S. Brzeszczyńskiego z 4 XI 1939 r.; *ibidem*, A XIV 3/1b, k. 34, Odtworzenie organizacji i obsady personelu GISZ, MSWojsk., spisane w Paryżu w 1940 i w Londynie w 1941 r. Por. A. Peplowski, *Wywiad polski na ZSRR 1921-1939*, Warszawa 1996, s. 133. Oficerem był również Jan Jerzy Jackowski – pełniący funkcję radcy rolnego Ambasady RP. Brak jednak potwierdzenia jego współpracy z wywiadem. Pracowali dla niego natomiast niektórzy urzędnicy kontraktowi MSZ posiadający stopnie podoficerskie.

41. Szef samodzielnego referatu „Rosja” Wydziału Studiów Oddziału II Sztabu Głównego twierdził, były one bardzo skąpe – IPMS, B I 6/e/29, Sprawozdanie ppłk. O. Giedroycia z 10 IV 1940 r. Por. W. Włodarkiewicz, *op.cit.*, s. 240. Kierownik kijowskiej placówki wywiadowczej uznał pakt Ribbentrop-Mołotow wyłącznie za zapowiedź agresji Niemiec na Polskę – M. Z. Rygor-Słowikowski, *W tajnej służbie (In Secret Service). Polski wkład do zwycięstwa w drugiej wojnie światowej*, Londyn 1977, s. 7.

42. *Ibidem*, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 31 X 1939 r.

sowiecko-niemieckiego paktu o nieagresji stawiało kropkę nad i. Wystąpienie czynne Sowietów a właściwie tylko termin tego wystąpienia, zależało od siły oporu Polski oraz od rozwoju działań wojennych na zachodzie<sup>43</sup>.

Szczupłość bazy źródłowej uniemożliwia weryfikację obydwu relacji.

Wbrew deklaracjom szefa Biura Personalnego MSZ – Wiktora Tomira Drymmera, placówek dyplomatycznych i konsularnych RP na terenie Związku Sowieckiego nie objęto regulacjami, jakie w związku z groźbą wybuchu wojny zarządzono w przedstawicielstwach polskich w Niemczech. Niektórzy z członków personelu przebywali na urloпах jeszcze pod koniec sierpnia. Wielu pozostającym na miejscu urzędnikom i pracownikom obsługi towarzyszyły rodziny. Nic nie wiadomo, aby zostały wydane jakiegokolwiek instrukcje na wypadek ewakuacji urzędów lub odnośnie trybu postępowania z posiadanymi przez nie archiwaliami<sup>44</sup>.

Za najpoważniejsze uchybienie należy však uznać opieszale wdrażanie nowego systemu komunikowania się poszczególnych placówek z centralą i między sobą. Utrzymywanie w warunkach wojny łączności za pomocą kurierów lub depesz nie mogło być bowiem ani bezpieczne, ani efektywne. Podróż z Warszawy do Moskwy zajmowała przeszło dobę, niewiele krócej trwała stamtąd eskapada do Kijowa. Telegramy szyfrowe wysyłało i odbierano natomiast z sowieckich urzędów pocztowych<sup>45</sup>. Bezpośredni kontakt telefoniczny ośrodków prowincjonalnych, nawet tej rangi co Kijów, z Polską ze względów technicznych w ogóle nie wchodził w rachubę. Uzyskanie połączenia międzymiastowego wymagało co najmniej kilkugodzinnego oczekiwania. Oczywiście o zachowaniu dyskrecji przekazu nie można

---

43. *Ibidem*, Mjr S. Maleciński do Biura Rejestracyjnego MSWojsk. 9 I 1940 r.

44. W. T. Drymmer, *Wspomnienia (4)*, „Zeszyty Historyczne” 1974, z. 30, s. 223; IPMS, B I 119/d, Wyciąg z listu O. Czarlińskiego do ppłk. A. Minkiewicza z 19 XI 1964 r.; *ibidem*, Załącznik nr 5 do raportu ppłk. S. Brzeszczyńskiego z 4 XI 1939 r. Zob. S. Żerko, *op.cit.*, s. 437-438.

45. Stosowano trzy odrębne systemy kodowania. Pierwszym posługiwały się Ambasada i Konsulaty, drugim: *attaché militaire*, trzecim: placówki wywiadowcze – *ibidem*, Notatka ppłk. A. Minkiewicza z 14 V 1962 r.

było nawet marzyć<sup>46</sup>. W Ambasadzie znajdował się wprawdzie aparat nadawczo-odbiorczy, ale w drugiej połowie lat trzydziestych nie był wykorzystywany. Latem 1939 r. przysłano nowocześniejszą stację krótkofalową, wszelako nie zdołano jej już uruchomić<sup>47</sup>. Konsulat Generalny w Kijowie posiadał wysłużoną krótkofalówkę o mocy zaledwie 12 W, pozwalającą tylko na okresową kontrolę łączności z placówką Oddziału II Sztabu Głównego w Równem. Z dostarczonego latem 1939 r. urządzenia o półtora razy większej mocy nie zrobiono żadnego użytku. Stacją o mocy 10 W dysponował Konsulat Generalny w Mińsku. Współdziałała ona z radiostacją Ekspozytury Nr 1 Oddziału II Sztabu Głównego w Wilnie, jednak bez pożądaných rezultatów<sup>48</sup>.

Ostatni kurier z Warszawy przybył do Moskwy (jak w każdy poniedziałek) 28 sierpnia. Dwa dni potem jego zmiennik zameldował się z pocztą dyplomatyczną w stolicy Polski. Planowana na następny tydzień jazda kurierska do Związku Sowieckiego nie doszła do skutku<sup>49</sup>. Raporty tamtejszych placówek RP po 29 sierpnia nie dotarły więc nigdy do adresatów. Łączność telegraficzna na razie funkcjonowała bez zarzutów. Niestety, udało się odnaleźć zaledwie połowę z dwudziestu depesz szyfrowych wysłanych przez moskiewską Ambasadę RP pomiędzy 27 VIII a 16 IX 1939 r.<sup>50</sup> O treści pozostałych tylko sporadycznie można nabrać wyobrażenia na podstawie lektury

---

46. ZNO, sygn. 196/71, S. Zabiello, *Pamiętniki*, t. 3, s. 155, 382; AAN, MSZ, t. 6755B, k. 30-31, J. Matusiński do MSZ 30 V 1938 r.; *ibidem*, k. 332, T. Jankowski do MSZ 31 X 1938 r.

47. *Attaché militaire* utrzymywał, że stację obsługiwać miał jeden z oficerów wywiadu. Przez dwa miesiące stała ona jednak w Ambasadzie nie rozpakowana, ponieważ Sztab Główny nie wydał odpowiednich dyspozycji – IPMS, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r.

48. IPMS, B I, 119/d, Ppłk A. Minkiewicz, Radio w Rosji Sowieckiej, 14 V 1962 r.; *ibidem*, B I 6/g/11, Mjr B. Mikiewicz, Radio jako środek komunikacji dla celów wywiadu, 20 XI 1939 r. Por. W. T. Drymmer, *Wspomnienia* (3), „Zeszyty Historyczne” 1974, z. 29, s. 172-173; P. Łosowski, *Dyplomacja Drugiej Rzeczypospolitej. Z dziejów polskiej służby zagranicznej*, Warszawa 1992, s. 126.

49. IPMS, B I 119/d, Wyciąg z listu O. Czarlińskiego do ppłk. A. Minkiewicza z 19 XI 1964 r.

50. Ostatni znany telegram szyfrowy W. Grzybowskiemu nadany przed wybuchem II wojny światowej nosi datę 27 VIII 1939 r. i nr 96 – AAN, MSZ, t. 6655, k. 85.

innych dokumentów. Dokumentacja aktywności polskich placówek konsularnych na terenie ZSSR w tym okresie została prawdopodobnie niemal w całości zniszczona. Zachowały się jedynie bardzo skąpe relacje.

Informacja o agresji Niemiec na Polskę dotarła do przedstawicielstw RP w ZSSR za pośrednictwem sowieckiego radia 1 września rano. Dopiero nazajutrz Grzybowski otrzymał z Warszawy polecenie oficjalnego notyfikowania władzom bolszewickim stanu wojny pomiędzy III Rzeszą a II Rzeczypospolitą<sup>51</sup>. Szef dyplomacji sowieckiej zgodził się go przyjąć 3 września.

Nie kwestionował on oświadczenia – relacjonował ambasador – że był to przypadek nie spowodowanej agresji, której dokonano bez uprzedniego wypowiedzenia wojny, przez niespodziewany atak, podczas trwania negocjacji. Przyznał, że Niemcy należy uznać za agresora. Pytał, czy liczymy na interwencję Wielkiej Brytanii i Francji i czy oczekujemy jej w jakimś określonym terminie. Odpowiedziałem, że nie mam oficjalnych informacji, ale przewiduję wypowiedzenie przez nich wojny w następnym dniu, 4 września. Pan Mołotow sceptycznie się uśmiechnął. „W porządku, zobaczymy, panie ambasadorze...”<sup>52</sup>.

Z wyekspediowanej dzień później depeszy szyfrowej Grzybowskiego, do ewakuowanego już z Warszawy MSZ, dotarł 7 września zaledwie *passus*:

Mołotow nie wnosi nowych elementów. Charakterystyczny jest tylko fakt szantażu ratyfikowania...<sup>53</sup>.

Tymczasem w stolicy Polski trwały spekulacje na temat możliwości wyzyskania układu handlowego zawartego ze Związkiem Sowieckim 19 II 1939 r. Od jego ratyfikacji minęły trzy

---

51. Depeszę z instrukcją Becka wysłano 1 IX o godzinie 14<sup>15</sup> – W. Michowicz, *Dyplomacja polska w walce o zachowanie ciągłości państwa polskiego (wrzesień 1939 – czerwiec 1940)*, w: *Historia dyplomacji polskiej*, t. 5, 1939-1945, Warszawa 1999, s. 108.

52. DDPZ, t. 2, dok. 130, s. 280. Notatki Mołotowa ze spotkania nie opublikowano w żadnym z sowieckich zbiorów dokumentów.

53. AAN, mikrofilm akt MSZ z Instytutu Hoovera [MSZ-IH], XXVI, k. 000078, Telegram szyfrowy nr 104 W. Grzybowskiego do MSZ z 4 IX 1939 r. Ambasador RP przypuszczalnie odnosił się do ratyfikowania paktu Ribbentrop-Mołotow przez Radę Najwyższą ZSSR 31 VIII, a Reichstag 1 IX 1939 r.

miesiące, wszelako wzrost wzajemnych obrotów towarowych był wciąż daleki od oczekiwanego. Nie wynegocjowano także zapowiadanego w dokumencie, adekwatnego do sytuacji międzynarodowej, porozumienia tranzytowego<sup>54</sup>. Wpływowo osobistości MSZ i Sztabu Głównego nie przejawiały jednak z tego powodu zaniepokojenia. W ich opinii nawet pakt Ribbentrop-Mołotow nie wykluczał pogłębienia polsko-sowieckiej kooperacji na niwie gospodarczej. Wywiad marszałka Klimenta Woroszyłowa drukowany 27 sierpnia na łamach „Izwestii” pozwalał zresztą żywić na to nadzieje. Stale podsyczał je również ambasador ZSSR w Warszawie – Nikołaj Szaronow, który doskonale orientował się, jak bardzo Polska potrzebuje surowców strategicznych<sup>55</sup>. Weryfikację wiarygodności oferty sowieckiej przeprowadzić mógł tylko Grzybowski. Najpóźniej trzeciego dnia wojny Beck polecił mu wysondować bezpośrednio u Mołotowa, na jakie dostawy Rzeczpospolita może ewentualnie liczyć. Oczekiwał ponadto podjęcia przez niego „akcji dla zapewnienia nam tranzytu od państw sprzymierzonych”<sup>56</sup>.

---

54. W. Materski, *op.cit.*, s. 327-330; A. Skrzypek, *Kronika koegzystencji. Zarys stosunków polsko-radzieckich w latach 1921-1939*, Warszawa 1985, s. 237-238, 245-246. Stronie polskiej zależało na uzyskaniu tranzytu do Iraku i Persji oraz portów w Archangielsku i Murmańsku. „Sowiety – relacjonował podsekretarz stanu w MSZ – oświadczyły, że dać nam tego tranzytu nie mogą, bo nie dają go nikomu, ale zgodzą się, jeśli Polska zawrze z nimi równocześnie umowę wojskową. Do sprecyzowania brzmienia tej umowy nie doszło, bo myśmy z miejsca odmówili rokowań w tej sprawie” – IPMS, A 11.49/CZ/3/1, Protokół przesłuchania M. Arciszewskiego przed Komisją Powołaną w Związku z Wynikiem Kampanii Wojennej 1939 r. z 27 II i 4 III 1941 r. Według urzędnika Ambasady RP w Moskwie odpowiedzialność za opóźnienie realizacji postanowień układu handlowego ponosił w dużej mierze jeden z jej *attaché*: Witold Wyszyński – *ibidem*, B I 119/d, Wyciąg z listu O. Czarlińskiego do ppłk. A. Minkiewicza z 19 XI 1964 r.

55. *Oddział II...*, s. 143; W. H. Colbern, *Polska. Styczeń – sierpień 1939. Analizy i prognozy. Komentarze do wydarzeń attaché wojskowego ambasady USA w Warszawie*, oprac. B. Grzełoński, Warszawa 1986, s. 79-80; *God krizisa 1938-1939*, t. 2, 2 *ijunia 1939 g. – 4 sientjabria 1939 g. Dokumenty i materiały*, Moskwa 1990, s. 358, dok. 627, Telegram N. Szaronowa do NKID z 1 IX 1939 r. Por. s. 363, dok. 631, Telegram N. Szaronowa do NKID z 4 IX 1939 r.

56. *Polska polityka zagraniczna w latach 1926-1939*. Na podstawie tekstów min. Józefa Becka opracowała Anna M. Cienciała, Paryż 1990, s. 272.

Ambasador RP w Moskwie wykonał instrukcję 5 września. Z notatki sporządzonej w *Narkomindiel* po spotkaniu wynika, iż Mołotow starał się zapewnić swego rozmówcę o woli skrupulatnego przestrzegania przez rząd ZSSR postanowień układu handlowego, wykazując równocześnie niemożność wyrażenia przez niego zgody na tranzyt i dostawy materiałów wojennych. Argumentem koronnym, na który się powołał, była chęć uniknięcia wplatania Związku Sowieckiego w trwający konflikt i konieczności opowiedzenia się po jednej z walczących stron. W obliczu toczącej się w Europie wojny władze bolszewickie muszą dbać przede wszystkim o bezpieczeństwo własnego państwa i dlatego przeznaczą wszystkie środki, jakimi dysponują, właśnie na ten cel<sup>57</sup>. Sprawozdanie Grzybowskiemu z audyencji u Mołotowa, przesłane Beckowi następnego dnia drogą telegraficzną, potwierdza treść dokumentu sowieckiego. Pozwala jednakowoż lepiej rozpoznać charakter rozmowy, a także daje wyobrażenie o wnioskach, jakie wyprowadził z niej ambasador RP. Udając się na spotkanie z Mołotowem przeczuwał on, iż „Sowiety staną na linii bezwzględnej rezerwy i neutralności”. Słuchając szefa *Narkomindiel* nabrał pewności, że polityka Kemla polega na nieudzielaniu pomocy ani Anglii przeciwko Niemcom, ani Niemcom przeciwko Anglii. Zapytany o miejsce II Rzeczypospolitej w sowieckich kalkulacjach Mołotow najpierw stwierdził bez ogródek: „Polska to Anglia”, a potem jeszcze z goryczą mówił o postawie Warszawy wobec prowadzonych przed wybuchem wojny rokowań międzynarodowych.

Reasumując pierwsze wrażenia – donosił Grzybowski – określam stanowisko Sowietów jak następuje: 1) M[ołotow] nie uważa go za definitywne. Jednak w fazie obecnej będą stać w stosunku do nas na formule neutralności; 2) za podstawowe uważam niechęć Sowietów do przyczynienia się do zwycięstwa Anglii i Polski. Być może wynika to z wiary, że wyczerpanie Europy daje Sowietom państwa bałtyckie zaś zdecydowane zwycięstwo Anglii i Polski możliwość tej zdobyczy kwestionuje; 3) politycznie bezinteresowna pomoc Sowietów obecnie nie nastąpi. Mogłyby ją urealnić wyraźne szanse zwycięstwa po stronie Niemiec. W obecnej chwili

---

57. *Dokumenty wniezionej polityki SSSR*, [DWP SSSR], t. 22, kn. 2, 1 sientyabria – 31 diekabria 1939 g., s. 25-26, dok. 541, Zapis rozmowy W. Mołotowa z W. Grzybowskiem 5 IX 1939 r.

jednak Sowiety uważają niebezpieczeństwo niemieckie za nierealne i nie widzą powodu angażowania się<sup>58</sup>.

Depeszę Grzybowskiemu odebrano w MSZ 8 września o godzinie piętnastej. Zdołano wszak odszyfrować zaledwie jej fragment. Nakazano więc moskiewskiej placówce nadać ją ponownie. Nie ma pewności, kiedy spełniła ona polecenie, ani też kiedy powtórzona depesza trafiła do adresata, *nota bene* również w stanie niekompletnym<sup>59</sup>. Wiele wskazuje na to, iż telegram szyfrowy Grzybowskiemu do Becka z 8 września drukowany w przekładzie na język angielski lub francuski w tzw. *Polskiej białej księdze*, to w istocie reprodukcja wysłanej dwa dni wcześniej depeszy relacjonującej rozmowę z Mołotowem, pozbawiona kompromitujących autora konkluzji<sup>60</sup>. Zakładając prawdziwość tej hipotezy niepodobna wszak rozstrzygnąć, czy zamieszczony dokument został skompilowany ze szczątkowych depesz znajdujących się w posiadaniu odbudowanego na emigracji MSZ, czy też edytor tomu – Władysław Kulski, dysponował nieznanym historykom integralnym tekstem. Mało prawdopodobne jest jednak, aby otrzymał go od samego Grzybowskiemu<sup>61</sup>.

W swym raporcie końcowym, opublikowanym po raz pierwszy w *Polskiej białej księdze*, ambasador RP w Moskwie obszernie omówił spotkanie z szefem dyplomacji ZSSR. Warto bliżej przyrzeć się tej relacji. Grzybowski stwierdza w niej bowiem, że polecenie zbadania możliwości dostaw sowieckich wraz z listą potrzebnych materiałów otrzymał 6 września, a dwa dni później został przyjęty przez Mołotowa. Tymczasem fakt

---

58. AAN, MSZ-IH, XXV, k. 000264-000265, Telegram szyfrowy W. Grzybowskiemu do J. Becka z 6 IX 1939 r. (wysłany ponownie trafił do MSZ za pośrednictwem Poselstwa RP w Sztokholmie).

59. *Ibidem*, k. 000266-000267, Telegram szyfrowy W. Grzybowskiemu do J. Becka z 6 IX 1939 r. Do urzędującego w Brześciu n/Bugiem Becka depesze często dochodziły niekompletne wskutek przeciążenia stacji radiowej MSZ – *Polska polityka...*, s. 277.

60. *Official Documents Concerning Polish-German and Polish-Soviet Relations 1933-1939*, New York 1940, s. 188, dok. 172, W. Grzybowski do J. Becka 8 IX 1939 r.

61. J. Szembek, *Diariusz wrzesień – grudzień 1939*, oprac. B. Grzeleński, Warszawa 1989, s. 133-134; H. Batowski, *Polska dyplomacja na obczyźnie 1939-1941*, Kraków 1991, s. 132.

jego wizyty w *Narkomindel* 5 września oraz temat prowadzonej tam wówczas konwersacji potwierdzają, prócz analizowanych wyżej dokumentów, telegram Jeana Payarta – *attaché* francuskiej Ambasady w Moskwie i sprawozdanie roczne ambasadora Wielkiej Brytanii<sup>62</sup>. Z nagłówka depezy Grzybowskiego z 6 września wynika ponadto, że była ona reakcją na instrukcję zawartą w telegramie szyfrowym MSZ nr 135, wysłanym najpóźniej 3 września. Wykaz niezbędnych dla polskiej armii surowców i towarów dostarczono zapewne tą samą drogą<sup>63</sup>. Trudno wyrokować czy zmiana w raporcie realiów audiencji u Mołotowa była wynikiem pomyłki, czy świadomym zabiegiem ambasadora lub redaktora edycji. Pozostałe elementy relacji nie budzą większych kontrowersji. W jej świetle znacznie jaśniej jawi się, zarysowany w depezy z 6 września, problem renegocjowania ustalonych na 1939 r. kontyngentów<sup>64</sup>. Grzybowski zaproponował zastąpienie dostaw niektórych towarów przez inne, na przykład chemiczne, o wiele bardziej użyteczne dla prowadzącej wojnę Polski<sup>65</sup>. Gdy Mołotow odrzucił ewentualność zmiany zarówno ilości, jak i asortymentu materiałów i surowców oferowanych przez Związek Sowiecki replikował, że:

zakładając dobrą wolę, trudności wcale nie są takie duże, ponieważ po pierwsze, kontyngenty *clearingowe* zawsze mogą być uzupełnione kontyngentami kupna za gotówkę, po drugie możemy nawet ustanowić dodatkowe kontyngenty *clearingowe* na czwarty kwartał lub na następny rok i przyspieszyć dostawy.

---

62. *Documents diplomatiques français 1939 (3 septembre – 31 décembre)*, [DDF 1939], Paris 2002, s. 14-15, dok. 13, J. Payart do G. Bonnetta 6 IX 1939 r.; *British Documents on Foreign Affairs: Reports and Papers from the Foreign Office. Confidential Print, Part II, Ser. A, The Soviet Union 1917-1939*, vol. 17, London 1992, s. 415-417, W. Seeds, A. Drew, *Annual Report, Political for 1939*. Wspomniano w nim nawet o postawionym przez Mołotowa znaku równości w traktowaniu Polski i Wielkiej Brytanii.

63. AAN, MSZ-IH, XXV, k. 000266-000267. Zob. IPMS, B I 119/d, Wyciąg z listu O. Czarlińskiego do ppłk. A. Minkiewicza z 19 XI 1964 r.; *ibidem*, List ppłk. A. Minkiewicza do płk. S. Brzeszczyńskiego (?) z 19 XI 1964 r. Por. J. Pagel, *op.cit.*, s. 283.

64. Poczynione wiosną 1939 r. uzgodnienia przewidywały dostawy z ZSSR rudy żelaza, bawełny, fosforytów, futer i tytoniu – A. Skrzypek, *op.cit.*, s. 246.

65. AAN, MSZ-IH, XXV, k. 000266-000267.



Szef dyplomacji sowieckiej pozostał wszak głuchy na argumenty. Nieprzejednane stanowisko zajmował również w kwestii tranzytu. Z depechy z 6 września wynika, że akcentował jego sprzeczność z zasadą neutralności. Raczej wątpliwe, aby jak napisał w raporcie końcowym Grzybowski, powołał się na pakt o nieagresji z Niemcami<sup>66</sup>.

W wyniku decyzji podjętych w pierwszych sześciu dniach września 1939 r. przez Biuro Polityczne WKP(b) nastąpiło wydatne zwiększenie potencjału militarnego Związku Sowieckiego. Szczególnie złowrogą wymowę miało przedłużenie 3 września o miesiąc służby wojskowej 310 tys. podoficerów i żołnierzy podlegających właśnie zwolnieniu oraz ogłoszenie 6 września mobilizacji w siedmiu najdalej na zachód wysuniętych okręgach wojskowych, w wyniku której pod broń powołano blisko 2,6 mln rezerwistów<sup>67</sup>. Prasa sowiecka swoim zwyczajem poinformowała o wydanych zarządzeniach z opóźnieniem (w pierwszym przypadku dwu-, w drugim aż czterodniowym), ale niektóre przedstawicielstwa zagraniczne w ZSSR potrafiły wcześniej odczytać ich sens<sup>68</sup>. Niezłe spisały się pod tym względem zarówno polskie placówki dyplomatyczne, jak i wywiadowcze. Ich trud poszedł jednak na marne, przede wszystkim ze względu na niesprawny system łączności z MSZ oraz Oddziałem II Sztabu Naczelnego Wodza.

Pierwsze sygnały o zmianach w sowieckich siłach zbrojnych Warszawa otrzymała od ppłk. Brzeszczyńskiego 4 września wcześniej rano. Powołując się na wiarygodne źródła meldował on o przemieszczeniu na zachód części lotnictwa specjalnego przeznaczenia<sup>69</sup>. Kolejne depechy szyfrowe *attaché militaire* trafiały do adresatów grubo poniewczasie. Wiadomość o wydłużeniu służby wojskowej wysłana 6 września została odczytana dopiero tydzień później<sup>70</sup>. Trzy dni zajęło doręczenie do Amba-

---

66. *Ibidem*; DDPPZ, t. 2, Warszawa 1996, dok. 130, s. 280-281.

67. S. Dębski, *Między Berlinem a Moskwą. Stosunki niemiecko-sowieckie 1939-1941*, Warszawa 2003, s. 103-104; N. Liebediewa, *Proces podejmowania decyzji katyńskiej*, w: *Europa NIE...*, s. 1155.

68. K. Strzałka, *op.cit.*, s. 67-68; J. Tebinka, *op.cit.*, s. 61; M. Gmurczyk-Wrońska, *op.cit.*, s. 166.

69. W. Włodarkiewicz, *op.cit.*, s. 278, zał. 13, Telegram szyfrowy ppłk. S. Brzeszczyńskiego do Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza z 3 IX 1939 r.

70. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej* [PSZ], t. 1, cz. 2, Londyn 1954, s. 444.

sady RP w Bukareszcie nadanego 7 września tekstu:

Podać natychmiast do Sztabu Głównego: Sowiety częściowo mobilizują, od 7 IX włącznie. Podobno 5 roczników piechoty i artylerii. W broniach technicznych biorą specjalistów znacznie starszych, duży pobór koni artyleryjskich i piechoty oraz samochodów. Widziano transporty na zachód. Jeszcze nie ustalono ile okręgów wojennych objęła mobilizacja. Według informacji z Mińska oddziały wróciły do garnizonów i mobilizują [sic!]71.

W relacji złożonej wkrótce po opuszczeniu ZSSR ppłk Brzeszczyński przyznał, że rozpoznanie charakteru działań podjętych przez Armię Czerwoną było dziełem zupełnego przypadku:

wracając późnym wieczorem z terenu72 spotkałem na przedmieściu Moskwy dużą partię koni z tabliczkami w ogonach (76 koni) prowadzonych przez artylerzystów i cywilnych w czapkach artyleryjskich wzgl[ędnie] w tzw. „igorkach” (spiczastych hełmach sukiennych). Przypuszczaliśmy początkowo, że to próbny pobór na manewry leningradzkie, dopiero obserwacje z dnia 8 IX utwierdziły nas w przekonaniu, że to jednak mobilizacja. Po południu tego dnia był u mnie *a[ttaché]* w[ojskowy] amerykański, potwierdził moje przypuszczenia i przytoczył mi m.in. treść swej rozmowy, jaką miał poprzedniego dnia z płk. Osierowym (przedstawiciel sow[ieckiego] Sz[tabu] Gen[eralnego] dla utrzymywania stosunków z *a[ttachés]* w[ojskowymi]) gdzie ten ostatni miał wypowiedzieć się mniej-więcej takie zdanie: „ciekawe, jak by się teraz czuła Polska, gdyby z nią postąpiono tak, jak ona postąpiła w zeszłym roku z Czechosłowacją”73.

Dostępne źródła nie potwierdzają zawartej w sprawozdaniu ppłk. Brzeszczyńskiego informacji o uświadomieniu przez niego Sztabowi Naczelnego Wodza niebezpieczeństwa wkroczenia Armii Czerwonej na kresy wschodnie Rzeczypospolitej „pod pretekstem opieki nad Rusinami i Białorusinami w wypadku dalszego pogarszania się naszej sytuacji na froncie”. Scenariusz

---

71. *Ibidem*, t. 1, cz. 3, Londyn 1959, s. 19.

72. Wiele lat potem polski *attaché militaire* precyzował, że ten dzień spędził w *daczy* swego brytyjskiego kolegi – płk. R. C. Firebrace’a. Twierdził jednak, że było to nie 7, a 8 IX – S. Brzeszczyński, *W Moskwie przed 20 laty*, „Goniec Karpacki” 1959, nr 2/3, s. 29.

73. IPMS, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r.

ten wydał się polskiemu *attaché militaire* wielce prawdopodobny po wysłuchaniu, 8 września wieczorem, przemówienia ulicznego agitatora w Parku Kultury i Wypoczynku. Skojarzył je bowiem ze wzmiankami „o polskich Rusinach i Białorusinach”, na które kilka dni wcześniej natknął się w sowieckiej prasie. Dokładna data wysłania depechy szyfrowej nie została w raporcie podana, lecz z kontekstu wynika, iż mogło się to stać 9 albo 10 września<sup>74</sup>. W opublikowanych wiele lat potem na łamach emigracyjnych periodyków kolejnych (coraz bardziej bałamutnych) wersjach wspomnień z 1939 r. ppłk Brzeszczyński twierdził, że przedyskutował z Grzybowskiem swe konstatacje. Za aprobatą ambasadora zredagował także tekst telegramu zawiadamiającego „nie tylko o mobilizacji, ale i o niemal pewnym wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski”. Po zaszyfrowaniu został on 10 września wysłany do placówki RP w Bukareszcie z prośbą o doręczenie do Sztabu Naczelnego Wodza. Płk dypl. Antoni Chruściel miał zapewnić ppłk. Brzeszczyńskiego w 1948 lub 1960 r., iż jego meldunek trafił do rąk marszałka Śmigłego-Rydza jeszcze przed 17 września<sup>75</sup>. Przekaz *attaché militaire* można uznać za wiarygodny, jeśli nie oczekuje się jego zgodności ze stanowiskiem polskiego ambasadora w Moskwie.

Grzybowski powiadomił MSZ o mobilizacji w zachodnich okręgach wojskowych ZSSR dopiero po ogłoszeniu oficjalnego komunikatu. Uzasadnianie przez sowiecką prasę potrzeby wydanych zarządzeń charakterem wojny polsko-sowieckiej nie wywoływało u niego niepokoju. Upoważniało tylko do stwierdzenia,

---

74. *Ibidem*. W spisywanych po latach reminiscencjach z Moskwy ppłk Brzeszczyński podawał coraz więcej szczegółów propagandowego mityngu: „pod koniec przemówienia mówca podniesionym głosem krzyczał: «A cóż my, sowiecki naród i rząd, mamy patrzeć z założonymi rękami na cierpienia naszych braci Białorusinów i Ukraińców z winy pańskiej Polski?» Mówca nie dał wprawdzie odpowiedzi na to pytanie, ale zebrani zrozumieli je po swojemu, tj., że wojska sowieckie pójdą na pomoc Polsce! Prawie wszyscy krzyczeli: *W pachod, w pachod protiv wrednym Germancam*” – *idem*, *17 wrzesień 1939 roku w Moskwie. Wspomnienia ostatniego attaché wojskowego wolnej Polski w Moskwie*, „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernejs” 1978, nr 89, s. 2. Zob. J. Pagel, *op.cit.*, s. 279-280.

75. S. Brzeszczyński, *W Moskwie...*, s. 30; *idem*, *Twarzą w twarz z sowieckim wiarołomcą. Wspomnienia polskiego attaché wojskowego w Moskwie z 1939 r.*, cz. 2, *Niespodziewana pomoc*, „Orzeł Biały” 1980, nr 195 (1342), s. 5.

iż postępy Wehrmachtu „zaczynają niepokoić Sowiety”<sup>76</sup>. W pierwszej dekadzie września ambasador spotkał się przynajmniej z kilkoma członkami moskiewskiego korpusu dyplomatycznego, lecz nie wypłynęło to na jego zapatrywania. Optymizm Grzybowskiemu udzielił się chyba nawet reprezentantowi Wielkiej Brytanii<sup>77</sup>. Znamienne, że ani Rosso, ani Payart nie uznali za stosowne podzielić się z przedstawicielem RP trafnymi prognozami odnośnie zamiarów ZSSR wobec Polski<sup>78</sup>.

Spośród przyjaznych Polsce *attachés militaires* – zdaniem ppłk. Brzeszczyńskiego – jedynie brytyjski płk Roy C. Firebrace przewidywał agresję Armii Czerwonej. Pozostali dopatrywali się w zwiększeniu jej liczebności „aktu nieprzychylnego w stosunku do Niemiec i twierdzili, że ambasada niemiecka w Moskwie jest wyraźnie skonsternowana tą mobilizacją”<sup>79</sup>. Trudno zgadnąć, jakimi uczuciami darzył II Rzeczpospolitą reprezentujący armię włoską – płk Corrado Valfre di Bonza, który zawczasu zdołał rozpoznać sowieckie intencje. Najwyraźniej jednak nie należał on do kręgu przyjaciół ppłk. Brzeszczyńskiego<sup>80</sup>.

Według zastępcy *attaché militaire* również placówki w Kijowie, Leningradzie i Mińsku informowały o częściowej mobilizacji Armii Czerwonej<sup>81</sup>. Żaden z telegramów wysłanych ze stolicy Ukrainy do przedstawicielstw RP w Bukareszcie i Rydze nie został jednak dotąd odnaleziony<sup>82</sup>. Jedyna znana historykom depeza wyekspediowana wówczas znad Nowy zawiadamiała o poborze bliżej nieokreślonej rezerwistów (prawdopodobnie specjalistów) oraz koni artyleryjskich.

---

76. AAN, MSZ-IH, XXV, k. 000263, Telegram szyfrowy W. Grzybowskiego do MSZ z 11 IX 1939 r. (odebrany 12 IX 1939 r.). Por. DCSV, dil 1, s. 82-83, dok. 23, Z. Fierlinger do H. Ripki 7 IX 1939 r.

77. H. Batowski, *Zachód wobec granic Polski 1920-1940. Niektóre fakty mniej znane*, Łódź 1995, s. 73, 199; J. Tebinka, *op.cit.*, s. 61.

78. K. Strzałka, *op.cit.*, s. 67-68; M. Gmurczyk-Wrońska, *op.cit.*, s. 166-167. Zob. Z. Fierlinger, *op.cit.*, s. 288-289.

79. *Ibidem*. Zupełnie inaczej ppłk Brzeszczyński przedstawiał ten problem we wspomnieniach – *idem*, *W Moskwie...*, s. 30; *idem*, *17 wrzesień...*, s. 2-3; *idem*, *Twarzą...*, s. 5.

80. K. Strzałka, *op.cit.*, s. 67.

81. *Ibidem*, Mjr S. Malecińskiego do Biura Rejestracyjnego MSWojsk. 9 I 1940 r.

82. Z Kijowa we IX 1939 r. nie nadawano depez do Polski – M. Z. Rygor-Słowikowski, *op.cit.*, s. 8.

Przesunięć oddziałów – donosił kpt. Rutkowski – nie zaobserwowałem. Na linii kol[ejowej] Moskwa-Leningrad i Mińsk-Leningrad do dn[ia] 6 IX żadnych transportów wojskowych nie było. Poza tym spokój<sup>83</sup>.

Nie wiadomo z kolei, kiedy mjr Protassowicki nadał telegram, który Oddział II Sztabu Naczelnego Wodza otrzymał 13 września:

Potwierdzam na podstawie obserwacji własnych, że na obszarze mińskim spokój. Transportów wojskowych w kierunku do granicy lub odwrotnie nie ma<sup>84</sup>.

Szef mińskiej placówki wywiadu utrzymywał, iż pomiędzy 7 a 16 września stale meldował o przebiegu i postępach mobilizacji, a także o rozpoczęciu transportów koncentracyjnych i ruchach wojsk ku granicy. Depesze szyfrowe kierował bezpośrednio do Warszawy, a gdy stało się to niemożliwe, do Ambasady RP w Rumunii. Wielokrotnie podejmowane próby nawiązania łączności radiowej kończyły się bowiem zawsze niepowodzeniem<sup>85</sup>.

Poglądy Grzybowskiemu odpowiadały nastrojom panującym wciąż na najwyższych szczeblach Wojska Polskiego. W decyzjach Kremla widziano tam „pewnego rodzaju zabezpieczenie się Sowieców nad granicą, ale nie jako koncentrację wojsk sowieckich do akcji na Polskę”<sup>86</sup>. Zapewne i tym razem inspiracja do

---

83. PSZ, t. 1, cz. 2, Londyn 1954, s. 444. Nadaną 8 IX depeszę szyfrową odebrano 13 IX.

84. *Ibidem*, t. 1, cz. 3, Londyn 1959, s. 19.

85. IPMS, B I 6/h, dok. 3. W relacji mjr Protassowickiego nie ma nawet wzmianki o wezwaniach „Towarzysz Rydz-Smigłyj wpięro” rzekomo bezwzględnie nadawanych przez Radio Mińsk – W. Grzybowski, *Byłem świadkiem*, „Syrena” z 17 IX 1949 r. Zob. S. Dębski, *op.cit.*, s. 95-96.

86. IPMS, B I 6/i, dok. 6, k. 83-108, Płk M. Smoleński do płk. I. Modelskiego 1 XI 1939 r. Por. W. Stachiewicz, *Pisma*, t. 2, „Zeszyty Historyczne” 1979, z. 50, s. 193; *Wspomnienia gen. Czesława Jarnuszkiewicza. Od Sybiru do Łubianki*, Warszawa 1996, s. 157. Szczyt absurdu osiągnął 8 IX gen. Sosnkowski pytając Becka, czy w razie przegranej kampanii „Sowiety nie przepuściłyby wojsk polskich z bronią aby mogły one kontynuować walkę u boku sojuszników”. Beck kategorycznie wykluczył taką ewentualność – J. Kirszak, *Notatki generała Kazimierza Sosnkowskiego z kampanii wrześniowej 1939 r.*, „Niepodległość” 2007, t. 37 (po wznowieniu), s. 173-174.

sformułowania tak brzemiennej w skutki opinii wyszła z MSZ. Jak ocenia ją większość specjalizujących się w problematyce sowieckiej oficerów wywiadu, nie byli ciekawi ani ich bezpośredni przełożony – płk dypl. Marian Smoleński, ani Szef Sztabu Naczelnego Wodza – gen. bryg Waław Stachiewicz. Przydział wojskowych sowietologów do II rzutu Sztabu Naczelnego Wodza ograniczył zresztą ich pole obserwacji do minimum<sup>87</sup>. Kpt. Niezbrzycki gdy 6 września zażądano od niego uzasadnienia opinii o nieuchronności agresji sowieckiej, mógł jedynie oświadczyć:

W ustroju autorytatywnym, jak rosyjski, gdzie decyzja zależy od woli jednego człowieka, dowodów znaleźć się nie da. Pracuję nad Rosją 16 lat i znajomość jej oraz ludzi nią kierujących, ich metod działania, skłania mnie do wyprowadzenia podobnej tezy. Rosja wystąpi.

Gen. Stachiewicz w pierwszym odruchu zgodził się z prognozą, lecz następnego dnia całkowicie ją zdezawuował<sup>88</sup>.

Szef Sztabu Naczelnego Wodza nie był jedynym, który chciał wierzyć w pokojowe nastawienie ZSSR do Polski. W strukturach odpowiedzialnych za zaopatrzenie wojska w surowce strategiczne 8 września powstał projekt skierowania do Moskwy misji specjalnej, mającej za zadanie pozyskanie potrzebnych materiałów oraz zapewnienie tranzytu przez terytorium sowieckie dostaw z innych krajów. Za najbardziej odpowiedniego kandydata na jej szefa uznano ppłk. dypl. Jana Kowalewskiego, który w latach 1928-1932 był *attaché militaire* w Moskwie, a wówczas pełnił funkcję dyrektora Towarzystwa Importu Surowców Hutniczych oraz Metali Nieżelaznych SA (TISSA). Jeszcze tego samego dnia zwrócił się on do Szembeka z prośbą o pomoc w uzyskaniu wiz sowieckich. Gdy ten przypomniał o ogłoszeniu przez Kreml neutralności wobec konfliktu polsko-niemieckiego

---

87. R. Szawłowski, *Polski wywiad we wrześniu 1939 r.*, „Arcana” nr 32, s. 123; Zob. *idem*, *Wywiad...*, s. 913-914; W. Włodarkiewicz, *op.cit.*, s. 243-249.

88. W. Bączkowski, *Jerzy Niezbrzycki (R. Wraga) 1902-1968*, „Niepodległość” 1990, t. 23 (po wznowieniu), s. 120. Cytat pochodzi ze wspomnień Szefa Propagandy w Sztabie Naczelnego Wodza – ppłk. dypl. R. Umiaszowskiego.

upierał się, że misję powinno się wysłać:

choćby pod pretekstem nabycia materiałów sanitarnych. Raz na miejscu misja ta może będzie mogła się rozejrzeć w sytuacji i obejść surowe przepisy neutralności<sup>89</sup>.

Nazajutrz w tej samej sprawie ppłk Kowalewski oraz płk Sokołowski ze Spółki Akcyjnej Sepewe – Eksport Wyrobów Polskiego Przemysłu interweniowali u Mirosława Arciszewskiego, pełniącego w MSZ obowiązki podsekretarza stanu. Pod presją chwili, bez konsultacji z Beckiem lub Szembekiem, zwrócił się on do Nikołaja Szaronowa o wydanie reprezentantom obydwu instytucji wiz wjazdowych<sup>90</sup>. Sowiecki dyplomata nie był wszak władny samodzielnie o tym zdecydować. Oświadczył tylko, że natychmiast wystąpi do przełożonych o instrukcję. Arciszewski zadbał, aby jego depeza została wyekspediowana do Moskwy bez zwłoki<sup>91</sup>.

Szaronow twierdził, iż żadnego z trzech telegramów z *Narkomindiel* jakie otrzymał w ciągu następnych dwóch dni za pośrednictwem urzędu pocztowego w Krzemieńcu, nie zdołał odszyfrować<sup>92</sup>. W świetle dostępnych źródeł niepodobna ani potwierdzić, ani też zaprzeczyć prawdziwości tej deklaracji. Treści depezy dotąd nie ujawniono, można więc tylko spekulować, w jakiej mierze wpłynęły one na postępowanie sowieckiego ambasadora. W każdym razie domagając się od MSZ 10 września rano wiz wjazdowych dla siebie, rodziny i *attaché militaire* Szaronow uzasadniał to brakiem kontaktu z własnym rządem. Zapowiadał, że wkrótce po przekroczeniu granicy porozumie się z Moskwą telefonicznie, po czym wróci do Polski.

---

89. Szembek nie znał wtedy jeszcze raportu Grzybowskiego z odbytej 5 IX rozmowy z Mołotowem – J. Szembek, *op.cit.*, s. 34; J. Kowalewski, *Cykl rumuński*, „Zeszyty Historyczne” 1964, z. 6, s. 123.

90. Z relacji nie wynika jasno, kto towarzyszyć miał ppłk. Kowalewskiemu w podróży do ZSSR. On sam wskazywał tylko mjr. K. Zarębskiego. Natomiast Szembek wymieniał oprócz niego mjr. Ślusarczyka i J. Weyersa – J. Kowalewski, *op.cit.*, s. 123; J. Szembek, *op.cit.*, s. 37, 43.

91. IPMS, A 11.49/CZ/3/1, Protokół przesłuchania M. Arciszewskiego 4 III 1941 r. Por. J. Szembek, *op.cit.*, s. 37.

92. J. Szembek, *op.cit.*, s. 43, Notatka z rozmowy z N. Szaronowem 11 IX 1939 r. Por. S. Zabięło, *Na posterunku we Francji*, Warszawa 1967, s. 14.

Jeśli zaś zostanie wezwany do *Narkomindiel* przybędzie dopiero za tydzień. Zastaniając się brakiem instrukcji stanowczo odmówił wydania wizy ppłk. Kowalewskiemu, uznanemu ongiś w ZSSR za *persona non grata*. Natomiast przyznał ją „na własną odpowiedzialność” radcy MSZ Józefowi Weyersowi oraz mjr. Kazimierzowi Zarębskiemu. Nie kwestionował przy tym zasadności ich misji. Przeciwnie, starał się wręcz podsycać nadzieje na zakup w Związku Sowieckim materiałów sanitarnych. Ze swej strony obiecywał podjęcie starań o przyznanie pewnych ułatwień aprowizacyjnych zgrupowanym w Krzemieńcu członkom korpusu dyplomatycznego<sup>93</sup>.

Z diariusza Szembeka nie wynika wcale, aby decyzja sowieckiego ambasadora wywarła na nim szczególne wrażenie. Drymmer utrzymywał wszak, że informując go o niej ze zdenerwowania:

początkowo nie mógł nawet mówić, drgała mu twarz i szczęki. Wreszcie wyrzucił z siebie: – „Szaronow zażądał swego paszportu. Wyjeżdża ze swym radcą do Moskwy, rzekomo w sprawie dostarczenia nam uzbrojenia. Oczywiście to pretekst. Nie wierzę im”.

Zgoła odmiennie reagował Tadeusz Kobyłański – wicedyrektor Departamentu Polityczno-Ekonomicznego i zarazem nacelnik Wydziału Wschodniego MSZ. Drymmer nie podzielał jego spokoju<sup>94</sup>.

Szef dyplomacji polskiej miał spotkać się z Szaronowem 11 września wieczorem. Zgodził się jednak w końcu przyjąć go na półgodzinną konferencję tuż przed południem. Z relacji Becka nie wynika jasno, czego dowiedział się on bezpośrednio od sowieckiego dyplomaty, czego natomiast od Szembeka lub Noëla, z którymi rozmawiał kilka godzin później. Obydwaj nie omieszkali przecież poinformować go o swych rozmowach z sowieckim ambasadorem<sup>95</sup>. Wydaje się jednak, iż żaden z przekazów nie

---

93. J. Szembek, *op.cit.*, s. 39, 43. Zob. L. Noël, *Agresja niemiecka na Polskę*, Warszawa 1966, s. 414; DDF 1939, s. 89, dok. 56, L. Noël do G. Bonneta 13 IX 1939 r.; P. Starzeński, *Trzy lata z Beckiem*, Warszawa 1991, s. 148.

94. W. T. Drymmer, *Wspomnienia (Dokończenie)*, „Zeszyty Historyczne” 1975, z. 31, s. 57.

95. IJP-NJ, Zespół J. Weinsteina, t. 34/3.



wniósł nowych elementów do kultywowanego przez ministra obrazu sytuacji. Szaronow jak zwykle bardzo optymistycznie oceniał szanse na poszerzenie asortymentu sowieckich dostaw dla Polski. Z rezerwą odniósł się tylko do podniesionego przez ministra problemu importu z ZSSR materiałów pędnych. Pogłosek o spodziewanym zatrzymaniu ofensywy Wehrmachtu na linii San-Wisła-Bug nie zdementował. Zapewnił jednak, że „sąsiedztwo państw totalnych jest bardzo niemiłe dla Sowietów, które wolą mieć Polskę za sąsiada”<sup>96</sup>.

Noël próbował przekonać Becka, jak poważne niebezpieczeństwo grozi Polsce ze strony ZSSR. Szaronow nie ukrywał bowiem przed nim, że uważa mieszkańców kresów wschodnich II Rzeczypospolitej za swoich rodaków<sup>97</sup>. Korespondowało to z doniesieniami Payarta o ewentualności wzniesienia przez bolszewickich agentów rozruchów ukraińskich w Galicji Wschodniej, które posłużyłyby Moskwie za pretekst do zbrojnej interwencji. Chociaż minister stanowczo nie podzielał obaw francuskich dyplomatów, powiadomił o nich jednak w raporcie Naczelnego Wodza. Przekazał mu również informacje uzyskane od ambasadora Turcji – Taraya Cemala Hüsnü<sup>98</sup>. Nie wiadomo, w

---

96. J. Szembek, *op.cit.*, s. 44, J. Beck do marsz. E. Śmigłego-Rydza 11 IX 1939 r.; *Polska polityka...*, s. 283. Zob. P. Starzeński, *op.cit.*, s. 154; L. Łubieński, *Dziennik wrzesień – grudzień 1939*, w: *Przed Wrześniem i po Wrześniu. Ze wspomnień młodych dyplomatów II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1998, s. 80.

97. DDF 1939, s. 58-59, dok. 40, L. Noël do G. Bonneta 11 IX 1939 r. W rozmowie z ambasadorem Francji W. Potiomkin przejawiał z troską o losy rządu RP – *ibidem*, s. 62, dok. 44, J. Payart do G. Bonneta 11 IX 1939 r. Por. L. Noël, *op.cit.*, s. 412. Wobec ambasadora USA Szaronow z kolei utrzymywał, że bierze pod uwagę proklamowanie państwowości ukraińskiej po zajęciu przez Niemców Lwowa – A. J. Drexel Biddle, *Poland and the coming of the Second World War*, Columbus 1976, s. 128. Przedstawiciel Szwecji odnotował 10 IX informacje o nakłanianiu ludności wschodnich kresów RP do rewolty przez niemieckich agentów. Wiedział też, że pesymistycznie nastawieni członkowie korpusu dyplomatycznego, „a tych można znaleźć wśród sympatyków Niemiec, Bułgarów, Węgrów, Łotyszy i in. – szepcą o rosyjskich planach agresji na podstawie tajnej umowy niemiecko-rosyjskiej. Japończycy mówią o marszu rosyjskich wojsk z Mińska na zachód” – *«Raporty» posła szwedzkiego w Warszawie Joena Lagerberga z września 1939 roku*, oprac. P. Jaworski, „Dzieje Najnowsze” 2006, nr 2, s. 110.

98. J. Szembek, *op.cit.*, s. 44; *Polska polityka...*, s. 283-284.

jakiej mierze dotyczyły one zamiarów Kremla. Niepodobna wszak wykluczyć możliwości udostępnienia Beckowi depeszy szyfrowej ostrzegającej przed mającą wkrótce nastąpić agresją Armii Czerwonej. Jej treść, za sprawą tłumacza tureckiej ambasady, znał podobno Zabiełło. Nie wiadomo, czy wyjawiał ją któremuś z przełożonych<sup>99</sup>. Wszelako gdy Szembek poprosił go 12 września o ocenę stanowiska ZSSR, nie wahał się stwierdzić:

Sowiety niewątpliwie pchały do wojny z jednoczesnym zamiarem pozostania na uboczu i skorzystania dopiero z osłabienia państw wojujących, by przystąpić na serio do z bolszewizowania Europy. Klęska jednej ze stron może ich oczywiście pobudzić do przyłączenia się do drugiej strony. Kto wie, czy na wypadek naszych niepowodzeń nie powiedzą sobie, że jest lepiej na nas uderzyć i za jednym zamachem załatwić sobie kwestię białoruską i ukraińską.

Podzielił także pogląd Szembeka, „że to wszystko wygląda nad wyraz niepokojąco”<sup>100</sup>.

Nie przesadzając, czy Turcja faktycznie uprzedziła swego reprezentanta w Polsce o planowanej akcji sowieckiej należy zwrócić uwagę na charakter opinii formułowanych przez jej urzędników wobec przedstawicieli Rzeczypospolitej. Sekretarz generalny resortu spraw zagranicznych – Numen Menemençoglu rozmawiając 8 września z ambasadorem RP w Ankarze – Michałem Sokolnickim wątpił, aby Armia Czerwona była zdolna do działań ofensywnych poza własnym terytorium<sup>101</sup>. Zapoznawszy się z poglądami tureckich kręgów wojskowych polski dyplomata następnego dnia doszedł do przekonania, iż:

Według sfer tutejszych ZSRR przez pakt moskiewski przyspieszył wybuch wojny, lecz sam pozostanie w oczekiwaniu i nie weźmie udziału w obecnej fazie wojny, jednocześnie zaś rad za pośrednictwem Turcji utrzymać kontakt z mocarstwami zachodnimi<sup>102</sup>.

Z kolei ambasador RP w Moskwie 14 września informował MSZ:

---

99. S. Zabiełło, *Na posterunku...*, s. 15.

100. J. Szembek, *op.cit.*, s. 48.

101. M. Sokolnicki, *Dziennik ankarcki 1939-1943*, Londyn 1965, s. 22.

102. AAN, MSZ-IH, VIII, k. 0001111, Telegram szyfrowy M. Sokolnickiego do MSZ z 9 IX 1939 r. (wtedy też odebrany).

Ambasada turecka sądzi, że mobilizacja tutejsza jest wyrazem nieufności do Niemców i środkiem ostrożności. Rezerwa Sowietów kończy się z chwilą skonsolidowania frontu wschodniego i zachodniego i od tej chwili Sowiety zaczną udzielać pomocy Polsce. Miałem wrażenie, że ambasador przyjechał specjalnie, aby mi to zakomunikować<sup>103</sup>.

W depezy, jaką Beck skierował do Grzybowskiemu 11 września o groźbie agresji sowieckiej, nie było wcale mowy. Minister poinstruował tylko ambasadora, iż:

Szaronow wyjechał rzekomo dla kontaktu ze swym rządem. W rozmowach z dyplomatami insynuował, że Niemcy nie zamierzają posunąć się poza linię Wisły i Sanu, tworząc na terenie okupowanym nowy protektorat. Mobilizację sowiecką bagatelizował, nie uzasadniając dostatecznie jej celu. Napomknął, że Sowiety nie chcą graniczyć z państwem totalnym. Proszę o utrzymanie najczęstszego życzliwego kontaktu z Mołotowem, któremu proszę dodać, że oceniamy obiektywnie stanowisko prasy sowieckiej wobec toczących się w Polsce walk<sup>104</sup>.

Jeśli adresat w ogóle otrzymał telegram, to nie wcześniej niż 14 września. Poprzedniego dnia depeszował wszak MSZ: „Rząd tutejszy stracił kontakt z Szaronowem. Prosi o informacje gdzie on jest”<sup>105</sup>. W nadanej tuż przed północą 16 września odpowiedzi Szembek wyjaśnił, że ambasador od czterech dni przebywa na terytorium ZSSR. „Proszę sprawdzić – polecał – kiedy wraca. Przed wyjazdem rozmawiał w tonie przyjaznym”<sup>106</sup>.

Rzeczywiście Szaronow po spotkaniu z Beckiem wyruszył wraz z rodziną i *attaché militaire* w kierunku granicy. Spotkało się to z dezaprobatą korpusu dyplomatycznego. Niektórzy jego członkowie demonstrowali wręcz brak wiary w szczerść

---

103. *Ibidem*, MSZ-IH, XXV, k. 000257, Telegram szyfrowy nr 113 W. Grzybowskiemu do MSZ z 14 IX 1939 r. (otrzymany za pośrednictwem Ambasady RP w Bukareszcie 16 IX 1939 r.).

104. AAN, MSZ-IH, XXVI, k. 000273-000274, Telegram szyfrowy J. Becka do Ambasady RP w Moskwie 11 IX 1939 r. (wyekspediowana 12 IX 1939 r.).

105. *Ibidem*, MSZ-IH, XXV, k. 000261, Telegram szyfrowy nr 108 W. Grzybowskiemu do MSZ z 13 IX 1939 r. (odebrany 16 IX 1939 r.).

106. *Ibidem*, MSZ-IH, XXVI, k. 000271, Telegram szyfrowy J. Szembeka do Ambasady RP w Moskwie z 16 IX 1939 r.

złożonych przez sowieckiego ambasadora deklaracji. Na miejscu pozostał radca przedstawicielstwa ZSSR – Borys Lebejkin w charakterze *chargé d'affaires ad interim*<sup>107</sup>.

Dopiero 12 września Beck spotkał się z ppłk. Kowalewskim, któremu Naczelny Wódz rozkazał zasięgnąć opinii ministra:

czy nie uważa, że nastąpił moment, aby zwrócić się do Moskwy z zapytaniem, jakie zamierza zająć stanowisko w obliczu wytworzonej obecnie sytuacji wojennej<sup>108</sup>.

Nie znamy szczegółów tej rozmowy. Wszelako jeszcze tego samego dnia w ślad za Szaronowem podążył mjr Zarębski. Szembek telegraficznie uprzedził Ambasadę RP w Moskwie, że przybędzie on „dla rozmów pod pretekstem materiału sanitarnego”. Niebawem w identyczny sposób dostarczono placówce stosowne zapotrzebowanie<sup>109</sup>. Nie wiadomo, jakie pozycje w nim figurowały. Nieznane pozostają też szczegóły instrukcji otrzymanej przez mjr. Zarębskiego. Relacja złożona przezeń ćwierć wieku potem nie pozwala na jednoznaczne stwierdzenie, czy zabiegać miał on również o dostawy amunicji, czy tylko o jej tranzyt. Wynika z niej natomiast, że ostatecznym celem jego misji nie była wcale Moskwa, lecz Sztokholm. Podróż koleją do Kijowa zajęła mjr. Zarębskiemu przynajmniej jeden dzień. W dalszą drogę wyruszyć mógł však dopiero wieczorem 15 września.

---

107. Dyplomaci, którzy kontaktowali się wówczas z Szaronowem, nie byli zgodni, kiedy opuścił on Krzemieniec: 11 czy 12 IX – J. Szembek, *op.cit.*, s. 47; A. J. Drexel Biddle, *op.cit.*, s. 132-133; S. Zabiello, *Na posterunku...*, s. 14; W. T. Drymmer, *Wspomnienia (Dokończenie)*, s. 57; DCŠV, dıl 1, s. 84-85, dok. 24, J. Slávik do E. Beneša 12 IX 1939 r.; J. Meysztowicz, *Czas przeszły dokonany. Wspomnienia ze służby w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w latach 1932-1939*, Kraków 1984, s. 285. Zob. E. Jekabson, *Poselstwo Łotwy w Polsce we wrześniu 1939 roku*, „Przegląd Nauk Historycznych” 2005, z. 1, s. 123-127.

108. PSZ, t. 1, cz. 3, Londyn 1959, s. 569; IJP-NJ, Zespół J. Weinsteina, t. 34/3. Oficer do zleceń Sztabu Naczelnego Wodza odnotował w swym dzienniku, że marszałek Śmigły-Rydz stale pytał Becka o postawę Moskwy. „Nasze MSZ do ostatniej chwili zapewniało neutralne stanowisko bolszewików” – Z. Wenda, *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia*, cz. 1, „Zeszyty Historyczne” 1991, z. 98, s. 170.

109. AAN, MSZ-IH, XXVI, k. 000278, Telegram szyfrowy J. Szembeka do Ambasady RP w Moskwie z 9 IX 1939 r. (wysłany 11 IX 1939 r.); IPMS, B I 119/d, Wyciąg z listu O. Czarlińskiego do ppłk. A. Minkiewicza z 19 XI 1964 r.; PSZ, t. 1, cz. 3, s. 543.

Zgodnie z rozkładem jazdy w sowieckiej stolicy zjawić się miał półtorej doby później<sup>110</sup>.

Nie wydaje się, aby dalsza postawa ZSSR wobec konfliktu polsko-niemieckiego w większym stopniu absorbowwała uwagę uczestników konferencji najwyższych czynników cywilnych i wojskowych zwołanej w trybie nagłym 12 września w Ołyce przez Ignacego Mościckiego. Wzmiankując o niej Beck ubolewał wszak, iż podjęte przez niego próby osadzenia dyskusji w kontekście międzynarodowym nie spotkały się ze zrozumieniem ani prezydenta RP, ani Naczelnego Wodza<sup>111</sup>. Szef polskiej dyplomacji nie spodziewał się zasadniczego zwrotu sytuacji. Kilka godzin wcześniej oświadczył ppłk. Kowalewskiemu, że na razie nie liczy na wystąpienie Sowietów przeciwko III Rzeszy. Sprawy tej zresztą „zbyt gwałtownie nie można poruszać, a trzeba ją przygotować”<sup>112</sup>. Innych scenariuszy nie brał wciąż pod uwagę. W sprawozdaniu czwartego uczestnika narady – Sławoja Felicjana Składkowskiego odnaleźć można wprawdzie sformułowania świadczące o zaniepokojeniu zarówno mobilizacją, jak i translokacją Armii Czerwonej, ale ich autentyczność budzi poważne wątpliwości. *Dziennik* z ostatniego miesiąca urzędowania premier spisał bowiem dopiero latem 1943 r., znając konsekwencje obydwu decyzji władz sowieckich. Korzystał zresztą nie tylko z własnych notatek, lecz także z relacji innych osób<sup>113</sup>. Najwyraźniej dysponował również *Polską białą księgą*, za którą przytoczył treść rozmów Grzybowskiego i Szembeka z sowieckimi dyplomatami. Dołączył do nich fantastyczną informację o odrzuceniu przez Moskwę propozycji zakupu kompanii średnich czołgów, „za które chcieliśmy im zapłacić złotem”<sup>114</sup>.

---

110. *Ibidem*, List ppłk. K. Zarębskiego do ppłk. A. Minkiewicza z 13 I 1964 r.

111. *Polska polityka...*, s. 286.

112. Dyrektor TISSA nie sądził, aby „ZSRR zgodził się na dostawy broni i amunicji bez szerszej po temu podstawy politycznej” – PSZ, t. 1, cz. 3, s. 571, Meldunek ppłk. J. Kowalewskiego do gen. T. Malinowskiego z 13 IX 1939 r. O rachubach czynionych w Sztapie Naczelnego Wodza świadczy meldunek gen. T. Malinowskiego do ministra spraw wojskowych – gen. T. Kasprzyckiego – PSZ, t. 1, cz. 3, s. 543.

113. S. Składkowski, *Honorarium autorskie*, w: *idem*, *Nie ostatnie słowo oskarżonego. Wspomnienia i artykuły*, Londyn 1964, s. 453-454.

114. S. Składkowski, *Prace i czynności Rządu Polskiego we wrześniu*

Nie dysponujemy, niestety, żadnymi przekazami dotyczącymi położenia placówek konsularnych RP w Mińsku i Leningradzie w pierwszej połowie września 1939 r. Warunki funkcjonowania kijowskiego Konsulatu Generalnego znalazły odzwierciedlenie tylko w pamiętniku mjr. Słowikowskiego („Eugeniusza Zarębskiego”). Według niego kontakt ze światem zapewniały wówczas jedynie zagraniczne stacje radiowe:

Ludność Kijowa, jak i miejscowa prasa, nie orientowała się zupełnie w sytuacji. Występowała przeciwko faszystowskiej napaści na nasz kraj. Miasto było zaciemniane, przygotowana została obrona przeciwlotnicza. Wyglądało to tak, jakby spodziewano się ataku niemieckich faszystów<sup>115</sup>.

Na podstawie własnych obserwacji mjr Słowikowski zaczął podejrzewać, iż zarządzono mobilizację kijowskiego okręgu wojskowego. W przekonaniu tym utwierdził go zakaz korzystania przez personel przedstawicielstwa RP z samochodów poza granicami Kijowa wydany 10 września. Udując się dwa dni później, jako kurier, koleją do Moskwy mógł dodatkowo skonstatować wzmożony ruch pociągów. Gdy 14 września na powrót stawił się w stolicy Ukrainy okazało się, że poczta nie przyjmuje już telegramów do Polski i trzeba je ekspediować do placówek RP w Bukareszcie lub Rydze. Sytuacja wyglądała na tyle poważnie, że mjr Słowikowski, po radzie z radcą Matysińskim, uznał za konieczne nawiązanie bezpośredniego kontaktu z władzami polskimi. W podróży towarzyszyć miał mu praktykant konsularny – Henryk Słowikowski. Wskutek celowej opieszalności działania kijowskiej ekspozytury *Narkomindiel* wyjazd doszedł do skutku:

dopiero 16 września o godz. 0<sup>15</sup> w nocy i to linią kolejową północną, na Korosteń. Jadąc nocą, widzieliśmy stojące na stacjach

---

1939 roku, w: *idem, Nie ostatnie...*, s. 293-294. W dzienniku wicepremiera i ministra skarbu za okres 1-16 IX 1939 r. zaledwie dwa zapisy dotyczą problematyki sowieckiej. 13 IX zanotował on: „Informacja premiera o niewyraźnej sytuacji w Rosji. Mobilizacja. Nie dopuszczają do zakupów dla nas”. Nazajutrz powtórzył pierwszą informację – E. Kwiatkowski, *op.cit.*, s. 111-112. Pomiędzy 13 a 16 IX podsekretarz stanu w MSZ nie poczynił w swym diariuszu na temat ZSSR żadnych notatek – J. Szembek, *op.cit.*, s. 50-56.

115. M. Z. Rygor-Słowikowski, *op.cit.*, s. 7.

kolejowych pociągi z wojskiem, skierowane w stronę naszej granicy. Zorientowaliśmy się, że koncentracja armii, która czekała tylko na rozkaz rozpoczęcia akcji, była już zakończona<sup>116</sup>.

Wieczorem 16 września pracownicy kijowskiego Konsulatu dotarli do Równego. Nie odnalazszy tam nikogo, kto mógłby odebrać raport o sytuacji w ZSSR, udali się do pobliskiego węzła kolejowego – Zdołbunów, z zamiarem powrotu do Kijowa. Rankiem następnego dnia dowiedzieli się o agresji sowieckiej.

W swym pamiętniku mjr. Słowikowski utrzymywał, że ambasador RP w Moskwie 12 września podzielał jego pogląd, iż mobilizacja Armii Czerwonej służy przygotowaniu uzgodnionego z III Rzeszą ataku na Polskę. Postawione zaś przez niego twierdzenie o nieuchronności konfliktu niemiecko-sowieckiego skomentować miał natomiast słowami: „Bardzo możliwe, ale na to trzeba będzie poczekać”<sup>117</sup>. Relacja nie koresponduje jednak z zachowanymi dokumentami. 14 września Grzybowski donosił bowiem szefowi dyplomacji polskiej:

Przeprowadzona przez Sowiety częściowa mobilizacja wywołała na razie zaburzenie aparatu gospodarczego i transportowego i pewną panikę wśród ludności. Wygląda, że jest ona punktem wyjścia do większej gry politycznej ze strony Sowietów. Jak informują ze źródeł neutralnych mobilizacja wywołała zdziwienie i dezorientację w ambasadzie niemieckiej<sup>118</sup>.

Ambasador liczył się wszak z ewentualnością zastosowania przez Kreml polityki szantażu. Według niego do identycznych wniosków doszedł Payart, który nie zgadzał się z opinią francuskiego *attaché militaire* – gen. Augusta Pallasse o gotowości udzielania przez Armię Czerwoną pomocy Polsce pod warunkiem zezwolenia jej na prowadzenie operacji na terenie Wileńszczyzny i Łotwy<sup>119</sup>. Uważając Niemcy za niezdolne do zaspokojenia potrzeb

---

116. *Ibidem*, s. 8.

117. *Ibidem*. s. 8-9.

118. AAN, MSZ-IH, XXV, k. 000259, Telegram szyfrowy nr 110 W. Grzybowski do MSZ z 14 IX 1939 r. (odebrany 16 IX 1939 r.). Por. J. Pagel, *op.cit.*, s. 282.

119. Grzybowski nie był świadom, że Payart uważał wówczas zbrojną interwencję sowiecką w Polsce za przesadzoną i sugerował swemu rządowi, aby nie reagował na nią pochopnie – M. Gmurczyk-Wrońska, *op.cit.*, s. 167-168. Dalszy rozwój wypadków trafnie przewidywał także Rosso – K. Strzałka, *op.cit.*, s. 71.

sowieckiego importu polski dyplomata dopuszczał możliwość kooperacji ZSSR z aliantami, choć oczywiście nie bezinteresowną.

Osobiście skłonny jestem przypuszczać – pisał – że będą dążyć do kompensaty politycznej na Bałtyku, jednak nie wykluczam, że kompensaty gospodarcze mogą sprawę ułatwić.

Wpływ na rozumowanie Grzybowskiemu miały zapewne informacje o sondowaniu przez Seedsa za pośrednictwem Zdenka Fierlingera – byłego posła CSR w ZSSR, sowieckiego stanowiska odnośnie zaopatrzenia Wojska Polskiego w broń oraz materiały wojenne<sup>120</sup>. W ambasadzie Wielkiej Brytanii nie ukrywano przy tym, że:

w zagadnieniu obrotu handlowego Anglicy posiadają poważne środki presji na Sowiety i zamierzają je wyzyskać w całej rozciągłości, włącznie do wypowiedzenia umowy handlowej<sup>121</sup>.

Fierlinger nie wyobrażał sobie jednak, aby Kreml w imię pomocy Polsce gotów był zrezygnować z polityki ścisłej neutralności. Spodziewał się tego natomiast po wybuchu w Niemczech rewolucji<sup>122</sup>.

Demonstrujący niezrozumiały dla Seedsa optymizm Grzybowski z pewnością nie zdawał sobie sprawy, że brytyjski ambasador najpóźniej 15 września dołączył do licznych już w Moskwie grona dyplomatów spodziewających się lada dzień ataku Armii Czerwonej na Polskę<sup>123</sup>. Sam przypuszczalnie nadal nie brał pod uwagę takiego rozwoju wypadków. Niepokoїła go wszakże zmiana sposobu relacjonowania przez prasę sowiecką konfliktu polsko-niemieckiego. Ton lakonicznych z początku doniesień stawał się coraz bardziej niechętny II Rzeczypospolitej, zaczęły pojawiać się również tendencyjne komentarze<sup>124</sup>.

---

120. AAN, MSZ-IH, XXV, k. 000259.

121. *Ibidem*, MSZ-IH, XXV, k. 000255, Telegram szyfrowy nr 115 W. Grzybowskiemu do MSZ z 14 IX 1939 r. (odebrany 16 IX 1939 r.). Zob. J. Tebinka, *op.cit.*, s. 60.

122. *Ibidem*, MSZ-IH, XXV, k. 000256, Telegram szyfrowy nr 114 W. Grzybowskiemu do MSZ z 14 IX 1939 r. (odebrany 16 IX 1939 r.).

123. J. Tebinka, *op.cit.*, s. 62; H. Batowski, *Zachód...*, s.73, 199.

124. IPMS, B I 119/d, Mjr S. Maleciński do Biura Rejestracyjnego MSWojsk. 9 I 1940 r.; J. Pagel, *op.cit.*, s. 275-279, 288.



Prasa tutejsza – raportował ambasador RP – podaje rzekomo z Berlina o powstaniu w Małopolsce Wschodniej i rozruchach Białorusinów, dążących do stworzenia samodzielnej republiki. Przypisują pewną wagę tej informacji, bo była ona szerzona rezerwistom w Moskwie kilka dni temu<sup>125</sup>.

Gdy zaś 14 września na łamach „Prawdy” ukazał się artykuł tłumaczący nieuchronną klęskę Polski nie tylko przewagą militarną Niemiec, lecz składem etnicznym Rzeczypospolitej i z gruntu błędną polityką narodowościową jej sfer rządzących uznał, że jest to „przygotowanie gruntu do ewentualnej decyzji”. Nie omieszkął również zapoznać MSZ z treścią wydanego dwa dni wcześniej przez TASS oficjalnego komunikatu o pogwałceniu sowieckiej granicy przez cztery samoloty polskie, które wylądowały na terytorium ZSSR<sup>126</sup>.

Nic nie wskazuje na to, aby w dniach 15 i 16 września Ambasada RP w Moskwie próbowała nawiązać telegraficzny kontakt z kierownictwem resortu spraw zagranicznych. O panujących w nim nastrojach dobitnie świadczy instrukcja szefa dyplomacji polskiej dla Grzybowskiemu, wyekspediowana tuż przed północą 16 września:

Na dotychczasowe zapytania w sprawie zakupów w Rosji otrzymaliśmy odpowiedzi wymijające. Proszę zwrócić się do Mołotowa z zapytaniem czy w obecnej ciężkiej sytuacji Polska może

---

125. AAN, MSZ-IH, XXV, k. 000258, Telegram szyfrowy nr 111 W. Grzybowskiemu do MSZ z 14 IX 1939 r. (odebrany 16 IX 1939 r.). Podsekretarz stanu w MSZ polecił Grzybowskiemu zawiadomić rząd sowiecki, że doniesienia te są wymysłem – *ibidem*, MSZ-IH, XXVI, k. 000271, Telegram szyfrowy J. Szembeka do Ambasady RP w Moskwie z 16 IX 1939 r.

126. *Ibidem*, MSZ-IH, XXV, k. 000254, Telegram szyfrowy nr 116 W. Grzybowskiemu do MSZ z 14 IX 1939 r. (odebrany 16 IX 1939 r.). Por. DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 281. Szef dyplomacji RP nakazał Grzybowskiemu sprawdzić prawdziwość noty TASS i „w razie czego wyrazić ubolewanie zapewniając, że poweźmiemy odpowiednie kroki zapobiegawcze” – AAN, MSZ-IH, XXVI, k. 000270, Telegram szyfrowy J. Becka do Ambasady RP w Moskwie z 16 IX 1939 r. Zob. *Białe plamy. ZSRR – Niemcy 1939-1941. Dokumenty i materiały dotyczące stosunków radziecko-niemieckich w okresie od kwietnia 1939 r. do lipca 1941 r.*, Vilnius 1990, s. 86-88; W. A. Niewieżyń, *Tajne plany Stalina. Propaganda sowiecka w przededniu wojny z Trzecią Rzeszą 1939-1941*, Kraków 2000, s. 83-86.

liczyć na: 1) zakup żywności, 2) materiałów sanitarnych, 3) tranzyt materiału wojennego z krajów sprzymierzonych. Powyższe traktuję jako sondaż, nie tyle zależy mi na meritum co na wyczuciu reakcji<sup>127</sup>.

W nocy z 16 na 17 września o godzinie 2<sup>15</sup> sekretariat zastępcy komisarza spraw zagranicznych – Władimira Potiomkina poprosił ambasadora RP w Moskwie o przybycie do *Narkomindiel* o godzinie 3<sup>00</sup> w związku z ważną decyzją podjętą przez rząd sowiecki. Grzybowski przyjął propozycję. Przed wyjazdem uprzedził radcę Jankowskiego, ppłk. Brzeszczyńskiego oraz pełniącego obowiązki szyfranta – *attaché* Olgerda Czarlińskiego, aby czekali na jego powrót. Przemierzając samochodem ulice Moskwy – po raz pierwszy bez eskorty służb specjalnych – ambasador RP był przygotowany na wysłuchanie złych wiadomości.

Myślałem – relacjonowałem – że pod takim czy innym pretekstem nastąpi wypowiedzenie naszego paktu o nieagresji. To co mnie czekało było daleko gorsze<sup>128</sup>.

Potiomkin odczytał Grzybowskiemu notę Mołotowa obwieszczającą kres istnienia państwa polskiego, uwalniający władze ZSSR od obowiązku przestrzegania zawartych z nim porozumień.

W obliczu nowej sytuacji międzynarodowej – stwierdzał w dokumencie szef dyplomacji sowieckiej – rząd bolszewicki nie może pozostać neutralny. Dlatego też w trosce o los Ukraińców i Białorusinów zamieszkujących kresy wschodnie II Rzeczypospolitej wydał rozkaz zajęcia ich przez Armię Czerwoną<sup>129</sup>.

---

127. AAN, MSZ-IH, XXVI, k. 000270, Telegram szyfrowy J. Becka do Ambasady RP w Moskwie z 16 IX 1939 r. Zob. J. Szembek, *op.cit.*, s. 56; S. Zabiełło, *Na posterunku...*, s. 18-19.

128. DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 281. Potiomkin w notatce sporządzonej po spotkaniu z Grzybowskiem stwierdził, że przybył on do *Narkomindiel* wyraźnie zaniepokojony – DWP SSSR, t. 22, kn. 2, s. 94-95, dok. 596, Zapis rozmowy W. Potiomkina z W. Grzybowskiem 17 IX 1939 r.

129. Pełny tekst noty – *Polska w polityce międzynarodowej (1939-1945). Zbiór dokumentów 1939*, oprac. W. T. Kowalski, Warszawa 1989, s. 564, dok. 229. Warto przypomnieć, że ostateczny kształt nota przybrała po konsultacjach sowiecko-niemieckich – S. Dębski, *op.cit.*, s. 112-114.

Ambasador RP – „z trudem wymawiając słowa ze zdenerwowania”<sup>130</sup> – stanowczo oprotestował postawioną przez Mołotowa diagnozę. Usiłował przekonać swego rozmówcę, że naczelne władze wciąż przebywają na terytorium Rzeczypospolitej, a Wojsko Polskie stawia Wehrmachtowi skuteczny opór<sup>131</sup>. Nie wahał się przy tym nazwać podjętej przez Armię Czerwoną operacji mianem niczym nie sprowokowanego aktu agresji. W konkluzji kategorycznie odmówił przyjęcia noty.

Potiomkin mógł się spodziewać, że Grzybowski zajmie twarde stanowisko<sup>132</sup>. Na rozmaite sposoby starał się więc skłonić go do przyjęcia dokumentu: odwoływał się do poczucia historycznej odpowiedzialności i tłumaczył, dlaczego misją powiadomienia władz polskich nie można już obarczyć ani Szaronowa, ani żadnego z jego podwładnych. Gwarantował również natychmiastowe przesłanie do Krzemieńca telegramu ambasadora informującego o decyzjach Kremla. Grzybowski konsekwentnie

---

130. DWP SSSR, t. 22, kn. 2, dok. 596.

131. Notatka Potiomkina nie zawiera argumentów prawno-historycznych przytoczonych w raporcie końcowym Grzybowskiego. Nie wynika z niej również, że ustosunkował się on do zarzutu pozostawienia przez władze RP ludności ukraińskiej i białoruskiej własnemu losowi. Warto jednak zauważyć, że dotyczący kwestii mniejszościowej *passus* relacji ambasadora był w znacznie większym stopniu polemiką z artykułem, który 14 IX ukazał się na łamach „Prawdy”, niż z jedną z fundamentalnych tez noty Mołotowa. „Wszystkie mniejszości, włączając Żydów – stwierdzić miał wówczas Grzybowski – nie tylko manifestowały swoją lojalność, ale aktywnie dowiodły swojej całkowitej solidarności z Polską, w walce przeciw germanizmowi”. Przypominając zaś Potiomkinowi jego wcześniejsze wezwania do „słowiańskiej solidarności” zauważył: „Teraz, nie tylko Ukraińcy i Białorusini walczą po naszej stronie z Niemcami, ale także oddziały czeskie i słowackie. Gdzież jest wasza solidarność słowiańska?” – DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 282.

132. Niespełna rok wcześniej zastępca szefa *Narkomindiel* próbował wręczyć Grzybowskiemu protest w sprawie rzekomych incydentów prowokowanych przez samoloty polskie. Ambasador RP nie przyjął go, uznając za niedostatecznie umotywowany. „Takie postawienie sprawy – wspominał Grzybowski – zaskoczyło Potiomkina do tego stopnia, że mimo woli zawołał: «Na miłość boską – przecież ja Pana nie proszę o przyjęcie protestu, a proszę wyłącznie o przekazanie go». «Pozwoli Pan – powiedziałem – że odpowiem na to po francusku: *monsieur le commissaire du peuple, un ambassadeur n'est pas une boîte aux lettres*». Potiomkin już tylko poczerwieniał” – W. Grzybowski, *Wrzesień pokoju. Rok 1938*, „Orzeł Biały – Syrena” 1959, nr 36/896(593).

odmawiał, argumentując, iż czynem tym uchybiłby godności władz Rzeczypospolitej. Zniecierpliwiony Potiomkin oświadczył wreszcie, że nota Mołotowa i tak trafi do rąk ambasadora. Pod pretekstem konsultacji ze zwierzchnikiem opuścił na chwilę swego interlokutora i nakazał bez zwłoki złożyć dokument za pokwitowaniem w gmachu Ambasady RP. Następnie telefonicznie zreferował Mołotowowi rozmowę z polskim dyplomatą i wznowił przerwana audyencję<sup>133</sup>.

Grzybowski z uporem powtarzał, że państwo polskie nie zostało przez Niemcy pokonane, a Francja i Wielka Brytania już udzieliły mu efektywnej pomocy.

Odnosząc się do naszego wkroczenia na terytorium polskie – relacjonował Potiomkin – krzyczał, iż jeśli ono nastąpi, będzie oznaczać czwarty rozbiór i zniszczenie Polski<sup>134</sup>.

Ambasador zbyt dobrze znał sowiecką rzeczywistość, aby podnosić nielogiczność żądania dostarczenia władzom RP noty konstatającej ich rozkład i brak przejawów jakiegokolwiek aktywności. Zapytał jednak o praktyczny sens powiadomienia o agresji. Być może znając motywy wystąpienia Armii Czerwonej – odparł wtedy sowiecki dyplomata – rząd polski zrozumie beznadziejność stawiania jej oporu, co w konsekwencji pozwoli uniknąć niepotrzebnych ofiar. Zastępca szefa *Narkomindiel* twierdził potem, że to pod wpływem jego perswazji Grzybowski złagodził w końcu swoje stanowisko. Wprawdzie wykluczył przyjęcie noty Mołotowa, ale zgodził się zapoznać z jego treścią władze RP<sup>135</sup>. Tymczasem według ambasadora Potiomkin już w pierwszej części audyencji usłyszał od niego:

Rozumiem, że moim obowiązkiem jest zawiadomić mój rząd o agresji, która prawdopodobnie już się rozpoczęła, ale nie zrobię nic więcej<sup>136</sup>.

---

133. Niewiele wiadomo o reakcjach Kremla na postawę Grzybowskiego. Stalin wyszydzał ją wszakże jeszcze 10 X 1939 r. podczas spotkania z delegacją litewską – J. Urbszys, *Litwa i Związek Sowiecki w latach 1939-1940*, „Zeszyty Historyczne” 1989, z. 90, s. 122.

134. DWP SSSR, t. 22, kn. 2, dok. 597.

135. *Ibidem*.

136. DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 282.

Rezultat spotkania w opinii uczestniczących w nim stron nie wzbudza natomiast żadnych kontrowersji.

Opuszczając około 4<sup>00</sup> centralę sowieckiej dyplomacji Grzybowski zdawał sobie sprawę, że jego misja w ZSSR dobiegła kresu. Próżno zgadywać, czy miał wówczas także świadomość stylu, w jakim w ostatniej godzinie swego urzędowania zapisał się na kartach historii. Wykazał się wszak wtedy nie tylko osobistą godnością i odwagą, ale i niemałym kunsztem dyplomatycznym. W opinii znawcy stosunków międzynarodowych wyznaczył wręcz standard zachowania wytrawnego dyplomaty w warunkach ekstremalnych<sup>137</sup>.

Powróciwszy do budynku Ambasady RP Grzybowski zrelacjonował oczekującym na niego współpracownikom przebieg rozmowy w *Narkomindiel*. Następnie podyktował tekst depezy, nakazując niezwłocznie wyekspediować ją *en clair* do MSZ<sup>138</sup>. Informował w niej o ujawnionym przez Potiomkina zamiarze najazdu Armii Czerwonej na terytorium Polski.

Motywy podane w nocy – dodawał – były tego rodzaju, że odmówiłem przyjęcia jej do wiadomości i wyraziłem katygoryczny protest przeciwko treści noty. Wobec nieobecności w Polsce dyplomatycznych przedstawicieli Związku [Sowieckiego] zgodziłem się jedynie na podanie powyższej informacji. Proszę o instrukcję<sup>139</sup>.

W kolejnej depezy, wysłanej jeszcze tego samego dnia, ambasador wyjawiał szefowi dyplomacji polskiej pełny tekst noty Mołotowa. Wykorzystał w tym celu dokument złożony w Ambasadzie RP przez posłańca *Narkomindiel*. Wprawdzie Grzybowski nadal uważał, że nic nie upoważnia go do przyjęcia noty, ale zanim polecił oddać ją nadawcy, uznał za stosowne jej

---

137. P. Łossowski, *Działania dyplomatów II Rzeczypospolitej w sytuacjach wyjątkowych*, w: *Z dziejów Europy Środkowej w XX wieku. Studia ofiarowane Henrykowi Batowskiemu w 90. rocznicę urodzin*, Kraków 1997, s. 66. Zob. W. Grzybowski, *Oczami ambasadora*, „Niepodległość” 1955, t. 5 (po wznowieniu), s. 252.

138. Ambasador utrzymywał, że telegram wysłano kilka minut po piątej rano. *Attaché placówki* twierdził natomiast, iż stało się to trzy godziny później – DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 282; O. Czarliński, *op.cit.*, s. 123.

139. PSZ, t. 1, cz. 4, Londyn 1986, s. 35; J. Szembek, *op.cit.*, s. 57.

dyskretne rozpieczętowanie i przepisanie<sup>140</sup>. Najwyraźniej obawiał się rozpowszechniania zupełnie innej wykładni motywów sowieckiej agresji na Polskę. W *Narkomindiel* spodziewano się, iż ambasador RP będzie próbował zwrócić podrzucony mu dokument, zabroniono więc portierom przyjmowania jakichkolwiek przesyłek od personelu polskiej placówki. Nie pozostawało zatem nic innego, jak skorzystanie z pośrednictwa... sowieckiej poczty<sup>141</sup>.

Perspektywa rychłej likwidacji Ambasady RP w Moskwie, jak również wysokie prawdopodobieństwo pogwałcenia jej eksterytorialności przesądziły o natychmiastowym zniszczeniu archiwum placówki. Sugestie *attaché* Czarlińskiego, aby ocalić korespondencję szyfrową przewożąc ją potajemnie do ambasady Francji nie spotkały się z aprobatą. W popiół obrócił się także skrupulatnie spisywany dziennik radcy Jankowskiego. Zostawiono jedynie same szyfry, za pomocą których zamierzano (wykorzystując nadajnik przedstawicielstwa francuskiego) utrzymać kontakt z placówkami zagranicznymi MSZ. Sprawujący z racji pełnionego urzędu nad nimi pieczę Czarliński miał dokonać ich spalenia w razie wtargnięcia do gmachu funkcjonariuszy NKWD. Polecono mu nawet w tym celu zgromadzić w pokoju odpowiedni zapas benzyny<sup>142</sup>. Nic nie pozostało również z archiwum *attaché militaire*. Komisyjnie spalono: komplet szyfrów, depeşe otrzymywane i wysyłane, opracowania Sztabu Głównego, opracowania własne, akta tajne i zwykłe, księgi kasowe oraz dzienniki podawcze<sup>143</sup>. Zniszczono także nieczynną radiostację krótkofalową i urządzenia alarmujące. Sprzęt foto-

---

140. *Ibidem*, MSZ-IH, XXV, k. 000253, Telegram szyfrowy nr 118 W. Grzybowski do MSZ z 17 IX 1939 r.; O. Czarliński, *op.cit.*, s. 128. Tymczasem już 17 września kopie noty Mołotowa otrzymały placówki dyplomatyczne w Moskwie. Dzień później przedrukowano ją w „Prawdzie” – zob. J. Tebinka, *op.cit.*, s. 63-64; M. Gmurczyk-Wrońska, *op.cit.*, s. 170-172; H. Batowski, *Zachód...*, s. 75-80; K. Strzałka, *op.cit.*, s. 70-72.

141. National Archives – London [NA], FO 371/23103, C 13974, W. Seeds do lorda Halifaxa 17 IX 1939 r.; *ibidem*, FO 418/85, C 15398/1353/18, W. Seeds do lorda Halifaxa 25 IX 1939 r.

142. O. Czarliński, *op.cit.*, s. 124, 131; *idem*, *Na marginesie dwóch książek niemieckich (4)*, „Gazeta Niedzielną” z 20 III 1983 r.

143. IPMS, B I 119/d, Załącznik nr 2 do raportu ppłk. S. Brzeszczyńskiego z 4 XI 1939 r. Por. *ibidem*, Mjr S. Maleciński do Biura Rejestracyjnego MSWojsk. 9 I 1940 r.

graficzny, jak również zawartość kasy ataszatu (580 \$, 546 zł i 7 287 rb.) ppłk. Brzeszczyńskiego zdeponowano u *attaché militaire* Wielkiej Brytanii i w poselstwie fińskim<sup>144</sup>. Nie wiadomo natomiast właściwie nic na temat trybu likwidacji archiwów placówek konsularnych RP w Związku Sowieckim. Można tylko stwierdzić, że największe szanse ku temu istniały w Kijowie. Zbadane przez historyków zespoły archiwalne pozwalają poza tym przypuszczać, iż przynajmniej część dokumentacji przechowywanej w Konsulacie RP w Leningradzie została przejęta przez Sowieców<sup>145</sup>.

Pierwsza z depeesz Grzybowskiemu dotarła (*via* Ambasada RP w Bukareszcie) do rozlokowanego w Kutach MSZ około 11<sup>00</sup> pogłębiając panujące tam od wczesnych godzin rannych poczucie klęski i przygnębienia<sup>146</sup>. Zawiadomiony o wtargnięciu Armii Czerwonej Beck polecił skierować do ambasadora telegram o następującej treści:

W dniu dzisiejszym w szeregu powiatów oddziały sowieckie przekroczyły granicę Polską. Proszę zdecydowanie zaprotestować, zażądać wyjaśnień i wycofania oddziałów z terytorium Polski.

Wysłano go o 7<sup>00</sup>, wątpliwe jednak, by kiedykolwiek dotarł do adresata<sup>147</sup>. Nie doczekawszy się reakcji minister zarządził przygotowanie kolejnej instrukcji, nakazującej Grzybowskiemu wyjazd z ZSSR. Zamierzał wyekspediować jej za pośrednictwem systemu łączności francuskiej służby zagranicznej, rezerwując jednak dla siebie określenie terminu, kiedy to nastąpi<sup>148</sup>. W międzyczasie zobligował Konsulat RP w Czerniowcach do przesłania placówkom polskim w Paryżu, Londynie, Rzymie, Waszyngtonie, Tokio i Bukareszcie depeeszy informującej o agresji sowieckiej, wobec której złożony został w Moskwie pro-

---

144. *Ibidem*, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r.; Załącznik nr 3 do raportu ppłk. S. Brzeszczyńskiego z 4 XI 1939 r.

145. *Archiwalia...*, s. 139-140.

146. *Polska polityka...*, s. 291-292; S. Składkowski, *Prace...*, s. 303-307; W. Stachiewicz, *op.cit.*, s. 193-198; S. Zabięło, *Na posterunku...*, s. 20; P. Starzeński, *op.cit.*, s. 158; L. Lubiński, *op.cit.*, s. 82-82.

147. AAN, MSZ-IH, XXVI, k. 000275, Telegram szyfrowy nr 410 MSZ do W. Grzybowskiemu z 17 IX 1939 r.

148. J. Szembek, *op.cit.*, s. 57.

test<sup>149</sup>. Dopiero o 16<sup>30</sup> wysłano Grzybowskiemu uaktualnioną instrukcję:

Wojska nasze stawily czynny opór inwazji sowieckiej. Całkowicie aprobuję zachowanie Pana Ambasadora. Proszę zażądać paszportów i opuścić Moskwę. Miejsce postoju województwo stanisławowskie<sup>150</sup>.

Dotarła do Moskwy następnego dnia<sup>151</sup>.

Wykonanie zaleceń Becka wymagało od Grzybowskiego pokonania nie lada jakich trudności. Kiedy bowiem 19 września przybył on do *Narkomindiel*, aby poinformować o planowanym terminie i trasie ewakuacji usłyszał na wstępie od Potiomkina, że udzielono mu audiencji jako osobie prywatnej. Od dwóch dni nie ma bowiem w Związku Sowieckim przedstawicielstw dyplomatycznych i konsularnych RP, a więc ich byłemu personelowi nie przysługują już żadne przywileje. Sowiecki dyplomata wykluczył zarówno ewentualność wydania zgody na roztoczenie opieki nad budynkami i wyposażeniem polskich placówek przez jakieś państwo trzecie, jak i przyzwolenia na pozostanie w każdym z tych gmachów jednego urzędnika oraz jednego pracownika technicznego. Obiecał wprawdzie pomoc w załatwieniu wszelkich formalności związanych z opuszczeniem terytorium ZSSR, ale nie przesądzał przyznania wiz wyjazdowych każdemu z obywateli polskich zatrudnionych w placówkach RP. Według wstępnych szacunków ambasadora było ich (wraz z małżonkami i dziećmi) nie więcej niż sto szesnaścioro<sup>152</sup>.

---

149. *Polskie Dokumenty Dyplomatyczne 1939 wrzesień – grudzień* [PDD 1939 IX-XII], pod red. W. Rojka, Warszawa 2007, s. 94, dok. 94, Telefonogram szyfrowy J. Becka do Konsulatu RP w Czerniowcach z 17 IX 1939 r.

150. AAN, MSZ-IH, XXVI, k. 000272, Telegram szyfrowy nr 413 MSZ do W. Grzybowskiego z 17 IX 1939 r.

151. DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 283. Depeszę Grzybowskiego z tekstem noty Mołotowa odebrano w Kutach 17 IX o 20<sup>30</sup> – AAN, MSZ-IH, XXV, k. 000253. Według Szembeka z treści dokumentu Ambasada RP w Bukareszcie zaznajomiła MSZ telefonicznie jeszcze przed południem – J. Szembek, *op.cit.*, s. 57.

152. DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 283; DWP SSSR, t. 22, kn. 2, s. 101-102, dok. 606, Zapis rozmowy W. Potiomkina z W. Grzybowskiem 19 IX 1939 r. W interpretacji *attaché militaire* uznając pracowników polskiej służby zagranicznej za zwykłych cudzoziemców władze sowieckie mogły



Pierwotnie Grzybowski i jego współpracownicy zamierzali wyjechać do Rumunii. Punktem zbornym personelu wszystkich placówek miał być więc Kijów. Przebywały tam już żona i córka ambasadora, które przekroczyły granicę ryską zaledwie kilkanaście godzin przed agresją sowiecką na Polskę. Grzybowski pragnął opuścić Moskwę 21 września, a po przybyciu do ukraińskiej stolicy bezzwłocznie wyruszyć w dalszą podróż na południowy zachód. Nie uzyskawszy aprobaty władz sowieckich dla wybranego przez siebie terminu ewakuacji szybko zrezygnował z realizacji zamysłu. Niewykluczone, że uczynił to pod wpływem informacji o niepokojach wewnętrznych w Rumunii lub pogłosek o mającej lada dzień nastąpić inwazji sowieckiej na ten kraj. W każdym razie zdecydował o ewakuacji do Finlandii. Pracownicy konsulatów mieli zatem, gdy tylko będzie to możliwe, stawić się w Moskwie. Tam też od razu udały się pociągiem obie panie Grzybowskie<sup>153</sup>.

Warunki funkcjonowania Ambasady RP w Moskwie po 17 września nie zmieniły się na gorsze. Do gmachu dostarczano gaz oraz energię elektryczną, działały telefony. Nie zainstalowano wokół nowych posterunków kontrolnych, a istniejące stosowały zwykłe procedury. Wbrew obawom nie obniżył się również poziom bezpieczeństwa personelu placówki. Według *attaché* Czarlińskiego:

każdy mógł swobodnie wchodzić i wychodzić z budynku Ambasady, nikt też nie był rewidowany. Żadnych represji, czy aresztu nie zastosowano, poza zwykłymi złośliwościami administracyjnymi, które gorliwie przejawiano przez całe lata wobec wszystkich placówek. [...] Nikogo z nas nie zatrzymywano na ulicy i nie utrudniano jazdy samochodami<sup>154</sup>.

Szczególnie wyczulony na kwestie bezpieczeństwa ppłk Brzeszczyński, który przy aprobacie ambasadora objął funkcję komendanta gmachu, odnotował jedynie wzmożenie inwigilacji oraz kilka „małpich złośliwości w stosunku do niższych funkcjo-

---

sądzić ich za czyny popełnione przeciwko ZSSR – IPMS, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 31 X 1939 r.

153. DWP SSSR, t. 22, kn. 2, dok. 606; IPMS, A.11.49/sow/35, Zeznanie H. Wiśniewskiego z 2 II 1942 r.

154. O. Czarliński, *op.cit.*, s. 124-125.

nariuszy Ambasady i służby domowej”<sup>155</sup>. Wypada zatem przyznać rację polskiemu dyplomacie, który oponował przeciwko opisywaniu położenia pracowników przedstawicielstwa RP w Moskwie terminem: „areszt domowy”<sup>156</sup>.

Dysponując wyłącznie informacjami z drugiej ręki trudno natomiast jednoznacznie stwierdzić, jakie standardy władze sowieckie zastosowały względem personelu polskich konsulatów nad Newą i Świsłoczą. Czarliński, powołując się na uzyskaną pod koniec lat siedemdziesiątych relację Eugeniusza Weese – konsula RP w Leningradzie, utrzymywał, iż sytuacja tam była podobna do panującej w Moskwie, z tym że w mińskim Konsulacie „w przedpokoju zasiadł agent NKWD”, zaś w Leninradzie kierownik placówki „sam zaprosił do budynku takiego pana tytułem uprzejmości”<sup>157</sup>. Tymczasem ppłk Brzeszczyński w 1939 r. raportował:

Konsulaty nasze zostały właściwie internowane w swych gmachach, odmówiono im sprzedaży biletów kolejowych do Moskwy<sup>158</sup>.

Jedynym dostępnym źródłem wiedzy o położeniu, w jakim znajdował się Konsulat Generalny RP w Kijowie są zeznania zatrudnionego tam na kontrakcie Henryka Wiśniewskiego. Użyty w nich termin: „areszt domowy” nie budzi żadnych zastrzeżeń, albowiem funkcjonariusze NKWD faktycznie nie pozwalali Polakom opuszczać zajmowanego budynku. Zaciemnienie miasta i pozabawienie placówki RP dopływu energii elektrycznej sprawiły, że:

w ciągu trzech dni – relacjonował Wiśniewski – pozostawaliśmy w zupełnej nieświadomości z braku wiadomości radiowych. Aby mieć możliwość kupna żywności i w ogóle uregulować nienormalne stosunki Pan Radca Matusiński interweniował w *N[arodnom] K[omissariate] I[nostrannych] D[iel]* ze skutkiem pozytywnym.

---

155. S. Brzeszczyński, *W Moskwie...*, s. 31. Dwadzieścia lat później charakteryzował jednak sytuację, w jakiej się znalazł po 17 IX 1939 r. słowami „3-tygodniowa golgota” – *idem*, *Twarz...*, s. 6.

156. O. Czarliński, *op.cit.*, s. 124; Zob. I. Fleischhauer, *Diplomatischer Widerstand gegen «Unternehmen Barbarossa»: die Friedensbemühungen der Deutschen Botschaft Moskau 1939-1941*, Berlin-Frankfurt 1991, s. 86.

157. O. Czarliński, *op.cit.*, s. 125.

158. IPMS, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r.

O wszystkich wydarzeniach radca codziennie informował telefonicznie ambasadora, uzyskując w zamian instrukcje<sup>159</sup>.

Zgodnie z zapowiedzią Potiomkina w trzeciej dekadzie września dyrektor *Biurobin* – instytucji odpowiedzialnej za kontakty z cudzoziemcami – Nazarow został mianowany pełnomocnikiem do spraw ewakuacji personelu polskich przedstawicielstw. Wykonując z właściwą sowieckiej biurokracji opieszałością niezbędne czynności prawne i organizacyjne konsekwentnie unikał on podania daty wyjazdu obywateli polskich z ZSSR. Równocześnie *Narkomindel* dawał jasno do zrozumienia dyplomatom akredytowanym w Moskwie, iż nie nastąpi to wcześniej, nim pozostali w oblężonej przez Niemców Warszawie pracownicy przedstawicielstw ZSSR nie znajdą się poza strefą działań wojennych<sup>160</sup>.

Nie mając już bezpośrednio żadnego wpływu na postępowanie władz sowieckich Grzybowski starał się oddziaływać na nie poprzez moskiewski korpus dyplomatyczny. Wymagało to pewnej finezji, gdyż jego dziekanem był von Schulenburg, a wicedziekanem (po cofnięciu *agrément* dla ambasadora RP) został Rosso. Z eufemistycznych wypowiedzi Grzybowskiego można wnosić, że włoski dyplomata spełniał *de facto* rolę łącznika między nim a dziekanem korpusu<sup>161</sup>. Świadomość obowiązków wynikających z pełnionej funkcji i zapewne poczucie zawodowej solidarności oraz przywiązanie do norm kulturowanych w kręgu cywilizacji łacińskiej, kilkakrotnie skłaniały von Schulenburga do interweniowania w *Narkomindel* w obronie praw urzędników polskiej służby zagranicznej. Przyczynił się on niewątpliwie do rozwiązania problemu ewakuacji sowieckich dyptomatów z Warszawy. Zdaniem Grzybowskiego uzyskał ponadto od Mołotowa zapewnienie, że podczas wyjazdu personelu

---

159. *Ibidem*, A.11.49/sow/35, Zeznanie H. Wiśniewskiego z 2 II 1942 r.; *ibidem*, Załącznik do pisma H. Malhomme do MSZ z 14 XII 1942 r.

160. DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 283; J. Pagel. *op.cit.*, s. 308.

161. Rosso – twierdził Grzybowski – zachował się „przepysalnie” – J. Szembek, *op.cit.*, s. 116. Por. DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 283. Wszelkie oficjalne i nieoficjalne kontakty pomiędzy przedstawicielstwami RP i III Rzeszy ustały wraz z agresją niemiecką na Polskę. Informacja jakoby von Schulenburg korespondował z Grzybowskim nie została dotąd potwierdzona – I. Fleischhauer, *op.cit.*, s. 88.

polskich placówek z ZSSR zwyczajnie dyplomatyczne będą respektowane. Niewykluczone, iż miał też swój udział w przyspieszeniu przyjazdu do Moskwy pracowników konsulatów w Leningradzie i Mińsku<sup>162</sup>. W świetle dostępnych źródeł nie wydaje się, aby któryś z szefów misji dyplomatycznych w bolszewickiej stolicy uczynił dla urzędników służby zagranicznej RP więcej niż ambasador niemiecki<sup>163</sup>. W opublikowanych raportach z rozmów reprezentantów Francji lub Wielkiej Brytanii z przedstawicielami *Narkomindiel* próżno szukać choćby śladu niepokoju o los polskich kolegów. Nic nie wskazuje na to, aby poza pomocą w utrzymaniu telegraficznego kontaktu z bliżej nieokreślonymi agendami RP na obczyźnie placówka III Republiki wyświadczała swej polskiej odpowiedniczce jakieś usługi<sup>164</sup>. Ostrożność cechowała także postępowanie brytyjskiego ambasadora. Na prośbę Grzybowskiemu wstępnie zgodził się 18 września przejąć opiekę nad gmachem Ambasady RP, zastrzegając wszak, że ostateczna decyzja zapadnie na Downing Street. Zanim uzyskał aprobatę, wiadomym było, iż scenariusza takiego Sowietom w ogóle nie biorą pod uwagę<sup>165</sup>.

W przeciwieństwie do swego przełożonego płk Firebrance rozumiał znaczenie gestów wykonywanych w obliczu osobistych tragedii oraz międzynarodowych kryzysów. W liście skierowanym 18 września do ppłk. Brzeszczyńskiego pisał w imieniu pełniących służbę w Moskwie *attachés militaires*:

---

162. DDPZ, t. 2, dok. 130, s. 283; J. Pagel, *op.cit.*, s. 308-309; IPMS, A.12.53/26, k. 293, Notatka z rozmowy A. Jażdżewskiego z E. Makinsem z 27 IX 1939 r.; *ibidem*, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r. Twierdzenie, że von Schulenburg nie miał żadnego wpływu na bieg wypadków w Moskwie, albowiem... odbywał miesięczną podróż po Syberii można posłużyć jedynie jako pretekst do dyskusji na temat wiarygodności „świadków historii” – S. Brzeszczyński, *Twarz...*, s. 6.

163. Próbie „odbrązowienia” postaci von Schulenburga przez *attaché* Ambasady RP trudno uznać za udaną – O. Czarliński, *op.cit.*, s. 126. Rosso nie mógł zresztą odegrać pierwszoplanowej roli z racji słabych notowań u władz ZSSR – NA, FO 371/23686, N 3287/281/28, W. Seeds do lorda Halifaxa 10 VII 1939 r.

164. Dotychczas nie odnaleziono żadnej depezy wysłanej z Ambasady RP w Moskwie po 17 IX 1939 r., ani też do niej adresowanej – zob. *ibidem*, s. 124.

165. NA, FO 371/11227, C 14093, W. Seeds do lorda Halifaxa 18 IX 1939 r.; *ibidem*, Foreign Office do W. Seedsa 20 IX 1939 r.

Wiemy jak Pan dzisiaj cierpi i my wszyscy cierpimy razem z Panem. Jesteśmy zachwyceni męstwem wojska polskiego, które tak znakomicie broniło swoją ojczyznę. Choć kraj Wasz będzie czasowo pod kontrolą Waszych wrogów, niech będzie Pan pewny, Panie Pułkowniku, że my będziemy walczyć do zwycięskiego końca. Wojna nie jest skończona i zwycięstwo będzie nasze. Taki naród jak naród polski nie umrze, a powstanie znowu i będzie silniejszym niż był do tej pory<sup>166</sup>.

Praktyczny wymiar życzliwego zainteresowania okazywanego personelowi polskich przedstawicielstw przez członków moskiewskiego korpusu dyplomatycznego częściej sprowadzał się jednak do oferty przechowania „do lepszych czasów” przedmiotów, niemożliwych do wywiezienia z ZSSR lub nieprzydatnych na wojennej tułaczce oraz „licznych prywatnych pożegnań”<sup>167</sup>.

22 września dotarli do Moskwy urzędnicy Konsulatu RP w Leningradzie. Zgodnie z zapowiedzią Potiomkina nie pozwolono konsulowi Weese przekazać pod opiekę jednej z tamtejszych misji ani pomieszczeń, ani nawet wyposażenia placówki<sup>168</sup>. Sześć dni potem przybyli pracownicy Konsulatu Generalnego RP w Mińsku. Pod pretekstem braku miejsca w pociągu pozbawiono ich wszak części bagaży osobistych, zrzędzeniem losu niektórzy z Polaków zostali całkowicie ograbieni z dobytku. Interwencje w *Narkomindiel* na nic się nie zdały<sup>169</sup>. Oburzenie wywołane

---

166. A. Suchcitz, *Dwa listy brytyjskiego attaché wojskowego w Moskwie do płk. Brzeszczyńskiego z 1939 r.*, „Przegląd Kawalerii i Broni Pancerniej” 1987, nr 127, s. 63.

167. O. Czarliński, *op.cit.*, s. 127. O sytuacji personelu polskich placówek w ZSSR i podejmowanych w związku z tym działaniach reprezentantów moskiewskiego korpusu dyplomatycznego informowały na bieżąco agencje prasowe – IPMS, Kol. 45/2, Biuletyn informacyjny MSZ nr 13 z 25 IX 1939 r. (wydanie południowe).

168. *Ibidem*, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r. W raporcie nie ma wzmianki o potraktowaniu urzędników Konsulatu „w brutalny sposób niemal”, jak twierdził po latach jego autor – S. Brzeszczyński, *W Moskwie...*, s. 31; *idem*, *Twarzą...*, s. 6.

169. DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 283; IPMS, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r. Wątpliwe, aby *attaché militaire* zapomniał odnotować w swej relacji demonstracji nienawiści wobec personelu placówki RP urządzonej rzekomo przez lokalne władze. Przebiegała ona ponoć tak gwałtownie, że milicja „z trudem” obroniła Polaków przed pobiciem. Mamy więc zapewne do czynienia z kolejną konfabulacją

incydentem złagodziło dopiero oświadczenie Nazarowa o rozpoczęciu 2 października ewakuacji personelu polskich przedstawicielstw z terytorium ZSSR. Nieco wcześniej do Moskwy przyjechać miała obsada kijowskiej placówki RP<sup>170</sup>.

Tamtejsza delegatura *Narkomindiel* zakomunikowała nawet radcy Matusińskiemu 30 września, że niebawem pozna datę i godzinę wyjazdu, stosowne decyzje bowiem już zapadły. Przy okazji poinformowano go o odnalezieniu obydwu pracowników placówki, którzy 16 września udali się do Polski. Matusiński interpelował w ich sprawie u lokalnych władz, lecz bez skutku. Zapowiadając ich zwolnienie sowiecki urzędnik nie wykluczył wszak konieczności przeprowadzenia jeszcze konfrontacji<sup>171</sup>. Radca ponoć przypomniał sobie ten anons, gdy po północy wezwano go w trybie pilnym do delegatury *Narkomindiel* w celu „sprecyzowania pewnych szczegółów”. Nie podejrzewając podstępny udał się tam samochodem około 2<sup>30</sup> w towarzystwie dwóch szoferów – Andrzeja Orszyńskiego i Józefa Łyczka. Gdy dotarli na miejsce – nieumundurowani funkcjonariusze NKWD, aresztowali ich. Szoferów następnie umieszczono w kijowskim więzieniu, skąd po tygodniu przewieziono na Łubiankę. Losy Matusińskiego pozostają dotąd nieznane. Przypuszczalnie również trafił do jednego z więzień NKWD w Moskwie, gdzie zmarł lub został zamordowany<sup>172</sup>.

---

autora wspomnień – S. Brzeszczyński, *W Moskwie...*, s. 31; *idem*, *Twarz...*, s. 6.

170. IPMS, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r.; *ibidem*, A.12.5/26, k. 317, E. Raczyński do Poselstwa RP w Helsinkach 29 IX 1939 r.

171. Mjr. Słowikowski („Eugeniusz Zarębski”) i H. Słowikowski zostali aresztowani przez NKWD w Szepetówce prawdopodobnie 21 IX. Wraz z nimi uwięziono syna majora – Jerzego, który najwyraźniej spotkał się z ojcem w Polsce. Rodzi to podejrzenia, że wyprawa miała również podtekst osobisty. W nocy z 30 IX na 1 X całą trójkę przetransportowano do Kijowa – *ibidem*, A.11.49/sow/35, Zeznanie H. Wiśniewskiego z 2 II 1942 r.; *ibidem*, Zeznanie H. Słowikowskiego z 28 I 1942 r.; M. Z. Rygor-Sokołowski, *op.cit.*, s. 9.

172. IPMS, A.11.49/sow/35, Protokół przesłuchania A. Orszyńskiego z 26 XI 1942 r. Okoliczności porwania radcy Matusińskiego i towarzyszących mu pracowników kijowskiego Konsulatu Generalnego oraz przebieg dochodzenia prowadzonego w tej sprawie przez cywilne i wojskowe organy RP na uchodźstwie zasługują na szczegółowe omówienie w odrębnej publikacji. Niebawem ukaże się ona drukiem.

Zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością zwierzchnika pracownicy placówki próbowali ustalić jej przyczyny. Nie udało im się jednakowoż opuścić budynku Konsulatu Generalnego RP, słuchawki telefonu w delegaturze *Narkomindiel* zaś nikt nie podnosił. Połączenie udało się uzyskać dopiero około dziewiątej rano. Wicekonsul „Zdanowicz” (kpt. Kraczkiewicz) nie dowiedział się jednak niczego. Pół godziny później zadzwonił do niego szef delegatury informując, iż nikogo w nocy nie wzywał. Nie omieszkał przy tym określić zapytania wicekonsula mianem prowokacji. W odpowiedzi usłyszał, że owszem, doszło do prowokacji, ale prawdopodobnie ze strony NKWD. Ewidentnie wroga Polakom postawa kijowskich władz nie wpłynęła, szczęśliwie, na sytuację Słowikowskich. Jeszcze tego samego dnia dotarli oni do Konsulatu Generalnego RP. Żaden z nich 1 października nie zetknął się z jego szefem. Zapowiadana konfrontacja nigdy bowiem nie odbyła się<sup>173</sup>.

O „zniknięciu” Matusińskiego, Łyczka oraz Orszyńskiego wicekonsul bez zwłoki zawiadomił Ambasadę RP. Na prośbę Grzybowskiego ambasador włoski interweniował w *Narkomindiel*, ale niczego nie wskórał. Potiomkin zaprzeczył, jakoby wiedział co się dzieje z Matusińskim. Uznał jednak za wskazane przypomnieć, iż według bolszewickiej wykładni kierownik placówki RP w Kijowie utracił 17 września immunitet dyplomatyczny. Gdyby więc okazało się, że popełnił jakieś przestępstwa wobec ZSSR, wówczas będzie przez władze sowieckie pociągnięty do odpowiedzialności.

Rosso – relacjonował ambasador RP – słusznie odpowiedział, że nie widzi takiej możliwości, ponieważ aż do dnia 18 września p[an] Matusiński cieszył się pełnymi przywilejami dyplomatycznymi, podczas gdy od tego dnia był faktycznie internowany i wobec tego nie mógł popełnić żadnego przestępstwa<sup>174</sup>.

Jedyne co w tej sytuacji Grzybowski mógł jeszcze uczynić

---

173. IPMS, A.11.49/sow/35, Zeznanie H. Wiśniewskiego z 2 II 1942 r. Por. J. Pagel, *op.cit.*, s. 309.

174. DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 283-284. Z raportu Grzybowskiego nie wynika, czy Rosso upomniał się też o Łyczka i Orszyńskiego. W ich przypadku nie mógł w każdym razie szermować argumentem, że władze sowieckie dopuściły się pogwałcenia prawa międzynarodowego.

to zadeklarować, że nie opuści Moskwy dopóki Matusiński nie odzyska wolności i zarazem domagać się sformułowania zarzutów wysuwanych przeciwko niemu<sup>175</sup>. Zdecydowana postawa polskiego dyplomaty nie wywarła na kierownictwie sowieckiej dyplomacji pożądanego wrażenia. Mołotow zaręczał von Schulenburgowi, że radca Ambasady RP:

nie znajduje się w naszym ręku. Sam prowadzę dochodzenie, aby wyjaśnić tę sprawę. Wstrzymanie wyjazdu ambasadora z tej racji byłoby bezcelowe i nie mogą się na to zgodzić<sup>176</sup>.

Wobec braku choćby cienia nadziei na odnalezienie porwanego dyplomaty Grzybowski przystał na wyjazd z ZSSR<sup>177</sup>.

Stałe zagrożenie, potęgowana beczynnością frustracja i pogarszające się warunki bytowe nie były jedynymi problemami, z którymi musiały zmagać się osoby zgrupowane w budynku moskiewskiej Ambasady RP. Pod koniec września sowieckie służby specjalne zintensyfikowały presję, jakiej stałe poddawały niższy personel urzędniczy i pracowników obsługi. O ile wcześniej dawano im do zrozumienia, że już niebawem trafią do łagrów, to obecnie usiłowano osłabić ich poczucie narodowej i grupowej solidarności uświadamiając im zasadniczą sprzeczność interesów pomiędzy nimi („ludem”) a wyższymi urzędnikami i kadrą oficerską („panami”). Nakłaniano ich wreszcie do wzięcia ostatecznego rozbratu z wrogami klasowymi i osiedlenia się w ojczyźnie światowego proletariatu, względnie do powrotu na ziemię polskie, rzecz jasna, przy pomocy sowieckiej. Miażdżąca większość poddanych tej prymitywnej agitacji oparła się jej bez większego trudu. Zanosilo się wszak, że kilka osób nie będzie w stanie sprostać wyzwaniu. Energiczne działania podjęte przez

---

175. Grzybowski twierdził później, iż władze bolszewickie uznały Matusińskiego za szefa wywiadu polskiego na terytorium ZSSR – J. Szembek, *op.cit.*, s. 116.

176. DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 284. Oświadczenie Mołotowa koresponduje z poczynioną w XII 1941 r. supozycją Stalina, że oficerowie polscy wzięci do niewoli w 1939 r. przez Armię Czerwoną uciekli do Mandżurii – W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Lublin 1992, s. 119.

177. Spośród porwanych w Kijowie z opresji wyrwał się tylko Orszyński, który w 1941 r. dotarł do Armii Polskiej w ZSSR – IPMS, A.11.49/sow/35, Protokół przesłuchania A. Orszyńskiego z 26 XI 1942 r.



ppłk. Brzeszczyńskiego zapobiegły w porę dezercji i jej groźnym konsekwencjom<sup>178</sup>. W opinii *attaché* Czarlińskiego na atmosferę panującą wśród personelu i gości moskiewskiej placówki wybitnie pozytywnie oddziaływał również sam Grzybowski.

Nie dostrzegłem – wspominał – żadnej zmiany w jego codziennym i opanowanym zachowaniu. W ciągu całego okresu przygotowań do wyjazdu ambasador utrzymywał stoicki spokój. Dzięki temu do ostatniego dnia i chwili wyjazdu, zorganizowanego niezwykle sprawnie przez radcę Jankowskiego, nigdy nie panował nastrój paniki lub niepokoju. [...] Nigdy też nie doszło do starcia personalnego czy intryg. Ambasador zawsze opanowany, po dżentelmeńsku potrafił być surowy i reagować zdecydowanie gdy zachodziła potrzeba<sup>179</sup>.

W trosce o równowagę emocjonalną oficerów polskiego wywiadu pełniących służbę w ZSSR Grzybowski i ppłk Brzeszczyński zataili przed nimi treść depešy szyfrowej, którą *attaché militaire* przekazał 2 października jego francuski kolega. Informowano w niej o zdobyciu przez bolszewików akt personalnych Oddziału II Sztabu Głównego i polecano w związku z tym wszczęcie natychmiastowej ewakuacji osób zagrożonych. Dowodziło to zupełnego braku rozeznania w realiach sowieckich decydentów *Deuxième Bureau*<sup>180</sup>.

4 października ściągnęli wreszcie do Moskwy urzędnicy kijowskiej placówki RP oraz członkowie ich rodzin, wśród nich małżonka radcy Matusińskiego. Dwa dni później *Biurobin* rozpoczął zwracanie polskich paszportów opatrzonych już stosownymi wizami. Wkrótce potem w budynku Ambasady RP zjawili się funkcjonariusze służby celnej, którzy dokonali odprawy bagaży osób legitymujących się tylko paszportami służbowymi. Bagaże posiadaczy paszportów dyplomatycznych zaplombowano bez żadnej kontroli. Z podaniem daty wyjazdu władze sowieckie zwlekały jak mogły najdłużej. Ostatecznie zdecydowały, że nastąpi on późnym wieczorem 9 października.

---

178. *Ibidem*, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r. Zob. S. Brzeszczyński, *W Moskwie...*, s. 31; O. Czarliński, *op.cit.*, s. 127, 132.

179. *Ibidem*, s. 131.

180. IPMS, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r. Por. S. Brzeszczyński, *W Moskwie...*, s. 31-32.

Na Dworcu Leningradzkim czekał na Polaków tego dnia specjalny skład złożony z pięciu wagonów osobowych oraz jednego bagażowego. Na peronie nie było natomiast urzędników *Narkomindiel*<sup>181</sup>. Stawił się za to, niemal w komplecie, korpus dyplomatyczny. Brakowało tylko von Schulenburga, pośła litewskiego – Ladasa Natkevičiusa i... Rosso<sup>182</sup>. Polityczny i etyczny wymiar spontanicznej demonstracji solidarności korpusu dyplomatycznego był dla wszystkich aż nadto czytelny.

Serdeczność okazana nam przy pożegnaniu na stacji – skonstataował w swoim raporcie końcowym Grzybowski – przewyższała znacznie wszystko, czegośmy doświadczali podczas normalnych okazji<sup>183</sup>.

Około 21<sup>50</sup> eskortowany przez kilkunastu funkcjonariuszy NKWD pociąg ruszył w stronę granicy fińskiej.

Po trwającej blisko dobę, wyczerpującej zarówno fizycznie, jak i nerwowo podróży 114 obywateli polskich opuściło terytorium Związku Sowieckiego<sup>184</sup>. 11 października dotarli do poselstwa RP w Helsinkach. Informując o tym centralę polskiej dyplomacji Grzybowski nalegał na spowodowanie szybkiego wyjazdu do Francji przybyłych z nim oficerów i podoficerów oraz urzędników etatowych. Niższemu personelowi i pracownikom

---

181. Nie asystowali też w opuszczaniu gmachu Ambasady. Trudno więc zgadnąć, kiedy Grzybowski odmówił podania ręki reprezentantowi władz sowieckich. Jak sam opowiadał ukłonił się mu tylko i poprosił o przekazanie pozdrowień małżonce – Z. Kozarynowa, *op.cit.*, s. 194-195.

182. Dzień wcześniej włoski dyplomata gościł Grzybowskich na śniadaniu. Gdy informacja o tym pojawiła się w serwisie agencji Havas, hr. G. Ciano zabronił Rosso udziału w pożegnaniu na dworcu – J. Szembek, *op.cit.*, s. 116; J. Pagel, *op.cit.*, s. 310; IPMS, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r.; O. Czarliński, *op.cit.*, s. 128. Absencja Natkevičiusa wiązała się zapewne z finalizowanymi wówczas negocjacjami sowiecko-litewskimi – zob. J. Dębski, *op.cit.*, s. 235-236.

183. DDPPZ, t. 2, dok. 130, s. 284.

184. Kolejne wersje dramatycznych reminiscencji ppłk. Brzeszczyńskiego z podróży do Finlandii nie znajdują potwierdzenia w innych źródłach (m.in. w jego raporcie z 1939 r.). Wypada więc uznać je za tak samo wiarygodne, jak stwierdzenie: „W tym czasie pokazały się już w Rosji pociągi z polskimi wojskowymi i polską ludnością cywilną (ja sam widziałem jeden gdzieś w rejonie Błagowieszczeńska)” – S. Brzeszczyński, *W Moskwie...*, s. 33. Odległość między Moskwą a leżącym u podnóża Uralu Błagowieszczeńskiem w linii prostej wynosi około 1200 km.

obsługi – sugerował – winno się zapewnić prawo pobytu w Szwecji<sup>185</sup>. Nie czekając na odpowiedź, w myśl instrukcji otrzymanych wcześniej z MSZ, wszczął starania o wyjazd ewakuowanych z ZSSR Polaków do Sztokholmu. Większość z nich udała się tam drogą morską 14 października. Dziewięciu oficerów uznało to jednak za zbyt niebezpieczne, ze względu na bardzo duże – według ich oceny – prawdopodobieństwo napotkania okrętów niemieckich lub sowieckich. Dlatego też w podróż do stolicy Szwecji wyruszyli wraz ze swoimi rodzinami koleją, wzdłuż Zatoki Botnickiej. Do odpowiedzialności za ich decyzję poczuwał się ppłk Brzeszczyński, który po przybyciu do Finlandii nieopatrznie wyjawiał treść depechy udostępnionej mu przez gen. Pallasse<sup>186</sup>.

W Sztokholmie do ewakuowanych dołączył *attaché* Czarliński. Jako odpowiedzialny za przekazanie władzom sowieckim mienia ambasady RP nie opuścił on Moskwy 9 października, lecz kilka dni później, po wywiązaniu się z nałożonych nań smutnych powinności. Przez ten czas pozostawał pod opieką przedstawicielstwa Wielkiej Brytanii. Mieszkał w jego gmachu, a brytyjscy koledzy towarzyszyli mu we wszystkich czynnościach urzędowych. Asystowali także w drodze na lotnisko, gdzie pieczę nad nim przejął francuski kurier dyplomatyczny<sup>187</sup>.

Na wezwanie MSZ Grzybowski pospieszył do Paryża jeszcze w drugiej dekadzie października. Nie otrzymał jednak nowego przydziału służbowego, a jedynie polecenie sporządzenia raportu końcowego z misji w Moskwie. Opublikowano go w *Polskiej białej księdze* w 1940 r.<sup>188</sup> Odpowiedzialność za obsadę polskich placówek w ZSSR spoczęła na barkach radcy Jankow-

---

185. Według Grzybowskiego przekrój zawodowy ewakuowanej grupy przedstawiał się następująco: 20 oficerów (plus 7 członków ich rodzin), 17 podoficerów i szoferów (plus 9 członków ich rodzin), 31 urzędników i członków ich rodzin, 28 niższych funkcjonariuszy i służby – PDD 1939 IX-XII, s. 175-176, dok. 179, Depesza szyfrowa H. Sokolnickiego i W. Grzybowskiego do MSZ z 11 X 1939 r. Wyższa, od ustalonej na podstawie innych dokumentów, liczba oficerów wynikała przypuszczalnie z zaliczenia do tej kategorii urzędników będących oficerami rezerwy.

186. IPMS, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r.; *ibidem*, Załącznik nr 4 do w/w raportu.

187. O. Czarliński, *op.cit.*, s. 129-130.

188. J. Szembek, *op.cit.*, s. 116-117, 133-134 i 152-154. Zob. *Polska służba zagraniczna po 1 września 1939 r.*, Londyn 1954, s. 102.

skiego. Jego starania o wyjazd etatowych urzędników do Francji i zagwarantowanie pozostałym środków do życia przyniosły w końcu pożądane rezultaty. Ewakuację oficerów i podoficerów z powodzeniem przeprowadził ppłk Brzeszczyński<sup>189</sup>.

Przywrócenie na mocy układu z 30 lipca 1941 r. polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych umożliwiło m.in. ponowne uruchomienie Ambasady RP w Moskwie. Jej siedziba mieścić się miała w tym samym budynku, w którym do 9 października 1939 r. urzędował Grzybowski.

Gdy powróciliśmy po dwóch latach – donosił *attaché* prasowy reaktywowanej placówki – nie zastaliśmy tu nic z wyjątkiem brudu i dużej ilości papierów firmowych z przepięknie wytłoczonymi nagłówkami, z orłem i swastyką: *Der Deutsche Militär Attaché*, *Der Deutsche Luftattaché*. I tak dalej, niemiecka misja handlowa, niemieckie biuro przemysłowe *et cetera*. Ślady niemieckich okupantów w budynku były świeże, niemal ciepłe. Pozostawili nawet po sobie trochę żywności. Przebywali w Moskwie do 22 czerwca. [...] Musieliśmy pożyczyć meble z jakiegoś rosyjskiego biura. Stare polskie sprzęty z budynku Ambasady zniknęły<sup>190</sup>.

Uprzątnięta i skromnie wyposażona placówka stała się w grudniu 1941 r. siedzibą składającego oficjalną wizytę w Moskwie premiera RP i zarazem Wodza Naczelnego – gen. Władysława Sikorskiego. Przed wejściem zaciągnęli wówczas wartę żołnierze kompanii ochrony sztabu Armii Polskiej w ZSSR sprowadzeni specjalnie z Buzułuku<sup>191</sup>. Wkrótce potem Polacy musieli jednak ponownie opuścić gmach, tym razem już na zawsze.

*Sławomir M. NOWINOWSKI*

**S. M. Nowinowski (ur. w 1965 r. w Nowym Targu) – doktor historii, adiunkt w Katedrze Historii Powszechnej Najnowszej Uniwersytetu Łódzkiego, naczelnik OBEP IPN w Łodzi. Specjalizuje się w historii Europy Środkowowschodniej w XX w.**

---

189. PDD 1939 IX-XII, s. 242-243, dok. 220, G. Potworowski do MSZ 21 X 1939 r., s. 289, dok. 255, T. Jankowski do W. Grzybowskiego 4 XI 1939 r. IPMS, B I 119/d, Ppłk S. Brzeszczyński do gen. W. Sikorskiego 4 XI 1939 r.; *ibidem*, Załącznik nr 5 do w/w raportu.

190. K. Pruszyński, *Noc na Kremlu*, Warszawa 1989, s. 30.

191. O. Terlecki, *General ostatniej legendy. Rzecz o gen. Władysławie Sikorskim*, Chicago 1976, s. 153.

Krzysztof TARKA

«WATAŻKA» NA CELOWNIKU.  
«ROZPRACOWANIE OPERACYJNE»  
GENERAŁA ANDERSA PRZEZ WYWIAD PRL

Inwigilacja wychodźstwa była jednym z podstawowych zadań peerelowskiego wywiadu. Rozpracowaniem objęto całą plejadę emigracyjnych działaczy i polityków. Wśród nich znalazł się również generał Władysław Anders.

Formalnie dopiero 7 lutego 1963 roku major Feliks Solarski, starszy oficer operacyjny Departamentu I (wywiad) Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, rozpatrzywszy materiały dotyczące Andersa stwierdził, że generał „jest wybitnie wrogią jednostką i prowadzi dywersyjną działalność przeciwko PRL”. Skutkiem tego było postanowienie o rozpoczęciu „rozpracowania operacyjnego” pod kryptonimem „Watażka”<sup>1</sup>. Faktycznie zaś, zwycięzca spod Monte Cassino obiektem obserwacji oraz przedmiotem oszczerczej kampanii stał się znacznie wcześniej.

26 września 1946 roku Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej (TRJN) przyjął uchwałę o pozbawieniu obywatelstwa polskiego 75 oficerów (w tym 5 generałów) Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie wstępujących do Polskiego Korpusu Przysposobienia i

---

1. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej [AIPN], 01168/397, Postanowienie z 7 II 1963 r. o założeniu rozpracowania operacyjnego W. Andersa.

Rozmieszczenia<sup>2</sup>. Gdy ta sprawa była dyskutowana na posiedzeniu Rady Ministrów wicepremier Stanisław Mikołajczyk zwrócił uwagę, że na liście oficerów, którzy mieli być pozbawieni obywatelstwa polskiego, nie było generała Andersa. „Tak się złoży – mówił Mikołajczyk – że główny winowajca nie będzie objęty uchwałą, a inni dobrzy żołnierze poniosą konsekwencje”. W ten sposób były premier brał rewanż za krytykę polityki swego rządu w okresie II wojny światowej, a zwłaszcza za oskarżenia o zdradę po uznaniu postanowień konferencji w Jałcie i przystąpieniu do zdominowanego przez komunistów rządu. W trakcie dyskusji minister obrony narodowej Michał Żymierski wyjaśniał, że przygotowując projekt uchwały skreślił nazwisko Andersa, gdyż generał nie znalazł się na przekazanej przez Anglików liście oficerów wstępujących do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia (były dowódca II Korpusu rzeczywiście nie wstąpił do PKPR). „Antypaństwową akcją Andersa – dodawał Żymierski – należy historycznie przywołać. [...] Należy uczynić wszystko, aby odciągnąć innych («szare masy») od wstępowania do PKPR”. Ostatecznie, na wniosek Żymierskiego, tego samego dnia, TRJN w odrębnej uchwale zdecydował o pozbawieniu obywatelstwa polskiego Władysława Andersa (rok później podobny los spotkał Mikołajczyka)<sup>3</sup>.

Generałowi zarzucano, że współorganizował Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia oraz namawiał podległych mu żołnierzy do wstępowania do tej formacji. Przebywając na emigracji miał działać na szkodę państwa polskiego, a w szczególności:

„1. Po utworzeniu legalnych władz Rzeczypospolitej nie podporządkował się Naczelnemu Dowództwu Wojska Polskiego.

2. Po zakończeniu działań wojennych nie powrócił do Kraju i czynił wszystko, aby uniemożliwić powrót podległym mu żołnierzom – rozwijając zarazem działalność godzącą w najżywot-

---

2. Uchwała Rady Ministrów z 26 IX 1946 r. o pozbawieniu obywatelstwa polskiego generałów i oficerów wstępujących do PKPR w: „Dziennik Rozkazów Ministerstwa Obrony Narodowej” 1946, nr 11, poz. 160, s. 192-193 (tu wymienione imiona i nazwiska wszystkich 75 oficerów pozbawionych obywatelstwa polskiego).

3. Protokół posiedzenia Rady Ministrów TRJN z 26 IX 1946 r. o pozbawieniu gen. W. Andersa obywatelstwa polskiego opublikował W. Markert, *Generał broni Władysław Anders (1892-1970)*, Warszawa 2007, s. 120-121.

niejsze interesy Państwa Polskiego, zagrażającą Jego bezpieczeństwu i całości granic.

3. Organizował i popierał walkę ośrodków terrorystyczno-dywersyjnych w Kraju przeciw interesom Narodu Polskiego i demokratycznej władzy Rzeczypospolitej”<sup>4</sup>.

Komentując decyzję o pozbawieniu byłego dowódcy II Korpusu obywatelstwa polskiego „Rzeczpospolita” twierdziła, iż „werbując” swych podkomendnych, obywateli polskich, do służby w szeregach obcego kraju Anders oraz jego najbliżsi współpracownicy (wymieniono generałów S. Kopańskiego i S. Maczka) „zdeptali laury zdobyte przez żołnierza polskiego pod Narwikiem i Tobrukiem, pod Monte Cassino i Falaise”<sup>5</sup>. Według „Polski Zbrojnej” pozbawienie Andersa („tego «watazki»”) obywatelstwa polskiego „było już dawno potrzebne”. „Człowiek ten – pisano – dobrze zasłużył się faszystom, i to już od chwili wyprowadzenia armii polskiej z ZSRR przez Morze Czerwone [!] na fronty drugorzędne, ale mordercze. Być może, że chciał zyskać sławę bohatera, o którą dba. Pamiętajmy, że jest to człowiek, który chciał uwięzić gen. Sikorskiego, przygotowując bunt i zamach na niego. Pozostał do końca faszystą. Być może, że dla wielu lordów jest to gentelman, dla nas nie”<sup>6</sup>.

Haniebna decyzja o pozbawieniu obywatelstwa zwycięzcy spod Monte Cassino została uchylona dopiero 15 marca 1989 roku (wcześniej, 23 listopada 1971 roku, rząd PRL uchylił uchwałę w sprawie oficerów wstępujących do PKPR, nie dotyczyła ona jednak generała Andersa)<sup>7</sup>.

---

4. Uchwała Rady Ministrów z 26 IX 1946 r. o pozbawieniu obywatelstwa polskiego gen. W. Andersa w: „Dziennik Rozkazów Ministerstwa Obrony Narodowej” 1946, nr 11, poz. 159, s. 192; *Gen. Anders pozbawiony obywatelstwa za działalność na szkodę Państwa Polskiego*, „Rzeczpospolita” 1946, nr 267, s. 1; *Za szkodliwą działalność antypaństwową Anders pozbawiony obywatelstwa polskiego*, „Polska Zbrojna” 1946, nr 232, s. 1. Zob. też A. Kochański, *Polska 1944-1991. Informator historyczny*, t. 1, Warszawa 1996, s. 167.

5. St. M., *Zdeptane laury*, „Rzeczpospolita” 1946, nr 268, s. 1.

6. (b.), *Najemnicy*, „Polska Zbrojna” 1946, nr 233, s. 1.

7. *Rada Ministrów anuluje decyzje o pozbawieniu obywatelstwa polskiego*, „Rzeczpospolita” 1989, nr 67, s. 1, 2. W. Markert, *op.cit.*, s. 123 myli się twierdząc, iż uchwała z 23 XI 1971 r. uchylała uchwałę pozbawiającą gen. W. Andersa obywatelstwa polskiego. Zob. też A. Kochański, *op.cit.*, t. 1, s. 167; *idem*, *op.cit.*, t. 3, cz. 2, Warszawa 2005, s. 861.

W kraju i na emigracji generał Anders stał się symbolem niezłomnego sprzeciwu oraz nadziei na zmianę tragicznego położenia Polski, legendą, z którą komuniści nie mogli sobie dać rady. Władze Polski Ludowej uważały go za jednego ze swych największych wrogów. Generał, wyrastając na przywódcę emigracji, stał się celem bezpardonowych ataków. Podważanie jego autorytetu, ośmieszanie i zohydowanie było trwałym elementem komunistycznej propagandy.

Odebranie Andersowi obywatelstwa nie rozwiązywało problemu jego popularności. Aby pokonać wroga, należało stworzyć jego negatywny wizerunek. Mit zwycięskiego wodza, dowódcy dbającego o los swych podwładnych, ambasadora sprawy polskiej, roztropnego przywódcy politycznego z tęsknotą wyczekiwanego w kraju zastąpić miała czarna legenda watażki i kondotiera, szafującego życiem żołnierzy, zdrajcy ojczyzny, intryganta, warchoła zżeranego niepohamowaną ambicją i żądzą władzy. Przedstawiano go jako bezrefleksyjnego antykomunistę oraz reakcjonistę, człowieka o ograniczonym umyśle, bez wyrobienia politycznego, a przy tym pospolitego malwersanta i aferzystę, uwielbiającego hazard. Wyśmiewano generała wracającego na białym koniu, czy jak na jednym z plakatów: jadącego na osle i grożącego, że „w Polsce powiesi się ze 100 000, resztę weźmiemy za mordę i zrobimy porządek”<sup>8</sup>.

Swoisty wzór poprawnej politycznie biografii generała wyznaczył M. Grabiec w wydanej w 1947 roku broszurze *Kariera barona Andersona*. Autor tego paszkwilu twierdził, że dowódca II Korpusu tylko udawał Polaka. Naprawdę zaś nazywał się Waldemar Anderson, był niemieckim baronem spod Rygi i luteraninem. W 1914 roku, licząc na karierę w wojsku rosyjskim zmienił imię i nazwisko na Władimir Andiers oraz przeszedł na prawosławie. Po wybuchu rewolucji lutowej w Rosji

---

8. W. Markert, *op.cit.*, s. 90-91; M. Polak, *Komuniści przeciwko generałowi Władysławowi Andersowi*, „Kombatant. Biuletyn Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych” 2007, nr 5 (196), s. 12-13; J. Z. Sawicki, *Anders na celowniku*, „Mówią Wieki” 2007, nr 11, s. 51-54; P. Ziętara, *Czarna legenda w PRL*, „Rzeczpospolita” (dodatek: „2007 – Rok Generała Andersa”) 2007 z 11-12 VIII, s. 10-11. Zob. też: J. Lencznarowicz, *Zwycięski wódz i zdraziecki watażka. Postać Władysława Andersa w mitologii politycznej polskiej emigracji pojaltańskiej*, „Przegląd Polonijny” 2007, nr 1, s. 5-40.



sztabrotmistrz Anders „przypomniawszy sobie”, że może być Polakiem i już jako Władysław Anders wstąpił do Korpusu Polskiego generała Józefa Dowbora-Muśnickiego. Jeszcze przed końcem I wojny światowej przeszedł kolejną metamorfozę: porzucił polski mundur i wstąpił do Wehrmachtu. Jednak w listopadzie 1918 roku postanowił „po raz drugi zostać Polakiem”. W okresie międzywojennym, jako dowódca pułku kawalerii rekwirował konie u okolicznych chłopów, a potem je sprzedawał. Miał być również uwikłany w zabójstwo młodego oficera, który wykrył jego malwersacje.

Zarówno we wrześniu 1939 roku, jak i wówczas, gdy stał na czele Armii Polskiej w ZSSR, Anders nie zamierzał walczyć „ze swymi rodakami spod znaku swastyki”, „wierzył bowiem w zwycięstwo Niemiec”. Jednak „rozumu politycznego nigdy nie posiadał za wiele” – pisał Grabiec. Gdy jego rachuby zawiodły, miał nadzieję, że w wyniku trzeciej wojny „powróci ze swymi chłopcami do Polski i będzie w niej zaprowadzał faszystowski ład i porządek”. Wcześniej spiskować miał przeciwko generałowi Władysławowi Sikorskiemu. Po dwóch nieudanych zamachach na życie premiera i naczelnego wodza „udał mu się «wypadek samolotowy»”. Chcąc zniszczyć mit zwycięskiego wodza, Grabiec dowodził, że „w czasie, gdy żołnierze II Korpusu przelewali krew na Monte Cassino, ich dzielny wódz dbał o łupy i zajmował się bardzo prozaicznym handlem walutą”. Ubiegając się o poparcie czynników kościelnych „kandydat na wodza faszystów polskich”: eksluteranin, *bywsiy prawosławnyj* przyjął w 1945 roku wiarę katolicką. Anders miał być mężem opatrnościowym „dawnych oenerowców, endeków, sanatorów, paniczyków z mieczykami i kastetami, faszystów wszystkich autoramentów, sprzedawczyków – wszelkiej szumowiny, wyrzucanej poza nawias naszego życia narodowego”. Pod jego kierownictwem działały „bandy” NSZ i WiN, za jego błogosławieństwem leśni zawierali sojusze z banderowcami, on organizował w Polsce szpiegostwo. „Okrzyk: «niech żyje Anders» – twierdził Grabiec – towarzyszy pogromom antysemickim, zbrodnicyzycznym zamachom na życie dobrych, prawdziwych Polaków, przestępczym rabunkom mienia państwowego, spółdzielczego i prywatnego”<sup>9</sup>. Na szczęście tego

---

9. M. Grabiec, *Kariera barona Andersona*, Warszawa [1947]. Zob. też:

typu propaganda miała ograniczoną moc. W zbiorowej pamięci narodu Anders pozostał niekwestionowanym bohaterem.

Tak zwana „teczka” Władysława Andersa (w rzeczywistości są to mikrofiszki), przechowywana w zbiorach Instytutu Pamięci Narodowej, zawiera zaledwie kilkanaście różnego rodzaju i objętości dokumentów, łącznie około 80 klatek zdjęć. Przyszły biograf generała przeglądając te materiały będzie rozczarowany zarówno ich zawartością, jak i niewielką objętością. Zgromadzone dokumenty zawierają informacje o współpracownikach Andersa, dotyczą jego zainteresowań, życia rodzinnego, pozwalają na ustalenie porządku dnia pracy generała, w mniejszym stopniu odnoszą się natomiast do jego działalności publicznej i politycznej. Żarliwy antykomunizm Andersa nie dawał nadziei na zwerbowanie go do współpracy. W zachowanej dokumentacji brak śladów, by tego typu działania były podejmowane czy choćby rozważane przez wywiad PRL. Pozyskanie generała z góry uznano za niemożliwe<sup>10</sup>.

Swoistym miernikiem znaczenia i roli Andersa w życiu politycznym emigracji może być liczba cytowań w wydanym w 1962 roku przez Departament I (wywiad) MSW informatorze *Polska emigracja polityczna*. W tym liczącym blisko 300 stron opracowaniu, przeznaczonym „tylko do użytku służbowego”, nazwisko byłego dowódcy II Korpusu pada aż na 100 stronach. Drugi w kolejności, Stanisław Mikołajczyk, przywoływany jest zaledwie na 56 stronach<sup>11</sup>.

W grudniu 1955 roku Hugo Hanke pseudonim „Ważny”, agent wywiadu PRL i były premier emigracyjnego rządu, już po przyjeździe do Warszawy, donosił o otoczeniu generała Andersa i jego drugiej żony Ireny (znanej pod scenicznym pseudonimem Renata Bogdańska). Najbliższym współpracownikiem generała był jego adiutant i szef kancelarii kapitan Eugeniusz Lubomirski: „Księżę Lubomirski – raportował były agent – jest osobą najwięcej wtajemniczoną we wszystkie prawie sprawy, nie tylko urzędowe, ale również prywatne. Usytuowany jest m.in. dlatego

---

J. Lencznarowicz, *op.cit.*, s. 32-35; M. Polak, *op.cit.*, s. 12; J. Z. Sawicki, *op.cit.*, 52; P. Zięta, *op.cit.*, s. 10.

10. Zob. „teczka” W. Andersa w AIPN, 01168/397.

11. *Polska emigracja polityczna. Informator*, Warszawa 1962 (reprint ze wstępem S. Cenckiewicza, Warszawa 2004).

bardzo dobrze, iż posiada różne koneksje z domami arystokracji angielskiej”. Drugim adiutantem generała był major Ludwik Łubieński. W biurze Andersa pracowały jeszcze trzy maszynistki i niższej rangi oficer. Najbliżsi współpracownicy Andersa często spotykali się w domu generała na brydżu: „Przy okazji takich wieczorków – donosił Hanke – odbywają się także narady różnego rodzaju i ustala się taktykę posunięć czy to na terenie Stow[arzyszenia Polskich] Komb[atantów], czy też na terenie tzw. kół oddziałowych”<sup>12</sup>. Hanke nie stronił również od przekazywania rozmaitych plotek. W jednym z wcześniejszych donosów twierdził, iż na zerwanie Andersa z prezydentem Augustem Zaleskim w 1954 roku wpłynęła żona generała, która rzekomo obawiała się, że jako prezydentowa będzie miała ograniczone możliwości bawienia się<sup>13</sup>.

Mimo takich kuriozalnych opinii informacje przekazane przez „Ważnego” pomogły w rozpracowaniu rodziny żony Andersa w Związku Sowieckim<sup>14</sup>. W tej sprawie kierownictwo MSW współpracowało ze służbami sowieckimi. W 1957 roku sojusznicy poinformowali wywiad PRL, że teściowie generała (Helena i Mikołaj Jarosiewiczowie) mieszkają we Lwowie. Jak wynikało z „rozpracowania”, ich córka Irena, żona Andersa, kontakt z rodzicami utrzymywała poprzez mieszkającą w Austrii starszą siostrę Darię (jeszcze w okresie I wojny światowej Daria miała wyjść za mąż za austriackiego majora Roberta Jagana). Jej listy do Londynu przychodziły na adres niejakiej Marii Męczyńskiej. Daria pośredniczyła również w kontaktach z pozostałymi członkami rodziny. W Stanach Zjednoczonych mieszkała trzecia córka Jarosiewiczów – Tatiana Kotik oraz syn – Anatol, w Kanadzie ich drugi syn – Stefan<sup>15</sup>.

Peerełowski wywiad żywo interesował się głośnym procesem Władysława Andersa z „Narodowcem”. Ślad tego pozostał

---

12. AIPN, 01168/397, Raport „Ważnego” [H. Hanke] Najbliższe otoczenie gen. Andersa i jego żony z 22 XII 1955 r.

13. Zob. K. Tarka, *Hugo Hanke premier-agent*, „Zeszyty Historyczne” 2005, z. 152, s. 41; K. Tarka, *Mackiewicz i inni. Wywiad PRL wobec emigrantów*, Łomianki 2007, s. 103.

14. Zob. K. Tarka, *Hugo Hanke...*, s. 38; K. Tarka, *Mackiewicz i inni...*, s. 100.

15. AIPN, 01168/397, Informacja z 9 V 1957 r. (tłumaczenie z rosyjskiego); *ibidem*, Informacja z 3 II 1966 r. (tłumaczenie z rosyjskiego).

również w „teczce” generała. Redakcja wydawanego w Lens dziennika, sympatyzująca z byłym premierem Stanisławem Mikołajczykiem niejednokrotnie brutalnie zwalczała polityków z „polskiego” Londynu. W liście do redakcji zamieszczonym 28 stycznia 1956 roku na łamach „Narodowca” Adam Gaś zarzucał Andersowi, że „jeszcze podczas pierwszej wojny światowej nie czuł się Polakiem, odmówił udziału w bitwie pod Warszawą, a w drugiej wojnie świat. był wrogiem rządu Sikorskiego i wierzył w zwycięstwo Hitlera”<sup>16</sup>. Choć oskarżenia Gasia współbrzmiały z zarzutami komunistycznej propagandy nie zostały zainspirowane przez wywiad PRL. Ich autor, który dopiero co związał się z Polskim Stronnictwem Ludowym kierowanym przez Mikołajczyka (przeciwnika Andersa), z gorliwością neofity chciał się raczej wykazać polityczną bezkompromisowością. Trzy lata później peerelowski wywiad zwerbował jednak Gasia do współpracy<sup>17</sup>.

W odpowiedzi na oszczerstwa generał wytoczył Gasiowi oraz redaktorowi i wydawcy „Narodowca” Michałowi Kwiatkowskiemu proces o zniesławienie przed angielskim sądem. Na wokandzie sprawa stała w lutym 1960 roku. Ława przysięgłych w trzech punktach uznała oskarżonych winnymi zniesławienia oraz stwierdziła, że ogłaszając zaskarżony artykuł nie działali w dobrej wierze (przysięgli orzekli, iż jedynie zarzut, że Anders był wrogiem rządu Sikorskiego nie był nieprawdziwy i w związku tym nie miał charakteru zniewagi). Andersowi przyznano odszkodowanie w wysokości 7 tys. funtów łącznie od obu pozwanych. Sędzia nakazał jednak generałowi pokryć 1/3 kosztów procesowych, które obliczono na 10 tys. funtów<sup>18</sup>.

---

16. A. Gaś, *Głosy czytelników. Obrazek z grajdolka londyńskiego*, „Narodowiec” 1956, nr 23, s. 2.

17. Zob. „teczka” A. Gasia w AIPN, 01227/48.

18. Przebieg procesu obszernie relacjonowała emigracyjna prasa, zob. m.in. „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 1960, nr 36-53, 56; „Orzeł Biały” 1960, nr 6-9; „Narodowiec” 1960, nr 36-53, 55, 56. J. Mieroszewski oceniał, iż „pozwan i ich świadkowie wykazali całkowity brak zmysłu politycznego i taktycznego. Mieli doskonałych obrońców, ale przy takim «planie bitwy» klęska była z góry przesądzona. Ci panowie – mimo wieloletniego pobytu na Zachodzie – absolutnie niczego się nie nauczyli. W Polsce przed wojną można było wykończyć przeciwnika insynuacjami i oszczerstwami. Ale w Anglii, jeżeli komuś stawia się zarzuty, to trzeba umieć je udowodnić”, Londyńczyk, *Kronika angielska. Lekcja z procesu*, „Kultura” 1960, nr 4/150, s. 72-74. Polemizował z nim redaktor „Narodowca”, zob.

Notatkę z procesu dla wywiadu PRL sporządził „K” – rotmistrz Jerzy Klimkowski, autor demaskatorskich wspomnień opublikowanych w Warszawie<sup>19</sup>. Klimkowski był obecny na sali sądowej, ale nie został powołany na świadka. Według informatora, mimo dużych nakładów finansowych, „Kwiatkowski procesu całkowicie nie przygotował”. Redaktor „Narodowca”, donosił Klimkowski, „wyraźnie nie panował nad całością akcji. Można ją było prowadzić o wiele sprężyściej i lepiej”<sup>20</sup>.

Przy okazji pobytu w Londynie Klimkowski spotkał się z kilkoma emigracyjnymi działaczami politycznymi oraz byłymi kolegami z wojska. Po rozmowie z prezesem Stronnictwa Pracy Karolem Popielem ocenił, że „jest on właściwie chętny do powrotu do kraju. Nie wie tylko, jak to przeprowadzić, z kim rozmawiać i co mógłby robić”. Informator zwracał uwagę na Andrzeja Strońskiego, syna Stanisława Strońskiego, znanego polityka i publicyście związanego z ruchem narodowym. W latach 1942-1949 Andrzej Stroński był sekretarzem Andersa, miał mu nawet pomagać przy pisaniu wspomnień *Bez ostatniego rozdziału*. Od kilku lat pozostawał jednak w bardzo złych

---

*Sprostowanie p. M. Kwiatkowskiego*, „Kultura” 1960, nr 6/152, s. 72-75. Na temat procesu zob. też H. Sarner, *Zdobywcy Monte Cassino. General Anders i jego żołnierze*, Poznań 2006, s. 256-258.

19. J. Klimkowski, *Byłem adiutantem generała Andersa*, Warszawa 1959. Por. J. Czapski, *O paszkwilu*, „Kultura” 1959, nr 6/140, s. 104-118. Czapski zarzucając Klimkowskiemu świadome fałszerstwo pisał: „Nie wiele znam książek, które miałyby tak mało wspólnego z prawdą. [...] Otóż książka Klimkowskiego ma jeden cel, któremu wszystko inne jest podporządkowane: przedstawić Andersa jako tchórza, łamiącego rozkazy zdrając, obojętnego na sprawy polskie, złodzieja i próżniaka, a ostatecznie mordercę Naczelnego Wodza”, zob. *ibidem*, s. 106. Na temat J. Klimkowskiego zob. też: Z. Bau, *«Salus» i konspiracja Klimkowskiego*, „Kultura” 1978, nr 1/364-2/365, s. 90-98; nr 3/366, s. 31-41; nr 4/367, s. 29-49; J. Czapski, *Konspiracja czy zabawa w Indian?*, „Kultura” 1978, 5/368, s. 139-142; M. Pruszyński, *Czy Klimkowski był agentem?*, „Zeszyty Historyczne” 2001, z. 136, s. 191-197; M. Pruszyński, *Rtm Jerzy Klimkowski – zaufany adiutant gen. Andersa*, „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 2002, nr 2, s. 143-148.

20. AIPN, 01168/397, Notatka „K” [J. Klimkowski] z 22 III 1960 r. z procesu Anders – „Narodowiec”. Gaś informując w lutym 1959 r. „Orkana”, oficera wywiadu PRL, o spodziewanym wniesieniu przez Andersa do angielskiego sądu sprawy przeciwko „Narodowcowi” prosił, aby w razie potrzeby władze PRL nie robiły trudności w przyjeździe Klimkowskiego na proces, zob. „teczka” A. Gasia w AIPN, 07227/48.

stosunkach z generałem. Opowiadał Klimkowskiemu, że Anders po przeczytaniu jego książki „podobno pienieł się przez parę dni, nie wychodził z domu, następnie rozchorował się”. Andrzej Stroński zabiegał o wydanie liczącego ponad 2 tys. stron zbioru dokumentów rządu polskiego z okresu ostatniej wojny, przeplatanych komentarzami swojego ojca. Nad wydaniem tej olbrzymiej pracy zastanawiał się Jerzy Giedroyc<sup>21</sup>. Inny rozmówca Klimkowskiego, major Fiszer, były szef żandarmerii na Środkowym Wschodzie, wyjawiał mu, że skłócony z Andersem obóz „zamkowy” zamierza wytoczyć generałowi sprawę przed sądem obywatelskim. „Wyrok” miał być dla prezydenta Zaleskiego podstawą do zdegradowania byłego dowódcy II Korpusu. Według Klimkowskiego pomysł był słuszny i całkiem możliwy do przeprowadzenia. Były adiutant Andersa miał jednak „duże wątpliwości”, czy organizatorom wystarczy „energii i zdecydowania do zorganizowania i przeprowadzenia powyższego” (ostatecznie do procesu przed sądem obywatelskim nie doszło). Major Marcei Kycia, prywatnie szwagier Heleny Sikorskiej, żalił się Klimkowskiemu na złe warunki bytowe wdowy po byłym premierze: „Wyraźnie dał do zrozumienia – donosił informator – że gdyby ktoś umiał do niej odpowiednio podejść, to by wróciła do kraju”. Klimkowski chwalił się, że jego książka na emigracji była wprost rozchwytywana. Wielu rozmówców miało go również zachęcać, aby napisał broszurę-komentarz do procesu Andersa z „Narodowcem”. Byli znajomi z wojska odnosili się do niego bardzo przyjaźnie, ostentacyjnie witali się na sali sądowej, odwiedzali go w hotelu, zapraszali na obiady i przestrzegali przed Andersem. Ambasador PRL w Londynie Eugeniusz Milnikiel popierać miał jego plan wyjazdu do Stanów Zjednoczonych z serią odczytów dla Polonii na temat polityki Sikorskiego, Mikołajczyka oraz procesu Andersa. Klimkowski, wyraźnie przydając sobie znaczenia, pisał: „Przyjazd mój do Londynu był

---

21. „Przegryzam się przez pamiętniki Strońskiego, które są pasjonujące. Niestety na przeczytane 400 str. znalazłem tylko 96 do usunięcia. Ale to obraz tak potwornie ponury, że niech się Sławoj ze swymi *Strzępami meldunków* schowa”, pisał Giedroyc do Zofii Hertz 28 VII 1959 r. (Archiwum Instytutu Literackiego). Praca S. Strońskiego ukazała się ostatecznie wiele lat później, zob. S. Stroński, *Polityka rządu polskiego na uchodźstwie w latach 1939-1942*, oprac. J. Piotrowski, Nowy Sącz 2007, t. 1-3, 1832 s.

dla wszystkich wielkim zaskoczeniem i wywołał nie tylko żywe komentarze, dużą konsternację, ale i wielki strach przed ewentualnym moim wystąpieniem. Ogólnie dziwiono się, że miałem odwagę przyjechać – po wydaniu swej książki, nie bojąc się ani Andersa, ani Anglików. Uważano, że swym przyjazdem obroniłem swą książkę od zarzutu, że jest ona nieprawdziwa”. Po powrocie do Warszawy Klimkowski namawiał swoich mocodawców, aby wykorzystali obecny kryzys i spróbowali „przejąć kierownictwo emigracji”. W tym celu „Należałoby przeanalizować czy ewentualnie nie pomóc «zamkowi» w akcji przeciwko Andersowi”<sup>22</sup>.

Różne informacje dotyczące Władysława Andersa odnaleźć można w „teczkach” wielu innych emigrantów, bądź współpracowników „bezpieki”. Na przełomie czerwca i lipca 1962 roku z generałem rozmawiał w Londynie Tadeusz Feliks Skarżyński, były żołnierz Związku Jaszczurczego i Narodowych Sił Zbrojnych, od końca lat czterdziestych agent Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie Służby Bezpieczeństwa (TW „Feliks”). Rozmówcy znali się jeszcze sprzed wojny, obaj byli filistrami korporacji „Arkonia”. „Feliks” wypytywał Andersa o sytuację w „polskim” Londynie, a zwłaszcza o stosunek kierownictwa politycznego emigracji do Niemiec oraz sprawę Ziemi Zachodnich<sup>23</sup>.

Uzyskane w połowie lat sześćdziesiątych informacje pozwoliły na ustalenie rozkładu dnia generała. Zawarte w raporcie szczegóły oraz charakterystyki współpracowników Andersa świadczą o tym, że anonimowe „źródło agenturalne” usytuowane było w najbliższym otoczeniu generała. Ustalono, że Anders mieszkał wraz z żoną i dorastającą córką Anną Marią we własnym, jednopiętrowym, ośmiopokojowym domu w północno-zachodnim Londynie przy 78 Brondesbury Park. W prowadzeniu domu pomagała Irena Szydłowska, Irlandka, żona emigranta polskiego, bardzo żyła z Andersami.

Generał, mimo podeszłego wieku (rocznik 1892), był bardzo aktywny. Wstawał około dziesiątej rano. Godzinę później

---

22. AIPN, 01168/397, Notatka „K” z 22 III 1960 r.

23. J. Żaryn, *Raport z rozmowy w cztery oczy czyli opinie i poglądy generała Władysława Andersa*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2005, nr 9/10 (56-57), s. 101-110.

wychodził z domu i własnym samochodem (ciemnoniebieski Ford Cortina) jechał do Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, gdzie na parterze, na wprost głównego wejścia, mieściło się jego biuro. Po przywitaniu ze współpracownikami Anders szedł do swego gabinetu. Pracę rozpoczynał od czytania poczty, którą przynosił mu sekretarz porucznik Jan Konopka. Następnie pierwszy adiutant, kapitan Eugeniusz Lubomirski, przedstawiał generałowi plan zajęć. Po nim przychodził pułkownik Wincenty Bąkiewicz, były szef Drugiego Oddziału w II Korpusie. Po rozmowach z najbliższymi współpracownikami przez kolejne dwie godziny Anders przyjmował zapowiedzianych na dany dzień interesantów. W czasie pobytu w biurze wypijał zazwyczaj małą szklankę whisky oraz filiżankę czarnej kawy. Około godziny czternastej kończył urzędowanie i wracał do domu.

Mimo licznych zajęć Anders cenił sobie życie rodzinne. Był bardzo mocno przywiązany do najmłodszej córki Anny Marii, „dla której jest gotów zrobić wszystko”. W domu, po obiedzie, generał udawał się do sypialni, gdzie odpoczywał, czytając prasę lub książki. O siódmej wieczorem schodził do jadalni na kolację. Następnie oglądał program telewizyjny (jak odnotowano w raporcie Anders był „wielkim zwolennikiem” telewizji). Około jedenastej w nocy, gdy wszyscy domownicy szli już spać, czytał jeszcze w łóżku gazety. Oficer prasowy zakreślał mu wcześniej ciekawsze fragmenty w londyńskim „Dzienniku Polskim” oraz „Daily Telegraph”. Generał regularnie czytał także prasę sowiecką: „Prawdę”, „Komsomolską Prawdę” oraz „Izwestia”. Przeglądał książki, przeważnie z dziedziny wojskowej oraz różne biuletyny informacyjne. Zasnął około drugiej w nocy. Na stoliku, przy łóżku Andersa, „honorowe” miejsce zajmować miały Biblia oraz „Trylogia” Sienkiewicza, która była jego ulubioną lekturą. Czwartkowe popołudnia generał spędzał na brydżu w Ognisku Polskim. Grał zazwyczaj ze swoim adiutantem Eugeniuszem Lubomirskim, mecenasem Zygmuntem Nadratowskim oraz doktorem Witoldem Grzembo.

Według „źródła agenturalnego” Anders był „zarozumiały, a jednocześnie prostolinijny w postępowaniu, zazdrosny o swoją sławę, apodyktyczny, nie grzeszący inteligencją, nadal wierzący w swe posłannictwo i rolę, jaką odgrywa na arenie polityki świa-



towej”. Donosiciel przyznawał jednak, że zdolności oratorskie, poczucie misji, żarliwość oraz polityczna bezkompromisowość ciągle budziły w byłych podkomendnych uznanie dla generała. Silna osobowość mimo upływu lat nadal była magnesem dla wielu byłych żołnierzy. Autorytet generała utrzymywała również kurtuazja, z jaką traktowali go Anglicy.

Jak wynikało z „rozpracowania” generała, Edward Raczyński, członek Rady Trzech, były minister spraw zagranicznych i ambasador w Londynie, w oparciu o osobiste kontakty z Foreign Office na bieżąco informował Andersa o sytuacji politycznej. Ze względu na zasługi w przeszłości osobą wysuwaną przez otoczenie „Watażki” na czołowe miejsce miał być generał Tadeusz Bór-Komorowski, były komendant główny Armii Krajowej. Wielu uważało go za naturalnego następcę Andersa. Następną osobą w hierarchii był generał Stanisław Kopański, były dowódca Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Podobnie jak Anders, Kopański był miłośnikiem „Trylogii”. Podczas towarzyskich spotkań generałowie mieli się nawzajem wypytywać o szczegóły sytuacyjne z powieści Sienkiewicza.

Od lat w bardzo zażyłych stosunkach z Andersem pozostawał pułkownik Wincenty Bąkiewicz. Generał codziennie spotykał się z nim w swoim biurze, często również w domu. Bąkiewicz miał dostęp do Andersa o każdej porze dnia i nocy: „Żadna, nawet najmniejsza sprawa nie jest przed nim zatajana”. Według informatora: „Co Bąkiewicz powie, to dla Andersa jest to pismo święte, ma on wyjątkowo duży wpływ na Andersa”. Podległa Bąkiewiczowi zakonspirowana komórka prowadzić miała działalność wywiadowczą i kontrwywiadowczą na emigracji, pozostając w stałych kontaktach z wywiadem brytyjskim i amerykańskim. W Warszawie podejrzewano nawet, iż na polecenie Andersa i Bąkiewicza niektórzy emigranci (np. Tadeusz Zabłocki, znany w „polskim” Londynie przedsiębiorca i filantrop) utrzymywali kontakty z placówkami Polski Ludowej. „Biuro wojskowe” Andersa miało się również zajmować rozpracowywaniem działalności polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych na Wyspach. Poprzez byłych żołnierzy II Korpusu lub AK utrzymywano również łączność z krajem. W ocenie wywiadu PRL „Środowiska b. wojskowych, podporządkowane Andersowi, stanowią najbardziej reakcyjne i najlepiej zorganizowane

ugrupowanie polskiej emigracji”<sup>24</sup>.

Wywiad PRL na swój sposób doceniał rolę i znaczenie Andersa w „polskim” Londynie. W notatce z 31 października 1962 roku pisano: „Watażka» jest sztandarową postacią wrogiej emigracji. Każda poważniejsza akcja na emigracji jest przez niego akceptowana”. Z niepokojem obserwowano również różnego rodzaju kontakty generała z wyższymi dowódcami państw członkowskich NATO<sup>25</sup>.

Władysław Anders zmarł 12 maja 1970 roku w Londynie. W kazaniu nad trumną generała biskup Władysław Rubin powiedział: „Życie Generała Andersa było pełne trudu, przeciwności i zmagania. Jednakże przeciwności, trudy, niedola, niewola i walka nie załamały go nigdy. Szedł po swojej drodze wierny ideałom, które ukochał; nie usunął się w zacisze spokojnego życia, lecz pełen wiary w pomoc Bożą i walcząc odważnie i poprzez całe życie w służbie tych najwyższych ideałów, zdołał nie tylko przewycięzać te wszystkie przeciwności, ale decydująco wpłynął na rzesze dobrych synów narodu naszego, aby podobnie jak on dążyły z całą wytrwałością do tego wyzwolenia, które Bóg przyrzekł swoim wiernym, a które jest oparte na sprawiedliwości, równości i wolności, każdego człowieka, każdego narodu”<sup>26</sup>.

Kilka miesięcy po śmierci generała Andersa sprawa o kryptonimie „Watażka” została ostatecznie zamknięta, a zgromadzone dokumenty trafiły do archiwum Departamentu I MSW<sup>27</sup>.

*Krzysztof TARKA*

---

24. *Ibidem*, Notatka z 16 II 1966 r. dotycząca Andersa i jego organizacji.

25. AIPN, 01168/397, Notatka z 31 X 1962 r. dotycząca figuranta sprawy ps. „Watażka”.

26. Ks. bp. W. Rubin, *Kazanie nad trumną Generała*, w: *General Anders życie i chwala*, oprac. i red. M. Hemar, Londyn 1997, s. 189, 191. Zob. też: J. Czapski, G. Herling-Grudziński, *Dialog o Dowódcy*, „Kultura” 1970, nr 7/274-8/275, s. 15-25.

27. AIPN, 01168/397, Postanowienie z 29 X 1970 r. o zakończeniu i przekazaniu sprawy rozpracowania operacyjnego kryptonim „Watażka” do archiwum Departamentu I MSW.

Robert SKOBELSKI

## GOMUŁKA WOBEC ROZBIEŻNOŚCI SOWIECKO-CHIŃSKICH W LATACH 1956-1970

Sprzeczności w stosunkach sowiecko-chińskich, a tym samym w międzynarodowym ruchu komunistycznym, nabrały tempa po XX Zjeździe KPZR, jednak ich geneza sięga czasów wcześniejszych<sup>1</sup>. Pierwsze rozbieżności pomiędzy komunistami chińskimi a Stalinem, związane m.in. z zagadnieniem rewolucyjnej roli chłopstwa, występowały już w latach dwudziestych i trzydziestych. W polityce Kremla wobec Azji przewidywano dla Komunistycznej Partii Chin (KPCh) jedynie rolę narzędzia, dzięki któremu będzie można wpływać na sytuację w podzielonych Chinach. Dlatego Stalin, głęboko nieufny wobec Mao Zedonga i kierownictwa partii chińskiej, starał się ingerować w strategię jej walki z Kuomintangiem i udzielał KPCh jedynie ograniczonej pomocy. W tej sytuacji ostateczne zwycięstwo komunistów w 1949 r. oraz powstanie Chińskiej Republiki Ludowej (ChRL) zostało przyjęte przez sowieckiego przywódcę z chłodną zyczliwością. Względy polityczne górowały w tym przy-

---

1. J. W. Strong, *Spór chińsko-sowiecki*, w: *Państwa komunistyczne u progu lat siedemdziesiątych*, red. A. Bromke i T. Rakowska-Harmestone, Londyn 1973, s. 26-27; G. Stern, *The Rise and Decline of International Communism*, London 1990, s. 173-174.

padku nad ideologicznymi – z jednej strony Stalina i jego otoczenie satysfakcjonował kolejny triumf komunizmu, ale z drugiej przewidywano również, że u granic ZSRR pojawił się silny konkurent, którego, choćby z uwagi na potencjał demograficzny, nie można będzie traktować w taki sam sposób, jak zależnych krajów z Europy Środkowowschodniej<sup>2</sup>.

Na przełomie 1949 i 1950 r. Mao Zedong przebywał z oficjalną wizytą w Moskwie. Zgotowano mu tam lepsze przyjęcie niż w wypadku innych szefów państw komunistycznych. Nie oznaczało to jednak zmiany niechętnego stosunku Stalina do chińskiego gościa, a wynikało przede wszystkim z taktyki politycznej<sup>3</sup>. Przywódca ZSRR, przyjaznymi gestami, starał się przekonać Mao Zedonga do szczerości swoich sojuszniczych intencji wobec ChRL, ale jednocześnie demonstrował własną wyższość i wskazywał Chińczykowi jego miejsce w szeregu<sup>4</sup>. Nie mogło oczywiście w tej sytuacji dojść między nimi do polepszenia stosunków czy choćby zmniejszenia dystansu. Dlatego Mao Zedong, odczytując właściwie polityczną grę Stalina, odwzajemniał niechęć sowieckiemu dyktatorowi, ale w odczuciach Przewodniczącego ChRL przeważał podziw i respekt przed gospodarzem Kremla, jako niekwestionowanym przywódcą obozu socjalistycznego, a także pragmatyzm – lider KPCh zdawał sobie sprawę ze znaczenia, nie tylko ideologicznego, jakie dla jego kraju miał sojusz ze Związkiem Sowieckim, i był zdecydowany

---

2. R. Conquest, *Stalin*, Warszawa 1996, s. 309; W. J. Dziak, J. Bayer, *Mao. Zwycięstwa, nadzieje, klęski*, Warszawa 2007, s. 20-22; M. Heller, A. Niekricz, *Utopia u władzy. Historia Związku Sowieckiego*, Londyn 1987, t. 2, s. 128; zob. też: J. Polit, *Chińska wojna domowa 1946-1949*, „Arcana” 1996, nr 2, s. 59; N. S. Chruszczow, *Wspominania. Izbrannyje fragmenty*, Moskwa 1997, s. 332-333.

3. Przyjazd Mao Zedonga do Moskwy został poprzedzony nieoficjalną wizytą chińskiej delegacji na czele z wiceprzewodniczącym KC KPCh Liu Shaoqi w dniach 26 czerwca-14 sierpnia 1949 r., której celem było wypracowanie warunków porozumienia, jakie kilka miesięcy później zostało podpisane w Moskwie (J. Abkowicz, *Stalin i Mao*, „Dziś” 2001, nr 3, s. 107-108).

4. Stalin w rozmowie z Mao Zedongiem zdobył się nawet na bezprecedensowe przyznanie się do własnej pomyłki stwierdzając, że nie docenił sił rewolucji chińskiej i możliwości jej sukcesu i że w tej konkretnej sprawie rację mieli przywódcy KPCh (W. J. Dziak, J. Bayer, *op.cit.*, s. 23; zob. też: J. L. Gaddis, *Teraz już wiemy... Nowa historia zimnej wojny*, Warszawa 1998, s. 94).

zapłacić za niego wysoką cenę<sup>5</sup>.

14 lutego 1950 r. pobyt Mao Zedonga w stolicy ZSRR został uwieńczony podpisaniem chińsko-sowieckiego układu o przyjaźni, sojuszu i współpracy wzajemnej, mającego obowiązywać przez trzydzieści lat<sup>6</sup>. Stalin, przyznając ChRL niewielki kredyt (300 mln dolarów), zobowiązał się do przekazania Chińczykom do końca 1952 r. Kolei Wschodniochińskiej oraz sowieckich enklaw w Mandżurii, ale zażądał zwrotu kosztów rozbudowy bazy w Port Artur. W marcu tego samego roku Pekin musiał się pogodzić z dodatkowym układem, narzuconym przez Kreml, który, podobnie jak w przypadku kilku europejskich krajów socjalistycznych, przewidywał utworzenie na terytorium Chin mieszanych spółek akcyjnych<sup>7</sup>.

Śmierć Stalina i jej konsekwencje w postaci rywalizacji o władzę w kierownictwie KPZR oraz rozluźnienia sowieckiej kontroli nad krajami demokracji ludowej stwarzały dla ChRL możliwość wzmocnienia własnej pozycji w ramach obozu socjalistycznego<sup>8</sup>. Pekin wprawdzie uznawał w dalszym ciągu przywództwo ZSRR, ale liczył jednocześnie, że KPCh będzie odgrywać w międzynarodowym ruchu komunistycznym rolę przynajmniej równorzędną z KPZR. Dochodziły do tego także chińskie aspiracje rozszerzania wpływów wśród państw Trzeciego Świata, zwłaszcza w Azji, a także osobiste ambicje samego Mao Zedonga widzącego siebie w roli przywódcy światowego komunizmu. Sytuacji tej sprzyjała zmiana nastawienia nowego kierownictwa ZSRR wobec Pekinu. Podczas oficjalnej wizyty

---

5. I. Grabowska-Lipińska, *Strategia polityczna Chińskiej Republiki Ludowej wobec krajów Azji Południowo-Wschodniej w latach 1949-1976*, Warszawa 1995, s. 68-69; Shu Guang Zhang, *In the Shadow of Mao: Zhou Enlai and New China's Diplomacy*, w: *The Diplomats 1939-1979*, ed. G. A. Craig, F. L. Loewenheim, Princeton 1994, s. 347-348.

6. D. Wołkogonow, *Stalin*, Warszawa 1998, t. 2, s. 320; S. Uhalley, Jr., *A History of the Chinese Communist Party*, California 1988, s. 103.

7. K. Makowski, *Świat według Mao Zedonga. Doktrynalne podstawy chińskiej polityki zagranicznej (1949-1976)*, Toruń 2005, s. 17-18; W. J. Dziak, J. Bayer, *op.cit.*, s. 26-28; D. Wołkogonow, *op.cit.*, s. 320-321; S. Uhalley Jr., *op.cit.*, s. 103; R. Terrill, *Mao. Biografia*, Warszawa 2001, s. 233; J. Polit, *Chiny*, Warszawa 2004, s. 194; O. Borisow, B. Kołoskow, *Stosunki radziecko-chińskie 1945-1978*, Warszawa 1979, s. 51-52.

8. W. J. Dziak, *Albania między Belgradem, Moskwą i Pekinem*, Warszawa 1991, s. 81.

delegacji sowieckiej w ChRL jesienią 1954 r. Chruszczow odbył kilka rozmów z Mao Zedongiem. Uzgodniono wspólną deklarację, akcentującą „przyjacielskie stosunki między ZSRR a Chinami”, które miały być oparte na „równości praw, wspólnych korzyściach, wzajemnym poszanowaniu, narodowej suwerenności i integralności terytorialnej”<sup>9</sup>. Potwierdzeniem zasad podpisanego dokumentu stało się zrzeczenie przez stronę sowiecką udziałów w spółkach mieszanych i wspólnych przedsiębiorstwach, a także zobowiązanie Kremla do zwiększenia pomocy ekonomicznej dla Pekinu, m.in. poprzez dostawy inwestycyjne oraz oddelegowanie do ChRL różnych specjalistów<sup>10</sup>.

Kierownictwo KPCh zaczynało w tym okresie wykazywać większe zainteresowanie rozwojem kontaktów z innymi krajami bloku wschodniego<sup>11</sup>. W 1954 r. przedstawiciele władz chińskich na czele z premierem Zhou Enlaiem złożyli wizyty w kilku państwach socjalistycznych Europy Środkowowschodniej, proponując współpracę i rozszerzanie wzajemnych stosunków politycznych. Spotkanie i rozmowy delegacji ChRL z kierownictwem polskim w Warszawie zbiegło się z obchodami dziesięciolecia PRL. Podpisano wówczas umowę o polsko-chińskiej współpracy naukowo-technicznej<sup>12</sup>.

---

9. F. Fejtő, *Europa wschodnia po śmierci Stalina. Historia Krajów Demokracji Ludowej 1953-1973*, Wrocław 1988, s. 36; zob. też: J. Abkowicz, *ZSRR-Chiny. Początek rozłamu*, „Dziś” 2000, nr 10, s. 107.

10. P. Jones, S. Kevill, *China and the Soviet Union 1949-84. Keesing's international studies*, London 1985, s. 5; G. Stern, *op.cit.*, s. 173-174; I. Grabowska-Lipińska, *op.cit.*, s. 96; R. A. Miedwiediew, *Chruszczow. Biografia polityczna*, Warszawa 1990, s. 82.

11. Mao Zedong zamierzał odwiedzić niektóre kraje socjalistyczne w Europie Środkowowschodniej jeszcze w 1949 r., po zakończeniu wizyty w ZSRR, jednak zrezygnował z tego zamiaru z obawy przed reakcją Stalina (Shen Zhihua, *Rola Chin w rozwiązywaniu kryzysu październikowego 1956 r. Analiza postawy Chin wobec wydarzeń w Polsce i na Węgrzech*, „Polski Przegląd Dyplomatyczny” 2005, nr 4, s. 44-45).

12. W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 81. Wcześniej kontakty z państwami socjalistycznymi, poza ZSRR, ograniczały się jedynie do zawarcia w latach 1951-1952 umów o współpracy kulturalnej, które podpisano m.in. z Polską, Rumunią i Bułgarią (Z. Brzeziński, *Jedność czy konflikt*, Londyn 1964, s. 110). We wrześniu 1954 r. na obchody piątej rocznicy powstania ChRL udała się do Pekinu delegacja polska, której przewodniczył Bolesław Bierut (Shen Zhihua, Li Danhui, *Kryzys w Polsce 1956 roku i stosunki polsko-chińskie widziane z Pekinu*, w: *Polski Październik 1956 w polityce międzynarodowej*, red. J. Rowiński, Warszawa 2006, s. 72;

Uchwały XX Zjazdu KPZR i publiczne ujawnienie przez Chruszczowa niektórych zbrodni Stalina spotkały się z poparciem ze strony liderów KPCh. W sferze polityki wewnętrznej przywódcy chińscy chcieli wykorzystać kurs na destalinizację w celu dalszego umacniania ustroju socjalistycznego i władzy własnej partii. Na obszarze stosunków międzynarodowych stwarzał on im szansę na realizację planów podważenia (na swoją korzyść) pozycji KPZR w ruchu komunistycznym poprzez krytykę sowieckiego „szowinizmu wielkomocarstwowego”, czyli narzuconych przez Stalina stosunków podległości między państwami socjalistycznymi. W tym kontekście należy rozumieć propozycję swoistej alternatywy wobec procesów liberalizacji zainicjowanych w ZSRR, którą była w Chinach, ogłoszona w maju 1956 r., kampania pod hasłem „Niech rozkwita sto kwiatów, niech współzawodniczy ze sobą sto szkół”. Kampanię tę miano realizować w formie ogólnonarodowej, niczym nie skrzepowanej, demokratycznej dyskusji nad aktualnymi sprawami kraju. W ten sposób Mao Zedong i kierownictwo ChRL dążyło do podkreślenia jedności własnego narodu rządzonego przez KPCh oraz wykazania przed innymi partiami komunistycznymi dojrzałości systemu chińskiego, który potrafi uniknąć błędów ZSRR w budowie socjalizmu, wypracowując samodzielnie skuteczne formy rozwiązywania problemów wewnętrznych państwa<sup>13</sup>.

Impuls XX Zjazdu szybko zaczął wywoływać zbyt szeroki rezonans zarówno w odniesieniu do sytuacji wewnętrznej w ChRL, jak i rozwoju wypadków w obozie socjalistycznym. Było to szczególnie istotne dla Mao Zedonga, który zgadzał się z krytyką Stalina i akcentował wielokrotnie jego nieprzyjazną politykę wobec Chin<sup>14</sup>. Przewodniczący ChRL jednocześnie prze-

---

W. J. Dziak, *Stosunki polsko-chińskie w materiałach archiwalnych polskiego MSZ w latach 1950-1960. Próba zarysu problematyki*, „Gdańskie Studia Międzynarodowe” 2003, t. 2, nr 1, s. 101; J. Zając, R. Zięba, *Polska w stosunkach międzynarodowych 1945-1989*, Toruń 2005, s. 109; J. Tereszyński, *Stosunki Polski z Chińską Republiką Ludową*, w: *Stosunki Polski z innymi państwami socjalistycznymi*, red. C. Mojsiewicz, Warszawa 1973, s. 226).

13. W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 83; zob. też: W. J. Dziak, J. Bayer, *op.cit.*, s. 72-73; S. Uhalley Jr., *op.cit.*, s. 110.

14. N. S. Chruszczow, *op.cit.*, s. 330.

widował, że destalinizacja może zagrozić także jego przywódczej pozycji. Polityczne koncepcje Mao Zedonga spotykały się bowiem z coraz wyraźniejszą krytyką ze strony innych liderów partyjnych. Znalazło to swój wyraz w trakcie pierwszej sesji VIII Zjazdu KPCh zorganizowanego we wrześniu 1956 r., kiedy to wielu mówców, inspirowanych trendem walki z „kultem jednostki” wskazywało na Mao Zedonga i jego błędy związane ze strategią przyspieszonej budowy socjalizmu i coraz wyraźniejszym odcinaniem się w tym względzie od wzorców sowieckich<sup>15</sup>. Na Zjeździe przyjęto również wiele zmian organizacyjnych dotyczących kierowania partią, które znacznie osłabiały dotychczasową rolę Mao Zedonga. Najbardziej wymownym dowodem działań jego krytyków stało się wyeliminowanie z nowego statutu partii sformułowania o „ideach Mao Zedonga”, jako podstawie teoretyczno-ideologicznej działalności KPCh<sup>16</sup>.

Wkrótce doszło także do kryzysu politycznego w Polsce i dramatycznych wydarzeń na Węgrzech. Wprawdzie rola, jaką odegrało wówczas kierownictwo KPCh, spowodowała wzmocnienie pozycji i autorytetu ChRL wśród państw socjalistycznych i dalsze osłabienie hegemonii ZSRR (w tym momencie blok wschodni miał już dwóch równorzędnych liderów – Chińską Republikę Ludową i Związek Sowiecki)<sup>17</sup>, to równocześnie uzmysłowiło chińskim liderom, także krytykom Mao Zedonga, że zakres destalinizacji i nowy kurs polityki sowieckiej oraz wynikające z tego nadmierne zdezawuowanie ideologicznego prymatu Kremla, przyniosły daleko głębsze konsekwencje, niż można byłoby sobie tego życzyć, nawet widmo rozkładu całego bloku socjalistycznego. W tej sytuacji popieranie strategii XX Zjazdu stało się dla chińskich komunistów z punktu widzenia ich interesów mało opłacalne i wręcz niebezpieczne<sup>18</sup>.

Wykorzystując te okoliczności, Mao Zedong szybko odzyskał swoją pozycję polityczną, nadszarpniętą krytyką podczas

---

15. W. J. Dziak, J. Bayer, *op.cit.*, s. 38-41; Shen Zhihua, Li Danhui, *op.cit.*, s. 73; Shen Zhihua, *op.cit.*, s. 48-50.

16. W. J. Dziak, J. Bayer, *op.cit.*, s. 45; zob. też: R. Terrill, *op.cit.*, s. 287.

17. F. Fejtő, *op.cit.*, s. 86.

18. Z. Brzeziński, *op.cit.*, s. 236; W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 83; W. J. Dziak, J. Bayer, *op.cit.*, s. 51, 95; por. też: P. Jones, S. Kevill, *op.cit.*, s. 8; G. Stern, *op.cit.*, s. 132.



VIII Zjazdu, i zdołał wkrótce narzucić reszcie kierownictwa partyjnego, w tym dotychczasowym oponentom, własną wizję rozwoju kraju i budowy socjalizmu oraz kierunków jego polityki zagranicznej<sup>19</sup>. W ten sposób, począwszy od końca 1956 r., przywódcy partii chińskiej zaczęli stopniowo zmieniać dotychczasowy kurs i występować coraz wyraźniej przeciwko ustaleniom XX Zjazdu, łącznie z zaprzestaniem krytyki Stalina. W wymiarze wewnętrznym oznaczało to zahamowanie kampanii „stu kwiatów”, której zakres zaczynał przekraczać granice bezpiecznej dla władz debaty, i odwrócenie jej biegu w kierunku zwalczania „trujących chwastów” – ujawnionych przeciwników KPCh. Natomiast wobec osłabionego bloku wschodniego podjęto wysiłki na rzecz przywrócenia jego spójności ideologicznej, co częściowo współgrało z dążeniami ZSRR, przestrzegając rządzące partie komunistyczne, zwłaszcza PZPR, przed nadmiernym rozszerzaniem własnej autonomii. Wiązała się z tym przybie-  
rająca na sile wyrażana przez Pekin krytyka rewizjonistycznego stanowiska Jugosławii, wynikającego z jej dążeń do partnerstwa w stosunkach między państwami komunistycznymi oraz propagowania szkodliwych dla innych odmienności systemowych. Realizując nowy kierunek swojej polityki, liderzy chińscy posługiwali się często podkreśleniem pozycji i roli ZSRR jako „centrum międzynarodowej, proletariackiej solidarności” (oczywiście do czasu, kiedy do przywództwa zdolne będą już tylko Chiny). Funkcję tę jednak – ich zdaniem – Kreml miał spełniać już bez uciekania się do „wielkomocarstwowego szowinizmu”, a do tego z udziałem chińskiego partnera i z uwzględnieniem jego interesów<sup>20</sup>.

Najistotniejszymi elementami odwrotu kierownictwa ChRL od akceptacji zasad XX Zjazdu stało się odrzucenie możliwości pokojowej drogi do socjalizmu, podważanie idei pokojowego współistnienia, niebezpiecznego jakoby dla sprawy rewolucji, oraz powrót do twierdzenia o nieuchronności konfliktu zbrojnego między światem socjalistycznym i kapitalistycznym. U podłoża tych koncepcji leżało przekonanie Mao Zedonga, że o

---

19. W. J. Dziak, J. Bayer, *op.cit.*, s. 47, 51 i nast.

20. Z. Brzeziński, *op.cit.*, s. 237; F. Fejtő, *op.cit.*, s. 87-88; G. Stern, *op.cit.*, s. 175; W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 86 i nast.; R. Terrill, *op.cit.*, s. 282-283.

rozwoju rewolucji, ludzkości i świata decydują stałe napięcia, konflikty i wojny. Stanowiły one w jego przekonaniu narzędzie do uzyskania przez Chiny kluczowej pozycji nie tylko w ruchu komunistycznym, ale i na arenie międzynarodowej, na przeszkodzie realizacji tych mocarstwowych celów stała zaś polityka Kremla po XX Zjeździe, zwłaszcza w jej wymiarze odprężeniowym<sup>21</sup>.

W tej atmosferze w listopadzie 1957 r. w Moskwie odbyła się międzynarodowa Narada Przedstawicieli Partii Komunistycznych i Robotniczych. Jej uczestnicy zamierzali się odnieść do sytuacji politycznej na świecie i wypracować w związku z tym nową strategię obozu socjalistycznego<sup>22</sup>. Największą aktywność w trakcie narady wykazywała delegacja KPCh, której przewodniczył Mao Zedong. Chińczycy, w imię przywrócenia konsolidacji ideologicznej obozu socjalistycznego, akcentowali przy każdej okazji potrzebę jedności u boku ZSRR. Odrzucając koncepcję różnorodnych dróg do socjalizmu, forsowali równocześnie własną interpretację tendencji dogmatycznych i rewizjonistycznych w ruchu komunistycznym; bagatelizując dogmatyzm, twierdzili, wskazując przy tym jednoznacznie na Jugosławię, że największym zagrożeniem dla socjalizmu jest rewizjonizm, który w ich rozumieniu stanowi odbicie ideologii burżuazyjnej i „paraliżuje rewolucyjną energię”<sup>23</sup>. Zgodnie ze swoją nową strategią KPCh wypowiadała się także otwarcie przeciwko pokojowemu współlistnieniu i starała się narzucić pozostałym partiom komunistycznym, w tym KPZR, radykalny kurs w stosunkach międzynarodowych, oznaczający podjęcie konfrontacyjnej polityki wobec Zachodu. Mao Zedong przedstawił w związku z tym, zaskakujące dla pozostałych uczestników narady, własne poglądy na temat wojny, która – jego zadaniem – mimo groźby unicestwienia połowy ludzkości, mogłaby spowodować, że „imperializm [...] zostałby zmieciony z powierzchni ziemi i

---

21. W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 94; W. J. Dziak, J. Bayer, *op.cit.*, s. 119-120; zob. też: K. Makowski, *op.cit.*, s. 40 i nast.

22. A. Skrzypek, *Mechanizmy autonomii. Stosunki polsko-radzieckie 1956-1965*, Pułtusk-Warszawa 2005, s. 145.

23. F. Fejtő, *op.cit.*, s. 91; zob. też: A. Halimarski, *Rozłamowa działalność przywódców Komunistycznej Partii Chin w ruchu komunistycznym kapitalistycznych państw Europy*, w: *Ideologia i polityka współczesnego lewactwa*, red. J. Janicki, J. Muszyński, Warszawa 1976, s. 215.

cały świat stałby się socjalistyczny”<sup>24</sup>. Oczywiście, Przewodniczący ChRL pomijał konsekwencje takiego konfliktu, wynikające z użycia na masową skalę broni nuklearnej<sup>25</sup>.

Przywódcy sowieccy na czele z Chruszczowem akceptowali do pewnego stopnia postulaty chińskie, gdyż zależało im również na wzmocnieniu obozu socjalistycznego i powstrzymaniu jego erozji wywołanej wydarzeniami 1956 r. Chruszczowa mogło także satysfakcjonować określanie roli ZSRR jako przywódczej, zwłaszcza jeżeli robił to Pekin. Kreml nie zamierzał jednak zmieniać swojego kursu politycznego, zorientowanego na koegzystencję z Zachodem oraz nieprovokowanie konfliktów ze Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami. Dla kierownictwa KPZR nie do przyjęcia było więc stanowisko Mao Zedonga w kwestii wojny, które uważano za awanturnicze. W tej sytuacji „Deklaracja” dwunastu rządzących partii, będąca oficjalnym podsumowaniem narady, stanowiła przede wszystkim odbicie politycznej strategii ZSRR z pewną domieszką chińskiego radykalizmu. Potwierdzono w niej zasady XX Zjazdu (możliwość pokojowego współistnienia, różnorodność dróg do socjalizmu) i sowieckiej deklaracji z 30 października 1956 r. (równouprawienie, poszanowanie niepodległości i suwerenności, nieingerowanie w sprawy wewnętrzne), ale jednocześnie akcentowano uniwersalne prawidłowości socjalizmu i kierowniczą pozycję ZSRR w ruchu komunistycznym. Odcinano się również zdecydowanie od rewizjonizmu oraz wskazywano na istnienie głębokiego antagonizmu między światem socjalistycznym i kapitalistycznym<sup>26</sup>.

Wyniki konferencji w Moskwie nie satysfakcjonowały Mao Zedonga i chińskiego kierownictwa. Dlatego KPCh, mimo formalnego zaakceptowania ustaleń narady, nie miała zamiaru rezygnować z kontynuowania ofensywy ideologicznej. Wygodną ku temu okazją stała się kolejna fala krytyki pod adresem komunistów jugosłowiańskich, którzy nie podpisali „Deklaracji” moskiewskiej, odrzucając zawartą w niej interpretację rewizjoniz-

---

24. K. Makowski, *op.cit.*, s. 41.

25. *Ibidem*, s. 42.

26. F. Fejtö, *op.cit.*, s. 91-92; A. Skrzypek, *op.cit.*, s. 146-147; P. Jones, S. Kevill, *op.cit.*, s. 9-10; por. też: Z. Brzeziński, *op.cit.*, s. 266 i nast.; M. Paździora, *PPR i PZPR wśród partii komunistycznych i robotniczych obozu socjalistycznego (1947-1965)*, Katowice 1985, s. 144.

mu i twierdząc, że przyjęty dokument stoi w sprzeczności z podstawowymi założeniami politycznymi i ideologicznymi Związku Komunistów Jugosławii (ZKJ)<sup>27</sup>. Wkrótce też przywódcy jugosłowiańscy wystąpili z nowym programem swojej partii, przygotowanym na VII Kongres ZKJ, który miał się odbyć w kwietniu 1958 r. W programie, będącym pośrednią odpowiedzią Belgradu na naradę w Moskwie, podkreślano specyficzne cechy systemu jugosłowiańskiego, wskazywano na rolę równouprawnienia w stosunkach międzynarodowych, także między krajami socjalistycznymi, oraz odrzucano koncepcję ideologicznego i politycznego prymatu jakiegokolwiek partii komunistycznej. Reakcją ze strony KPZR, KPCh i wielu innych partii stała się gwałtowna kampania przeciwko Jugosławii, która po raz kolejny wyłamywała się ze wspólnego frontu państw socjalistycznych i podważała kluczową pozycję Kremla w ruchu komunistycznym. Belgradowi zarzucano, że ogłoszony program „ma na celu przeciwstawienie Jugosławii ZSRR i innym partiom komunistycznym”, jest potwierdzeniem tendencji rewizjonistycznych w ZKJ i stanowi „odejście od praktyki marksizmu-leninizmu, od marksistowskiej oceny współczesnych stosunków międzynarodowych oraz marksistowskiej teorii państwa i zasad «internacjonalizmu proletariackiego»”<sup>28</sup>.

Wprawdzie początkowo zarówno ZSRR, jak i ChRL potępiłi wspólnie „jugosłowiański rewizjonizm”, to jednak Chruszczow nie zmierzał do eskalacji wojny propagandowej z Belgradem i zerwania z Tito, jak to się stało w 1948 r. Wychodził bowiem z założenia, że przyciągnięcie Jugosławii do bloku wschodniego było jeszcze możliwe, natomiast przywódcy KPCh starali się wykorzystać krytykę ZKJ jako wstęp do ideologicznej konfrontacji z KPZR. Na Kremlu odczytywano właściwie

---

27. M. J. Zacharias, *Komunizm, federacja, nacjonalizmy. System władzy w Jugosławii 1943-1991. Powstanie-przekształcenia-rozkład*, Warszawa 2004, s. 180. Delegacja ZKJ ograniczyła się jedynie do podpisania, przyjętego przez sześćdziesiąt cztery partie, „Manifestu Pokoju” (*ibidem*).

28. M. J. Zacharias, *op.cit.*, s. 181-182; zob. też: J. Tomaszewski, *Europa środkowo-wschodnia 1944-1968. Powstanie, ewolucja i kryzys realnego socjalizmu*, Warszawa 1992, s. 27-271; M. Paździora, *op.cit.*, s. 151 i nast.; J. Hacker, *Der Ostblock. Entstehung, Entwicklung und Struktur 1939-1980*, Baden-Baden 1983, s. 601 i nast.; Z. Brzeziński, *op.cit.*, s. 269 i nast.; F. Fejtő, *op.cit.*, s. 92-93.

intencje Pekinu, zwłaszcza że przywódcy chińscy koncentrowali swój atak przede wszystkim na tych elementach polityki ZKJ, które były zbieżne ze stanowiskiem sowieckim<sup>29</sup>.

Tymczasem kampania antyjugosłowiańska zbiegła się w Chinach ze zmianą strategii rozwoju ekonomicznego. Również na tym polu Pekin dążył do wypracowania własnego modelu i odcięcia się od sowieckich wzorców gospodarczych<sup>30</sup>. W maju 1958 r., ku zaskoczeniu ZSRR, w trakcie drugiej sesji VIII Zjazdu KPCh, ogłoszono w Pekinie strategię „trzech czerwonych sztandarów”, czyli tzw. wielkiego skoku, który miał skrócić okres dochodzenia do komunizmu, przynieść krajowi szybki dobrobyt i przekształcić Chiny w „wielkie mocarstwo socjalistyczne”<sup>31</sup>. Efekt ten zamierzano jednak uzyskać nie poprzez harmonijny rozwój gospodarki i przemysłane inwestycje, a drogą rewolucyjnej mobilizacji całego narodu i nowej organizacji społeczeństwa w ramach komun ludowych. Kreml odniósł się krytycznie do chińskiego zwrotu w polityce ekonomicznej, tym bardziej że ekipa Mao Zedonga nie ukrywała, że ChRL przystępuje tym samym do współzawodnictwa ze Związkiem Sowieckim na płaszczyźnie wdrażania zasad komunizmu i jest pewna, że odniesie zwycięstwo w tej rywalizacji<sup>32</sup>.

Na arenie międzynarodowej władze chińskie podjęły działania zmierzające do eskalacji napięcia i podważenia „odprężeniowego” kierunku polityki Chruszczowa. 23 sierpnia 1958 r. Pekin ponowił artyleryjskie ataki na dwie przybrzeżne wyspy w

---

29. W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 102-103; zob. też: M. J. Zacharias, *op.cit.*, s. 180 i nast.; J. Rowiński, *Komunistyczna Partia Chin a partie komunistyczne i robotnicze krajów kapitalistycznych Europy*, Warszawa 1975, s. 15; A. Koseski, *Albania. Krótki zarys dziejów*, Warszawa 1988, s. 151; J. Hacker, *op.cit.*, s. 618-621; J. J. Nowak, *Polityka zagraniczna Ludowej Socjalistycznej Republiki Albanii*, w: *Polityka zagraniczna bałkańskich państw socjalistycznych*, Warszawa 1988, s. 25-26; M. Paździora, *op.cit.*, s. 161-163.

30. M. Malia, *Sowiecka tragedia. Historia komunistycznego imperium rosyjskiego 1917-1991*, Warszawa 1998, s. 379.

31. W. J. Dziak, *Chiny. Wschodzące supermocarstwo*, Warszawa 1996, s. 11. Strategia „trzech czerwonych sztandarów” miała polegać na przyjęciu „nowej generalnej linii partii”, określanej jako sztandar pierwszy, wielkim skoku w rozwoju gospodarczym – sztandar drugi oraz rozwoju komun ludowych – sztandar trzeci (*ibidem*).

32. *Ibidem*, s. 13; I. Grabowska-Lipińska, *op.cit.*, s. 99.

Cieśninie Tajwańskiej, znajdujące się pod administracją Kuomintangu – Quemoy (Jinmendao) i Matsu (Mazuadao). Posunięcie to nie było zupełnym zaskoczeniem dla przywódców ZSRR, którzy znali i popierali dążenia ChRL do likwidacji tajwańskiej enklawy. Jednakże kierownictwo chińskie nie poinformowało Moskwy ani o terminie, ani o formie planowanej akcji, mimo że na przełomie lipca i sierpnia 1958 r. Chruszczow przebywał z wizytą u Mao Zedonga<sup>33</sup>. Na pretensje ze strony Kremla Chińczycy odpowiadali, że problem Tajwanu jest ich sprawą wewnętrzną, a atak na wyspy stanowił kontynuację wojny domowej. Postawiony w tak niezręcznej sytuacji Chruszczow zobowiązał się oficjalnie do pomocy ChRL w razie rozszerzenia kryzysu, jednak w rzeczywistości władze sowieckie, poprzez Andrieja Gromykę, który z powodu napięcia wokół Tajwanu przyjechał do Pekinu, dały do zrozumienia Chińczykom, że w przypadku włączenia się do konfliktu Stanów Zjednoczonych nie będą mogli liczyć na pomoc ze strony ZSRR<sup>34</sup>.

Również w 1958 r. ChRL doprowadziła do zaostrzenia, poprawnych do tej pory, relacji z Indiami. Pekin, oskarżając Delhi o wspieranie separatystów z podbitego już przez siły chińskie Tybetu, wystąpił z roszczeniami terytorialnymi wobec południowego sąsiada, dotyczącymi niektórych obszarów granicznych. Od początku 1959 r. dochodziło na tym tle do coraz częstszych starć między wojskami chińskimi i indyjskimi, czemu towarzyszyła, prowadzona przez obie strony, intensywne kampania propagandowa. Związek Sowiecki, utrzymując dobre stosunki z Delhi i obawiając się zwrotu polityki Indii ku Stanom Zjednoczonym, nie poparł poczynań ChRL, ale próbował odegrać rolę neutralnego mediatora w zaistniałym sporze i doprowadzić do jego pokojowego uregulowania. Pekin zareagował na to zarzutem, że stanowisko ZSRR w sprawie granicy

---

33. W. Zubok, K. Pleszakow, *Zimna wojna zza kulis Kremla. Od Stalina do Chruszczowa*, Warszawa 1999, s. 271 i nast.; J. Abkowicz, *ZSRR-Chiny...*, s. 106; A. Halimarski, *op.cit.*, s. 219; G. Stern, *op.cit.*, s. 179.

34. J. Abkowicz, *ZSRR-Chiny...*, s. 106; J. L. Gaddis, *op.cit.*, s. 318-319; W. Zubok, K. Pleszakow, *op.cit.*, s. 275 i nast. Wkrótce napięcie wokół Tajwanu zostało zażegnane i już w połowie września 1958 r. powrócono do chińsko-amerykańskich rozmów na ten temat na szczeblu ambasadorów, które prowadzono w Warszawie (I. Grabowska-Lipińska, *op.cit.*, s. 101).

chińsko-indyjskiej jest nieprzychylnie ChRL, „czym się cieszą i triumfują z tego powodu burżuazja indyjska oraz imperializm amerykański i angielski”<sup>35</sup>.

Agresywne i nieobliczalne posunięcia kierownictwa chińskiego na arenie międzynarodowej spowodowały, że w czerwcu 1959 r. władze ZSRR postanowiły się wycofać z układu dotyczącego współpracy z ChRL na polu badań jądrowych. Posunięcie to było dotkliwym ciosem dla Pekinu, ponieważ niweczyło nadzieje Mao Zedonga i chińskiego kierownictwa na szybkie pozyskanie broni nuklearnej, a tym samym dołączenie do klubu mocarstw atomowych<sup>36</sup>.

W tej sytuacji kolejna, i jak się wkrótce okazało ostatnia, oficjalna wizyta delegacji sowieckiej w Pekinie na czele z Chruszczowem i Gromyką, do której doszło na przełomie września i października 1959 r., a okazją ku temu była dziesiąta rocznica powstania ChRL, nie mogła już zażegnać narastającego kryzysu we wzajemnych relacjach. Przedstawiciele władz ZSRR przyjęto w chińskiej stolicy chłodno. W trakcie wymiany poglądów z kierownictwem KPCh Chruszczow nie szczędził krytyki pod adresem hurarewolucyjnych praktyk „wielkiego skoku” oraz rozpętanego przez Pekin konfliktu z Indiami. Natomiast gospodarze wypowiadali się negatywnie o jego niedawnej wizycie w Stanach Zjednoczonych i rozbrojeniowych negocjacjach z Waszyngtonem, które określali jako postawę pojednawczą wobec imperializmu amerykańskiego<sup>37</sup>. Nerwowość i nieprzyjemna atmosfera, w jakiej odbyło się spotkanie Chruszczowa z Mao Zedongiem nie umknęły uwagi przedstawicielom innych państw, w tym PRL. Jeden z polskich korespondentów przebywający wówczas w stolicy Chin podkreślał, że chińsko-sowieckie rozmowy przebiegały pod znakiem pretensji i ataków Mao Zedonga i pozostałych przywódców KPCh na delegację ZSRR<sup>38</sup>.

---

35. O. Borisow, B. Kołoskow, *op.cit.*, s. 192; zob. też: W. Zubok, K. Pleszakow, *op.cit.*, s. 283; G. Stern, *op.cit.*, s. 179.

36. J. L. Gaddis, *op.cit.*, s. 321; W. Zubok, K. Pleszakow, *op.cit.*, s. 280-281.

37. P. Jones, S. Kevill, *op.cit.*, s. 14-15; W. Zubok, K. Pleszakow, *op.cit.*, s. 283; R. A. Miedwiediew, *op.cit.*, s. 162-163; R. Terrill, *op.cit.*, s. 318-319; M. Kapica, *ChRL: dwa dziesięciolecia-dwie polityki*, Warszawa 1971, s. 181-182.

38. Archiwum Akt Nowych [AAN], KC PZPR, sygn. XIA/30, Notatka

Wiosną 1960 r. ukrywane dotąd rozbieżności między ChRL a ZSRR zostały ujawnione opinii międzynarodowej. Doszło do tego w kwietniu, kiedy obchodzono dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin Lenina. W prasie ChRL ukazała się wówczas seria artykułów pod wspólnym tytułem *Niech żyje leninizm*<sup>39</sup>. Używając w dalszym ciągu parawanu „rewizjonizmu jugosłowiańskiego”, kierownictwo KPCh zaatakowało KPZR, określając politykę partii sowieckiej jako odstępstwo od leninizmu. Występując po raz pierwszy publicznie z własną platformą polityczno-ideologiczną, strona chińska odcinała się zdecydowanie od umiarkowanych sformułowań narady moskiewskiej z 1957 r. i eksponowała, głoszone dotąd nieoficjalnie, stanowisko na temat nieuchronności wojny z imperializmem, rewizjonizmem, jako imperialistycznej agentury oraz braku możliwości pokojowego dojścia do ustroju socjalistycznego. Do poglądów tych KPCh przekonywała następnie w czerwcu 1960 r. przedstawiciele innych partii komunistycznych, uczestników IX Sesji Rady Generalnej Światowej Federacji Związków Zawodowych w Pekinie<sup>40</sup>.

Kierownictwo PZPR z niepokojem obserwowało narastający konflikt między KPCh i KPZR. Gomułka, podobnie jak przywódcy większości krajów socjalistycznych, zdał sobie szybko sprawę, że przyczyny sporu nie tkwią w różnicach ideologicznych, a wynikają z rozbieżności mocarstwowych interesów ZSRR i ChRL oraz dążeń do monopolu na przywództwo w obozie socjalistycznym. Pierwszy sekretarz znajdował się jednak w sytuacji wyjątkowej. Pamiętał i doceniał znaczenie, jakie miało dla jego władzy zaangażowanie Chin w okresie napięcia w stosunkach polsko-sowieckich w październiku 1956 r., a także liczył

---

opracowana na podstawie informacji naszego korespondenta Z. Sołuby w Pekinie, k. 333-334.

39. Chodziło o zbiór trzech publikacji: artykułów redakcyjnych w organach prasowych KPCh – „*Zhenmin Zypao*” („Dziennik Ludowy”), „*Hung Ci*” („Czerwony Sztandar”) oraz tekstu przemówienia jednego z przywódców KC KPCh Lu Ting-i, na akademii z okazji dziewięćdziesiątej rocznicy urodzin Lenina, wydanych następnie w broszurze (A. Halimarski, *op.cit.*, s. 220).

40. P. Jones, S. Kevill, *op.cit.*, s. 18; W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 108; M. Paździora, *op.cit.*, s. 162-163; J. Rowiński, *op.cit.*, s. 17-18; A. Halimarski, *op.cit.*, s. 221; Z. Brzeziński, *op.cit.*, s. 360-361; M. Kapica, *op.cit.*, s. 184-186.



na rozwój korzystnych dla PRL kontaktów gospodarczych z Pekinem<sup>41</sup>. Z drugiej strony wiedział, że przy obecnej pozycji PRL w bloku wschodnim oraz w obliczu polskich interesów, nie ma dla niego innej alternatywy, jak tylko popieranie stanowiska sowieckiego w sporze z KPCh. Było to związane nie tylko z obawami przywódcy PZPR przed konsekwencjami rozłamu w ruchu komunistycznym. Konfrontacyjna polityka ChRL groziła bowiem załamaniem szans na dłuższe ocieplenie w relacjach państw komunistycznych z Zachodem, co z kolei mogło utrudnić realizację zamierzeń Warszawy w ramach sowieckiej polityki „odprężeniowej”, związanych z międzynarodowym uznaniem granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej<sup>42</sup>.

Gomułka starał się tych okolicznościach zachowywać przez pewien czas dystans w obliczu toczącego się sporu, licząc zapewne na jakąś formę porozumienia pomiędzy ZSRR a Chinami, godzącego interesy obydwu stron. Podczas rozmów w październiku 1958 r. szef PZPR nie przyłączył się do krytycznych opinii Chruszczowa kierowanych pod adresem polityki wewnętrznej ChRL, związanej z „wielkim skokiem” i wprowadzeniem komun ludowych. Co więcej, z jego wypowiedzi można było nawet wywnioskować, że w jakiejś mierze imponowało mu wówczas chińskie przyspieszenie, zwłaszcza w odniesieniu do wyników, jakie, według wiedzy strony polskiej, uzyskiwały początkowo komuny ludowe<sup>43</sup>. Potwierdzały to również oficjalne wystąpienia Gomułki. W trakcie obrad III Zjazdu PZPR w marcu 1959 r. przywoływał, oczywiście oprócz ZSRR, także przykład ChRL, „[...] która się uprzemysławia i rozwija gospodarczo w tempie dynamicznym [...]”<sup>44</sup>. W czerwcu tego samego roku przy okazji wizyty w Polsce delegacji partyjno-rządowej z Bułgarii stwierdził, że „Jaskrawym wyrazem różnic w wydobywaniu się z zacofania jest szybkie tempo rozwoju Chińskiej Republiki Ludowej, która pod tym względem wyprzedza wielokrotnie niesocjalistyczne

---

41. A. Skrzypek, *op.cit.*, s. 209.

42. *Ibidem*.

43. *Rozmowy polsko-radzieckie w Moskwie w dniach 25 października-11 listopada 1958 r.*, w: *Tajne dokumenty Biura politycznego. PRL-ZSRR 1956-1970*, wstęp A. Paczkowski, Londyn 1998, s. 118-119.

44. *III Zjazd PZPR. Referat sprawozdawczy KC wygłoszony 10 III 1959 r.*, w: W. Gomułka, *Przemówienia 1959*, Warszawa 1960, s. 58.

państwa półkolonialne w Azji<sup>45</sup>. Wydaje się, że dla Gomułki i jego ekipy przemiany w Chinach stanowiły swego rodzaju kolejne potwierdzenie słuszności różnych dróg do socjalizmu i tym samym usprawiedliwienie odmienności systemowych w PRL.

W tym kontekście należy rozumieć pozytywne opinie o nowym kierunku chińskiej polityki gospodarczej ze strony delegacji KC polskiej partii, która przebywała w ChRL wiosną 1959 r., czyli w czasie, kiedy negatywne skutki „wielkiego skoku” nie były jeszcze katastrofalne<sup>46</sup>. Goście z PRL oceniali wysoko postępy produkcji rolnej i przemysłowej w Chinach. Będąc pod wrażeniem rozmachu i skali „wielkiego skoku”, podkreślali, że w ChRL jest „tworzona potężna, nowoczesna baza techniczna dla dalszego rozwoju kraju”<sup>47</sup>. Wspominano wprawdzie o pewnych nieracjonalnościach chińskiej strategii ekonomicznej, ale dodawano jednocześnie, że przy takiej skali przemian „musiały wystąpić jakieś trudności”<sup>48</sup>. Na uwagę zasługuje końcowy fragment sprawozdania, w którym czytamy m.in., że „[...] Twórcza i elastyczna polityka wewnętrzna i ekonomiczno-społeczna KPCh już wzbogaciła doświadczenia międzynarodowego ruchu robotniczego i wносить będzie nadal do nich cenne wartości”<sup>49</sup>. Oczywiście, niepowodzenie, czy wręcz klęska „wielkiego skoku” szybko zweryfikowała zdanie Gomułki na temat strategii gospodarczej w ChRL.

Podczas narady partii komunistycznych i robotniczych w

---

45. *Przemówienie z okazji pobytu w Polsce delegacji partyjno-rządowej Ludowej Republiki Bułgarii, wygłoszone na wiecu w Warszawie 29 VI 1959 r.*, w: W. Gomułka, *op.cit.*, s. 387.

46. AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1113, Informacja z pobytu delegacji PZPR w Chińskiej Republice Ludowej, k. 2-3; W skład delegacji polskiej weszli m.in. Jerzy Morawski, Walenty Titkow, Andrzej Werblan, Jerzy Tepicht i Franciszek Blinowski (*ibidem*, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1046, Sprawozdanie z pobytu delegacji PZPR w Chińskiej Republice Ludowej, kwiecień-maj 1959 r., k. 22).

47. AAN, KC PZPR, sygn. 237/V/470, Informacja z pobytu delegacji PZPR w Chińskiej Republice Ludowej z dnia 16 IV 1959 r., k. 46; zob. też: A. Werblan, *PZPR a schizma chińska. Fragmenty wspomnień*, „Dziś” 1991, nr 7, s. 73.

48. AAN, KC PZPR, sygn. 237/V/470, Informacja z pobytu delegacji PZPR w Chińskiej Republice Ludowej..., k. 31.

49. AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1046, Sprawozdanie z pobytu delegacji PZPR w Chińskiej Republice Ludowej..., k. 73.

Bukareszcie w czerwcu 1960 r., goszczących jednocześnie na III Zjeździe Rumuńskiej Partii Robotniczej, doszło już do bezpośredniej polemiki między przedstawicielami KPCh i KPZR. Tym razem inicjatywa należała do Kremla, który doszedł do wniosku, że wszystkie nieoficjalne możliwości skutecznego wpłynięcia na zmianę kursu partii chińskiej zostały wykorzystane<sup>50</sup>. Na krótko przed spotkaniem uczestnicy narady otrzymali, niespodziewanie, obszerną „Notatkę informacyjną”, w której przedstawiono punkt widzenia kierownictwa KPZR na temat rozbieżności z KPCh. Strona sowiecka, odrzucając wcześniejsze zarzuty Pekinu, broniła zasad prowadzonej przez siebie polityki; wskazując na błędy i szkodliwość stanowiska chińskiego, zarzucała KPCh dogmatyzm i sekciarstwo. Zdecydowana replika Chińczyków spowodowała, że spotkanie bukareszteńskie zdominowały wzajemne kłótnie, oskarżenia o złą wolę i napaści personalne, przy czym każda ze stron starała się skłonić pozostałych uczestników spotkania do przyjęcia jej punktu widzenia. Większość obecnych w Bukareszcie delegacji, zaskoczona intensywnością sporu, poparła KPZR i opowiedziała się za przyjęciem sformułowanego po myśli Kremla „Komunikatu o spotkaniu przedstawicieli partii komunistycznych i robotniczych”, w którym podsumowywano obrady. Osamotnieni w tej sytuacji przedstawiciele KPCh „w imię jedności” również się podpisali pod komunikatem, ale nie oznaczało to, jak pokazała najbliższa przyszłość, rezygnacji Pekinu z dotychczasowego kursu – wręcz przeciwnie – zapowiadało jego zaostrenie<sup>51</sup>.

We wrześniu 1960 r. odbyło się VI Plenum KC PZPR, na którym Gomułka przedstawił sprawozdanie z narady w Bukareszcie. Ustosunkowując się po raz pierwszy na forum partyjnym do założeń polityki chińskiej, stwierdził m.in., że „[...] po naradzie moskiewskiej Komunistyczna Partia Chin zaczęła w

---

50. Tuż przed naradą Chruszczow i kierownictwo KPZR podjęli bezskuteczną, jak się okazało, próbę porozumienia z KPCh, zapraszając na rozmowy do Moskwy jadącą do Bukaresztu delegację chińską, której przewodniczył członek Biura Politycznego Peng Czen (J. Abkowicz, *ZSRR-Chiny...*, s. 112; M. Kapica, *op.cit.*, s. 187).

51. M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1958-1962*, Warszawa 1998, s. 209; M. Kapica, *op.cit.*, s. 187; J. Abkowicz, *ZSRR-Chiny...*, s. 112; W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 110 i nast.; S. Uhalley Jr., *op.cit.*, s. 127; P. Jones, S. Kevill, *op.cit.*, s. 19-20.

swych poglądach i polityce odstępować od podstawowych tez Deklaracji Moskiewskiej [...]. Towarzysze chińscy solidaryzując się nadal formalnie z deklaracją, nadawali jej postanowieniom własną, odmienną od innych partii komunistycznych i sprzeczną z duchem tej deklaracji interpretację [...]"<sup>52</sup>. Szef PZPR ubolewał, że Chińczycy upublicznili spór w oficjalnych wystąpieniach oraz na łamach prasy i różnych wydawnictw, które starali się także rozpowszechnić w innych krajach socjalistycznych, w tym PRL. Opowiadając się za stanowiskiem KPZR, Gomułka odrzucił zdecydowanie poglądy KPCh o „nieuchronności wojny”, uznając, że „jest to stanowisko głęboko niesłuszne, pesymistyczne i fatalistyczne”, wynikające z „przeceniania sił i możliwości imperializmu” oraz niebrania pod uwagę tego, że „zmienił się zasadniczo układ sił w świecie na korzyść pokoju i socjalizmu”<sup>53</sup>. Popierając koncepcję pokojowego współistnienia i powołując się na zapisy „Deklaracji” moskiewskiej stwierdził, że jest ona z powodzeniem realizowana przez ZSRR i obóz socjalistyczny. Podważył także chińskie twierdzenia związane z traktowaniem pokojowego współistnienia jako „kapitulancja wobec imperializmu”, natomiast mówiąc o nieobliczalnych skutkach ewentualnej wojny jądrowej, dowodził, że proces odprężeniowy i propozycje powszechnego rozbrojenia, wysuwane przez ZSRR nie oznaczają „zawieszenia walki klasowej i walki narodowo-wyzwoleńczej [...]” oraz „nie grożą zamrożeniem aktualnych stosunków społecznych na świecie” – wręcz przeciwnie – doprowadzą do zwycięstwa „socjalizmu nad kapitalizmem w skali światowej na drodze pokojowego współzawodnictwa obydwu systemów społecznych”<sup>54</sup>.

Tymczasem w Chinach zaraz po spotkaniu w Rumunii opublikowano kolejno *Oświadczenie delegacji KPCh na bukareszteńskim spotkaniu bratnich partii* oraz artykuł *Wysoko dziedrzymy markszystowsko-leninowski, rewolucyjny sztandar*

---

52. AAN, KC PZPR, sygn. 237/II/28, Tow. Wiesław – sprawozdanie z Bukareszteńskiej Narady Partii Komunistycznych i Robotniczych, k. 172; J. Ptasieński, *Drugi zwrot. Gomułka u szczytu powodzenia*, Warszawa 1988, s. 123.

53. AAN, KC PZPR, sygn. 237/II/28, Tow. Wiesław – sprawozdanie..., k. 175-176.

54. *Ibidem*, k. 177-179, 181.

*Deklaracji Moskiewskiej*. Odnosząc się do polemik z Bukaresztu, Pekin potępiał Chruszczowa i KPZR za „bezceremonialne narzucanie swej woli innym narodom” oraz „nadużywanie prestiżu partii, jakim cieszy się KPZR w międzynarodowym ruchu komunistycznym”; postawę samego przywódcy partii sowieckiej oceniono jako „arbitralną i tyrańską”<sup>55</sup>. Chińskie ambasady w stolicach krajów socjalistycznych, w tym w Moskwie i w Warszawie, rozpoczęły także rozpowszechnianie niewygodnych dla kierownictwa KPZR informacji z narady bukareszteńskiej<sup>56</sup>. 12 września 1960 r. KC KPCh wystosował do kierownictwa partii sowieckiej list stanowiący odpowiedź na „Notatkę informacyjną” KPZR z 21 czerwca i będący rozwinięciem stanowiska chińskiego zawartego we wspomnianych wyżej publikacjach<sup>57</sup>.

Reakcją Kremla stało się wydanie ambasadzie ChRL zakazu kolportowania w ZSRR pisma „Przyjaźń” (firmowanego przez Towarzystwo Przyjaźni Chińsko-Sowieckiej) oraz innych wydawnictw, które – jak oficjalnie stwierdzono – propagowały na swoich łamach materiały niezgodne z dokumentami międzynarodowego ruchu komunistycznego. Natomiast w połowie lipca 1960 r. Chruszczow podjął decyzję o odwołaniu z Chin wszystkich doradców (ponad 2 tys. osób), zatrudnionych do tej pory w przemyśle, szkolnictwie wyższym, różnych organach rządowych. To ostatnie posunięcie było szczególnie dotkliwe dla Pekinu, ponieważ jeszcze bardziej pogłębiało chaos gospodarczy wywołany realizacją polityki „wielkiego skoku”<sup>58</sup>.

Na listopad 1960 r. zaplanowano zwołanie do Moskwy kolejnej narady partii komunistycznych. Decyzję o zorganizowaniu

---

55. W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 115.

56. Z. Brzeziński, *op.cit.*, s. 364; M. Kapica, *op.cit.*, s. 188.

57. J. Abkowicz, *ZSRR-Chiny...*, s. 113; M. Kapica, *op.cit.*, s. 189.

58. R. Miedwiediew, *op.cit.*, s. 164; M. Kapica, *op.cit.*, s. 188; P. Jones, S. Kevill, *op.cit.*, s. 20. Odwołanie doradców przez ZSRR, oprócz klęsk żywiołowych, służyło przez długi czas Pekinowi do usprawiedliwienia niepowodzenia „wielkiego skoku” (*Rozmowy delegacji polskiej z delegacją Chińskiej Republiki Ludowej, Moskwa, listopad 1960 r.*, „Aneks” 1978, nr 18, s. 156; AAN, KC PZPR, sygn. 237/V/454, Informacja korespondenta „Trybuny Ludu” Słomkowskiego z Pekinu z rozmowy zachodnich korespondentów partyjnych z zastępcą redaktora naczelnego „Zenminzhipao”, k. 108; J. Abkowicz, *ZSRR-Chiny...*, s. 113).

waniu tego spotkania podjęto z inicjatywy KPZR w Bukareszcie<sup>59</sup>. Narada miała być ostatnią próbą utrzymania jedności państw socjalistycznych. Jej obrady zostały poprzedzone, rozpoczętymi w końcu września, pracami Komisji Redakcyjnej, z udziałem przedstawicieli dwudziestu sześciu partii. Podstawowym zadaniem tejże komisji było przygotowanie projektu dokumentu końcowego narady – „Oświadczenia” mającego stanowić rodzaj wspólnej platformy politycznej ruchu komunistycznego na kolejne lata<sup>60</sup>.

Dyskusje w obrębie Komisji Redakcyjnej przebiegały pod znakiem ostrych sporów między KPZR a delegacją chińską, wspieraną obecnie przez przedstawicieli Albańskiej Partii Pracy (APP). Obie strony, podobnie jak w Bukareszcie, nie szczędziły sobie wzajemnych oskarżeń i starały się pozyskać dla własnego stanowiska pozostałe partie<sup>61</sup>. Przedstawiciele KPCh oskarżali Kreml o napaści, zwłaszcza podczas narady bukareszteńskiej, co świadczyło – ich zdaniem – o powrocie Związku Sowieckiego w stosunkach z bratnimi krajami do metod „szowinizmu wielkomocarstwowego”. Chińczycy przekonywali też, że to ZSRR doprowadził jako pierwszy do ujawnienia rozbieżności między dwoma największymi państwami socjalistycznymi, zajmując publicznie nieprzyjazne ChRL stanowisko w sprawie konfliktu granicznego z Indiami<sup>62</sup>. Broniąc własnych poglądów w kwestiach walki z imperializmem i nieuchronności wojen, delegaci KPCh dowodzili, że w dokumentach przyszłej narady nie można umieszczać stwierdzenia, że realizacja radzieckich koncepcji o powszechnym rozbrojeniu „oznacza zlikwidowanie samej możliwości prowadzenia wojen, zastąpienie atmosfery strachu i podejrzliwości, atmosferą zaufania i współpracy”,

---

59. Narada odbyła się w dniach 10 listopada-1 grudnia 1960 r.; wzięli w niej udział przedstawiciele osiemdziesięciu jeden partii komunistycznych. Do Moskwy nie przyjechała delegacja Związku Komunistów Jugosławii (*Komunikat o naradzie, „Nowe Drogi”* 1961, nr 1, s. 3).

60. M. Paździora, *op.cit.*, s. 165. W Komisji Redakcyjnej PZPR była reprezentowana przez Zenona Kliszkę i Andrzeja Werblana (J. Ptasieński, *op.cit.*, s. 123; A. Werblan, *PZPR a schizma chińska...*, s. 77).

61. W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 123.

62. AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1150, Wystąpienie przewodniczącego KP Chin tow. Teng Siao-pinga w komisji redakcyjnej, złożone w formie pisemnej (10 października 1960 r.), k. 82-83.

ponieważ „niebezpieczeństwo nowej wojny światowej nie minęło, a w dalszym ciągu wzrasta”<sup>63</sup>. Podobną reakcję strony chińskiej wywoływało nadmierne akcentowanie możliwości pokojowego przejścia do socjalizmu w obecnym okresie oraz to, że zbyt mało krytycznie ocenia się Jugosławię i jej „rewizjonistyczną linię”, stanowiącą – według Pekinu – „dywersję w międzynarodowym ruchu robotniczym”<sup>64</sup>.

Atmosfera z posiedzeń Komisji Redakcyjnej przeniosła się na naradę, zwłaszcza że po kolejnej nieudanej próbie porozumienia z partią chińską, Chruszczow i kierownictwo KPZR rozesłało do uczestników spotkania moskiewskiego list, w którym atakowano poczynania Pekinu ostrzej niż dotychczas. W tej sytuacji delegacja KPCh, wykorzystując także przedstawicieli APP, zdeprecjonowała słuszność całego procesu przemian politycznych i ideologicznych, zapoczątkowanych XX Zjazdem KPZR. Odmienne stanowisko Chińczyków dotyczyło oficjalnej wykładni wydarzeń węgierskich, decyzji o potępieniu Stalina, idei pokojowego współistnienia, parlamentarnej drogi do socjalizmu oraz normalizacji stosunków z Jugosławią<sup>65</sup>. Wobec powyższego przedstawiciele KPCh sprzeciwiali się stanowczo projektowi umieszczenia w „Oświadczeniu” sformułowania o szczególnym znaczeniu XX i XXI zjazdów KPZR dla obozu socjalistycznego<sup>66</sup>. Nie do przyjęcia były dla nich również te fragmenty końcowego dokumentu, w których była mowa o „frakcyjnej i grupowej działalności” w ruchu komunistycznym oraz „narodowym komunizmie”, ponieważ, jak dowodzono, skierowane zostały przeciwko partii chińskiej<sup>67</sup>.

Według relacji Andrzeja Werblana, biorącego udział w naradzie moskiewskiej, KPZR i skupieni wokół niej przeciwnicy

---

63. AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1150, Wystąpienie towarzysza Teng Siao-pinga na posiedzeniu Komisji Redakcyjnej w dn. 5 X 1960 r., k. 60; *ibidem*, Wystąpienie przewodniczącego KP Chin..., k. 77.

64. AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1150, Referat przewodniczącego Sekretariatu Komisji Redakcyjnej na plenarnym posiedzeniu Komisji Redakcyjnej, k. 48; *ibidem*, Wystąpienie towarzysza Teng Siao-pinga..., k. 62-64.

65. W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 124, 126-127.

66. *Ibidem*, s. 124.

67. *Ibidem*; zob. też *Rozmowy delegacji polskiej z delegacją Chińskiej Republiki Ludowej...*, s. 123.

stanowiska chińskiego rewanżowali się KPCh zarzutami o „dogmatyzm, awanturnictwo cudzym kosztem, rozmyślne dążenie do zaostrzenia sytuacji międzynarodowej i stosunków radziecko-amerykańskich, nacjonalizm, a nawet rasizm”<sup>68</sup>. Natomiast Gomułka, popierając w swoim przemówieniu kierownictwo sowieckie, starał się jednocześnie tonować krytykę pod adresem Chińczyków. Wskazując na nieskuteczność i nierealistyczność koncepcji KPCh oraz akcentując niebezpieczeństwa, jakie wynikały z rozłamu w ruchu komunistycznym, apelował o rozwiązywanie wszelkich rozbieżności nie poprzez publiczne polemiki, a drogą narad, rozmów i spotkań. Spokojne, jak na temperaturę sporów, wystąpienie przywódcy PZPR zostało odebrane z uznaniem przez większość uczestników narady<sup>69</sup>.

Z podobnym przyjęciem spotkały się zakulisowe rozmowy, które Gomułka – z własnej inicjatywy (choć za wiedzą Chruszczowa) – podjął z delegacją chińską. Próbując łagodzić konflikt, przekonywał przedstawicieli KPCh o bezzasadności ich zarzutów wobec treści „Oświadczenia”. Chińczycy, ignorując właściwie przedstawiane argumenty, wysuwali z kolei pretensje pod adresem strony polskiej dotyczące m.in. poparcia delegatów PZPR dla KPZR w czasie prac Komisji Redakcyjnej oraz wystąpienia Gomułki na naradzie, zwłaszcza w odniesieniu do jego zarzutów stawianych APP, podzielającej poglądy KPCh. W związku z tą ostatnią kwestią przewodniczący delegacji chińskiej Liu Shaoqi stwierdził, że jest to „niezgodne z marksizmem-leninizmem i z proletariackim internacjonalizmem”, ponieważ Albania znajduje się obecnie w podobnym położeniu wobec ZSRR, w jakim znajdowała się Polska w 1956 r.<sup>70</sup> Chińczycy nawiązywali w powyższym kontekście do swojej roli i zasług w rozwiązaniu kryzysu w stosunkach polsko-sowieckich w październiku 1956 r. oraz dawali jednoznacznie do zrozumienia, że obecne stanowisko PZPR jest wyrazem niewdzięczności<sup>71</sup>.

---

68. A. Werblan, *PZPR a schizma chińska...*, s. 65.

69. *Ibidem*, s. 63; A. Skrzypek, *op.cit.*, s. 229; J. Ptasieński, *op.cit.*, s. 124.

70. *Rozmowy delegacji polskiej z delegacją Chińskiej Republiki Ludowej...*, s. 122.

71. A. Werblan, *PZPR a schizma chińska...*, s. 65; AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1151, *Odpowiedź KC KPCh na notatkę informacyjną KC KPZR*, k. 9.



Gomułka nie dał się wciągnąć do rozmowy na temat wydarzeń październikowych 1956 r., stwierdzając kategorycznie, że kwestie te uważa za ostatecznie zamknięte<sup>72</sup>. Starał się przekonać Chińczyków, że w „Oświadczeniu” należy pozostawić zapis o XX Zjeździe, który z uwagi na swoją doniosłość dla ruchu komunistycznego znalazł się w „Deklaracji” poprzedniej narady moskiewskiej. Szef PZPR uznał natomiast za możliwe usunięcie z „Oświadczenia” wzmianki o XXI Zjeździe KPZR, ale jednocześnie bronił sformułowania dotyczącego „frakcyjnej i grupowej działalności”, tłumacząc swoim rozmówcom, że nie jest ono wymierzone w KPCh, a ma „zabezpieczać na przyszłość jednolite stanowisko wszystkich partii komunistycznych w podstawowych zagadnieniach”<sup>73</sup>.

Dyskusje Gomułki z delegatami KPCh nie mogły doprowadzić do zmiany ich stanowiska, ale na pewno w jakimś stopniu uzmysłowiły Chińczykom, że w obliczu braku poparcia ze strony większości partii grozi im zupełne osamotnienie w ruchu komunistycznym<sup>74</sup>. Można więc stwierdzić, że przywódca PZPR przyczynił się do osiągnięcia późniejszego kompromisu i podpisania przez wszystkich uczestników narady końcowego „Oświadczenia”, zwłaszcza że aktywność Gomułki w Moskwie nie ograniczała się jedynie do koncyliacyjnych działań wobec KPCh. Starał się on także wpływać na kierownictwo sowieckie. W wielu rozmowach z Chruszczowem – jak wspomina Andrzej Werblan – doradzał przywódcy KPZR umiar i rezygnację ze sporów doktrynalnych w imię zasady „niech każdy pozostaje przy swoich poglądach”, byle tylko nie występował z oficjalną polemiką i nie upubliczniał zaistniałych rozbieżności<sup>75</sup>.

W tych okolicznościach treść „Oświadczenia” była swego rodzaju formą rozejmu ideologicznego. Z jednej strony dominowały w nim koncepcje KPZR i partii ją wspierających, dotyczące m.in. pokojowych możliwości przejścia do socjalizmu, udaremnienia prób rozpętania wojny światowej wspólnym wysiłkiem obozu socjalistycznego, potrzeby zaprzestania wyścigu

---

72. *Rozmowy delegacji polskiej z delegacją Chińskiej Republiki Ludowej...*, s. 125-126.

73. *Ibidem*, s. 130.

74. Z. Brzeziński, *op.cit.*, s. 367.

75. A. Werblan, *PZPR a schizma chińska...*, s. 66.

zbrojeń i rozwiązania bloków militarnych. Z drugiej strony dokument zawierał niektóre postulaty KPCh odnoszące się do zaakcentowania niezmiennej natury imperializmu, czy też radykalnej krytyki ZKJ. Spełniono także życzenia Chińczyków związane z usunięciem z tekstu „Oświadczenia” wspomnianych już wielokrotnie sformułowań o działalności frakcyjnej i narodowym komunizmie<sup>76</sup>.

Osiągnięte pod koniec 1960 r. w Moskwie porozumienie nie zniwelowało oczywiście narastającego konfliktu, odsuwając tylko nieco w czasie ostateczną rozgrywkę. Wprawdzie zaraz po naradzie nastąpiła poprawa relacji chińsko-sowieckich, ale była to jedynie gra pozorów<sup>77</sup>. Zarówno Pekin, jak i Moskwa zdawały sobie bowiem sprawę z nieodwracalności zaistniałych wydarzeń wskazujących jednoznacznie, że idea jedności międzynarodowego ruchu komunistycznego, nigdy zresztą do końca nie realizowana, odchodziła bezpowrotnie w przeszłość, nawet jako propagandowy slogan.

Kilka miesięcy po podpisaniu „Oświadczenia” doszło do wznowienia sowiecko-chińskich polemik i sporów, do jakich obie strony wciągnęły także inne partie komunistyczne<sup>78</sup>. W październiku 1961 r. odbył się XXII Zjazd KPZR, który Chruszczow traktował jako ostateczne rozliczenie ze stalinizmem. Przywódca sowiecki, wracając do krytyki Stalina i uchwał XX Zjazdu, zaatakował prowadzących już jawnie prochińską politykę komunistów albańskich, zarzucając kierownictwu APP ciągłe wyznawanie kultu jednostki w swoim kraju. Wystąpienie Chruszczowa uderzało oczywiście pośrednio w Pekin jako protektora Tirany. W tej sytuacji zaproszona do Moskwy dele-

---

76. *Oświadczenie narady przedstawicieli partii komunistycznych i robotniczych*, „Nowe Drogi” 1961, nr 1, s. 4 i nast.; Z. Brzeziński, *op.cit.*, s. 366; M. Paździora, *op.cit.*, s. 166-168; W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 124-125.

77. Po zakończeniu spotkania moskiewskiego delegacja KPCh została zaproszona do odbycia podróży po ZSRR. Chińczycy odwiedzili m.in. Leningrad i Mińsk oraz wzięli udział w zorganizowanym w Pałacu Sportu na Łuznikach wiecu przyjaźni sowiecko-chińskiej. W trakcie wizyty Liu Shaoqi podkreślał często pozytywne wyniki narady, sukcesy ZSRR w budowie socjalizmu, a także znaczenie umacniania współpracy i jedności obydwu państw (M. Paździora, *op.cit.*, s. 187; M. Kapica, *op.cit.*, s. 191; O. Borisow, B. Kołoskow, *op.cit.*, s. 241-242).

78. J. Abkowicz, *ZSRR-Chiny...*, s. 114.

gacja KPCh na czele z Zhou Enlaiem wzięła zdecydowanie w obronę swoich albańskich sojuszników, a następnie ostentacyjnie opuściła obrady. Po powrocie do Pekinu, na pierwszym zebraniu aktywu partyjnego, Zhou Enlai określił XXII Zjazd KPZR mianem rewizjonistycznego. Natomiast przed odjazdem ze stolicy ZSRR Chińczycy zdecydowali się na jeszcze jedną demonstrację – złożenie kwiatów na grobie Stalina, którego zwłoki postanowiono właśnie usunąć z mauzoleum Lenina<sup>79</sup>.

Rok 1962 upłynął na jałowej w gruncie rzeczy wymianie poufnej korespondencji na linii komitetów centralnych KPZR i KPCh<sup>80</sup>. Towarzyszyło temu intensyfikowanie zmagających propagandowych, przede wszystkim ze strony Pekinu. Chińczycy, za pośrednictwem Albanii, potępili ostro postawę ZSRR w trakcie kryzysu kubańskiego, nazywając ją kapitulantstwem wobec imperialistów<sup>81</sup>. Wzmoczone zastępcze ataki przeciwko ZKJ, zwłaszcza kiedy doszło do ponownego unormowania stosunków Jugosławii z Kremlem. Kierownictwo KPCh wspierało także pojawiające się w niektórych partiach grupy frakcyjne, które skłaniały się do przyjęcia jego poglądów. Na przełomie 1962 i 1963 r. spory przeniosły się na trybuny zjazdowe kilku partii komunistycznych – bułgarskiej, węgierskiej, włoskiej, czechosłowackiej i ernerdowskiej<sup>82</sup>. Wspomagany przez Albańczyków

---

79. P. Jones, S. Kevill, *op.cit.*, s. 24; R.A. Miedwiediew, *op.cit.*, s. 217; W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 137; R. Terrill, *op.cit.*, s. 320; AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1166, Z informacji ambasadora ZSRR Czerwonienko dla ambasadorów Rumunii, Węgier, Czechosłowacji, Bułgarii, Mongolii, Polski, w dn. 23 XII 61 r., k. 57.

80. M. Paździora, *op.cit.*, s. 196-197; O. Borisow, B. Kołoskow, *op.cit.*, s. 247 i nast.

81. M. Paździora, *op.cit.*, s. 197; zob. też: G. Stern, *op.cit.*, s. 187; P. Jones, S. Kevill, *op.cit.*, s. 26.

82. AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1136, Notatka z przyjęcia na zakończenie VIII Zjazdu WSPR, k. 234; *ibidem*, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1168, Notatka z rozmowy delegacji polskiej na XII Zjazd KP Czechosłowacji z tow. Novotnym, k. 9-10; *ibidem*, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1209, Notatka o VI Zjeździe Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności (15-24 styczeń 1963 r.), k. 13; *ibidem*, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1104, Przemówienie powitalne delegacji Komunistycznej Partii Chin na VI Zjeździe Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, k. 25 i nast.; *ibidem*, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1048, Rozbieżności pomiędzy Tow. Togliattim a nami, k. 18; J. Pawłowicz, *PZPR w międzynarodowym ruchu robotniczym*, Warszawa 1980, s. 67.

Pekin zaczął mówić otwarcie o rozłamie w międzynarodowym ruchu komunistycznym, gdzie z jednej strony występowały partie skupione wokół KPZR, z drugiej zaś zwolennicy KPCh. Ci ostatni mieli stanowić „rewolucyjną mniejszość”, a pierwszych określano mianem „rewizjonistycznej większości”, będącej „wstecznym nurtem” w obozie socjalistycznym i dążącej do restauracji stosunków kapitalistycznych we własnych krajach<sup>83</sup>. W czerwcu 1963 r. kierownictwo KPCh zdecydowało się na ogłoszenie własnej „linii generalnej” międzynarodowego ruchu komunistycznego (słynne „25 punktów”), której autorem był Mao Zedong. Odcinając się definitywnie od koncepcji politycznych KPZR ze strategią pokojowego współistnienia na czele, a także uznając za niewystarczające ustalenia narad z 1957 i 1960 r., Chińczycy proponowali własne przywództwo ideologiczne wszystkim „prawdziwie marksistowskim partiom”<sup>84</sup>.

Ostateczny rozłam w tych okolicznościach był jedynie kwestią czasu. Nie mogła temu zapobiec ani dalsza wymiana listów między Pekinem a Moskwą, odbywająca się zresztą w atmosferze nieustannej konfrontacji propagandowej, ani późniejsze wizyty w stolicy ZSRR członków kierownictwa KPCh: najpierw w lipcu 1963 r. Deng Xiaopinga, a następnie, o czym będzie jeszcze mowa, Zhou Enlaia, który przebywał w Moskwie w listopadzie 1964 r. Wykluczające się wzajemnie ideologiczne i polityczne interesy obydwu mocarstw komunistycznych nie pozwalały już nie tylko na porozumienie, ale nawet zawieszenie broni.

Od zakończenia narady moskiewskiej w 1960 r. Gomułka i kierownictwo PZPR stało lojalnie po stronie KPZR w toczących się zmaganiach z KPCh<sup>85</sup>. Nie ulega jednak wątpli-

---

83. O. Borisow, B. Kołoskow, *op.cit.*, s. 252-253; M. Paździora, *op.cit.*, s. 197; A. Halimarski, *op.cit.*, s. 227-229.

84. M. Paździora, *op.cit.*, s. 201; K. Makowski, *op.cit.*, s. 39; A. Halimarski, *op.cit.*, s. 231-232; P. Jones, S. Kevill, *op.cit.*, s. 27; zob. też AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1048, „Biuletyn Specjalny. Kraje socjalistyczne” nr 1846/17.06.63. *Materiały i dokumenty. Propozycja dotycząca linii generalnej międzynarodowego ruchu komunistycznego – list Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin w odpowiedzi na list Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Zw. Radzieckiego z 30 marca 1963 r.*, k. 85 i nast.

85. *Sprawozdanie z Narady Przedstawicieli Partii Komunistycznych i*

wości, że przywódca polskiej partii żywił w dalszym ciągu nadzieję na choćby częściowe zażegnanie konfliktu i dążył, w miarę swoich możliwości, do jego złagodzenia<sup>86</sup>. Po spotkaniu w Moskwie Gomułka polecił ograniczanie informacji na temat sytuacji w ruchu komunistycznym i toczących się w jego łonie polemik. Prasa przedrukowywała jedynie najbardziej oficjalne teksty, przy czym unikano wypowiedzania się na temat sporu w imieniu PZPR<sup>87</sup>.

Warszawa wykonywała wobec Pekinu różne przyjazne gesty, m.in. w 1961 r. zorganizowała w ChRL wystawę przemysłową<sup>88</sup>. Starła się również wychodzić naprzeciw postulatom strony chińskiej w trakcie rokowań handlowych, czy wręcz proponowała pomoc Pekinowi, zdając sobie sprawę z sytuacji, w jakiej znalazła się gospodarka ChRL po krachu polityki gospodarczej „wielkiego skoku”<sup>89</sup>. Na arenie międzynarodowej PRL deklarowała niezmiennie poparcie dla Pekinu w sprawie problemu tajwańskiego, czy też kwestii przyjęcia Chin do ONZ. W przemówieniu wygłoszonym w trakcie wizyty delegacji polskiej w Mongolii w lipcu 1961 r. Gomułka mówił: „Popieramy zdecydowanie prawa ChRL do Tajwanu oraz żądamy przywrócenia jej należnego miejsca w ONZ i Radzie Bezpieczeństwa. Żałosne i beznadziejne

---

*Robotniczych wygłoszone na VII Plenum KC PZPR 21 I 1961 r.*, w: W. Gomułka, *Przemówienia 1961*, Warszawa 1962.

86. J. Ptański, *op.cit.*, s. 126.

87. A. Werblan, *PZPR a schizma chińska...*, s. 66. Właściwie po raz pierwszy na temat rozbieżności radziecko-chińskich napisano w PRL dopiero pod koniec 1963 r. (*O rozbieżnościach między kierownictwem KPCh a międzynarodowym ruchem komunistycznym*, „Nowe Drogi” 1963, nr 9; «*Kommunist*» w polemice ze stanowiskiem KPCh, „Nowe Drogi” 1963, nr 10). Szerszej informacji o sporach zaistniałych w ruchu komunistycznym pozbawieni byli nawet członkowie PZPR (AAN, KC PZPR, sygn. 237/VIII/587, Notatka w sprawie plenarnych posiedzeń KP w związku z IX Plenum i XXII Zjazdem KPZR, k. 19).

88. Pierwszą wystawę gospodarczą w ChRL strona polska zorganizowała jeszcze we wrześniu 1953 r. (W. J. Dziak, *Stosunki polsko-chińskie...*, s. 101).

89. Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych [AMSZ], z. 57/65, w. 5, *Stosunki Polski z krajami socjalistycznymi Azji*.

Mimo dobrej woli ze strony polskiej, w 1961 r. Chiny zdecydowały się na ograniczenie wymiany handlowej z PRL. Wpłynęły na to przede wszystkim konsekwencje „wielkiego skoku” (A. Skrzypek, *op.cit.*, s. 242; zob. też: AMSZ, z. 57/65, w. 5, *Stosunki Polski z krajami socjalistycznymi Azji*).

są próby forsowania tezy o istnieniu «dwóch Chin» i o możliwości reprezentacji w ONZ zarówno ChRL, jak i amerykańskiej marionetki – Czang Kai-szeka. Jesteśmy głęboko przekonani, że dzień, w którym ChRL, jedyna prawowita reprezentantka wielkiego narodu chińskiego, odzyska należne jej prawa, jest bliski<sup>90</sup>.

Te posunięcia stwarzały PRL nieco lepszą atmosferę we wzajemnych stosunkach, w odróżnieniu od pozostałych państw socjalistycznych, zwłaszcza że również sam szef PZPR, przy różnych oficjalnych okazjach, starał się zachowywać umiar w krytykowaniu polityki ChRL<sup>91</sup>. Brak szerszego zaangażowania polskiej partii w konflikt sowiecko-chiński wynikał z właściwej oceny istoty sporu dokonanej przez Gomułkę. Rozumiejąc, że pod powierzchnią różnic ideologicznych kryje się kolizja mocarstwowych interesów ZSRR i ChRL, I sekretarz skłaniał się do obciążenia Kremla przynajmniej częściową winą za zaistniałą sytuację. Był więc przekonany, jak twierdzi Andrzej Werblan, że główny powód konfliktu wpływał z naznaczonej hegemonizmem polityki Związku Sowieckiego, który niedostatecznie respektował państwowe interesy Chin oraz nie traktował ich jako równorzędnego partnera i sojusznika. Dochodził więc do wniosku, że sposobem na uniknięcie ostatecznego rozłamu mogłyby być pewne ustępstwa ZSRR na rzecz ChRL i nieprovokowanie Pekinu różnymi posunięciami politycznymi<sup>92</sup>. Z tego wynikał sprzeciw Gomułki, kiedy w 1963 r. pojawiła się, popierana przez Chruszczowa, koncepcja przyjęcia do Układu Warszawskiego Mongolskiej Republiki Ludowej, co – zdaniem polskiego przywódcy – miałyby wymowę antychińską<sup>93</sup>.

---

90. *Przemówienie na wiecu w Ulan Bator, wygłoszone 13 VII 1961 r.*, w: W. Gomułka, *Przemówienia 1961*, s. 365; zob. też: *ONZ kontynuuje debatę w sprawie Chin. Wystąpienie wiceministra J. Winiewiczza*, „Trybuna Ludu” 1961, nr 335.

91. AMSZ, z. 57/65, w. 5, *Stosunki Polski z krajami socjalistycznymi Azji; Przemówienie na VI Zjeździe SED, wygłoszone 17 I 1963 r.*, w: W. Gomułka, *Przemówienia styczeń 1963-lipiec 1964*, Warszawa 1964, s. 10-11; zob. też: AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1209, *Notatka o VI Zjeździe Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności (15-24 styczeń 1963 r.)*, k. 13.

92. A. Werblan, *PZPR a schizma chińska...*, s. 68.

93. *Relacja Władysława Gomułki ze spotkania z delegacją radziecką w Białowieży 24 października, wygłoszona na II Plenum KC PZPR w listopadzie 1964 r.*, w: *Tajne dokumenty...*, s. 251. Chruszczow zgodził się z argu-

Gomułka wyraził swoje poglądy w październiku 1963 r. w liście do Chruszczowa, który przekazano kierownictwu ZSRR wraz z opinią Biura Politycznego KC PZPR na temat projektu układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Władze PZPR odniosły się z dezaprobatą do projektu, dowodząc, że jego warunki są niekorzystne dla państw socjalistycznych i mogą zachwiać równowagę sił<sup>94</sup>. Jednocześnie Gomułka, nawiązując do sporów z Chinami, stwierdzał, że tak istotnych porozumień jak układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej nie można zawierać „bez konsultacji z Komunistyczną Partią Chin i wbrew Chińskiej Republice Ludowej”, ponieważ doprowadzi to do zupełnego rozkładu obozu państw socjalistycznych<sup>95</sup>. W tym kontekście I sekretarz tłumaczył negatywne reakcje Pekinu na podpisanie w sierpniu 1963 r., bez jego wiedzy, Układu Moskiewskiego o częściowym zakazie prób z bronią atomową<sup>96</sup>. Twierdził, że KPCh „potraktowała ten Układ jako dążenie do izolacji Chińskiej Republiki Ludowej zarówno wśród państw socjalistycznych jak i na arenie międzynarodowej”<sup>97</sup>. Według Gomułka „U podstaw rozbieżności z Komunistyczną Partią Chin leży [...] to, że Chińska Republika Ludowa pozbawiona została możliwości uczestniczenia w podejmowaniu decyzji przy rozstrzygnięciu ważnych spraw międzynarodowych”. Powodem takiego stanu rzeczy było stanowisko ZSRR, który „nie zawsze

---

mentami Gomułka i w konsekwencji nie powracano już później do kwestii ewentualnego udziału Mongolskiej Republiki Ludowej w Układzie Warszawskim (*ibidem*).

94. A. Werblan, *PZPR a schizma chińska...*, s. 67-68. Traktat o nierozprzestrzenianiu broni atomowej został przyjęty dopiero w lipcu 1968 r., natomiast wszedł w życie od marca 1970 r.

95. *List Władysława Gomułka do Nikity Chruszczowa w sprawie układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej z 8 października 1963 r.*, w: *Tajne dokumenty...*, s. 175.

96. K. Makowski, *op.cit.*, s. 39. Układ, którego warunki negocjowano już od 1958 r., został podpisany 5 sierpnia 1963 r. w Moskwie przez przedstawicieli Związku Sowieckiego, USA oraz Wielkiej Brytanii. Postanowienia układu weszły w życie od 10 października 1963 r. i zobowiązywały sygnatariuszy do zaprzestania próbnych eksplozji nuklearnych w atmosferze, pod wodą i w przestrzeni kosmicznej.

97. *List Władysława Gomułka do Nikity Chruszczowa...*, s. 175-176; por. też *Przemówienie na wiecu w Pałacu Kultury i Nauki z okazji pobytu w Polsce delegacji partyjno-rządowej NRD wygłoszone 30 IX 1963 r.*, w: W. Gomułka, *Przemówienia styczeń 1963-lipiec 1964*, s. 189-190.

uważał za słuszne uwzględnić w swej polityce zastrzeżenia Chińskiej Republiki Ludowej”, dlatego też, ciągnął dalej Gomułka, „w Komunistycznej Partii Chin zaczął narastać bunt przeciwko KPZR, który po zawarciu Układu Moskiewskiego o częściowym zakazie doświadczeń broni jądrowej wylał się w obecnych, znanych nam formach”<sup>98</sup>. Szef PZPR apelował w związku z tym do Chruszczowa, by „w imię utrzymania jedności obozu socjalistycznego [...] dojść do porozumienia z Komunistyczną Partią Chin na bazie rozsądnego kompromisu”. Jego zdaniem „jeśli Związek Radziecki będzie konsultował się i uzgadniał swoje ważniejsze posunięcia polityczne na arenie międzynarodowej z Chińską Republiką Ludową, to Komunistyczna Partia Chin zrezygnuje w swej propagandzie z ataków na KPZR i że w szeregu kwestiach spornych można będzie osiągnąć zbliżone punkty widzenia”<sup>99</sup>. Gomułka dodawał jednocześnie realistycznie, że „Pełnej jedności osiągnąć się nie da. Różnice ideologiczne pozostaną na długo, lecz utrzymać je należy w granicach nie rozsadzających jedności obozu socjalistycznego [...], a tym bardziej bez atakowania innych partii, czy to w sposób bezpośredni, czy pośredni. Istnieje prawdopodobieństwo, że bieg czasu stopniowo złagodzi rozbieżności lub je zdezaktualizuje, co umożliwi przywrócenie jedności ideologicznej”<sup>100</sup>.

Nie jest wiadome, jaka była reakcja kierownictwa KPZR na sugestie przywódcy PZPR, choć najprawdopodobniej doszło z tego powodu do pogorszenia stosunków między nim a Chruszczowem<sup>101</sup>. Pewne pozostaje jednak, że pod koniec 1963 r. różnice między Chinami i ZSRR okazały się nie do pogodzenia. Sam Gomułka, obserwując zachowanie zarówno Moskwy, jak i Pekinu, wątpił coraz bardziej w zażegnanie konfliktu, ale z drugiej strony nie dopuszczał, aby PZPR stała się zbyt aktywnym uczestnikiem toczących się zmagani propagandowych i wzajemnych oskarżeń<sup>102</sup>. Krytyka I sekretarza pod adresem Chin kon-

---

98. *Ibidem*, s. 176-177.

99. *Ibidem*, s. 178.

100. *Ibidem*, s. 178-179.

101. A. Werblan, *PZPR a schizma chińska...*, s. 72.

102. M. Paździora, *op.cit.*, s. 211; M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1963-1966*, Warszawa 1999, s. 84; AAN, KC PZPR, sygn. 237/V/372, Notatka z 24.12.1963, k. 67.



centrowała się głównie na płaszczyźnie jego obaw o zachowanie jedności obozu socjalistycznego oraz akcentowania jednolitego stanowiska polskiej partii z KPZR „w stosunku do fałszywej linii ideologicznej i politycznej [...] przywódców Komunistycznej Partii Chin”<sup>103</sup>. Gomułka stwierdzał wielokrotnie, że KPCh stosuje „niedopuszczalną w formie i treści polemikę z Komunistyczną Partią Związku Radzieckiego i innymi partiami komunistycznymi”<sup>104</sup>. Politykę kierownictwa chińskiego określał mianem dogmatycznej i odrzucał zdecydowanie zarzuty KPCh o rewizjonizm wobec KPZR i innych partii komunistycznych. Potępiał także inspirowanie i popieranie przez Pekin „rozłamowych frakcji w bratnich, marksistowsko-leninowskich partiach”<sup>105</sup>.

---

103. *Przemówienie na przyjęciu w Pałacu Kremłowskim wygłoszone 13 IV 1964 r.*, w: W. Gomułka, *Przemówienia styczeń 1963-lipiec 1964*, s. 337.

104. *Przemówienie na wiecu przyjaźni w Moskwie wygłoszone 15 IV 1964 r.*, w: W. Gomułka, *ibidem*, s. 355; por. też *Przemówienie na wiecu w Pałacu Kultury i Nauki z okazji pobytu w Polsce delegacji partyjno-rządowej NRD wygłoszone 30 IX 1963 r.*, w: W. Gomułka, *ibidem*, s. 190; *IV Zjazd PZPR. Sprawozdanie Komitetu Centralnego i wytyczne rozwoju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wygłoszone 15 VI 1964 r.*, w: W. Gomułka, *ibidem*, s. 624-625.

105. *Przemówienie w XIX rocznicę podpisania Układu o Przyjaźni, Pomocy Wzajemnej i Współpracy między Polską i ZSRR wygłoszone 20 IV 1964 r.*, w: W. Gomułka, *ibidem*, s. 389; zob. też: AAN, KC PZPR, sygn. 237/V/532, Notatka z rozmowy z tow. Andropowem, k. 1. Również w PZPR, począwszy od 1959 r., ujawniła się grupa nastawionych prochińsko działaczy partyjnych, której przewodził były członek KC i dawny natolińczyk Kazimierz Mijał. W okresie przygotowań do IV Zjazdu PZPR w końcu 1963 r. członkowie grupy wystąpili z krytyką zarówno kierownictwa sowieckiego, jak i ekipy Gomułki, wysuwając oskarżenia o rewizjonizm i tendencje burżuazyjne (J. Eisler, *Marzec 1968. Geneza. Przebieg. Konsekwencje*, Warszawa 1991, s. 28-29; F. Szlachcic, *Gorzki smak władzy. Wspomnienia*, Warszawa 1990, s. 46-47; *Notatka z rozmów polsko-radzieckich w Moskwie w dniach 13-15 kwietnia 1964 r.*, w: *Tajne dokumenty...*, s. 220). W 1965 r. „mijałowcy”, wspierani finansowo przez ambasadę Chin i Albanii, powołali Tymczasowy Komitet Centralny Komunistycznej Partii Polski, a w broszurze pt. *Pod sztandarem marksizmu-leninizmu do walki o socjalizm* zawarli swój program polityczny (M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1963-1966*, s. 350-357). Kiedy kierownictwo partyjne zdecydowało w końcu o aresztowaniach wśród członków grupy, Mijał w lutym 1966 r. wyjechał potajemnie z Polski, korzystając z udostępnionego mu przez ambasadę albańską paszportu dyplomatycznego (AMSZ, z. 34/70, w. 1, Polsko-albańskie stosunki polityczne od 1961 r.; W. Namiotkiewicz, *Byłem sekretarzem Gomułki. Z Walerym Namiotkiewiczem rozmawia Grzegorz Sołtysiak*, Warszawa 2002, s. 44).

Poglądy KPCh, dotyczące m.in. wojny, walki z imperializmem czy likwidacji kolonializmu, szef PZPR konfrontował w swoich wystąpieniach z dokumentami porad moskiewskich z 1957 i 1960 r. i tłumaczył jako skutek niezrozumienia przez ChRL współczesnych realiów politycznych oraz jej dążeń do uzyskania za wszelką cenę statusu mocarstwa światowego<sup>106</sup>. Nieoficjalnie, w trakcie poufnych rozmów z przywódcami innych państw wyrażał przekonanie, że Chiny jedynie werbalnie kwestionują zasadę pokojowego współistnienia. Według niego był to tylko element taktyki politycznej, natomiast w praktyce Pekin nigdy nie posunąłby się do sprowokowania konfliktu, którego skala stanowiłaby rzeczywiste zagrożenie dla pokoju światowego<sup>107</sup>.

Odsunięcie Chruszczowa w październiku 1964 r. i objęcie władzy w ZSRR przez ekipę Leonida Breżniewa stwarzało szansę na zmianę relacji Pekin-Moskwa. Zarówno nowe kierownictwo sowieckie, jak i władze ChRL były wówczas skłonne, jak się wydawało, do zrewidowania swoich stanowisk i choćby częściowego powrotu do stanu sprzed rozłamu<sup>108</sup>. Problemy konfliktu z KPCh były dyskutowane w trakcie pierwszego spotkania Gomułki z Breżniewem jako przywódcą ZSRR, w Białowieży 24 października 1964 r. Pierwszy sekretarz polskiej partii przyjął z zadowoleniem deklarację przedstawicieli strony sowieckiej dotyczące podjęcia wysiłków na rzecz porozumienia z ChRL. Jednocześnie przedstawił własne krytyczne opinie o polityce Chruszczowa wobec Chin, odwołując się do swoich poglądów w przytaczanym już liście z października 1963 r.<sup>109</sup>

Przywódca PRL wiązał w tej sytuacji spore nadzieje ze

---

106. *Przemówienie na wiecu przyjaźni w Moskwie wygłoszone 15 IV 1964 r.*, w: W. Gomułka, *ibidem*, s. 362 i nast.; *IV Zjazd PZPR. Sprawozdanie Komitetu Centralnego...*, s. 600 i nast.

107. AAN, KC PZPR, sygn. XIA/42, Notatka z rozmów między delegacją partyjno-rządową PRL oraz Kierownictwem Związku Komunistów Jugosławii i Rządu Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii, Belgrad, 16 listopada 1965 r., k. 208.

108. *«Spor idiet o slizkom bolszych wieszczach»*. *Nieudawszajas politika sowietsko-kitajskowo primirienija. 1964-1965 gg.*, „Istoriczeskij Archiw” 2007, nr 1, s. 3 i nast.; M. Paździora, *op.cit.*, s. 216-217.

109. *Relacja Władysława Gomułki...*, s. 251; por.: A. Skrzypek, *op.cit.*, s. 298; J. Ptasieński, *op.cit.*, s. 126; B. Rychłowski, *W zmaganiach lat sześćdziesiątych*, w: *Władysław Gomułka i jego epoka*, red. E. Salwa-Syzdek i T. Kaczmarek, Warszawa 2005, s. 134.

wspominaną wcześniej wizytą Zhou Enlaia i delegacji KPCh w Moskwie w listopadzie 1964 r., kiedy to przedstawiciele KPCh zaproszono oficjalnie do stolicy ZSRR na obchody czterdziestej siódmej rocznicy Rewolucji Październikowej. W trakcie toczących się wówczas poufnych rozmów chińsko-sowieckich Gomułka, w porozumieniu z kierownictwem KPZR, dwukrotnie spotkał się z delegacją chińską w ambasadzie ChRL. Rozmawiano przede wszystkim o problemie zaprzestania polemiki między KPCh i KPZR oraz poruszano kwestię zwołania kolejnej narady partii komunistycznych<sup>110</sup>.

Szef PZPR przekonał się szybko, że Chińczycy nie przywieźli ze sobą konkretnych propozycji złagodzenia sporów w ruchu komunistycznym, a głównym celem ich wizyty w Moskwie było „zorientowanie się w sytuacji zaistniałej po zwolnieniu tow. Chruszczowa, aby w zależności od oceny tej sytuacji ustalić taktykę dalszego postępowania KPCh”<sup>111</sup>. Podczas rozmów Gomułka dowodził, że z rozbicia obozu socjalistycznego korzystają głównie jego wrogowie i że „przywrócenie jedności zależy w pierwszym rzędzie od KPCh i KPZR”<sup>112</sup>. Przekonywał także Chińczyków, że po odejściu Chruszczowa zaistniały dogodniejsze warunki dla rozwiązania sporów, a ważnym krokiem do tego celu byłoby „zaniechanie publicznych ataków i polemiki” oraz poparcie KPCh dla planów szybkiego zwołania narady partii komunistycznych<sup>113</sup>.

Zhou Enlai nie ukrywał przed Polakami, że KPCh uzależniła swoje dalsze działania polityczne przede wszystkim od wyników rozmów z KPZR. Te jednak, jak się okazało, nie przyniosły właściwie żadnych efektów. Breżniew i jego ekipa poza wyhamowaniem chruszczowowskiej destalinizacji nie miały Pekinowi wiele do zaproponowania. Kreml nie zamierzał się dzielić z kimkolwiek swoją pozycją, tak w ruchu komunistycznym, jak i na arenie międzynarodowej, uznając tym samym za zasadniczo słuszną wcześniejszą politykę zagraniczną Chruszczowa oraz jego stanowisko wobec Chin<sup>114</sup>. Z drugiej strony również Chińczycy

---

110. W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 145; *Relacja Władysława Gomułki...*, s. 253.

111. *Relacja Władysława Gomułki...*, s. 253-254.

112. *Ibidem*, s. 255.

113. *Ibidem*, s. 255-256.

114. W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 143; A. Werblan, *PZPR a schizma chińska...*, s. 72.

nie wykazywali nadmiernej elastyczności, nie godząc się ani na przerwanie publicznych polemik, ani na zwołanie w najbliższym czasie narady partii komunistycznych. Kiedy się okazało, że nie można liczyć na zasadniczą rewizję dotychczasowej polityki Kremla, kierownictwo ChRL zintensyfikowało kampanię propagandową przeciwko nowym władzom ZSRR, które – jak zaczęto twierdzić w Pekinie – „kontynuują rewizjonizm chruszczowski bez Chruszczowa”<sup>115</sup>.

Po spotkaniu w Moskwie Gomułka stracił wszelkie złudzenia co do zażegnania kryzysu i przekonał się, że zarówno KPCh, jak i KPZR nie są skłonne do choćby częściowego uwzględnienia oczekiwań drugiej strony. Wspierając w dalszym ciągu stanowisko ZSRR, I sekretarz polskiej partii nie angażował się już jednak bezpośrednio w spór chińsko-sowiecki, choć nie mógł stracić go zupełnie z pola widzenia, zwłaszcza po rozpoczęciu amerykańskiej interwencji w Wietnamie, kiedy wystąpił problem wzmożenia i koordynowania pomocy dla tamtejszych komunistów ze strony państw socjalistycznych<sup>116</sup>.

Działania Kremla w zakresie ekonomicznego i militarnego wspierania Demokratycznej Republiki Wietnamu (DRW) były odbierane w Pekinie z dużą nieufnością i interpretowane, nie bez racji, jako przede wszystkim dążenie do zdominowania kosztem Chin wietnamskiego ruchu komunistycznego<sup>117</sup>. Zupełnym

---

115. W. J. Dziak, *Albania między Belgradem...*, s. 146; zob. też: *Relacja Władysława Gomułka...*, s. 256-257; M. Paździora, *op.cit.*, s. 221-222; AAN, KC PZPR, sygn. XI/485, Kilka uwag o reakcji ChRL na zbliżający się Zjazd KPZR, k. 95.

116. Chiny i ZSRR wspomagały poważnie Viet Minh jeszcze w okresie pierwszej wojny indochińskiej. Finansowa pomoc na dużą skalę dla Demokratycznej Republiki Wietnamu (DRW) ze strony państw socjalistycznych płynęła od połowy lat pięćdziesiątych XX w. Szacuje się, że w latach 1955-1961 DRW otrzymała ponad miliard dolarów, z czego z ChRL – 662 mln, z ZSRR – 365 mln oraz 38 mln z krajów socjalistycznych Europy Wschodniej (P. Ostaszewski, *Wietnam. Najdłuższy konflikt powojennego świata 1945-1975*, Warszawa 2000, s. 305; zob. też: J. L. Gaddis, *op.cit.*, s. 209; AAN, KC PZPR, sygn. 237/V/623, Informacja o pomocy Związku Radzieckiego dla Demokratycznej Republiki Wietnamu i Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego (tłumaczenie z jęz. rosyjskiego), k. 214 i nast.).

117. P. Ostaszewski, *op.cit.*, s. 399; AAN, KC PZPR, sygn. XIA/30, Notatka z rozmowy z dyrektorem Departamentu ZSRR i Europy Wschodniej MSZ ChRL Ju Dżanem, k. 338.

fiaskiem wobec tego zakończyła się wizyta w Pekinie w lutym 1965 r. premiera ZSRR Aleksieja Kosygina, której celem było m.in. skłonienie ChRL do współpracy w kwestii wspomagania wietnamskich partyzantów<sup>118</sup>. Wkrótce też władze chińskie zaczęły otwarcie deprecjonować wartość pomocy sowieckiej dla DRW i twierdzić, że w rzeczywistości Kreml nie chce zwycięstwa komunistów w Wietnamie. To natomiast było już dla Chińczyków równoznaczne ze współpracą ZSRR z USA, co określano jako „zmowę rewizjonistów i imperialistów, którzy mają wspólne cele”<sup>119</sup>. Jednocześnie Pekin wszelkimi sposobami starał się utrudniać, czy nawet uniemożliwiać dostawy uzbrojenia i towarów przez swoje terytorium dla partyzantki wietnamskiej z ZSRR i innych państw komunistycznych, zmuszając je tym samym do korzystania z drogi morskiej, narażonej z kolei na ataki lotnictwa USA<sup>120</sup>.

W okresie interwencji amerykańskiej również PRL była poważnie zaangażowana zarówno w pomoc gospodarczą dla Wietnamu, jak i w organizowanie transportu morskiego dla tego kraju<sup>121</sup>. Gomułka, głęboko zaniepokojony konfliktem w Indochi-

---

118. P. Jones, S. Kevill, *op.cit.*, s. 61-62; M. Paździora, *op.cit.*, s. 217. Premier Kosygin zatrzymywał się w Pekinie dwukrotnie w lutym 1965 r. w czasie swojej podróży do Wietnamu. W Hanoi podpisano wówczas umowę między ZSRR i DRW przewidującą sowiecką pomoc gospodarczą i dostawy uzbrojenia dla strony wietnamskiej, której wartość, jedynie w 1965 r. przekroczyła 500 mln dolarów (P. Ostaszewski, *op.cit.*, s. 399-400; zob. też: AAN, KC PZPR, sygn. 237/V/623, Informacja o pomocy Związku Radzieckiego..., k. 215).

119. AAN, KC PZPR, sygn. IX/485, Notatka służbowa w sprawie udziału w oficjalnym przyjęciu w Ambasadzie ChRL w dniu 2 sierpnia br., k. 155; J. W. Strong, *op.cit.*, s. 36. Chińczycy mówili otwarcie o zmowie sowiecko-amerykańskiej także w odniesieniu do konfliktu arabsko-izraelskiego w 1967 r. Pekin twierdził, że ZSRR, w celu zaspokojenia swoich imperialnych dążeń, wspierał politycznie i militarnie Arabów i był odpowiedzialny za wojnę, jednak nie odważył się na interwencję (J. W. Strong, *op.cit.*, s. 37).

120. AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1531, Do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin, k. 159; *ibidem*, KC PZPR, sygn. 237/V/623, Informacja o pomocy Związku Radzieckiego..., k. 217-219.

121. Archiwum Kancelarii Prezesa Rady Ministrów [AKPRM], sygn. 53/18/1, Pismo E. Szyra do Ambasadora Demokratycznej Republiki Wietnamu, Warszawa, dnia 31 maja 1965, k. 298-300; AAN, KC PZPR, sygn. 237/V/623, Notatka w sprawie pomocy dla WRD w transporcie morskim, k. 164-166). Na przykład w maju 1965 r. do Wietnamu przybyły dwa pol-

nach, był przekonany, że i tym razem nie uda się nakłonić Chińczyków do jakiegokolwiek kompromisu. W rozmowach z przywódcami sowieckimi, jugosłowiańskimi czy kubańskimi szef PZPR twierdził, że Pekinowi nie tyle zależy na wyniku wojny, ile na opanowaniu Wietnamu i odseparowaniu go od ZSRR. Dostrzegając również, że ChRL zamierzała wykorzystać wojnę w Indochinach do sprowokowania napięcia w stosunkach między Układem Warszawskim a NATO<sup>122</sup>. Podkreślał w tej sytuacji z ubolewaniem bezsilność krajów demokracji ludowej, również ZSRR, wobec problemu wietnamskiego i twierdził, że obóz socjalistyczny jest w tym względzie niewolnikiem polityki chińskiej<sup>123</sup>.

Pesymistyczne rachuby Gomułki, co do porozumienia z ChRL w sprawie wietnamskiej potwierdzała odpowiedź komitetu centralnego partii chińskiej na list KC PZPR z grudnia 1965 r. Polskie kierownictwo przekonywało w nim Chińczyków do podjęcia współdziałania z całym blokiem socjalistycznym w pomocy dla walczącego Wietnamu. Dowodowano, że jedynie połączenie wysiłków na tym polu przyniesie realne efekty i zapobiegnie rozszerzeniu się konfliktu. Proponowano także Pekinowi zorganizowanie narady krajów demokracji ludowej, gdzie miano by usta-

---

skie statki – „Gdynia” oraz „Beniowski” – z „darem od rządu polskiego”, który stanowiło kilkadziesiąt samochodów ciężarowych, sprzęt medyczny, odzież i żywność. Oprócz tego statek „Gdynia” został przekazany nieodpłatnie na własność DRW (AKPRM, sygn. 53/18/1, Pismo E. Szyra do Ambasadora Demokratycznej Republiki Wietnamu..., k. 298-300). Wartość pomocy gospodarczej udzielonej Wietnamowi przez Polskę w 1965 r. opiewała na sumę kilkudziesięciu milionów rubli i dotyczyła w większości sprzętu wojskowego, maszyn oraz lekarstw (AAN, KC PZPR, sygn. 237/V/664, Notatka w sprawie udzielenia pomocy Demokratycznej Republice Wietnamu w 1966 r., k. 43). W 1966 r. polskie dostawy dla Hanoi składały się m.in. z uzbrojenia i wyposażenia wojskowego, lekarstw i sprzętu medycznego oraz różnego typu maszyn i obrabiarek (*ibidem*, k. 42-43).

122. AAN, KC PZPR, sygn. XIA/42, Notatka z rozmów między delegacją partyjno-rządową PRL oraz kierownictwem Związku Komunistów Jugosławii i Rządu Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii, Belgrad, 16 listopada 1965 r., k. 318; *Notatka z rozmów polsko-radzieckich w Puszczy Białowieskiej (na Białorusi) w dniach 29-30 października 1965 r.*, w: *Tajne dokumenty...*, s. 343, 352.

123. *Stenogram rozmów polsko-radzieckich w Moskwie 10-15 października 1966 r.*, w: *Tajne dokumenty...*, s. 412; AAN, KC PZPR, sygn. XIA/42, Notatka z rozmów między delegacją partyjno-rządową PRL oraz kierownictwem Związku Komunistów Jugosławii..., k. 321.

lić wspólną strategię wspomagania partyzantki wietnamskiej<sup>124</sup>.

Kierownictwo KPCh, sprzeciwiając się zdecydowanie tej inicjatywie, odpowiadało, że „nie zamierza z rewizjonistami obrać nad sprawą Wietnamu, któremu ZSRR nie pomaga i posyła zardzewiałe działa”<sup>125</sup>. Potępiając politykę Kremla przywódcy chińscy stwierdzali, że pod pretekstem „jednoczenia wysiłków na rzecz pomocy Wietnamowi [...] chruszczowowscy rewizjoniści wszelkimi sposobami pomagają imperializmowi amerykańskiemu [...]”, czego ostatecznym celem miało być „wzmoczenie walki przeciwko socjalistycznym Chinom”<sup>126</sup>. Zaatakowano również samego Gomułkę i władze polskie za to, że „z inspiracji KPZR [...] rozwija nową antychińską kampanię”, współdziałając w tym z „innymi rewizjonistami” z partii bułgarskiej, węgierskiej, ernerdowskiej, mongolskiej i czechosłowackiej<sup>127</sup>.

Mimo to w czerwcu 1967 r. Gomułka podjął jeszcze jedną próbę mediacji między ZSRR a ChRL, choć, jak się wydaje, robił to bez przekonania i nadziei na pozytywny efekt. Okazją do nawiązania kontaktu z władzami chińskimi stała się podróż delegacji PZPR, na czele z Zenonem Kliszką, do Wietnamu; po drodze delegaci odwiedzili także Pekin<sup>128</sup>. Spotkali się wówczas z przedstawicielem komitetu centralnego KPCh Liu Ning-i wręczając mu kolejny list od kierownictwa PZPR do KC partii chińskiej. Podczas rozmowy Kliszko, nawiązując do treści pisma, przekonywał, że „niezależnie od tego, jak wielkie są różnice poglądów ideologicznych” zachodzi konieczność współdziałania wszystkich państw obozu socjalistycznego w zwiększeniu pomocy dla Wietnamu, aby w ten sposób przeciwstawić się skutecznie „ofensywie wspólnego wroga, którym jest imperializm amerykański”.

---

124. J. Ptasński, *op.cit.*, s. 127; M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1963-1966*, s. 332-333.

125. AMSZ, z. 34/70, w. 4, Szyfrogram nr 1069 z Budapesztu, dn. 26 I 1966 r.

126. AAN, KC PZPR, sygn. XIA/104, Komitet Centralny Komunistycznej Partii Chin do Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (przekład z tekstu rosyjskiego), k. 213-214; zob. też: M. F. Rakowski, *ibidem*, s. 360.

127. AAN, KC PZPR, sygn. XIA/104, Komitet Centralny Komunistycznej Partii Chin..., k. 216-217; zob. też: J. Ptasński, *op.cit.*, s. 127; AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1364, Rozmowa z ambasadorem ChRL, k. 10.

128. A. Werblan, *PZPR a schizma chińska...*, s. 72.

kański”. Proponował także ponownie zwołanie w tym celu wspólnej narady krajów demokracji ludowej<sup>129</sup>.

Oczekując trudnej rozmowy, Kliszko nie spodziewał się zapewne tak gwałtownej reakcji Chińczyków na propozycję PZPR, która przypominała odpowiedź KPCh na list z grudnia 1965 r. Liu Ning-i, odrzucając argumenty, zaatakował ostro europejskie kraje socjalistyczne stwierdzając, że „partia chińska nie chce mieć nic wspólnego z rewizjonistyczną kliką kierowniczą Związku Radzieckiego i jego lokajami”, którzy „udzielają fałszywego poparcia narodowi wietnamskiemu [...]”, a „w rzeczywistości go zdradzają [...]” oraz „spełniają rolę pierwszego pomocnika imperializmu amerykańskiego [...]”<sup>130</sup>. Chińczyk potępił także PZPR za „antychińskie artykuły, informacje i przedruki zamieszczone w prasie PRL w ostatnim roku [...]”<sup>131</sup>. Podsumowując natomiast swoje wywody, powiedział, że „nie ma i nie może być mowy o jedności działania między prawdziwymi marksistami a rewizjonistami”<sup>132</sup>. O atmosferze spotkania świadczy relacja Kliszki, który po wyjeździe z Pekinu miał stwierdzić, „że takiego steku obelg i wyzwisk nie słyszał jeszcze nigdy, chociaż w ruchu komunistycznym jest już od czterdziestu lat”<sup>133</sup>.

Mimo umiarkowanego od początku stanowiska kierownictwa PZPR i Gomułki wobec konfliktu sowiecko-chińskiego nieuniknione było, że komplikująca się sytuacja w obozie socjalistycznym będzie coraz bardziej negatywnie rzutować na różne obszary relacji Warszawa-Pekin. Do wzajemnych spięć dochodziło od 1960 r. z powodu metod prowadzonych przez

---

129. AAN, KC PZPR, sygn. XIA/23, Notatka z rozmowy tow. Zenona Kliszki z sekretarzem KC KPCh, Liu Ning-i, k. 110-111.

130. *Ibidem*, k. 112.

131. Pod koniec września 1966 r. w „Trybunie Ludu” ukazał się obszerny artykuł, w którym zaprezentowano stanowisko PZPR wobec polityki Chin. Sporo miejsca w tekście poświęcono kwestii wietnamskiej, obciążając ChRL za udaremnianie skutecznej pomocy dla DRW i zarzucając w związku z tym Pekinowi sprzyjanie planom amerykańskim (Archiwum Dokumentacji Historycznej PRL [ADH PRL], sygn. J I/100, Odgłosy i komentarze w Pekinie po artykule „Trybuny Ludu” pt. „O zwycięstwie decyduje jedność”, k. 180 i nast.; *O zwycięstwie decyduje jedność*, „Trybuna Ludu” 1966, nr 269).

132. AAN, KC PZPR, sygn. XIA/23, Notatka z rozmowy tow. Zenona Kliszki..., k. 113.

133. *Ibidem*; zob. też: M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1967-1968*, Warszawa 1999, s. 67-68.



ChRL kampanii propagandowych, w które angażowano chińskie i albańskie placówki dyplomatyczne. Zajmowały się one kolportowaniem licznych wydawnictw dotyczących sytuacji w międzynarodowym ruchu komunistycznym, mających na celu deprecjonowanie całokształtu polityki Kremla po XX Zjeździe i jednocześnie popularyzujących poglądy KPCh.

Podobne materiały, rozprowadzane przez ambasady ChRL i Albanii w Warszawie, spotykały się ze sporym zainteresowaniem wśród obywateli PRL, szczególnie że oficjalne informacje na temat rozbieżności chińsko-sowieckich były przez władze ograniczane i nie docierały do szerszej opinii publicznej. Strona polska reagowała protestami<sup>134</sup>. We wrześniu 1961 r. w Wydziale Zagranicznym KC PZPR odbyła się rozmowa z ambasadorem ChRL, któremu zakomunikowano, że „w związku z kolportażem przez Ambasadę Chińską w Warszawie za plecami PZPR szeregu broszurek, polska cenzura otrzymała polecenie kontrolowania wydawnictw Ambasady ChRL”<sup>135</sup>.

Wiele problemów zaczęło się pojawiać wokół działalności Chińsko-Polskiego Towarzystwa Maklerów Okrętowych „Chipolbrok”<sup>136</sup>, które eksploatowało kilkanaście statków obsługiwanych w większości przez mieszane chińsko-polskie załogi. Narastający konflikt w ruchu komunistycznym wpływał na pogarszanie się stosunków między polskimi i chińskimi marynarzami. Coraz częściej dochodziło do sytuacji, w których Chińczycy,

---

134. AAN, KC PZPR, sygn. 237/VII/3971, Informacja nr 50/A/3839, Warszawa, dnia 25 czerwca 1963 r. Kolportaż listu KC KPCh do KC KPZR, k. 125.

135. AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1166, Notatka z rozmowy z Ambasadorem ChRL tow. Wang Ping-nan w Wydziale Zagranicznym KC PZPR, k. 42.

136. Chińsko-Polskie Towarzystwo Maklerów Okrętowych „Chipolbrok” zostało utworzone w 1951 r. na podstawie chińsko-polskiej umowy międzyrządowej, która miała obowiązywać do 1970 r. Celem Towarzystwa była obsługa wymiany towarowej, przede wszystkim między Chinami i Polską, ale również między innymi krajami demokracji ludowej. W 1967 r. „Chipolbrok” eksploatował szesnaście statków pod banderą polską i trzy statki pod banderą chińską, obsługujących całość obrotów PRL i socjalistycznych państw europejskich z Chinami. Siedziba Towarzystwa znajdowała się w Szanghaju (AAN, KC PZPR, sygn. 237/V/696, Notatka w sprawie aktualnej sytuacji w Chińsko-Polskim Towarzystwie Maklerów Okrętowych „CHIPOLBROK”, k. 67).

inspirowani niewątpliwie przez swoje władze, odmawiali wykonywania poleceń swoich polskich przełożonych, a nawet rozmów towarzyskich z Polakami. W 1963 r. odnotowano, że wśród marynarzy polskich m.in. na statkach „Marian Buczek” i „Małgorzata Fornalska” rozprowadzano materiały propagandowe KPCh, „wymierzone w Związek Radziecki, KPZR i inne partie komunistyczne”<sup>137</sup>. W portach ChRL wzmocniono także dozór nad statkami polskimi. Jesienią 1963 r. w jednym z chińskich miast portowych aresztowano dwóch polskich marynarzy, którzy, zdaniem strony chińskiej, mieli się wdać w bójkę. W sprawie zatrzymanych interweniował konsul PRL z Kantonu<sup>138</sup>. Sytuacja w Towarzystwie „Chipolbrot” miała się zaostreć i w kolejnych latach, zwłaszcza kiedy po wybuchu konfliktu w Wietnamie jego statki zostały zaangażowane do przewożenia towarów do tego kraju<sup>139</sup>.

Napięcia polityczne odbiły się także na działalności Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Chińskiej (TPPCh). Na początku lat sześćdziesiątych organizacja ta, istniejąca od 1957 r., liczyła ok. 20 tys. członków skupionych w oddziałach w siedemnastu województwach i osiemdziesięciu pięciu powiatach. Ograniczenie kontaktów z PRL przez władze chińskie spowodowało, że już pod koniec 1963 r. działalność TPPCh uległa niemal zupełnemu zamrożeniu. Również strona polska wprowadziła wiele ograniczeń wobec organizacji z powodu wykorzystywania jej struktur przez dyplomatów ChRL, starających się tą drogą

---

137. AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1166, Stosunki w Chińsko-Polskim Towarzystwie Maklerów Okrętowych „CHIPOLBROK”. Informacja nr 75/A/3924, Warszawa, dnia 25 września 1963 r., k. 89; *ibidem*, Notatka w sprawie kolportażu materiałów KPCh przez marynarzy i pracowników chińskich zatrudnionych w Chińsko-Polskim Towarzystwie Maklerów Okrętowych „CHIPOLBROK”, k. 72; *ibidem*, KC PZPR, sygn. 237/VII/3971, Informacja nr 56/A/3905, Warszawa, dnia 9 sierpnia 1963 r. Kolportaż materiałów KC Chin, k. 136.

138. AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1166, Notatka w sprawie kolportażu..., k. 72.

139. AAN, KC PZPR, sygn. 237/V/696, Notatka w sprawie XVII posiedzenia Zarządu Chińsko-Polskiego Towarzystwa Maklerów Okrętowych w Chinach 23 X-17 XI 1967 r., k. 73-74; *ibidem*, KC PZPR, sygn. 237/V/660, Notatka w sprawie statków liniowych Chińsko-Polskiego Towarzystwa „Chipolbrot” i Polskich Linii Oceanicznych zawijających do Demokratycznej Republiki Wietnamu, k. 49-50.

rozprowadzać materiały propagandowe. W TPPCh zmniejszono liczbę pracowników etatowych, zaprzestano wydawania czasopism oraz znacznie uszczuplono dotację budżetową<sup>140</sup>.

Nowy wymiar konfliktowi w ruchu komunistycznym nadały wydarzenia „rewolucji kulturalnej” w ChRL, której istotnym elementem była radykalizacja kampanii „przeciwko rewizjonistom radzieckim i innym zdrajcom”<sup>141</sup>. Oznaczało to dalsze pogłębienie kryzysu w stosunkach chińsko-sowieckich oraz zaostrenie relacji z innymi krajami demokracji ludowej<sup>142</sup>. Związek Sowiecki i jego sojusznicy obawiali się, że chaos wewnętrzny wywołany „rewolucją kulturalną” może zagrozić samemu istnieniu KPCh, doprowadzić do upadku władzy komunistów w Chinach, w dalszej konsekwencji zaś wpłynąć na osłabienie całego obozu socjalistycznego<sup>143</sup>.

Gomułka i kierownictwo PZPR obserwowało z niepokojem wypadki w ChRL. W materiałach przeznaczonych do użytku wewnątrzpartyjnego potępiano zdecydowanie działania kierownictwa KPCh, zarzucając mu krzewienie nacjonalizmu, kultu Mao Zedonga i uniemożliwianie skutecznej pomocy dla Wietnamu<sup>144</sup>. Zdaniem władz PZPR sytuacja polityczna podczas „rewolucji kulturalnej” w ChRL mogła doprowadzić do dalszych podziałów w obozie socjalistycznym, nawet do zorganizowania przez Pekin „nowej międzynarodówki” skupiającej rozłamowe grupy z partii komunistycznych popierających KPCh<sup>145</sup>.

Podobnie jak w wypadku większości krajów bloku wschodniego stosunki polsko-chińskie w tamtym czasie ulegały systematycznemu pogorszeniu, o czym świadczyły coraz częstsze ataki prasowe oraz krytyczne wypowiedzi przedstawicieli KPCh pod adre-

---

140. AAN, KC PZPR, sygn. 237/VIII/699, Notatka informacyjna oraz wnioski w sprawie działalności Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Chińskiej, k. 100-101.

141. AAN, KC PZPR, sygn. XI/485, Stosunek Polski i dyferencjacja krajów socjalistycznych, jako nowy element w propagandzie i taktyce KPCh, k. 228.

142. ADH PRL, sygn. J I/100, O wydarzeniach w Chinach. Materiał opracowany na spotkaniu w Moskwie przedstawicieli Wydziałów Zagranicznych 7 partii krajów socjalistycznych (grudzień 1967), k. 310.

143. *Ibidem*.

144. ADH PRL, sygn. J I/100, O wydarzeniach w Chinach (materiały do dyskusji przekazane przez Wydział Zagraniczny KC PZPR), k. 262 i nast.

145. AAN, KC PZPR, sygn. XI/476, Notatka informacyjna, k. 41.

sem kierownictwa PZPR. Dochodziło do wypadków szykanowania akredytowanych w Chinach przedstawicieli PRL, w lutym 1967 r., na fali ataków na obce placówki dyplomatyczne, doszło do napaści na polskiego ambasadora w Pekinie, Witolda Rodzińskiego<sup>146</sup>.

Dla okresu „rewolucji kulturalnej” charakterystyczne były działania władz chińskich, które na potrzeby propagandy wewnętrznej starały się wykazywać, że polityka KPCh, a przede wszystkim idee Mao Zedonga, cieszą się wielkim zainteresowaniem i poparciem obywateli oraz partii w państwach socjalistycznych, również w Polsce<sup>147</sup>. W tym celu dopuszczano się nawet fałszowania doniesień i informacji, które miały jakoby pochodzić od korespondentów chińskich z Warszawy, Berlina, Pragi czy Ułan Bator. 20 września 1966 r. rzekomo z Warszawy miano wysłać do Pekinu informację przeznaczoną dla kadry partyjno-rządowej pt. „Rewolucyjni ludzie Polski gorąco pozdrawiają wielką proletariacką rewolucję kulturalną”. Inna wiadomość, pochodząca z kolei z 27 września, nosiła tytuł: „Polacy wychwalają Przewodniczącego Mao, jako wielkiego przywódcę i najwyższego dowódcę ruchu komunistycznego i ludów całego świata”<sup>148</sup>.

Zasadniczą część tych informacji stanowiły sfabrykowane wypowiedzi obywateli PRL, które były jakoby udzielane chińskim dziennikarzom. Polacy ze wszystkich stron kraju, reprezentujący różne zawody, mieli być gorącymi zwolennikami „rewolucji kulturalnej” (robotnik kolejowy: „Aby zbudować prawdziwy socjalizm należy przeprowadzić rewolucję kulturalną jak Wy”), piewcami geniuszu Mao Zedonga (prosty weteran PZPR: „Mao jest kontynuatorem Marksa, drugim Leninem, największym teoretykiem ruchu komunistycznego obecnej ery”) oraz popierać działania Czerwonej Gwardii (dziennikarz z zachodnich ziem Polski: „Chińska Czerwona Gwardia postępuje słusznie, a młodzież ChRL jest przyszłością świata”)<sup>149</sup>.

Jednocześnie, również na użytek wewnętrzny, starano się przedstawiać w jak najgorszym świetle sytuację społeczną i gospodarczą w państwach socjalistycznych, gdzie „rządzący rewizjoniści mozolnie odbudowywali stosunki kapitalistyczne”.

---

146. J. Tereszyński, *op.cit.*, s. 228; J. Polit, *Chiny...*, s. 261-262.

147. AAN, KC PZPR, sygn. XI/485, Stosunek Polski i dyferencjacja..., k. 224 i nast.

148. *Ibidem*, k. 224.

149. *Ibidem*, k. 225-226.

Powoływano się przy tym niejednokrotnie na rzekome publikacje w prasie zachodniej. Na przykład latach 1966-1967 w odniesieniu do Polski pisano o narastającym bezrobociu, aferach gospodarczych, wzroście przestępczości wśród młodzieży, pijaństwie i braku towarów rynkowych. Miało to powodować niezadowolone społeczeństwo z rządów obecnego kierownictwa PZPR, a także „wrzenie wśród mas partyjnych”, co w konsekwencji – zdaniem strony chińskiej – „może wkrótce doprowadzić do wytworzenia sytuacji rewolucyjnej”<sup>150</sup>.

W podobnym stylu interpretowano w Pekinie wydarzenia polskiego marca 1968 r. Określano je jako słuszny protest młodzieży niezadowolonej z rewizjonistycznych rządów „bandy Gomułki”. Władze ChRL podjęły próbę podgrzania atmosfery społecznej w PRL poprzez kolportowanie odpowiednich materiałów propagandowych. Organa milicyjne odnotowały, że marynarze ze statku chińskiego „Changming” podczas postoju w Gdańsku w imieniu „całego narodu chińskiego” deklarowali poparcie dla „walki studentów polskich” ze „ślugusami klikki imperialistów Breżniewa, Kosygina i Gomułki”<sup>151</sup>.

Kierownictwo chińskie krytykowało coraz częściej polską politykę zagraniczną, wskazując na jej głębokie uzależnienie od ZSRR, zwłaszcza w odniesieniu do kwestii niemieckiej. Twierdzono również, że intensywne zabiegi Gomułki na rzecz przywrócenia jedności ruchu komunistycznego oraz inicjatywy dotyczące pomocy dla Wietnamu nie świadczyły o polskiej samodzielności, ponieważ, zdaniem Pekinu, były sterowane z Moskwy. W ten sam sposób tłumaczono udział PRL w inwazji na Czechosłowację, która, choć ogarnięta kontrrewolucją, stała się dla propagandy Pekinu kolejnym dowodem imperialistycznych metod polityki ZSRR<sup>152</sup>.

---

150. *Ibidem*, k. 228-229.

151. S. Cenckiewicz, *Oczami bezpieki. Szkice i materiały z dziejów aparatu bezpieczeństwa PRL*, Kraków 2004, s. 259; AAN, KC PZPR, sygn. XI/485, Stosunek Polski i dyferencjacja..., k. 228.

152. AAN, KC PZPR, sygn. XI/485, Stosunek Polski i dyferencjacja..., k. 224 i nast.; *ibidem*, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1656, Informacja o reakcji partii komunistycznych na ostatnie wydarzenia w Czechosłowacji (stan na dzień 26 VIII br.), k. 4-5; *ibidem*, KC PZPR, sygn. XI/406, Reakcje partii komunistycznych na wydarzenia w Czechosłowacji (cz. III – stan na dzień 23 IX 68 r.), k. 39.

W 1969 r. niepokój władz PRL wzbudziła eskalacja starć zbrojnych na granicy chińsko-sowieckiej związanych z wysuwaniem od dłuższego czasu roszczeniami terytorialnymi ze strony ChRL<sup>153</sup>. Gomułka i kierownictwo PZPR wychodziło z założenia, że sprowokowanie przez Pekin incydentów granicznych nie miało na celu wywołania wojny z ZSRR, a jedynie wzmocnienie nastrojów antysowieckich w Chinach, zwłaszcza w kontekście przygotowań do IX Zjazdu KPCh<sup>154</sup>. W Warszawie obawiano się jednak, że ChRL, choćby tylko ze względów propagandowych, zakwestionuje również granice ZSRR w Europie. Do Polski docierały nawet pogłoski o sporządzaniu w Chinach map, na których kształt granic w Europie Środkowej odpowiadał stanowi z 1939 r. Biorąc pod uwagę znaczenie, jakie Gomułka przywiązywał do kwestii powojennych granic, doniesienia z Pekinu traktowano poważnie<sup>155</sup>. Pocieszające dla Warszawy było jednak w tej sytuacji to, że kierownictwo chińskie na czele z Mao Zedongiem od początku istnienia ChRL wielokrotnie deklarowało swoje poparcie dla polskich granic zachodnich, również w okresie zaostrożenia się sprzeczności z ZSRR<sup>156</sup>.

Narastający od 1956 r. konflikt w ruchu komunistycznym, którego podłoże stanowiły rozbieżności sowiecko-chińskie, doprowadził do jego trwałego i nieodwracalnego podziału, a w dalszej perspektywie przyspieszył erozję systemów politycznych w państwach realnego socjalizmu.

Dla październikowych władz PRL tzw. jedność obozu socjalistycznego była istotna zarówno ze względów ideologicznych, jak i politycznych. W kontekście ideologicznym rozwiązania chińskie, związane z początkową fazą „wielkiego skoku”, stanowiły w ocenie kierownictwa PZPR, oprócz przykładu jugosłowiańskiego, potwierdzenie słuszności koncepcji różnych dróg

---

153. Walki wybuchły 2 marca 1969 r. w rejonie niewielkiej wyspy Damanskij (Zhenbao) na rzece Ussuri; z obu stron w starciach wzięło udział po kilkuset żołnierzy (P. Jones, S. Kevill, *op.cit.*, s. 92-94).

154. *Rozmowy polsko-radzieckie w Moskwie 3-4 marca 1969 r.*, w: *Tajne dokumenty...*, s. 559.

155. AAN, KC PZPR, sygn. XI/476, Notatka informacyjna, k. 41.

156. AAN, KC PZPR, sygn. 237/XXII/1364, Notatka z rozmowy z ambasadorem ChRL, k. 1; zob. też: *ibidem*, KC PZPR, sygn. 237/V/528, Informacja Peng-Czena udzielona dla części delegacji Polskiej (Jarosiński, Lesz, Knothe) w dn. 6 X 1964 r., k. 77-78.

do socjalizmu. Gomułka mógł tą drogą znajdować usprawiedliwienie dla nie do końca akceptowanych przez większość krajów demokracji ludowej odrębności polskiego systemu ustrojowego, wprowadzonych po 1956 r. Natomiast względy polityczne wynikały dla władz PRL z przynależności Polski do bloku wschodniego. Stabilność jego struktur pod przywództwem ZSRR w powiązaniu z kursem Kremla na odprężenie z Zachodem uważano w Warszawie za konieczne warunki realizacji najważniejszego celu, którym było międzynarodowe uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

W tym kontekście coraz wyraźniejsze różnice poglądów między KPZR i KPCh budziły niepokój w polskiej partii. Gomułka, oceniając trzeźwo podłoże zaistniałych sprzeczności, będących efektem zderzenia mocarstwowych ambicji Moskwy i Pekinu, zdawał sobie sprawę, że argumenty ideologiczne spełniały przede wszystkim funkcję amunicji propagandowej. Liczył początkowo na jakąś formę porozumienia godzącego interesy obydwu stron i starał się nie angażować w toczone spory. Podejmował jednocześnie działania na rzecz łagodzenia konfliktu, zwłaszcza w okresie narady moskiewskiej w 1960 r., kiedy zakulisowo pertraktował z delegatami KPCh, czy później, gdy zdecydował się na ryzykowną politycznie próbę przekonania Chruszczowa do konieczności zmiany dotychczasowej polityki sowieckiej w stosunku do ChRL.

Umiarkowane stanowisko polskiej partii wobec polemiki sowiecko-chińskiej i niechęć Gomułka do prowadzenia na tym obszarze propagandowych bojów wywoływały z czasem niezadowolenie na Kremlu, a także w innych państwach bloku wschodniego. Coraz częściej w związku z tym, szczególnie w czasie „rewolucji kulturalnej”, pojawiały się twierdzenia, że „Polacy trzymają się na uboczu i zostawiają innym bratnim partiom walkę z Chińczykami i maotsetungizmem”<sup>157</sup>.

Gomułka, niezależnie od fazy i natężenia konfliktu Moskwa-Pekin, opowiadał się zawsze bez wahania po stronie KPZR. Tracił jednak stopniowo nadzieję na zawarcie choćby częściowego kompromisu, dostrzegając, że zarówno ZSRR, jak i ChRL nie

---

157. AAN, KC PZPR, sygn. XI/485, Odgłosy i komentarze w Pekinie po artykule „Trybuny Ludu”..., k. 222.

wykazywały nadmiernej elastyczności i woli przełamania sporów. Potwierdziły to najpierw bezowocne rozmowy z KPCh podjęte przez ekipę Breżniewa pod koniec 1964 r. (z aktywnym udziałem przywódcy PZPR), a następnie brak współpracy w zakresie koordynacji pomocy państw socjalistycznych dla komunistów wietnamskich. Sytuację pogłębiła dodatkowo „rewolucja kulturalna” w Chinach, której radykalizm nie pozwalał na jakikolwiek już manewr polityczny związany z unormowaniem stosunków między Kremlem i jego sojusznikami a Pekinem.

Oceniając stanowisko władz PZPR wobec konfliktu w ruchu komunistycznym w latach sześćdziesiątych trudno nie przyznać racji Andrzejowi Werblanowi, który stwierdził, że Gomułka zaprzepaścił polityczne szanse, jakie stwarzała sytuacja konfliktu sowiecko-chińskiego. Nie spożytkował zaabsorbowania ZSRR zmaganiem z ChRL i nie zdecydował się na działania, które mogłyby doprowadzić do kolejnego po 1956 r. zmniejszenia uzależnienia od wschodniego sąsiada. Możliwości takie wykorzystały natomiast, oczywiście w różnych wymiarach i formie, inne kraje bloku wschodniego, zwłaszcza Rumunia i Węgry, a także partie komunistyczne w Europie Zachodniej, dystansujące się coraz wyraźniej od moskiewskiego centrum<sup>158</sup>.

W przypadku przywódcy PZPR górę wzięła doktrynerska tęsknota za jednością ruchu komunistycznego w imię „zbawiania świata”<sup>159</sup> oraz pogłębiający się u niego wraz z wiekiem konserwatyzm. Zależność Warszawy w sprawie polskiej granicy zachodniej od gwarancji i poparcia ZSRR była dla Gomułki wystarczającym argumentem na rzecz dochowywania lojalności Kremlowi i rezygnacji z zabiegów o poszerzenie autonomii PRL w ramach bloku wschodniego.

*Robert SKOBELSKI*

**R. Skobelski (ur. w 1968 r. w Gubinie) – absolwent historii (Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Zielonej Górze, 1996); doktor nauk historycznych (2000); adiunkt w Zakładzie Historii Najnowszej Instytutu Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego.**

---

158. A. Werblan, *PZPR a schizma chińska...*, s. 73.

159. *Ibidem*.



## DOKUMENTY

Marek KORNAT

### DZIAŁANIA PREZYDENTA ROOSEVELTA I DYPLOMACJI AMERYKAŃSKIEJ NA RZECZ UWOLNIENIA JÓZEFA BECKA (1940-1941)

Bezprawnie uwięziony we wrześniu 1939 r. w Rumunii polski minister spraw zagranicznych Józef Beck nie otrzymał znikąd skutecznej pomocy<sup>1</sup>. Różne starania o jego uwolnienie – w ostatecznym rachunku – nie dały rezultatu. Nie powiodła się próba jego ucieczki źle zorganizowanej jesienią 1940 r. Od 1941 r. stan zdrowia ministra pogarszał się – w r. 1942 rozwój choroby był bardzo poważny<sup>2</sup>. Zmarł, nie ukończywszy pięćdziesięciu lat życia. Dwa dni po śmierci Becka, do ambasadora Michała Sokolnickiego w Ankarze dotarł telegram od marszałka Iona Antonescu, za pośrednictwem posła Rumunii w Turcji

---

1. O nielegalności pozbawienia wolności Prezydenta RP i polskich ministrów powinno się pamiętać, gdyż osobom tym przysługiwało „prawo przejazdu” (*droit de passage*) przez terytorium Rumunii, ściśle w rozumieniu Konwencji Haskiej z 1907 r. o obowiązkach państw wojujących i neutralnych. Wynikało to z mocy samego prawa i obowiązywało bez względu na to, czy Beck zawarł jakiś układ – umowę ustną lub pisemną – z ambasadorem Rumunii Grigorceą w sprawie „tranzytu” rządu przez Rumunię do Francji, czy też układu takiego nie było (dokumentu żadnego do dzisiaj w archiwach rumuńskich nie znaleziono). Nie zawsze o tym pamiętają historycy, zwłaszcza cudzoziemscy.

2. Tak relacjonowała to Jadwiga Beckowa Marianowi Chodackiemu w liście z 13 XII 1944 r. z Kairu, Instytut Józefa Piłsudskiego, Londyn, kolekcja Becka, sygn. 20.

Alexandra Cretzianu, oznajmiający „iż czynimy wszystko co możliwe dla Becka”<sup>3</sup>. Przyjaciele polskiego ministra słyszeli takie słowa bardzo często, bez rezultatu. Długo jeszcze przedmiotem dociekań będzie pytanie, czy jego życie można było ocalić. Czy były szanse uwolnienia go? Czy zrobiono wszystko, co w mocy, aby mógł opuścić miejsce internowania?

Nie byłoby prawdziwe stwierdzenie, że losem byłego polskiego ministra nikt się nie interesował. O ocaleniu jego życia myśleli jednak bardziej cudzoziemcy niż Polacy. Słowa Ludwika Łubieńskiego, sekretarza ministra, że „rodacy i alianci usunęli go i unieszkodliwili” – nie powinny zostać zapomniane<sup>4</sup>.

Historykom dobrze znana jest akcja dyplomacji niemieckiej, obliczona na zastraszenie rządu rumuńskiego, mająca na celu niedopuszczenie do uwolnienia Józefa Becka. Znajduje ona dokładne udokumentowanie w aktach niemieckiego Auswärtiges Amt. Znane są też dokumenty Dienststelle Ribbentrop, dotyczące akcji mającej na celu wykorzystanie Becka do celów propagandy niemieckiej przeciwko Aliantom i rządowi RP, która oczywiście nie osiągnęła powodzenia<sup>5</sup>. Przed czterdziestu laty, w cennej publikacji źródłowej, Czesław Madajczyk ogłosił większość tych dokumentów drukiem<sup>6</sup>.

Losy internowanego ministra Becka to zagadnienie, które długo oczekiwało źródłowej analizy. Każdy historyk dyplomacji ma w pamięci cenny szkic Domana Rogoyskiego, sekretarza

---

3. M. Sokolnicki, *Sprawa Józefa Becka*, „Kultura” 1952, nr 1/51, s. 96.

4. L. Łubieński, *Od Kut do Braszowa*, „Rzeczpospolita”, nr 227, 28-29 VIII 1996 (zapis z 30 IX 1939 r.).

5. Papiery Dienststelle Ribbentrop („Akten betreffend ehemaligen polnischen Aussenminister Beck”, sygn. 9/3) dotyczące Becka zebrał swego czasu prof. Jerzy Borejsza, prowadząc poszukiwania w Politisches Archiv des Auswärtigen Amtes [PAAA]. Za udostępnienie mi tych dokumentów wyrażam mu w tym miejscu wdzięczność. Por. E. Guz, *Niemieckie zabiegi wobec internowanego ministra J. Becka*, „Zeszyty Historyczne” 2003, z. 146, s. 193-205, oraz polemikę i uzupełnienia A. M. Ciencyły, „Zeszyty Historyczne” 2003, z. 147, s. 234-236 (list do redakcji).

6. C. Madajczyk (oprac.), *Interview b. ministra spraw zagranicznych Józefa Becka udzielone podczas internowania w Rumunii*, „Najnowsze Dzieje Polski. Materiały i Studia z okresu 1914-1939”, t. 9, 1965, s. 239-250. Niepublikowany był natomiast „kwestionariusz” pytań do Becka, sporządzony przez agentów niemieckich Matzholda i Saverna – w języku angielskim. Matzhold był korespondentem Associated Press na Bałkanach, zaś Savern obywatelem niemieckim, podającym się za Duńczyka.

Becka, uczestnika i naocznego świadka wydarzeń, ogłoszony w „Zeszytach Historycznych” w r. 1986<sup>7</sup>. W chwili obecnej mamy na ten temat również kilka ważnych studiów. Najpierw Henryk Batowski dał zwięzły szkic o „sprawie Becka” w swej książce o polskiej dyplomacji na uchodźstwie<sup>8</sup>. W r. 1990 Janusz Sobczak podjął to zagadnienie w monografii o walce dyplomacji III Rzeszy przeciwko Polsce po wrześniu 1939 r.<sup>9</sup> Z dużą wnikliwością rozpatrywała te kwestie Anna M. Cienciąła w dwuczęściowym artykule, drukowanym na łamach „Niepodległości” w latach 1990-1991<sup>10</sup>. Osobną rozprawę – dobrze udokumentowaną źródłami rumuńskimi – napisał Tadeusz Dubicki. Jego książka, wydana w roku 1997, przynosi wyczerpującą rekonstrukcję pięcioletniego okresu internowania ministra w Rumunii i pozostaje „ostatnim słowem” polskiej historiografii<sup>11</sup>.

Publikacja niniejsza przedstawia dowody zainteresowania prezydenta Roosevelta i dyplomacji amerykańskiej losem Józefa Becka. Dokumenty pochodzą z: 1) National Archives w Waszyngtonie, znajdując się wśród akt korespondencji dyplomatycznej Departamentu Stanu z lat 1940-1941; 2) z Franklin D. Roosevelt Library and Museum w Hyde Park, NY. Kopie większości z nich znajdują się w papierach Jana Weinsteina (1903-1974), pracownika polskiego MSZ, przechowywanych przez nowojorski Instytut Józefa Piłsudskiego. Dyplomata ten

---

7. D. Rogoyski, *Pięć inicjatyw wydobywania Józefa Becka z pułapki rumuńskiej*, „Zeszyty Historyczne” 1986, z. 76, s. 33-57. Por. także D. Rogoyski, *Pułkownik Józef Beck więźniem w Rumunii. Garść wspomnień*, „Zeszyty Historyczne” 1970, z. 18, s. 84-98, oraz *List Domana Rogoyskiego do Władysława Poboga-Malinowskiego z 31 marca 1945 r. Relacja o losach ministra Józefa Becka w Rumunii (1939-1944)*, [podał do druku M. Kornat], „Zeszyty Historyczne” 2000, z. 131, s. 119-134.

8. H. Batowski, *Z dziejów polskiej dyplomacji na obczyźnie 1939-1941*, Kraków 1984, wyd. rozszerzone: *Polska dyplomacja na obczyźnie 1939-1941*, Kraków 1991.

9. J. Sobczak, *Polska w propagandzie i polityce III Rzeszy 1939-1945*, Poznań 1988.

10. A. M. Cienciąła, *Czy los Ministra Józefa Becka był przesądzony? – działalność wrogów i przyjaciół*, cz. I, „Niepodległość” (Nowy Jork – Londyn), t. 23, 1990, s. 17-54; cz. II, „Niepodległość” (Nowy Jork – Londyn), t. 24, 1991, s. 23-42.

11. T. Dubicki, *Internowanie płk. Józefa Becka w Rumunii (I X 1939 – VI 1944)*, Opole 1997. Autor odtwarza bardzo szczegółowo losy ministra, mniej za to uwagi poświęca międzynarodowym wątkom „sprawy Becka”.

gromadził akta archiwalne planując książkę o Józefie Becku, która wszakże nigdy nie powstała.

Polskie tłumaczenie memorandum Roberta Murphy'ego z 22 III 1940 r. dotyczące rozmowy z generałem Sikorskim (dokument nr 2) wraz z listem podsekretarza stanu Wellesa do prezydenta Roosevelta z 15 IV 1940 r. (dokument nr 11) zostały opublikowane w „Zeszytach Historycznych” w 1986 r.<sup>12</sup> List Becka do ambasadora Bullitta (dokument nr 1) odnalazłem w zbiorach Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. Podobnie dokumenty 1 i 2 zamieszczone w aneksie. Publikowane dokumenty były znane także Annie Cieniiale i zostały wykorzystane w jej studiach.

Każdy z tych dokumentów ma tu szczególną wagę. Powody zainteresowania amerykańskiego rządu i służby zagranicznej losem Józefa Becka wymagają wyjaśnienia. Trzeba więc wspomnieć w tym miejscu wywiad udzielony 31 stycznia 1940 r. przez Becka polonijnemu dziennikarzowi Arturowi L. Waldo, który ukazał się w nowojorskim dzienniku „Nowy Świat” 9 marca 1940 r.

Domniemanie Anny M. Cieniaily, iż Rooseveltowi bardzo zależało na głosach Amerykanów polskiego pochodzenia, więc wywiad byłego polskiego ministra mógł zwrócić jego uwagę – wydaje się nie pozbawione podstaw<sup>13</sup>. Nie ulega wątpliwości, że w tamtym okresie Roosevelt pragnął stworzyć sobie wizerunek męża stanu, który dba o zasady prawa międzynarodowego i nie waha się upominać o obecność czynnika etycznego w stosunkach międzynarodowych. Amerykański historyk dyplomacji zdefiniował tę postawę jako rodzaj „wilsonowskiego internacjonalizmu w legalistycznym tonie”, a więc w sferze gestu, języka i symboliki, ale dużo mniej w dziedzinie „realnej polityki”<sup>14</sup>.

---

12. *Rozmowa amerykańskiego chargé d'affaires z generałem Sikorskim w Paryżu*, „Zeszyty Historyczne” 1986, z. 76, s. 216-217.

13. A. M. Cieniaila, *op.cit.*, cz. I, s. 24-25. Należy pamiętać również o zaangażowaniu dyplomacji amerykańskiej w organizację pomocy dla polskich uchodźców w Rumunii, o czym pisano już w historiografii polskiej; zob. T. Dubicki, *Działalność Amerykańskiej Komisji Pomocy Polakom w Rumunii w latach 1939-1945*, „Dzieje Najnowsze” 1991, nr 4, s. 25-38.

14. D. F. Drummond, *Cordell Hull 1933-1944*, w: *An Uncertain Tradition. American Secretaries of State in the Twentieth Century*, ed. by N. A. Graebner, New York – Toronto 1961, s. 185.

Nastawienie takie skłaniało zapewne do zainteresowania losami polskich przywódców w Rumunii – ono spowodowało również skuteczną interwencję prezydenta na rzecz wypuszczenia prof. Ignacego Mościckiego, byłego Prezydenta RP<sup>15</sup>. To przychyłne Beckowi stanowisko Roosevelta, potwierdzone życzeniem rozmowy z nim i goszczenia go w Białym Domu, kontrastuje z wyrachowanym nastawieniem brytyjskiego Foreign Office, które w gruncie rzeczy nie podjęło skutecznych działań. Rząd brytyjski miał też opory przed ofiarowaniem Beckowi azylu, chociaż i dyplomaci brytyjscy, rozmawiając o uwięzionym Becku, używali argumentów humanitarnych. W Londynie oczywiście pamiętano, że to Józef Beck negocjował układ sojuszniczy z 25 sierpnia 1939 r. i wiedziano, że jego stanowisko miało koronne znaczenie dla powzięcia przez rząd polski decyzji o odrzuceniu żądań Adolfa Hitlera w styczniu i marcu 1939 r. Jednak w charakterystykach jego osoby, na użytek wewnętrzny Foreign Office, powtarzano wciąż te same sformułowania, szkicując jego portret jako polityka wybitnie kontrowersyjnego. W październiku 1939 r. przeciwstawiano „dalekowzroczność” Augusta Zaleskiego, mającego być zaprzeczeniem „wąsko-nacjonalistycznego” (*narrow nationalistic*) nastawienia innych członków rządu polskiego w okresie po zamachu majowym 1926 r. Padły też słowa o „machinacjach Becka”, które zmusiły Zaleskiego do ustąpienia w listopadzie 1932 r.<sup>16</sup> W sumie, charakterystyka to nieprzychylna.

Ważne jest jednak pytanie, co Amerykanie wiedzieli o Józefie Becku w roku 1940? Niełatwo na nie dać jasną odpowiedź – zresztą wymagałoby to obszernych i osobnych rozważań.

Wydaje się pewne, że mimo „czarnej legendy” Becka na Zachodzie, jego reputacja w świecie anglosaskim wydatnie wzrosła po sfinalizowaniu sojuszu z Wielką Brytanią. W końcu lat trzydziestych, mimo negatywnych ocen różnych posunięć polskiej dyplomacji, Amerykanom imponowała stanowczość Becka w obronie zasad „równowagi” między dwoma o wiele silniejszymi mocarstwami totalitarnymi. Polski ambasador w

---

15. Mościcki opuścił Rumunię w grudniu 1939 r. i udał się do Szwajcarii, której obywatelstwo zachował od czasów przed I wojny światowej.

16. Notatka A. Lascallesa z Central Departament, 11 X 1939 r., Public Record Office/Londyn, Foreign Office 371, 23159, C 16049.

Waszyngtonie Jerzy Potocki 18 stycznia 1938 r., po rozmowie z prezydentem Rooseveltem odnotował jego „uznanie dla Polski z powodu utrzymania Jej wyjątkowego stanowiska na Wschodzie Europy i niepoddania się Polski ekstremistycznym wpływom”<sup>17</sup>. Wypowiadając się w podobnym duchu sekretarz stanu Cordell Hull chwalił Becka jako „wyjątkowo zdolnego męża stanu, który zdołał utrzymać równowagę w morzu totalitaryzmu”<sup>18</sup>. Ambasador Bullitt zaś mówił o polityce polskiej „z wielką admiracją” i to już po ultimatum do rządu Litwy z 17 marca 1938 r.<sup>19</sup> Oczywiście nie jest łatwo rozsądzić, ile w tej wypowiedzi było dyplomatycznej kurtuazji, a ile rzeczywistych przekonań, ale mimo wszystko słowa te dobre robią wrażenie, zwłaszcza jeśli zważymy, jak bardzo negatywne opinie o Becku panowały wówczas w prasie zachodniej.

Pamiętając o „czarnej legendzie” polskiego ministra, warto również mieć na uwadze wypowiedzi świadczące o uznaniu jego starań na rzecz ocalenia równowagi i pokoju w Europie Środkowowschodniej. Niektórzy przedstawiciele opinii amerykańskiej doceniali stabilizującą rolę Polski w podtrzymywaniu porządku terytorialnego, jaki wskutek I wojny światowej został zbudowany. Wpływowy magazyn „Time” pisał, iż dewizą Becka jest pragnienie, aby Polska nigdy nie stała się „polem bitewnym Europy”<sup>20</sup>. Warto odnotować jeszcze, iż znany amerykański historyk stosunków międzynarodowych, prezes Foreign Policy Association, Raymond Leslie Buell pisał o Polsce Józefa Becka jako „kluczu” do równowagi sił w Europie<sup>21</sup>. Trzeba mieć świadomość, że pisał to wielce na wyrost, ale przekonanie o tym, iż w geografii politycznej Europy Wschodniej niezawisła Polska pełni istotną rolę, dochodziło do głosu w opinii amerykańskiej coraz częściej.

Byłoby olbrzymim uproszczeniem wyciągać z tych ocen

---

17. Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego w Londynie [IPMS], zesp. MSZ, A. 11. 49/3 (list prywatny).

18. Raport ambasadora Jerzego Potockiego (Waszyngton) do ministra Becka, 18 I 1938 r., Archiwum Akt Nowych [AAN], MSZ, sygn. 4980.

19. Raport ambasadora Potockiego z 12 IV 1938 r., AAN, Ambasada RP w Berlinie, sygn. 225.

20. *His program for Poland: no field a battlefield* – głosił „Time” z 6 III 1939 r. na okładce.

21. R. L. Buell, *Poland – Key to Europe*, New York 1939.

wniosek, że Józef Beck znalazł uznanie w oczach amerykańskiego świata politycznego, ale bezsporne jest to, iż jego wizerunek, różnił się wydatnie od prymitywnego stereotypu, jaki wytworzyła prasa francuska, powtarzająca frazesy o „bezpieczeństwie zbiorowym” i polskiej rusofobii.

Niewiele możemy powiedzieć o osobistym nastawieniu szefów amerykańskiej dyplomacji do Józefa Becka, więcej o ich nastawieniu do Polski. Pełniący od r. 1933 urząd sekretarza stanu Cordell Hull wydawał się politykiem nieprzykładającym specjalnej wagi do spraw Europy Wschodniej<sup>22</sup>. Trwała też osłabiająca spistość kierownictwa rywalizacja Hulla z Sumnerem Wellesem. Ten ostatni sprawował nawet bardziej realne kierownictwo nad polityką amerykańską, on też odbył ważną, choć bezowocną podróż do Europy na początku 1940 r.<sup>23</sup> Jako pragmatycznie nastawiony zawodowy dyplomata, według przekonań historyków dyplomacji amerykańskiej, cieszył się zaufaniem szefa państwa, lecz w sądach był wyraźnie niezawisły od Roosevelta<sup>24</sup>. Był wyznawcą zasad i pojęć amerykańskiego liberalizmu, o przedwojennej Polsce nie był więc dobrego zdania. W programowej książce, kreślącej wizję celów polityki amerykańskiej *Seven Major Decisions* napisał: „Przed wojną Polska znajdowała się w ostatnich stadiach nieszczęsnej dyktatury Piłsudskiego”<sup>25</sup>. Nie pełniąc już funkcji, Welles z podziwem mówił o rozstrzygnięciach Konferencji Jałtańskiej, twierdząc, że „to, co Polska oddała Związkowi Sowieckiemu – czyli wschodnie swe terytoria – to tereny zamieszkałe przez ludność słowiańską, pragnącą przejścia pod władzę sowiecką”<sup>26</sup>. Pisał te słowa w r.

---

22. Cenne za to, bo bogate w faktografię są jego wspomnienia: *The Memoirs of Cordell Hull*, vol. 1, London 1948.

23. Była to podróż do głównych stolic, mająca pozwolić uzyskać rozeznanie, czy są szanse zawarcia pokoju. Rozmawiał wówczas m.in. z gen. Sikorskim i ministrem Zaleskim. Zob. M. Fatalski, *Podsekretarz Stanu Sumner Welles a sprawy polskie w latach II wojny światowej*, „Zeszyty Historyczne” 2004, 148, s. 65-94.

24. Welles pełnił swą funkcję w latach 1937-1943. Do jego usunięcia przyczynił się Bullitt i oczywiście Hull. Powodem był incydent obyczajowy o podłożu homoseksualnym.

25. Cyt. za S. Kot, *Listy z Rosji do Gen. Sikorskiego*, Londyn 1955, s. 531.

26. S. Welles, *Seven Major Decisions*, New York – London 1946, s. 121..

1946 i kończył dobitnie: „Wbrew lamentom polskich reakcjonistów, cesja wschodniej Polski do ZSSR zapewni podstawy europejskiej stabilizacji”. Poglądy takie w pełni odpowiadały więc zjawisku „czarnej legendy” Polski w Ameryce, które trafnie zaobserwował George Kennan, mówiąc po latach Januszowi Zawodnemu, iż w Stanach Zjednoczonych „Piłsudski był uważany za faszystę”<sup>27</sup>. Można zauważyć jeszcze więcej – dyktatura Piłsudskiego jako „reżim konserwatywny”, jak ją często oceniano, nie zasługiwała nawet na ten kredyt zaufania, jakim początkowo darzono faszyzm włoski, dopatrując się w nim potencjału modernizacyjnego.

Nie sposób za to nie podkreślić, iż gorącym zwolennikiem udzielenia pomocy Beckowi i członkom internowanego rządu był William Bullitt. Jako ambasador w Moskwie doszedł on do jasnego przekonania o zaborczości polityki sowieckiej i nie miał złudzeń co do natury systemu sowieckiego<sup>28</sup>. W tej zaś perspektywie zaczął rozumieć politykę polską, jej motywację i dążenia. W kwietniu 1938 r. Bullitt mówił ambasadorowi Potockiemu, iż „w Polsce jest warstwa ludzi o niskiej kulturze, ale ci, którzy rządzą Państwem i są odpowiedzialni za jego losy, mają ogromną kulturę i świadomość poczucia państwowego”<sup>29</sup>. Jako ambasador w Paryżu podejmował kroki mające zainteresować Departament Stanu sprawą uwięzionego Becka. Jest wielce prawdopodobne, że pierwszorzędnym informatorem amerykańskiego dyplomaty był Juliusz Łukasiewicz, do listopada 1939 ambasador RP w Paryżu, który od początku nie miał żadnych wątpliwości, że „wyrwać” polskich ministrów z rumuńskiej zasadzki będzie bardzo trudno<sup>30</sup>. Jay Pierrepont Moffatt (1896-1943), szef wydziału europejskiego w Departamencie Stanu zapisał 20 września 1939 r., iż Bullitt „podniecony internowaniem rządu w Rumunii dzwonił do prezydenta prosząc o

---

27. G. F. Kennan, J. Zawodny, *Geopolityka polska u źródeł Jaltę*, „Zeszyty Historyczne” 1985, z. 73, s. 32-47 (wywiad przeprowadzony w maju 1972 r.).

28. Por. raport ambasadora Potockiego z 12 IV 1938 r., AAN, Ambasada RP w Berlinie, sygn. 225.

29. Tamże.

30. „Niestety nie wydaje mi się, aby sytuacja Wasza prędzej mogła ulec zmianie” – pisał do Becka 7 IX 1939 r. (Instytut Józefa Piłsudskiego, Londyn, Kolekcja Becka, sygn. 20/5).



interwencję<sup>31</sup>. Stanowisko przychylne sprawie pomocy Beckowi zajmował od początku Anthony Drexel Biddle – ambasador w Warszawie, a potem – od października 1939 r. – przy rządzie RP na uchodźstwie w Angers<sup>32</sup>.

Nie analizujemy w tym miejscu dokładnie działań Roosevelta (i dyplomatów amerykańskich) w sprawie Becka – uczyniła to już Anna M. Cienciąła przed kilkunastu laty i nie ma powodu powtarzać jej trafnych wniosków. Pragniemy tylko dodać, że Niemcy byli świadomi zainteresowania dyplomacji amerykańskiej osobą Becka<sup>33</sup>. Sam minister nadzieje na pomoc Waszyngtonu z pewnością żywił.

Akcja na rzecz Becka, podjęta przez Roosevelta, nie dała rezultatu. Streszczając zwięźle jej przebieg, należy przypomnieć, iż amerykański prezydent odegrał zasadniczą rolę w doprowadzeniu do uwolnienia Prezydenta Mościckiego. Zapewne w związku z powodzeniem tej akcji Beck napisał w lutym 1940 r. krótki list do przyjaciela, ambasadora Williama Bullitta, prosząc go o pomoc. Jego zainteresowanie sprawą i dobre relacje osobiste z prezydentem przyniosły działania rządu amerykańskiego. Szanse uwolnienia Becka, o ile takie były, mogły doprowadzić do powodzenia, ale wymagało to działania energicznego w roku 1940. Prezydent Roosevelt dwukrotnie podejmował próby nadania biegu konkretnej inicjatywie – w marcu 1940 r. po raz pierwszy i we wrześniu 1940 r., po raz drugi. I w pierwszym i w drugim przypadku bezskutecznie.

W marcu 1940 r. generał Sikorski podszedł do akcji amerykańskiej z niechęcią, której wobec czynników cudzoziemskich nawet nie zechciał ukrywać<sup>34</sup>. W rozmowie z amerykańskim

---

31. *The Moffat Papers. Selection from the Diplomatic Journals of Jay Pierrepont Moffat 1919-1943*, ed. by M. Hooker, N. Harvison, Cambridge, Mass. 1956, s. 267.

32. Papiery Biddle'a z warszawskiej misji dyplomatycznej dają dobre rozeznanie o jego politycznej trzeźwości: *Poland and the Coming of the Second World War. The Diplomatic Papers of A. J. Drexell-Biddle Jr., United States Ambassador to Poland 1937-1939*, ed. by P. V. Cannistraro, E. D. Wynot, T. P. Kovaleff, Columbus, Ohio 1976.

33. Raport Matzholda z 15 IV 1940 r., PAAA, Dienststelle Ribbentrop, sygn. 9/3. Por. także E. Guz, *op.cit.*

34. O stanowisku Sikorskiego zob. T. Dubicki, *op.cit.*, s. 34. Sprawa ta jest jednoznaczna i nie wymaga dyskusji, chociaż np. związany przyjaźnią z Sikorskim gen. Kukiel interpretował to zagadnienie inaczej i pisał nawet

*chargé d'affaires* Robertem Murphy'm oskarżył Becka o to, iż „zachowuje się w Rumunii w sposób skandaliczny, wydając wielkie sumy na rozrywki”<sup>35</sup>. Generał nie był zainteresowany, aby do uwolnienia Becka doszło. Prawdziwie wstrząsające słowa zawiera list Bullitta do sekretarza stanu Hulla po rozmowie z Sikorskim w Paryżu, datowany 30 kwietnia 1940 r.<sup>36</sup> Sikorski zaznaczył, że nie powinno być tak, że były minister spraw zagranicznych państwa sojuszniczego wpada w ręce nieprzyjaciela, dając wyraz obawie, aby Beck nie został przekazany Niemcom, ale podkreślił bardzo mocno, że ma przekonanie, iż Beck jest jego osobistym wrogiem<sup>37</sup>. Bullitt nie mógł tego zrozumieć.

W charakterystyce Józefa Becka – sporządzonej przez tzw. Komisję Winiarskiego, czyli komisję śledczą mającą zbadać działania rządu polskiego w przededniu wybuchu wojny i ustalić „odpowiedzialność za klęskę” – czytamy, iż „w czerwcu 1940 r. spotkał się Beck w Bukareszcie w parku Kiselov z wyższym urzędnikiem poselstwa niemieckiego w Bukareszcie i odbył z nim 10-minutową rozmowę”<sup>38</sup>. Ten skrajnie tendencyjny

---

o „wielkoduszości” generała, M. Kukiel, *Generał Sikorski. Żołnierz i mąż stanu Polski Walczącej*, Londyn 1970.

35. Zob. „Zeszyty Historyczne” 1986, z. 76, s. 216-217 oraz poniżej dokument nr 2.

36. Jego treść cytuje obszernie Anna M. Cienciała, *op.cit.*, cz. I, s. 50, przyp. 35.

37. Tamże. Co wielce interesujące, wywiad francuski w tym samym czasie informował Sztab Generalny w Paryżu, iż rychło ma dojść do „pojednania Becka” z Sikorskim oraz wydania przez Becka oświadczenia afirmującego „obecny stan rzeczy” i politykę Sikorskiego. (O tym meldunek wywiadu francuskiego z 5 kwietnia 1940 r. z Coëtquidan, Service Historique de l’Armée de Terre, Paris, serie 7NN. Za udostępnienie tego dokumentu, odnalezionego wśród akt odzyskanych przez stronę francuską z Rosji, dziękuję p. Pawłowi Liberze).

38. Wiadomości te pochodziły od dr. Aleksandrowicza i agentów Stanisława Kota w Rumunii, śledzących Becka. (IPMS, kolekcja 61/2a). Niepowodzenie ucieczki Becka uważali za swój wielki sukces. „Udaremniłmy ucieczkę Becka – moim zdaniem chce się on dostać do Anglii lub Ameryki. Zajmuje się nim poselstwo amerykańskie. Pieniądze dla niego nadeszły z Ameryki (czy nie Ambasador Potocki działał?). Ustanowiłem delegata w Turcji – proszę o polecenie, aby mnie wspomaganą w pracy” – pisał Aleksandrowicz do Kota 20 IX 1940 r. Mówiąc o delegacie w Turcji, chodziło mu o kontrolowanie tego potencjalnie realnego „szlaku” ewakuacji Becka z Rumunii; cyt. wg kopii listu w papierach zebranych przez J. Weinsteina, Instytut Józefa Piłsudskiego, Nowy Jork, kolekcja Becka, sygn. 34/5.

dokument nie pozostawia wątpliwości, że usiłowano za wszelką cenę moralnie zdyskredytować uwięzionego Becka, stawiając mu gołosłowne zarzuty „tajnych kontaktów” z Niemcami.

Józef Beck był zresztą tego świadom. Pisał do swej pasierbicy Joanny Tymienieckiej w r. 1943: „Czytając to, co mi donosicie, mam wrażenie rozdwojenia mojej osobowości. [...] jakiś mit (fantom) rozpowszechnia się po świecie, jakiś drugi Józef Beck, z którym nie utrzymywałem żadnych stosunków od czterech już lat. Jeździ on i prowadzi walki i wojnę, przemawia w książkach. Śmieszny spektakl!”<sup>39</sup>

Jesienią 1940 r., po wejściu wojsk niemieckich do Rumunii i po ustanowieniu dyktatury marszałka Antonescu szanse uwolnienia Becka spadły do minimum. Możliwości, jakie były do wyzyskania na wiosnę 1940 – miały się już nie powtórzyć. Po roku 1941, tj. po wejściu Stanów Zjednoczonych do wojny i podjęciu współpracy ze Związkiem Sowieckim – doszło jeszcze jedno uwarunkowanie, z którym Roosevelt bardzo się liczył. Czynnikiem tym było nastawienie sowieckiego kierownictwa, nieprzejednanie wrogie wobec Becka, jako twórcy „polityki równowagi” – polityki, która skutecznie blokowała Sowiecom możliwość oddziaływania na układ sił w Europie Środkowowschodniej<sup>40</sup>.

Józef Beck jako jedyny z ministrów przedwojennego polskiego rządu nie przeżył II wojny światowej. Zmarł pozbawiony wolności, po długiej i ciężkiej chorobie 5 czerwca 1944 r. we wsi Stanesti pod Bukaresztem. Uwięziony podstępnie z naruszeniem podstawowych zasad prawa międzynarodowego<sup>41</sup>, bez opieki lekarskiej, bezpodstawnie oskarżany w kraju i na emigracji o czyny, których nigdy nie popełnił<sup>42</sup>. Za odważną decyzję

---

39. J. Beck, *Dernier rapport. Politique polonaise 1926-1939*, Neuchatel 1951, s. XXIII.

40. To nieprzejednanie wrogie stanowisko potwierdza notatka Wellesa z rozmowy z Litwinowem z 6 X 1942 r. (zob. aneks 3). W optyce sowieckiej – uwięziony Beck był przedstawicielem tego nurtu w polskiej myśli politycznej, który stworzył Józef Piłsudski, a więc zniszczenie tego kierunku było konieczne, aby Polskę ujarzmić.

41. Kwestionują to historycy rumuńscy, z trudem nawet przystają na stwierdzenie, iż Beck był internowany, zaprzeczają, że był więziony.

42. Jako sprawcę klęski „nie wolnej od hańby” określano Becka w jednej z broszur propagandowych obozu, który przejął władzę: *Co mówiła emigracja zaraz po klęsce wrześniowej 1939 roku* (1940).

stawienia oporu hitlerowskim Niemcom zapłacił cenę życia. „Umarł między dwiema datami: wzięciem Rzymu przez Anglo-Amerykanów 4 czerwca późnym popołudniem, a atakiem Narodów Zjednoczonych na ścianę atlantycką 6 czerwca wczesnym rankiem” – zapisał w swoim *Dzienniku* ambasador Michał Sokolnicki<sup>43</sup>. 9 czerwca 1944 r. dopisał: „Tragedia Becka będzie prześladowała długo sumienia polskie”<sup>44</sup>. Polityka Józefa Becka należy do historii, ale „niepodobna tej historii ominąć, jeśli się chce nadal żyć”<sup>45</sup>.

Franklin D. Roosevelt, jako sygnatariusz układów jałtańskich i autor wypowiedzi, iż „od ponad pięciuset lat z Polską są same kłopoty”<sup>46</sup>, słusznie nie cieszy się wśród Polaków dobrą opinią. Ale w sprawie Józefa Becka niewątpliwie usiłował coś zrobić na miarę swych sił – nader ograniczonych. Pragnął jego uwolnienia, gotów był nawet udzielić mu gościny w Stanach Zjednoczonych. Mocno rozdrażniony był skandalicznym zachowaniem niektórych członków polskiego rządu, usiłujących wyrównać z Beckiem swe przedwojenne porachunki. Podjął działania, których podjąć nie musiał. Miał świadomość, że Józef Beck doprowadził do odrzucenia żądań niemieckich w r. 1938/1939 i związał Polskę z mocarstwami zachodnimi, oddając „sprawie Zachodu” niemałą usługę. Roosevelt rozumiał przy tym, że życie polskiego ministra jest zagrożone, że obowiązkiem społeczności międzynarodowej jest podjąć jakieś działania, coś dla niego zrobić. Uważał, że sprawa ta nie powinna być zostawiona własnemu biegowi.

Do biografii Józefa Becka dokumenty amerykańskie wydają się interesującym uzupełnieniem. Do najnowszej historii Polski – cennym przyczynkiem. Jerzy Giedroyc – będący uczestnikiem wydarzeń rozgrywających się w Rumunii w latach 1939-1940 – przykładał szczególną wagę do ich źródłowego opracowania, o czym świadczą liczne materiały publikowane zarówno w „Kulturze”, jak i „Zeszytach Historycznych”.

---

43. M. Sokolnicki, *Dziennik ankarski 1943-1946. Z przedmową E. Raczyńskiego*, Londyn 1974, s. 155.

44. M. Sokolnicki, *op.cit.*, s. 157.

45. M. Sokolnicki, *op.cit.*, s. 156.

46. Cyt. za P. Wandycz, *Polska – natchnienie czy źródło kłopotów?*, w: *idem, Z dziejów dyplomacji*, Londyn 1988, s. 22.

Dokumenty drukujemy w języku oryginału. Poprawiono ewidentne błędy ortograficzne, pomyłki w pisowni nazwisk oraz ujednolicono amerykański zapis nazwy Rumunii. Przypisy dodane zostały przez wydawcę. Dodano trzy dokumenty jako aneks: pełny tekst wywiadu Becka dla Artura L. Waldo, dający *resumé* poglądów ministra po katastrofie września 1939 r.; list Aleksandra Bobkowskiego do ambasadora Biddle'a z marca 1941 r. oraz notatkę Wellesa z rozmowy z ambasadorem sowieckim, Maksymem Litwinowem z 5 października 1940 r. na temat Becka, gdyż poświadcza ona „nowo-stare” oskarżenia sowieckie pod adresem byłego polskiego ministra<sup>47</sup>. Z oskarżeniami tymi Amerykanie musieli się liczyć.

Marek KORNAT



**1. List Józefa Becka do ambasadora USA w Paryżu  
William Bullitta z 19 II 1940 r.**

Brasov (Rumania), February 19th 1940

Hotel Aro

My dear Bullit<sup>48</sup>,

I am very grateful to you for the valuable information you were kind enough to forward to me through Mr R. Rathaus<sup>49</sup> intermediary.

I am glad to be able to keep up that contact with you as I talked matters over with Mr Rathaus quite frankly and sincerely.

It has been a real pleasure to me to hear your friendly words in these trying times.

Sincerely yours

*J. Beck*

---

47. Dokument ten jest historykom zupełnie nieznanym.

48. William Bullitt (1891-1967), ambasador USA w Moskwie 1933-1936 i w Paryżu 1936-1941.

49. Rudolf Rathaus (1900-1968), dyplomata, w MSZ w latach 1923-1935 m.in. na placówkach w Lipsku, Berlinie, Pradze i Chicago, następnie radca w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, współorganizator pawilonu polskiego na Wystawie Światowej w Nowym Jorku 1939 r.; po wybuchu wojny przedostał się do Rumunii, skąd trafił do USA.

## 2. Memorandum amerykańskiego *chargé d'affaires ad interim* w Paryżu z rozmowy z generałem Sikorskim na temat Józefa Becka z 21 III 1940 r.

Paris, March 21, 1940

Memorandum

I lunched today with General Sikorski, Polish Prime Minister and Commander-in-Chief of the Polish Army in France, who told me something of his efforts to reconstruct the Polish Army and his labors as Prime Minister.

He said that there were now 52 000 effectives in the Polish Legion, and only yesterday 27 Polish aviators had been sent to the Western front after an intensive course of training in France.

He said that he wanted Ambassador Bullitt to know that M. Lukasiewicz<sup>50</sup>, former Polish Ambassador in Paris, was being taken care of. Under Sikorski's orders, M. Lukasiewicz is receiving a stipend of eight thousand francs monthly and has been given the task of compiling an extensive documentation of events leading up to the German-Polish war<sup>51</sup>.

He said that he himself accepts only ten thousand francs monthly, devoting the balance of the allowances and pay to which he would be entitled to Polish charities.

General Sikorski went on at considerable length regarding Beck's misdeeds. He said that he was acting in scandalous fashion in Rumania, spending large sums of money in pursuit of pleasure, notwithstanding that many Poles were starving to death. He said that when Mrs. Beck crossed the Rumanian frontier she had on her person \$562 000 „pocket money”.

General Sikorski also said that Prince Radziwill<sup>52</sup> was the eleventh Pole to whom the Germans had offered the Warsaw general government. Radziwill had refused. The same offer, of course, had been made to Beck. According to Sikorski, no Pole

---

50. Juliusz Łukasiewicz (1892-1951), poseł i ambasador RP w Moskwie 1933-1936 oraz w Paryżu 1936-1939, odwołany w listopadzie 1939 r.

51. W marcu 1940 r. Rząd RP wydał tzw. Białą Księgę: *Les Relations polono-allemandes et polono-soviétiques au cours de la période 1933-1939. Recueil de documents officiels* (Paris 1940). Gromadzenie materiału historycznego dotyczącego genezy wojny i roli Polski w stosunkach międzynarodowych kontynuowano – z myślą o nowych publikacjach.

52. Janusz książę Radziwiłł (1880-1967), poseł i przewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych.

could afford to accept as it would mean inevitable assassination.

The General also said that the morale in the Polish Army is high and he does not doubt that it will eventually include upwards of 200 000 men.

*Robert D. Murphy*  
*Chargé d'Affaires ad interim*

### **3. Instrukcja sekretarza stanu Hulla do poselstwa USA w Bukareszcie z 1 IV 1940 r.**

Telegram sent April 1, 1940 6 p.m.

American Legation

Bucharest (Rumania)

You should personally inform Colonel Joseph Beck that the President desires to have a conversation with him in Washington and that you have been instructed to issue a diplomatic visa to him and that you have so informed the Rumanian Government. Unless you receive a satisfactory reply from Gafencu<sup>53</sup> you should carry out your instructions to take up this matter with King Carol<sup>54</sup>.

*Hull*<sup>55</sup>

### **4. Raport amerykańskiego chargé d'affaires w Bukareszcie Gunthera dla sekretarza stanu Hulla z 3 IV 1940**

Bucharest

Dated April 3, 1940

Rec 7:13 p.m.

I have just seen Foreign Minister Gafencu again. He said that in view of the understanding between his Government and that of Germany – that the members of the former Polish Government should not be permitted to leave Rumania – he would have to discuss this matter with the German Minister

---

53. Grigore Gafencu (1892-1957), minister spraw zagranicznych (1939-1940), następnie minister propagandy, 1940-1941 ambasador w Związku Sowieckim.

54. Karol II (1893-1955), z dynastii Hohenzollern-Sigmaringen, król Rumunii 1930-1940.

55. Cordell Hull (1871-1955), sekretarz stanu USA 1933-1944.

Fabricius<sup>56</sup> and would let me know the result as soon as possible. He suggested that I not apply for audience with the King until he had done this.

Colonel Beck's secretary<sup>57</sup> is being sent by Beck from Brasov arriving at dinner time tonight and I shall tell him what you say, what I have done and also communicate to him for Colonel Beck your decision as conveyed in your No. 85, April 2, 7 p.m. Radio bulletin No. 75 of March 29 has not yet reached me. I am requesting the Embassy at Berlin if possible to send that and subsequent hereafter by air mail.

*Gunther*<sup>58</sup>

**5. Notatka prezydenta Roosevelta dla poselstwa amerykańskiego w Bukareszcie z 4 IV 1940 r.**

April 4, 1940

No distribution

American Legation

Bucharest

For the Minister

Department's No. 84, April 1, 6 p.m. and your 109, April 3, 5 p.m.

Owing to developments subsequent to the despatch of the Department's instruction to you of April 1, 6 p.m., the President desires that you be informed that he wishes you to postpone for the time being taking any further action in this matter. Should the President later desire to follow the matter up, you will be instructed accordingly.

*FDR*

**6. Telegram Departamentu Stanu do ambasadora Biddle'a z 4 IV 1940 r.**

April 4, 1940

No distribution

---

56. Wilhelm Fabricius (1882-1964), poseł niemiecki w Bukareszcie.

57. Doman Rogoyski (1903-1987), radca w MSZ, sekretarz ministra Becka 1938-1939; towarzyszył ministrowi do śmierci.

58. Franklin Mott Gunther (1885-1941), dyplomata, w służbie od 1909, m.in. w Nikaragui i Portugalii, poseł i minister pełnomocny Stanów Zjednoczonych w Bukareszcie 1937-1941.



American Embassy

Paris

For Ambassador Biddle<sup>59</sup>

At the desire of the President, you are requested to telegraph the Department immediately your opinion as to the desirability of Colonel Beck proceeding to the United States at this time. The President is particularly anxious to know what in your judgment would be the effect of such a step upon the members of the present Polish Government, especially in the event that Colonel Beck was received by the President.

**7. Notatka podsekretarza stanu Wellesa z rozmowy z posłem Rumunii w Waszyngtonie Irimescu z 5 IV 1940 r.**

Department of State

Memorandum of Conversation

April 5, 1940

Subject: Situation in the Balkans; ex-President Moscicki.

Participants: Mr. Radu Irimescu, Minister of Rumania;<sup>60</sup>

The Under Secretary, Mr. Welles<sup>61</sup>

The Rumanian Minister called to see me today. The Minister expressed the belief that there was no immediate threat to the peace of the Balkans and that Germany had reached the decision that it was more to the interest of Germany to maintain the status quo and peace in the Balkans than to undertake any military adventure in that region, since so long as the Balkan countries remained at peace, Germany could obtain oil and agricultural requirements which could not be obtained if the situation changed during the course of the present hostilities. The Minister said he was convinced that Italy would maintain the same position and he believed that while Russia had not in the slightest degree modified her desire of obtaining political jurisdiction as far as the Straits, he did not think that Russia would move in that direction for the time being.

---

59. Anthony J. Drexel Biddle jr (1897-1961), ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce 1937-1939, a następnie przy rządzie RP na uchodźstwie w Paryżu, Angers i Londynie 1939-1943.

60. Radu Irimescu (1890-1975), dyplomata rumuński, poseł w Waszyngtonie 1938-1940.

61. Sumner Welles (1892-1961), podsekretarz stanu USA 1937-1943.

The Minister spoke at some length of the difficulties Rumania was experiencing at the hands of Great Britain, and explained that the oil which Germany was obtaining from Rumania was neither in quality nor in quantity of any vital importance to Germany in the prosecution of the war. He states that it was his belief that „when Germany cracked up” it would be because of her inability to obtain sufficient stocks of lubricating oil, molybdenum, vanadium, and nickel. He said that with the exception of a small amount of nickel which Germany could obtain from Russia, none of the materials mentioned could be obtained by Germany. He said that no lubricating oil used in aviation could be obtained by Germany from either Russian or Rumanian sources. He further stated that large supplies of oil were now being obtained by Russia from Venezuela through Vladivostok and that the oil so obtained by Russia was being used in Siberia, thus making it possible for Russia to supply Germany with oil from Baku which would otherwise be needed in Siberia.

I told the Minister that while I was in Europe I had heard a report which had disquieted me to the effect that the Rumanian Ambassador in Paris had said that Ambassador Bullitt had informed him that unless the Rumanian Government permitted former President Moscicki of Poland and former Foreign Minister Beck to leave Rumania, diplomatic relations between the United States and Rumania would be severed. The Rumanian Minister told me immediately that the story was entirely correct but that he hoped because of his position here in Washington I would not permit his name to be used in connection with the story. I told the Minister that I would necessarily have to speak to the President and the Secretary of State about the matter, but that I was sure they would treat any connection which he might have with the story with the utmost confidence.

Mr. Irimescu said that what had happened was as follows: When he was in Bucharest last month, his Prime Minister, Mr. Tatarescu<sup>62</sup>, had expressed to him the gravest apprehension over

---

62. Gheorghe Tatarescu (1886-1957), premier Rumunii 1934-1937, 1939-1940, minister spraw zagranicznych 1938 oraz 1945-1947.

the attitude taken by the United States. Mr. Tatarescu showed him reports sent from Paris by the Rumanian Ambassador to Paris reporting his conversations with Mr. Bullitt and alleging that Mr. Bullitt had stated positively that if the Rumanian Government refused to permit former President Moscicki to leave Rumania immediately, diplomatic relations between the United States and Rumania would be broken by direction of President Roosevelt. Mr. Irimescu said that he had stated to his Prime Minister that he was sure that this was not the policy of the United States, since the United States must realize that while the Rumanian Government was desirous of acceding to the suggestion made by President Roosevelt that on humanitarian grounds the former President of Poland be permitted to leave Rumania, the Rumanian Government would nevertheless have to seize an appropriate opportunity for taking such a step in view of the Rumanian fear of getting into serious complications with Germany. Mr. Irimescu said that in fact after Moscicki's departure from Rumania, the German Government had made an exceedingly angry protest to the Rumanian Government because of the action taken.

*S.W.*

**8. Raport ambasadora Biddle'a dla podsekretarza stanu Wellesa z 6 IV 1940 r.**

Corrected copy

(Warsaw)

Angers *via* Paris

Dated April 6, 1940

Rec'd 9:30 a.m., 7th

One. In my opinion Colonel Beck's proceeding to the United States at this time would be desirable for the following reasons: (a) The delicate geopolitical position of Rumania and the animosity of Poland's former adversaries towards Colonel Beck render his continued internment in Rumania a danger to his safety; (b) it appears that no European country would receive him because of the political implications of such a move; (c) to grant Colonel Beck asylum would be a humane act and in an era already marked too frequently by infractions of the code of

international law it would serve not only as a wholesome example of the high traditions of American democracy but also of our respect for international law and order.

Two. In considering the effect on the members of the present Polish Government (a) of Colonel Beck's proceeding to the United States, and (b) of his possible reception by the President I feel that the Department should bear in mind the following.

Present Government is particularly sensitive on the subject of the former government. In fact as the Department is aware they have more than once expressed their bitterness which is an „old story” and which finds its roots in the fact that this Government has since Pilsudski's coup d'état composed the opposition. For this reason I consider it highly advisable to avoid giving any official aspect either to Colonel Beck's proceeding to the United States or to his reception by the President.

In amplification of the above points the Department might find it helpful to refer to the section entitled Polish-German conflict and the Embassy's activities paragraphs 210 to 213 inclusive and 216 to 218 inclusive in my extensive report on this subject under unnumbered despatch February 3, paragraph 3, since it is reasonable to suppose that Germany and Russia might attempt to obstruct any move to bring Beck to the United States the matter should be treated with utmost discretion until he is safely on his way.

*Biddle*

**9. Notatka podsekretarza stanu Wellesa dla prezydenta Roosevelta z 8 IV 1940 r.**

The Under Secretary of State

Washington

April 8, 1940

The President, The White House

My dear Mr. President

In accordance with our conversation on April 4, I took the opportunity in a talk which I had with the Rumanian Minister on April 5 to inquire of the Minister with regard to the stories

I had heard concerning the alleged threat that relations between the United States and Rumania would be broken unless the Rumanian Government permitted the former President and Foreign Minister of Poland to leave that country.

For your information I am enclosing a copy of a memorandum of that date of my conversation with the Minister.

I should like to call your attention particularly to the request made of me by the Minister that his confirmation of this report be kept confidential.

Believe me

Faithfully yours

*[Welles]*

**10. Notatka podsekretarza stanu Wellesa dla prezydenta Roosevelta z 8 IV 1940 r.**

April 8, 1940

The President, The White House

My dear Mr. President

I am enclosing Tony Biddle's reply of April 6 to the inquiry made of him by the Department by your direction concerning the advisability of having Colonel Beck come to the United States at this time.

While I fully share the views expressed in part one of the telegram, I cannot help but feel that the arguments advanced in part two of the telegram are of particular importance. If any trouble arose between Rumania and Germany as the result of Rumania permitting Colonel Beck to leave the country at this moment, the Rumanian Government undoubtedly would say that it had taken this action at your personal request. If this became publicly known, I do not see how we could „avoid giving any official aspect either to Colonel Beck's proceeding to the United States or to his reception by the President". I still feel that it would be wiser to let the matter rest for the moment.

Believe me

Faithfully yours

*Sumner Welles*

**11. Notatka podsekretarza stanu Wellesa dla prezydenta Roosevelta w sprawie Becka z 15 IV 1940 r.**

The Under Secretary of State, Washington

April 15, 1940

The President, The White House

My dear Mr. President:

With reference to our recent conversation concerning the departure of Colonel Beck from Rumania, I am enclosing herewith for your information a copy of a memorandum from Mr. Murphy, Chargé d'Affaires of our Embassy in Paris, dated March 21, reporting a conversation he had had with General Sikorski, Polish Prime Minister. You will be interested in General Sikorski's references to Colonel Beck's present activities.

Believe me

Faithfully yours,

*[Sumner Welles]*

**12. Instrukcja prezydenta Roosevelta dla podsekretarza stanu Wellesa w sprawie wznowienia działań na rzecz Becka z 1 VI 1940 r.**

The White House

Washington

June 1, 1940

Memorandum for the Under Secretary of State

You and the Secretary should answer this telegram from Bullitt reviving the subject of Mr. Beck.

*F.D.R.*

**13. List ambasadora Biddle'a do prezydenta Roosevelta w sprawie Becka z 20 VIII 1940 r.**

Department of State

Washington

August 20, 1940

The President, The White House

My dear Mr. President:

I regret that when I had the honor and pleasure of dining with you the other night. I did not have the occasion to speak to you of the plight of former Polish Minister Jozef Beck, now living in a state of internment in Bucharest.

There was a period, during the past year when the present Polish Government harbored ill feeling towards the interned former Government. By the end of May, however, this antagonism had given way to a serious concern for their welfare.

Prime Minister General Sikorski, as well as Foreign Minister Zaleski, informed me that due to their worry over the security of the members of the former regime, they had instructed their Special Representative of Refugee Problems in Rumania, former Undersecretary of State for Foreign Affairs, Minister Arciszewski<sup>63</sup>, to make, in their behalf, a formal request of the Rumanian Government, to release Minister Beck and his associates; Minister Arciszewski was furthermore instructed to provide means for their evacuation.

Minister Arciszewski in turn told me that in receiving the foregoing instructions he had been told that the French Government was willing that certain of the former regime might evacuate into Algeria; others were to go to Egypt and Turkey. Beck was to go to Turkey.

Foreign Minister Zaleski subsequently informed me that in response to Arciszewski's formal request, Rumanian Foreign Minister, Gafencu had told him that while due to German pressure, it would be difficult to release the members of the former regime at that moment, he would give his solemn assurances that he personally would see to it that Beck and his associates would be free to evacuate when and as a real threat to their security became imminent. General Sikorski and Foreign Minister Zaleski were disappointed in the Rumanian Government's reply, since reports at that time indicated an imminent threat to Rumanian territory both by Germany and Bulgaria, as well as Russia.

Since giving his assurances to Minister Arciszewski, Gafencu was replaced as Foreign Minister, and as the already unhappy situation in Rumania becomes more endangered, so the position of Beck becomes more precarious. Just before my departure from Lisbon, the former Counselor of the British Embassy in Rome imparted to me that he had received information through

---

63. Mirosław Arciszewski (1892-1963), poseł RP w Bukareszcie (1932-1938), w 1939 r. podsekretarz stanu w MSZ.

confidential channels, that Beck's position was growing rapidly worse.

Having in mind the State Department's cable of inquiry to me as of the latter part of April, confidentially indicating your humanitarian interest in Beck's welfare, I have taken this occasion to write you the above information.

Should it be possible for any formula to be worked out whereby Beck could be brought to the United States, I personally would be glad to contribute my financial support and efforts towards precluding the possibility of his becoming a burden on the community. I have in mind creating a chair of Contemporary History in some University for which I sincerely believe he is well qualified.

I cannot tell you how much Margaret<sup>64</sup> and I enjoyed your delightful hospitality. It was wonderful to be with you again and we enjoyed every minute of our time with you.

With every good wish, I am

Yours faithfully,

*Tony*

**14. Notatka prezydenta Roosevelta dla podsekretarza stanu Wellesa w sprawie wznowienia działań na rzecz Becka z 5 IX 1940 r.**

The White House

Washington

September 5, 1940

Memorandum for the Under Secretary of State

What can you do about this? I think we should not let the whole thing remain in cold storage where it is at the present time.

*F.D.R.*

Letter from „Tony”, Dept. of State, Washington, DC, 8/20/40 to the President, stating that „I regret that when I had the honor and pleasure of dining with you the other night. I did not have the occasion to speak to you of the plight of former

---

64. Margaret Thompson Biddle (1897-1956), druga żona (1931-1945) ambasadora Anthony'ego J. Drexel Biddle jr.



Polish Minister Jozef Beck, now living in a state of internment in Bucharest". The writer asks if it would be possible for Mr. Beck to come to the US.

**15. List podsekretarza stanu Wellesa do prezydenta Roosevelta z 14 IX 1940 r.**

Department of State  
Washington  
September 14, 1940  
The President, The White House  
My dear Mr. President:

With regard to your communication of September 5, 1940 and its enclosure relating to the present position of the former Polish Minister, Jozef Beck, a report has reached the Department to the effect that Beck has been able to leave Rumania. A telegram has been sent to the Legation in Bucharest requesting information regarding this report. As soon as a reply can be received I shall immediately inform you.

Faithfully yours,

*[Sumner Welles]*

**16. List podsekretarza stanu Wellesa do prezydenta Roosevelta z 17 IX 1940 r.**

Department of State  
Washington  
September 17, 1940  
The President, The White House  
My dear Mr. President:

With regard to my note of September 14, 1940 Minister Gunther at Bucharest telegraphs that he has been assured by the Polish Ambassador<sup>65</sup> there that the former Polish Foreign Minister, Jozef Beck, is still at the Villa which he occupies at Snagov near Bucharest and is very well.

Faithfully yours,

*[Sumner Welles]*

---

65. Roger Raczyński, (1889-1945), ambasador RP w Bukareszcie 1938-1940.

**17. Notatka prezydenta Roosevelta dla podsekretarza stanu Wellesa z 19 IX 1940 r.**

The White House

Washington

September 19, 1940

Memorandum for the Under Secretary Welles:

In view of the continued „residence”, i.e. imprisonment, of Polish Foreign Minister Jozef Beck, don't you think there is something we can or ought to do to try to get the dear man out before the Germans (or the Russians), do to him what the Germans did to the unfortunate Jew who shot the German at the German Embassy in Paris, and was subsequently delivered, body and soul, by the French Government to the German Gestapo a few weeks ago?<sup>66</sup>

F.D.R.

**18. Raport *chargé d'affaires* w Bukareszcie dla podsekretarza stanu Wellesa z 7 X 1940 r.**

Bucharest

Dated October 7, 1940

Rec'd 7:40 a.m., 8th.

For Under Secretary Welles Personally.

A favorable opportunity came today when General Antonescu<sup>67</sup> came to see me. I delivered your message. He says to have no fear but that Colonel Beck will be successfully protected. He has recently sent Colonel Rioseanu<sup>68</sup>, Under Secretary of the Interior, whom I know quite well personally, to see Beck and the General assured me that he has arranged that

---

66. Herschel Grynszpan (1921-194?), 7 XI 1938 r. w Paryżu zastrzelił radcę ambasady Rzeszy Ernsta von Ratha (1909-1938), dało to hitlerowcom pretekst do pogromu Żydów w Rzeszy 9-10 XI 1938 r. (tzw. „Noc kryształowa”). Rząd francuski w Vichy zgodził się na jego ekstradycję do Niemiec. Hitlerowcy uwięzili Grynszpana i przygotowywali jego proces z dopełnieniem reguł procedury karnej, który wszakże nigdy nie doszedł do skutku, podczas gdy dziesiątki tysięcy Żydów mordowano w Europie bez najmniejszych pozorów stosowania jakiegokolwiek prawa.

67. Ion Antonescu (1882-1946) generał, od r. 1941 marszałek, premier i „wódz”.

68. Alexandru Rioseanu (?-1941), płk., podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, gubernator Bukowiny.

Beck's wishes be granted: (1) that he be permitted to row on the lake; (2) that he be allowed to take walks in the forest. The General added that he could not grant the other request for permission to come frequently to Bucharest. He will allow him to have any doctors or dentists whom he wishes to consult come here to the Snagov Villa. Apparently there is no further complaint about bed bugs. I reported in my despatch number 1548, August 30, that I had endeavored to have Beck's wishes as above granted through ex-Premier Gigurtu<sup>69</sup> but met with a cold reception.

The General informed me confidentially that a recent attempt had been made to abduct and escape with Beck to Istanbul. I remarked that that seemed a pity as in that case Beck would not be free and be no longer responsible. He replied that that could not be as the Rumanian Government had given a solemn undertaking to the German Government not to let Beck escape. I countered by observing that what was feared was that Hitler was reserving Beck for some particularly fiendish form of suffering later on such as he meted out to Schuschnigg<sup>70</sup>. He replied that he did not think so, that he personally would do everything in his power to protect him and that in any case not the faintest suggestion had been made by the Germans as yet that they would ever want Beck turned over to them.

*Gunther*

#### **19. List podsekretarza stanu Wellesa do prezydenta Roosevelta z 8 X 1940 r.**

The Under Secretary of State  
Washington

October 8, 1940

The President, The White House

My dear Mr. President

I am transmitting herewith a telegram sent from Bucharest by Frank Gunther under date of October 7 with regard to

---

69. Ion Gigurtu (1886-1959), od lipca do września 1940 r. premier Rumunii.

70. Kurt von Schuschnigg (1897-1977), kanclerz Austrii (1934-1938), po *Anschlussie* więziony przez hitlerowców za „działania przeciwko jedności narodu niemieckiego”.

Colonel Beck. Is there anything further that you wish me to telegraph Gunther in this regard?

Believe me

Faithfully yours,

*[Sumner Welles]*

**20. List ambasadora Biddle'a do prezydenta Roosevelta z 22 IV 1941 r.**

Ritz Hotel, London

April 22, 1941

The President, The White House, Washington, DC

My dear Mr. President:

For your information I am forwarding hereto attached, a copy and translation of the text of a letter which has just come to me through confidential channels, from Alexander Bobkowski<sup>71</sup>, son-in-law of Mr. Moscicki, the former President of Poland. The letter describes the whereabouts and critical position of the members of the former Polish Government.

The information contained in Mr. Bobkowski's letter checks in substance with that which I have received from other confidential sources here. Mr. Bobkowski, who is residing with his father-in-law in Switzerland, maintains discreet contact with the members of his father-in-law's former Government.

With all good wishes, I am

Yours faithfully,

*Tony Biddle*

**21. List prezydenta Roosevelta do ambasadora Biddle'a z 22 V 1941 r.**

The White House

May 22, 1941

The Honorable

Anthony J. Drexel Biddle, Jr.

American Ambassador to Poland,

Care of American Embassy, London

Dear Tony:

I have received your letter of April 22, 1941 transmitting

---

71. Aleksander Bobkowski (1885-1966), wiceminister komunikacji 1935-1939 był zięciem prezydenta Mościckiego. Zob. Aneks II.

a copy of Alexander Bobkowski's message concerning members of the former Government of Poland who are still in Rumania.

I am glad that you have found it possible to maintain some of your contacts with prominent Poles on the continent. Undoubtedly, you will be able through these channels to get information from time to time which otherwise would not be available.

The condition under which members of the former Government of Poland are living in Rumania is, as you know, a matter in which we have sympathetic interest. I note from Mr. Bobkowski's letter that a copy of his message to you was sent by him to Minister Gunther in Bucharest. Mr. Gunther, I am sure, can be relied upon to assist these unfortunate persons to such an extent as the difficult conditions under which he is working will permit.

With every good wish, I am,  
Very sincerely yours,

*Franklin D. Roosevelt*

**22. Pismo podsekretarza stanu Wellesa do prezydenta Roosevelta z 22 V 1941 r., komunikujące list ambasadora Biddle'a**

Department of State  
Washington  
May 22, 1941  
The President, The White House  
My dear Mr. President:

The letter of April 22, 1941 from Ambassador Biddle concerning members of the former Government of Poland now in Rumania is returned herewith with a suggested draft of a reply for your signature.

Should the draft be acceptable to you and be signed, we shall, on its being returned to us, see that it goes forward to Mr. Biddle in the next available pouch.

Faithfully yours,

*[Sumner Welles]*



**Wywiad Józefa Becka dla dziennika „Nowy Świat”  
opublikowany 9 III 1940 r.**

Artur Waldo<sup>72</sup>

Bukareszt, 31 stycznia [1940]

**Rozmowa z byłym ministrem Józefem Beckiem**

Minister Józef Beck zabrał nareszcie głos i przerwał pięćmiesięczne prawie milczenie. Zrobił to dla polonii amerykańskiej. Dotąd odmawiał mówienia, nie przyjmował żadnych dziennikarzy ani urzędników. Nikomu nie udzielał żadnych wyjaśnień, uważając porę za niewłaściwą do zabierania głosu. Dowiedziałem się, iż na usprawiedliwienie swego postępowania ma dla wszystkich tylko jedno zdanie:

„Wyjaśnieniami mógłbym tylko komuś lub czemuś zaszkodzić – ponieważ dziś wszystko wiąże się z losami Polski, wolę milczeć”.

Czy jednak mogłem i ja przyjąć podobne wytłumaczenie, będąc w Rumunii, jadąc do Ameryki i wiedząc już coś niecoś o tysięcznych wersjach, przeróżnych oskarżeniach?

Tak z prasy polsko-amerykańskiej, jak i po drodze do Rumunii spotkałem się z zarzutami, że „Beck Polskę zdradził, że Beck Polskę Niemcom sprzedał, że ma fortunę w Anglii i w Londynie sobie beztrudno żyje, to znów że bawi w Berlinie z żoną i widywany jest w towarzystwie brata swego ubranego w mundur armii niemieckiej”. I w samym Bukareszcie mówiono mnie: „Beck jest tu gdzieś niedaleko w jakimś wspaniałym pałacu i podobno świetnie się bawi – pija szampana, w karty gra, kobiety, hulanka, podczas gdy Polska jęczy w niewoli...”.

Jeszcze na uniwersytecie Michigańskim, gdy uczyłem się dziennikarstwa, profesorowie wszyscy bez wyjątku, z olbrzymim podkreśleniem naciskiem, że odpowiedzialność dziennikarza przed światem za wszystko jest wielka, iż nie wolno mu pogłosek żadnych powtarzać, dopóki nie ustalą, że to co usłyszał jest prawdą.

Zasadzie tej zawsze hołdując, poszedłem sam na poszukiwanie ministra Becka, o którym prasa światowa już zdążyła

---

72. Artur L. Waldo (1896-1985), dziennikarz, obywatel amerykański, przebywał latem 1939 r. we Lwowie, skąd udał się do Rumunii i w styczniu 1940 r. rozmawiał z Beckiem w Brasov.

napisać, że jest chory i wobec tego znajduje się w sanatorium, a także pisała, że „w sanatorium został okradziony z najcenniejszych dokumentów państwowych”.

Przed wszystkim dowiedziałem się, że podczas kiedy były rząd z wyjątkiem prezydenta Mościckiego znajduje się w Baile Herculane, to minister Beck trzymany jest oddzielnie w Brasov, w miejscowości dość odległej od Bukaresztu (4 godziny jazdy pociągiem pospiesznym) i położonym w górach, będącym czymś w rodzaju rumuńskiego Zakopanego. Tam właśnie odbywają się rumuńskie zawody zimowych sportów.

Nie w sanatorium, lecz w najlepszym hotelu – Aro Palace – mieszka minister Beck. Zgłaszam się u portiera i po chwili schodzą do mnie dwaj jego sekretarze: p. Doman Rogoyski i p. Ludwik Łubieński<sup>73</sup>. Przyjęli mnie serdecznie, ale wyrazili ubolewanie z powodu trudności zobaczenia się z p. Beckiem.

„Milczy, żeby nowemu rządowi w niczym nie zaszkodzić” – powiedzieli.

Nalegałem. Byłem bardzo stanowczy. Podkreśliłem, że nowy rząd polski ma od Polonii wielkie wymaganie, zresztą całkiem słuszne, ale ta Polonia powinna znać obie strony medalu. Zostawili mnie na chwilę i – wrócili z zaproszeniem.

W międzyczasie dowiedziałem się, że wszyscy byli ministrowie polscy znajdują się w Rumunii bez własnych środków do życia, że utrzymywani są na koszt rządu rumuńskiego, że muszą mieszkać tam, gdzie im kazano. Minister Beck z małżonką i sekretarzami zajmuje cały apartament na piętrze, a na korytarzu dniem i nocą czuwa dwu detektywów rumuńskich w ubraniu cywilnym. Chodzą oni jak cienie za ministrem nawet wtedy, kiedy wychodzi na codzienną przechadzkę.

Za chwilę ich widziałem – przyjrzeni mi się bacznie i zdaje się usiłovali wpaść na domysł, z czym ja do ministra przybywam. Poza tym bliżej wcale wizytą moją się nie interesowali i trudności żadnych nie robili. Przeciwnie, zjadłem potem w tym hotelu i obiad na rachunek rządu rumuńskiego; jako gość ministra.

Józef Beck jest na pierwszy rzut oka postacią wysoce

---

73. Ludwik Łubieński (1912-1996), od czerwca 1939 r. sekretarz Becka.

reprezentacyjną, a już sam początek rozmowy wskazywał, że jest to naprawdę tęga głowa. Nie dziwiłem się, że był najstarszym z ministrów spraw zagranicznych w świecie w ogóle, jako że on jeden najdłużej na tym urzędzie pozostawał bez przerwy.

Po wstępie o różnych rzeczach Polonii amerykańskiej, w szczególności żywi bowiem minister dla niej specjalny sentyment i zna jej sprawy przez Światowy Związek Polaków z Zagranicy, przystąpiliśmy do spraw stanowiących cel mojej wizyty.

„Nie chodzi tu ani o mnie, ani o moje osobiste znaczenie – mówił minister Beck. – Jest to dziś sprawa narodowa, jak nią dla mnie była zawsze. Polski nie stworzyłem ani ja, ani moi koledzy, Polska już była przed nami i będzie po nas. Nie mam zamiaru się usprawiedliwiać lub kogokolwiek oskarżać. Nowemu rządowi pomagać będę bez zastrzeżeń, gdyż taki jest dziś obowiązek każdego Polaka”.

Chciałem coś wiedzieć o tym, jak powstał nowy rząd, gdyż wiadomością radiową we Lwowie o tym byłem naprawdę zaskoczony.

„Nowy rząd polski powstał nie bez naszej wiedzy – właściwie myśmy mu celowo ułatwili powstanie – odparł na pytanie minister. – Stanąwszy w obliczu internowania, nie o sobie myśleliśmy, ani o losie naszym osobistym, ale o losie Rzeczypospolitej. Mogliśmy byli znaleźć się w takim położeniu, że Polskę w przyszłości reprezentowałby tylko Komitet Narodowy, nie mogący stawać na równi z rządami mocarstw świata, dlatego pierwszym posunięciem rządu starego przed złożeniem urzędów było przelanie konstytucyjnej władzy prezydenta na kogoś innego. Nowy prezydent mógł utworzyć nowy rząd. To sprawiło, że Polska nie znalazła się w położeniu Czechosłowacji czy innych państw nieposiadających dziś państwowej reprezentacji”.

Z kolei zapytałem się, dlaczego rząd polski został internowany, skoro np. rząd belgijski podczas poprzedniej wojny urzędował dalej za granicą?

„Akcja ta nas zaskoczyła i niezupełnie da się dziś wyjaśnić. Mogę tylko zaznaczyć, że przed wjazdem na ziemię rumuńską przybył do nas do Kut osobisty wysłannik króla Karola i zapewnił nam wolny przejazd do Francji. Jednakże Niemcy zmusili Rumunię do odstąpienia od tego przyrzeczenia. W obliczu niebezpieczeństwa wojny z Niemcami, w interesie własnego



państwa – Rumunia uległa”.

„Czy Polska mogła wojny z Niemcami uniknąć?” – pytam dalej.

„Wojny uniknąć mogła, ale losu, jaki Polskę spotkał – nie. Jak Panu zapewne wiadomo, robiłem wszystko co było w mej mocy, ażeby wojny uniknąć. Zasadą uchronienia państwa od wojny z sąsiadami, zwłaszcza jeśli są silniejsi, jest utrzymanie jak najlepszych stosunków z sąsiadami. Był czas, kiedy nasi sąsiedzi byli słabsi od nas. Wówczas szliśmy przeciwko nim, lecz pojmowaliśmy, że zawsze oni słabymi nie będą. Przewidując już od wielu lat to, co stało się obecnie, zaproponowaliśmy Aliantom uderzenie na wroga, gdy dopiero siły swe zaczynał tworzyć. Alianci sądzili, że bez wojny problem ten da się rozwikłać i Niemców w pochodzie ekspansyjnym powstrzymać.

Nie wierzyliśmy w to i dziś widzimy, że słuszność była po stronie polskiej racji stanu. Niemcy czując słabość mocarstw, poczynali coraz śmielej. To samo działo się po stronie sowieckiej. Polska była zmuszona zawrzeć, z niczym niekrępowanymi sąsiadami, przymierze.

Przez szereg lat uważano mnie za prusofila, a przecież była to jedyna forma dania Polsce czasu na przygotowanie się do wojny, której już wtedy łaknęły Niemcy.

Czy z wojną, czy bez – Hitler pragnął odzyskać dla Niemiec stracone na rzecz Polski po wojnie światowej ziemie. Od żądań zwrócenia Gdańska i Pomorza nigdy nie odstępował, a świat nie widział potrzeby bronienia Gdańska na rzecz Polski. Niemcy zaś, otrzymawszy Gdańsk i autostradę przez Pomorze, mieli zamiar wprowadzić do Polski wojska swoje i domagać się ograniczenia polskich sił zbrojnych. Czy na to zgodzilibyśmy się? Chyba nie. I albo trzeba by było dalej ulegać, oddając skrawek po skrawku ziemi bez walki, albo walczyć o wszystko – bez względu na wynik.

Sama sprawa Gdańska była wielką grą dyplomatyczną. Trzeba było tę grę tak prowadzić, ażeby sprawa Gdańska stała się nie kwestią polską, ale problemem Europy – ażeby za sprawy polskie w Gdańsku mogli się bić Alianci jak za sprawę własną. Ten punkt polityka polska zagraniczna osiągnęła, doprowadziwszy do przymierza wojskowego z Anglią i Francją. Szczególnie z Anglikami święciła dyplomacja wielki sukces, ponieważ z nikim

od czasu Napoleona Anglia nie zawarła aliansu militarnego – dopiero z Polską. Jest to ponadto wielką zasługą Polski, że umiała opóźnić najazd niemiecki aż do zawarcia przymierza z Anglią. W tym wypadku gra z Gdańskiem była jeszcze bardziej celowa. Wynik jest taki w bilansie polskiej polityki zagranicznej, że zapewniła walkę największych mocarstw świata o interesy Polski. Wszak te same państwa były sprzymierzeńcami Czechosłowacji, a jednak w jej obronie nikt oręża nie podniósł.

Pierwsza za Polską stanęła Anglia, świeżo zdobyty przez dyplomację sprzymierzeniec. W dwanaście godzin później wypowiedziała Niemcom wojnę stara sojuszniczka nasza – Francja. Dwa wielkie mocarstwa chwyciły za broń. Najwidoczniej byliśmy godni tego, by być jedynym narodem, w imieniu którego Anglia i Francja stanęły do krwawej rozprawy. I jestem pewny, że wytrwają. Z całą determinacją Anglia wchodzi w tę walkę aż do zwycięstwa.

Ale trzeba nam było stworzyć podstawy do tego, ażeby obce narody mogły zdecydować się na największe ofiary – mienia i życia. Bo czyż mógłby rząd angielski nakłonić swego żołnierza do walki, do przelewania drogiej krwi własnej za leżący gdzieś tam daleko kraj Europy, gdyby nie powstały rzeczywiste potrzeby, zbliżające interesy obu narodów? Jeszcze raz zapytam, czy chciano walczyć w interesach Czechosłowacji przed przyjęciem niemieckiego wyzwania przez Polskę?

Polska przyjęła to wyzwanie w imię interesów nie tylko swoich, ale i obcych. Dziś skorzystają z tego Czesi i Austriacy. I bardzo będą szczęśliwy, gdy obok wolnej Polski stanie wolna Czechosłowacja.

Polska przyjęła wyzwanie także w interesach Anglii i Francji – stała się orędowniczką ogólnie zagrożonych interesów i uciśnionych narodów.

Dlatego dziś nigdzie nie wolno pomniejszać znaczenia Polski we wszechświecie. Polska do aliansu z Aliantami wniosła największy kapitał – wniosła najdalej idące ofiary – krwi i mienia swego, Polska uratowała trutowany brutalnie honor Europy.

Ktoś musiał pierwszy stanąć do walki.

Stanęła Polska.

Nie z woli jednostek, nie z woli mojej lub rządu, lecz z woli całego narodu Polska chwyciła za broń.

Marszałek Piłsudski powiedział raz do mnie, że cierniową drogą Polska iść będzie do wielkości. I idzie. To co dziś przeżywamy, to nie koniec Polski, to tylko fragment naszych dziejów, nasz nowy etap.

Tego etapu wymaga od nas historia, która najsprawiedliwiej oceni wielkość Polski w tych epokowych dniach. Są to dni nie lamentu, lecz wielkiego tryumfu, który da wspaniałe wyniki. Przez lat dwadzieścia budowaliśmy w świecie godność Polski i dziś umiemy znosić niewolę w obronie polskiego honoru.

Przez lat 20 trzeba było wydzierać Polskę z jej *inferiority complexu*, w jakim po 125 latach się znalazła i dziś nie można Polski włączać ponownie w otchłań, spychać w dół, robiąc z niej dawnego kopciuszką na międzynarodowej arenie.

Nie pragnęliśmy wojny, rodacy; wojna jeszcze nie skończona. W wiekach poprzednich Prusacy kilkakrotnie byli w Paryżu, a jednak Francja ciągle jest.

Nie od dziś datuje się historia narodu polskiego. Niechaj nikt nie stara się być Kolumbem i niech nie odkrywa nowej Polski. Polski na nowo budować nie trzeba. Polska to już stara firma. My przychodzimy i odchodzimy, a Polska jest wieczna. Dzieje Polski nie zaczynają się ani ode mnie, ani od kogo innego. Nie kończą się też na mnie ani na nikim innym. Wiele Polska przeszła i wielu ludzi już nią rządziło i jeszcze więcej rządzić będzie. Zgoła nie twierdzę, że nowy rząd beze mnie nie da sobie rady. Na ręce nowego rządu przestałem wszystkie posiadane przeze mnie dokumenty państwowe (pogłoska o skradzeniu mi ich była czczym kłamstwem) i jeśli nowy rząd potrafi Polsce służyć lepiej – to daj mu Boże.

A Polacy niechaj nigdzie nie rozpaczają. Niechaj w górę dumnie wzniosą głowy, bośmy dokonali więcej niż ktokolwiek na całym świecie – uratowaliśmy honor Europy i nie daliśmy się bezbronnie. Wolność zaś, nagroda bohaterów, niedługo nam zaświta.

Tylko nie pomniejszać oskarżeniami własnymi znaczenia narodu i nie podkopywać wiary w moc naszego ducha”.

Dalej minister Beck powiedział mi, że niezrozumiałe dla niego było postępowanie Sowietów.

„Na cztery dni przed wtargnięciem czerwonej armii w granice Polski, przez dwie godziny rozmawiał ze mną w

Krzemieńcu sowiecki ambasador i zapewnił o jak najdalej idącej pomocy dla Polski w wojnie z Niemcami<sup>74</sup>. Dał wtedy wizy dla członków naszej misji handlowej, która też zaraz wyjechała do Rosji celem zakupienia większej ilości benzyny. Polski front się koncentrował i miała właśnie nastąpić walna rozprawa z Niemcami. Gdy w cztery dni później zjawiły się wojska sowieckie, oficerowie czerwonej armii mówili sami, że przyszli nam pomagać. Dopiero później dowiedziałem się, że w Moskwie mówiono w kołach rządowych, że «zgodzono się wtargnięcie do Polski, gdy przez 10 dni rząd polski nie dawał o sobie znaku życia». A rozmowa z ambasadorem?

Zrozumiałem wszystko później. Niemcy poświęciły swe interesy w Finlandii, Estonii, Łotwie i Litwie, sprzedały interesy państwa własnego celem pokonania polskiej armii.

Napadły na Polskę, gdy ta zaczęła mobilizację – odkładaną na wyraźne i kategoryczne życzenie Aliantów<sup>75</sup> – potem przekupiły Rosję i tylko tym sposobem pokonały Niemcy Polskę. Są to straty tak ciężkie, że sukces ten podkopał dalszy byt Niemiec.

Straty Niemiec w wojnie z Polską były tak wielkie, że na drugą podobną ofensywę Niemcy już pozwolić sobie nie mogą. Jeśli nie biją ani Anglii, ani Francji, to zasługa Polski. Jeśli mocarstwa te przekonały się, że do walki z Niemcami nie były gotowe i muszą się zbroić – to zasługa Polski. Jeśli świat uratowany zostanie przed zalewem nazizmu i komunizmu, to także zasługa Polski, która wielki wrzód po bohatersku przecięła i leczy chorą Europę, dając jej wreszcie pewność doczekania się zdrowego jutra.

Byliśmy narodem wielkim, jesteście nim, a będziemy jeszcze

---

74. Rozmowa odbyła się 11, a nie 13 września. Beck relacjonował jej treść pismem do marszałka Śmigłego-Rydza (który w tym dniu znajdował się w Kwaterze Głównej Naczelnego Dowództwa w Brześciu Litewskim), zob. *Polska polityka zagraniczna w latach 1926-1939*. Na podstawie tekstów min. Józefa Becka opracowała A. M. Cienciąła, Paryż 1990, s. 408-411 (aneksy).

75. Tajna mobilizacja polskich sił zbrojnych została zarządzona w nocy 23/24 sierpnia, mobilizacja powszechna – 30 sierpnia rano. Wskutek kategorycznej interwencji ambasadorów sojusznicznych Howarda Kennarda i Leona Noël'a została odwołana, a 31 sierpnia ogłoszona ponownie. Strata bezcennych godzin była niezmiernie dotkliwa zwłaszcza z punktu widzenia koncentracji polskiej armii. W historiografii zachodniej zagadnienie to z reguły naświetlane jest tendencyjnie lub zgola fałszywie.

większym – tylko trzeba naprzód iść, po męsku, godnie tradycji, jakie pozostawił nam największy nasz wychowawca narodu, Józef Piłsudski”.

Na tym skończyła się nasza rozmowa.

## Aneks II

### **Pismo byłego wiceministra komunikacji inżyniera Bobkowskiego do ambasadora Stanów Zjednoczonych<sup>76</sup>**

Copy

Ing. A. Bobkowski

Sous-Secrétaire d'État

au Ministère des Communications

Monsieur Antoine Drexel Biddle

Son Excellence Monsieur l'Ambassadeur

des États-Unis pour la Pologne à Londres

Excellence:

Mon Beau-père l'ancien Président de Pologne, Ignace Moscicki a reçu une lettre de Monsieur Eugène Kwiatkowski<sup>77</sup> ancien Ministre des Finances du 12.2.41 et du 24.2.41, où il décrit ses inquiétudes sur son sort et le sort des Ministres et Sous-Secrétaires d'État polonais, qui sont encore restés en Roumanie. Le gouvernement roumain menace de les livrer aux Allemands si ils essayent de s'enfuir; naturellement pour eux ce serait la mort. Ils restent sous un contrôle sévère et il est facile de leurs tendre des pièges. Dans cette situation périlleuse Monsieur Kwiatkowski demande à mon Beau-père de s'adresser à Vous, Excellence, qui êtes connu par tous les Polonais comme grand ami de la Pologne. Il m'est difficile d'indiquer les moyens pour délivrer ces personnes de si grande valeur. Mais mon Beau-père n'oubliera jamais l'aide apportée par les États Unis et spécialement par Monsieur le Ministre Franklin Mott Gunther à Bucarest, grâce à lui mon Beau-père a pu quitter la Roumanie pour la Suisse au mois de décembre en 1939.

Je m'adresse à Vous Excellence, au nom de mon Beau-père

---

76. Kopia listu (bez daty, z marca 1941 r.) przekazana do rąk ambasadora RP w Londynie Edwarda Raczyńskiego.

77. Eugeniusz Kwiatkowski (1888-1974), w latach 1935-1939 wicepremier i minister skarbu, internowany w Rumunii.

pour que Vous vouliez bien secourir également les ministres restés en Roumanie.

En même temps je me permets de m'adresser à Vous, Excellence à Bucarest à qui j'envoie la copie de cette lettre.

En Roumanie sont restés les Ministres: Joseph Beck, Eugène Kwiatkowski, Jules Ulrych<sup>78</sup>, Émile Kalinski<sup>79</sup>, Antoine Roman<sup>80</sup> et les Sous-Secrétaires: Argasinski<sup>81</sup>, Chelmonski<sup>82</sup>. Il sont pour la plupart avec leur famille. Joseph Beck avec Madame Beck habiterait un hôtel a Bucarest<sup>83</sup>, les autres jusqu'au 12 février habitaient Baile Herculane, hôtel Ferdinand. Antoine Roman habitait Brassof.

Recevez, Excellence, l'expression de mes hommages respectueux.

*A. Bobkowski*

### Aneks III

#### **Notatka podsektretarza stanu Wellesa z rozmowy z ambasadorem Litwinowem 5 X 1942 r.<sup>84</sup>**

The Soviet Ambassador<sup>85</sup> called to see me this afternoon. The Ambassador asked me if I had any information about the former Polish Foreign Minister, Colonel Beck. I said that I had

---

78. Juliusz Ulrych (1883-1959), płk, minister komunikacji 1936-1939, internowany w Rumunii.

79. Emil Kaliński (1890-1973), ppłk, inżynier elektryk, minister poczt i telegrafów 1933-1939, internowany w Rumunii.

80. Antoni Roman (1892-1951), poseł RP w Sztokholmie 1934-1936, minister przemysłu i handlu 1936-1939, internowany w Rumunii; zaprzyjaźniony z Beckiem.

81. Tadeusz Argasiński (1892-?), ppłk wojsk łączności, wiceminister poczt i telegrafów, internowany w Rumunii.

82. Adam Chełmoński (1890-1959), podsektretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości 1937-1939, internowany w Rumunii.

83. W tym czasie, głównie z powodu pewnej życzliwości ministra Gafencu, Beck korzystał z względnej swobody.

84. Welles przesyłając 6 X 1942 r. memorandum Rooseveltowi napisał: „In the course of a rather long conversation I had with Litvinov yesterday, he brought up of his own accord the subject of the former Polish Foreign Minister, Colonel Beck”.

85. Maksym Litwinow (1876-1951), po odwołaniu z urzędu ludowego komisarza spraw zagranicznych 2 V 1939 r. pozostawał poza służbą zagraniczną; w r. 1942 objął urząd ambasadora w Waszyngtonie.

not a word about him for at least six months. The Ambassador said I might then be interested to know that Colonel Beck was at present living in Bucharest in the former villa of Madame Lupescu<sup>86</sup> and that he had recently offered his services to both the German and Italian Governments to set up a Polish government subservient to Axis control, provided the Axis powers would agree to certain boundaries suggested by Colonel Beck. Mr. Litvinov continued that the Germans had turned this offer down but that the Italian Foreign Minister, Count Ciano<sup>87</sup>, had expressed the greatest interest in it and was apparently strongly supporting it. The Ambassador said that he was surprised that the Germans had not accepted the offer inasmuch as Colonel Beck had been the most useful servant the Germans had had prior to the outbreak of the war in 1939. He said that obviously he knew Beck well through his long association with him at Geneva and that he had always found him animated by the greatest detestation for Great Britain and France and completely subservient to the desires both of Nazi Germany and of Fascist Italy.

*S. W.*

---

86. Magda (Elena) Lupescu (1896?-1977), kochanka króla Rumunii Karola II, po abdykacji (od 1947 r.) żona.

87. Galeazzo Ciano, hrabia di Cortelazzo (1903-1944), minister spraw zagranicznych Włoch 1936-1942.

Andrzej DYJA

### ARTYŚCI POLSCY WE FRANCJI 1890-1918

W polskim powojennym piśmiennictwie poświęconym historii polskiej sztuki książka Ewy Bobrowskiej-Jakubowskiej *Artyści Polscy we Francji w latach 1890-1918*<sup>1</sup> zasługuje na szczególne wyróżnienie. Autorka zapoznając się z rozległą dokumentacją zgromadzoną w Bibliotece Polskiej w Paryżu w czasie gdy kierowała działem Kolekcji Artystycznej tejże instytucji, przekonała się, jak pisze w przedmowie do książki: „[...] jak mało jest znana sztuka polska we Francji. Niemal całkowita jej nieznajomość zaskoczyła mnie zwłaszcza wobec faktu, że pod koniec XIX wieku i na początku XX wieku odwiedziło Francję kilkuset polskich twórców. [...] działalność, jaką tam prowadzili nasi artyści, jest niewystarczająco lub niedokładnie znana w Polsce. W czasach komunizmu badania na temat twórców żyjących poza granicami kraju natrafiały – z powodów politycznych i ekonomicznych – na rozmaite trudności. Możliwości wyjazdów i dotarcia do źródeł zagranicznych były przez długi czas ograniczone”.

Książka powstała w ramach studiów na Uniwersytecie Paris I Panthéon-Sorbonne przy współpracy szerokiego kręgu francuskich i polskich pracowników instytucji naukowych i

---

1. E. Bobrowska-Jakubowska, *Artyści polscy we Francji w latach 1890-1918*. Wspólnoty i indywidualności, Warszawa, Wydawnictwo DiG, 2004, 284 s. + 19 s. ilustracji.



muzealnych, rodzin artystów, kolekcjonerów, miłośników sztuki, przyjaciół i rodziny autorki. Ich lista, wymieniona w przedmowie książki, jest imponująca, tak jak imponująca jest sama praca Ewy Bobrowskiej-Jakubowskiej. Bardzo cenne są pierwsze rozdziały omawiające życie artystyczne na ziemiach polskich pod koniec XIX wieku i podróże artystyczne Polaków. Autorka kreśli tragiczną sytuację polskich artystów na terenie trzech zaborów cytując dosadną opinię Stanisława Witkiewicza, który pisał w swej książce *Sztuka i krytyka u nas*, że dla artystów w tym okresie „[...] trzy były drogi do wyboru: albo zostać w kraju i ginąć pomalą, albo chodzić na obiady i dać się protegować – albo też wynieść się za granicę...”

Polscy artyści jeździli najpierw do Petersburga, potem Wiednia, Monachium i Berlina, a pod koniec XIX wieku do Paryża, uważanego wówczas za artystyczną stolicę świata. Tworzący w Paryżu Polacy byli bardzo ściśle powiązani z wieloma przednimi artystami francuskimi i europejskimi i wspólnie z nimi tworzyli współczesną sztukę XX wieku.

Za gigantyczny można uznać wysiłek autorki przyczyniający się do odkrycia rozlicznych źródeł omawiających działalność polskich twórców działających w Paryżu. Nie tylko zadowolili się kompilacją odnalezionych dokumentów i podaniem ich sygnatur, ale osobiście przeprowadziła wiele poszukiwań, ankiet, wywiadów, sporządziła fotografie, aby poznać w szczegółach życie artystów i stowarzyszeń w ramach których działali.

Autorka wydobyła z często zupełnego zapomnienia wielu dotąd mało znanych artystów i na stałe wprowadziła ich do historii polskiej i francuskiej sztuki. Należą do nich m.in. Bolesław Bażukiewicz, Bolesław Buyko, Jan Rubczak, Alfred Świejkowski, Bolesław Biegas, Józef Hecht, Karol Mondral, Ludwik Gros, Mela Muter, Anastazy Lepla. Biografiom najbardziej znanych – Józefa Pankiewicza i Olgi Boznańskiej – autorka poświęca dużo miejsca i znacznie je rozszerza.

Omawiany okres łączy się odzyskaniem w roku 1918 niepodległości przez Polskę. W książce nie brakuje omówienia roli, jaką odegrali polscy artyści (i ich stowarzyszenia) w tym ważnym momencie historycznym.

Książka jest i będzie w przyszłości cennym źródłem pomagającym do zrekonstruowania różnych obszarów polskiej sztuki,

które mogłyby z biegiem czasu ulec zapomnieniu. Będzie również cennym dokumentem do muzealnej rekonstrukcji zbiorów.

Książka została wydana przez wydawnictwo DiG – niestety jedynie w 500 egzemplarzach, jej pierwszy nakład został już wyczerpany. Należy się upominać w polskich instancjach zajmujących się kulturą o pomoc w następnym wydaniu – tym razem z rozszerzoną dokumentacją ikonograficzną i fotograficzną. Pożytecznym byłby również jej przekład na język francuski.

*Andrzej DYJA*

**A. Dyja (ur. w 1935 r. w Sosnowcu), absolwent Wydział Reżyserii PWSTiF w Łodzi (1957), od 1958 r. we Francji, gdzie studiował w IDHEC (1958-61) i na Sorbonie (Wydział Literatury i Cywilizacji Francuskiej). W r. 1969 podjął pracę nad organizacją Francuskiego Archiwum Filmowego w Bois d'Arcy, gdzie stworzył pierwsze we Francji i Europie laboratorium restauracji starych filmów.**

---

Mikołaj TYRCHAN

## PRZEGLĄD KRAJOWYCH PUBLIKACJI HISTORYCZNYCH

W ciągu ostatnich dwóch lat na krajowym rynku wydawniczym ukazało się sporo publikacji poświęconych najnowszej historii Polski, w tym również działalności powojennej emigracji politycznej. Wiele z nich nie doczekało się jeszcze poważniejszych omówień, warto więc zaprezentować krótko najciekawsze tytuły.

Staraniem Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego wydano zbiór wywiadów przeprowadzonych przez Hannę Marię Gizę z ludźmi Instytutu Literackiego – Jerzym Giedroyciem i jego bratem Henrykiem oraz Zofią Hertz (*Ostatnie lato w Maisons-Laffite*, Wrocław 2007). Szczegół-

nie cenna jest obszerna rozmowa z Redaktorem, przeprowadzona w sierpniu 2000 r. – krótko przed śmiercią, w której Jerzy Giedroyc obszernie opowiedział o swojej młodości, losach wojennych oraz kilkudziesięcioletnim okresie kierowania „Kulturą” i współtworzeniu jednego z najważniejszych emigracyjnych ośrodków życia kulturalno-politycznego.

Instytut Europy Środkowo-Wschodniej opublikował teksty poświęcone realizacji ideowego testamentu środowiska „Kultury”, będące rezultatem konferencji międzynarodowej zorganizowanej w grudniu 2006 r. (*Aktualność przestania paryskiej «Kultury» w dzisiejszej Europie. Zbiór studiów*, red. Łukasz Jasina, Jerzy Kłoczowski, Andrzej Gil, Lublin 2007). Głównym celem książki jest próba analizy międzynarodowej pozycji Polski i jej wschodnioeuropejskich sąsiadów, szczególnie w kontekście ich skomplikowanych stosunków z Niemcami i Rosją. Tematykę strategii emigracyjnej i polityki zachodniej „Kultury” oraz jej programu wschodniego omówili znani badacze i dawni współpracownicy Instytutu Literackiego, m.in. Bohdan Osadczuk, Adam Michnik, Piotr Wandycz, Rafał Habielski, Janusz Korek, Leopold Unger, Krzysztof Czyżewski, Bohdan Cywiński, Basil Kerski, Krzysztof Pomian, Andrzej Mencwel, Andrzej Paczkowski i Natalia Gorbaniewska. Zaprezentowane wypowiedzi siłą rzeczy nie mają ambicji wyczerpania tak obszernego tematu, wskazują jednak na aktualne interpretacje najistotniejszych w zasadzie wątków myśli geopolitycznej „Kultury”. Cennym uzupełnieniem tomu są ponadto materiały dotyczące polskiej polityki zagranicznej po 1989 r., autorstwa Bogumiły Berdychowskiej, Klausa Ziemera, Timothy’ego Snydera, Adama Rotfelda, Zdzisława Najdera oraz Stefana Wilkanowicza. Omawiana publikacja stanowi rzadkie połączenie wypowiedzi autobiograficznych, analiz historycznych, politologicznych czy kulturoznawczych. Bogactwo poruszonych wątków wskazuje niewątpliwie na dużą aktualność różnych koncepcji ideowych wypracowywanych na łamach pism redagowanych przez Giedroycia, chociaż wielu autorów skrytykowało zadziwiający brak zainteresowania niektórymi istotnymi ośrodkami opiniotwórczymi kwestią faktycznej realizacji politycznych projektów „Kultury”, zwłaszcza w zakresie problematyki wschodniej.

O roli „Kultury” w okresie października 1956 r. i jej

potencjalnym wpływie na częściową demokratyzację stosunków polityczno-społecznych w kraju pisze Leszek Szaruga w artykule zamieszczonym w innym tomie pokonferencyjnym *Drogi do wolności w kulturze Europy Środkowej i Wschodniej 1956-2006* (red. Bogusław Bakuła, Poznań 2007). Skupia się przy tym na mało opisanym do tej pory motywie antysemitycznym, który miał być wykorzystywany przez rządzących w rozgrywkach wewnątrzpartyjnych już w momencie dochodzenia Gomułki do władzy. Październik zradyzalizował w znaczny sposób krajowe środowiska młodej inteligencji lewicowej, z których wyłoniła się niebawem grupa rewizjonistów, stanowiąca w latach sześćdziesiątych jednego z najważniejszych adresatów politycznych projektów „Kultury” i jej głównego publicysty – Juliusza Mieroszewskiego.

Gwałtowną reakcją środowiska Instytutu Literackiego na propagandową kampanię antysemitką z Marca 1968 oraz stosunek „Kultury” wobec rzeczywistości społeczno-politycznej i gospodarczej Polski lat osiemdziesiątych omówiono natomiast w tekstach zamieszczonych w publikacji przygotowanej w Instytucie Politologii Uniwersytetu Wrocławskiego *Polska i Polacy poza granicami kraju w polskiej polityce i myśli politycznej XX wieku* (red. Małgorzata Alberska, Rafał Juchnowski, Wrocław 2006). W tomie tym zamieszczono też ważne teksty dotyczące dziejów polskiej emigracji politycznej po II wojnie światowej, analizujące m.in. poglądy ideowe Jana Emila Skińskiego, Stanisława Mikołajczyka i Wojciecha Wasiutyńskiego.

Polityce wschodniej „Kultury” oraz innych istotnych emigracyjnych ośrodków politycznych czy intelektualnych poświęcona została praca doktorska Tomasza Tokarza, napisana w Instytucie Historii Uniwersytetu Wrocławskiego (*Zagadnienie polsko-rosyjskie w publicystyce powojennej emigracji, 1945-1980*, Wrocław 2006). Autor dokonał interesującej analizy porównawczej licznych koncepcji rozwiązania „kwestii rosyjskiej” przedstawianych przez polityków i publicystów związanych m.in. z legalistycznym obozem londyńskich „niezłomnych”, środowiskiem narodowców oraz Instytutem Literackim. Tokarz wyodrębnił w swojej pracy kilka teoretycznych modeli ułożenia stosunków polsko-rosyjskich formułowanych na łamach piśmiennictwa emigracyjnego – opcję „prometejską” (dążącą do rozbitcia mocarstwowego monolitu ZSRR i utworzenia

federacji narodów Europy Środkowowschodniej), koncepcję współpracy Polski z silną Rosją czy nawet z komunistycznym kierownictwem Kremla oraz ideę Polski jako „pomostu” pomiędzy Zachodem a Rosją, inspirowanego demokratyczne przemiany w samym Związku Sowieckim i całym bloku wschodnim. Charakterystyczną cechą publicystyki „Kultury” było przy tym zdecydowane odejście od idei federacyjnych na rzecz wyraźnego opowiedzenia się za pełną niepodległością wschodnich sąsiadów Polski (koncepcja ULB).

Tematyce wschodniej poświęcone zostały w ostatnich latach również inne prace wybitnych znawców tej problematyki. Timothy Snyder (Yale University) wydał w 2006 r. obszerną monografię dotyczącą procesu kształtowania nowoczesnych idei narodowych na obszarze Europy Środkowowschodniej na przestrzeni ostatnich kilku wieków (*Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa i Białoruś 1569-1999*, Sejny). Snyder opisuje szczegółowo ewolucję pojęcia narodu w nowożytnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów (do 1795 r.), XIX-wiecznych mocarstwach zaborczych oraz niepodległej Polsce okresu dwudziestolecia międzywojennego. Skupia się następnie na tragicznych doświadczeniach II wojny światowej, negatywnym dziedzictwie komunizmu i próbach budowania nowej tożsamości wschodnioeuropejskiej po 1989 r.

Grupa naukowców z Interdyscyplinarnego Zespołu Badań Sowieologicznych Uniwersytetu Łódzkiego opublikowała z kolei cenne studia nad zagadnieniem interpretacji bolszewizmu w Rosji podejmowanej w polskiej myśli społeczno-politycznej, filozofii, literaturze naukowej i publicystyce (Marian Broda, Justyna Kurczak, Przemysław Waingertner, *Komunizm w Rosji i jego polskie interpretacje*, Łódź 2006). W książce zaprezentowano przy tym zarówno poglądy autorów uchodzących za „rusofilów” (Józef Mackiewicz, Roman Dmowski), jak i za „rusofobów” (Józef Piłsudski), zdecydowanych antykomunistów (takich jak Marian Zdziechowski), zdystansowanych krytyków sowieckiego totalitaryzmu (np. Stanisław Cat-Mackiewicz) oraz osób pozostających na gruncie światopoglądu marksistowskiego (Adam Ciołkosz, Leszek Kołakowski czy Andrzej Walicki). Jedną z charakterystycznych cech polskiego dyskursu sowieologicznego był spór o rozumienie istoty państwa sowieckiego – jako

kontynuacji autorytarnej tradycji carskiego imperializmu, bądź też jako autonomicznego tworu wynikającego z ponadnarodowej idei komunistycznej. Marian Broda uzupełnił powyższe rozważania dokonując próby objaśnienia oraz interpretacji komunizmu w samej Rosji, szczególnie w kontekście związków między rosyjską mentalnością i tradycją kulturowo-polityczną a zjawiskiem bolszewizmu mającym aspiracje uniwersalne.

Ważnym uzupełnieniem tych rozważań będzie z pewnością zbiór artykułów autorstwa Andrzeja Walickiego z lat 1998-2007, poświęconych m.in. „kwestii polskiej” w historycznej i współczesnej idei rosyjskiej oraz aktualnym problemom stosunków polsko-rosyjskich (*O inteligencji, liberalizmach i o Rosji*, Kraków 2007). Warto też sięgnąć po interesujące opracowanie naukowe lubelskiego historyka Mirosława Filipowicza dotyczące amerykańskich badań nad historią Rosji i Związku Sowieckiego prowadzonych w XX wieku m.in. przez licznych emigrantów rosyjskich (*Emigranci i jankesi. O amerykańskich historiach Rosji*, Lublin 2007).

Pozostając przy szeroko rozumianej problematyce emigracyjnej wskazać należy na monografię Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, autorstwa Jolanty Hajdasz (*Szczekaczka czyli Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa*, Poznań 2006). Praca jest próbą syntetycznego omówienia kilkudziesięcioletniej działalności tego ważnego ośrodka dziennikarstwa emigracyjnego – jego genezy, strategii i taktyki programowej, form pomocy udzielanej krajowej opozycji, polityki kadrowej, stosunku do władz komunistycznych. Odrębny rozdział poświęcony został zrekonstruowaniu negatywnego obrazu Rozgłośni w propagandzie PRL oraz w dokumentach i działaniach wybranych instytucji państwowych w Polsce. Jolanta Hajdasz omówiła też w swojej pracy wyniki badań dotyczących zasięgu faktycznego odbioru zakazanych audycji w kraju.

Paweł Machcewicz opublikował z kolei książkę omawiającą działania komunistycznego resortu bezpieczeństwa podejmowane przeciwko Radiu Wolna Europa (*«Monachijska menażeria»: walka z Radiem Wolna Europa 1950-1989*, Warszawa 2007). Machcewicz zrekonstruował m.in. kilkanaście konkretnych akcji tajnych służb, mających na celu pozyskanie współpracowników w gronie dziennikarzy rozgłośni. Autor oparł się na bogatych

materiałach archiwalnych Instytutu Pamięci Narodowej, zbiorach archiwów amerykańskich oraz wspomnieniach bezpośrednich świadków dawnych wydarzeń.

Odrębną grupę publikacji wartych odnotowania stanowią pozycje odnoszące się bezpośrednio do historii politycznej Polski powojennej oraz kreowanych w niej sporów ideowych. W cennej serii wydawniczej Ośrodka Myśli Politycznej opublikowano pracę Rafała Matyi *Państwowość PRL w polskiej refleksji politycznej lat 1956-1980* (Kraków-Nowy Sącz 2007), będącą próbą szerszej analizy powojennych koncepcji legalizmu państwowego oraz rekonstrukcji teorii tłumaczących istotę zewnętrznej zależności Polski Ludowej i charakter sprawowanej w niej władzy. Książka stanowi cenny wkład w dotychczasową dyskusję nad dziedzictwem okresu komunizmu w Polsce oraz nad teorią legitymizacji władzy państwowej w systemach autorytarnych. Matyja przedstawia szerokie spektrum poglądów na charakter państwa polskiego po 1945 r. – emigracyjne koncepcje „niezłomnego” legalizmu państwowego opartego na tradycji II Rzeczypospolitej, programy ewolucjonistyczne, opozycyjne postawy legalizmu akcentującego wartości narodowe i niepodległościowe, legalizm oparty na obronie praw człowieka (reprezentowany m.in. w środowisku Komitetu Obrony Robotników) oraz idee środowisk akceptujących w zasadzie legalność PRL – przedstawicieli „realizmu kolaboracyjnego”, neopozytywistów „Znaku” czy rewizjonistów. Dyskusje dotyczące zakresu suwerenności Polski, czy raczej stopnia jej zależności od ZSRR, oscyływały między stwierdzeniami o faktycznej okupacji sowieckiej a tezami kreującymi obraz PRL jako względnie autonomicznej części światowego systemu komunistycznego. Przy ocenie istniejącego systemu rządów akcentowano natomiast rolę partii sprawującej realną władzę (legitymizowanej formalnie przez pseudowybory do fasadowego Sejmu) oraz ewidentny prymat państwa w sferze ekonomicznej, utrudniający rozwój procesów liberalizacyjnych. Autor zakończył swoje rozważania na roku 1980, albowiem powstanie szerokiego społecznego ruchu „Solidarności” oznaczało konieczność przededefiniowania wielu dotychczasowych postaw zajmowanych wobec państwa, odbieranego w coraz większym stopniu jako niechciana konieczność geopolityczna narzucona Polakom wbrew ich woli. Krytyka istniejącego systemu

politycznego zastępowana była w związku z tym śmiałymi wizjami jego całkowitej destrukcji, mogącej doprowadzić do odzyskania upragnionej niepodległości.

Do politycznych sporów dotyczących idei komunizmu i ich faktycznej realizacji w Polsce nawiązuje też poznański historyk Grzegorz Kucharczyk w *Małej historii polskiej myśli politycznej* (Dębogóra 2007). Omawia on m.in. ewolucję koncepcji powojennej niezależnej lewicy demokratycznej (od „socjalizmu humanistycznego” poprzez rewizjonizm do afirmacji programu rozwoju autonomicznych ruchów społecznych), poglądy opozycyjnych środowisk niepodległościowych oraz różnorodne oblicze powojennej myśli katolickiej. W interesujący sposób przedstawia też wpływ dyskusji prowadzonych w okresie istnienia PRL (w tym również na emigracji) na rozwój polskiej sceny politycznej i głównych ośrodków intelektualnych w kraju już po 1989 r.

Najnowszej historii lat osiemdziesiątych poświęcone zostały m.in. prace naukowe Jana Sielezina (*Plaszczyzna konfrontacji politycznej między «Solidarnością» a władzą w latach 1980-1981*, Wrocław 2005) oraz Inki Słodkowskiej (*Spółczesność obywatelskie na tle historycznego przelomu. Polska 1980-1989*, Warszawa 2006). Tematem tym zajmowali się ponadto znani historycy związani z Instytutem Studiów Politycznych PAN – Andrzej Paczkowski opublikował w 2006 r. monografię stanu wojennego opartą na bogatej bazie archiwalnych materiałów źródłowych (*Wojna polsko-jaruzelska. Stan wojenny w Polsce, 13 XII 1981-22 VII 1983*, Warszawa), a Andrzej Friszke zredagował tom studiów analizujących fenomen funkcjonowania struktur solidarnościowego podziemia, przygotowanych przez grupę młodych badaczy m.in. z Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutu Historii PAN, Instytutu Historii Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Gdańskiego oraz Uniwersytetu Łódzkiego (*«Solidarność» podziemna 1981-1989*, Warszawa 2006).

Friszke wydał ponadto zbiór artykułów dotyczących dziejów opozycji politycznej i emigracji z okresu 1956-1980 (*Przystosowanie i opór. Studia z dziejów PRL*, Warszawa 2007). Na uwagę zasługują w nim zwłaszcza syntetyczne omówienia geopolitycznej myśli środowiska „Kultury”, problematyki niepodległościowej podnoszonej w krajowych dyskusjach opozycyjnych



oraz czynników determinujących kulturę polityczną w PRL (do których zaliczono m.in. tragiczne doświadczenia wojenne, istotne przesunięcia terytorialne Polski, brak suwerenności i postawę antypaństwową obywateli, silny etatyzm w życiu ekonomicznym, transformację klasowo-warstwową oraz tradycyjne przywiązanie Polaków do wartości niepodległościowych, liberalnych i religijnych). Andrzej Friszke jest również autorem opracowania prezentującego główne etapy rozwoju poszczególnych nurtów opozycyjnych w Polsce po 1945 r., zamieszczonego w pierwszym tomie obszernego *Słownika dysydentów*, wydanego przez Ośrodek KARTA (*Słownik dysydentów. Czołowe postacie ruchów opozycyjnych w krajach komunistycznych w latach 1956-1989*, Warszawa 2007). Publikacja ta jest rezultatem jedenastoletniej pracy badawczej środowisk naukowych z całej Europy Środkowowschodniej. W obu tomach wydawnictwa przedstawiono historię ruchu dysydenckiego każdego kraju dawnego bloku wschodniego (w tym większości republik związkowych ZSRR) oraz sylwetki czołowych postaci opozycyjnych, związanych z antysystemowymi ruchami politycznymi, intelektualnymi, narodowymi czy religijnymi. Ta ważna publikacja stanowić będzie niewątpliwie główną podstawę dalszych badań problematyki powojennej opozycji politycznej bloku wschodniego i jej wpływu na ostateczny demontaż systemu komunistycznego. Wielkim walorem pracy są bogate wykazy bibliograficzne, obejmujące wiele pozycji obcojęzycznych.

W analizie zjawiska powojennej ekspansji idei komunistycznych na obszarze Europy Środkowowschodniej pomocne będą też studia zamieszczone w tomie wydanym przez Ośrodek Myśli Politycznej – *Totalitaryzm a zachodnia tradycja* (red. Miłowit Kuniński, Kraków 2006). Fenomen władzy totalitarnej oraz wpływ tego doświadczenia na współczesne dyskusje ideowe i życie polityczne omówili m.in. Tomasz Merta, Ryszard Legutko, Roger Scruton, Zdzisław Krasnodębski oraz Bronisław Wildstein. Ich artykuły dały w efekcie wieloaspektowy opis totalitaryzmu jako destrukcyjnej ideologii, niebezpiecznego systemu politycznego oraz specyficznej mentalności. W pracy zaakcentowano problemy związane ze stworzeniem uniwersalnej teorii wyjaśniającej nie tylko funkcjonowanie ustroju sowieckiego, lecz również jego różnych wariantów w krajach bloku wschodniego.

Ostatnią grupą publikacji wartą omówienia są najnowsze pozycje wydawnicze dotyczące aktualnego stanu badań historycznych nad dziejami Polski po 1945 r. W interdyscyplinarnym tomie analizującym dorobek polskich nauk humanistycznych z okresu PRL-u przygotowanym przez Instytut Badań Literackich PAN – Rafał Stobiecki zaprezentował uwarunkowania rozwoju powojennych badań historyków krajowych, wskazując na różnorodne ograniczenia wynikające z narzucanej odgórnie metodologii marksistowskiej oraz cenzury (red. Urszula Jakubowska, Jerzy Myśliński, *Humanistyka polska w latach 1945-1990*, Warszawa 2006). Stobiecki wskazał przy tym na trzy tradycje rozumienia i uprawiania dziejopisarstwa – koncepcje tzw. indywidualistycznego historyzmu skupione głównie na badaniu historii politycznej, postawy akcentujące prymat badań z zakresu historii społeczno-gospodarczej oraz dominujący nurt marksistowski-rewizjonistyczny i ortodoksyjny. Korzystnie na tle historiografii krajowej wypadają emigracyjne środowiska naukowe, nawiązujące do tradycji przedwojennej oraz podkreślające znaczenie wartości narodowych i religijnych (ich omówienia dokonał z kolei Rafał Habielski w artykule *Humanistyka polska poza krajem*).

Badania Rafała Stobieckiego dotyczące dorobku powojennej historiografii polskiej zaowocowały dwoma interesującymi publikacjami zajmującymi się zarówno dokonaniem badacza emigracyjnych (*Klio na wygnaniu. Z dziejów polskiej historiografii na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii po 1945 r.*, Poznań 2005), jak i historyków krajowych (*Historiografia PRL. Ani dobra, ani mądra, ani piękna... ale skomplikowana. Studia i szkice*, Warszawa 2007). Pierwsza pozycja doczekała się omówienia w „Zeszytach Historycznych”. Również druga książka Stobieckiego powinna sprowokować dyskusję nad dokonaniem badacza krajowych, szczególnie w zakresie faktycznych wpływów stalinowskich wzorców metodologicznych i prób ich stopniowego przewyżczenia po 1956 r. Stobiecki zaprezentował w niej ponadto główne założenia debaty nad istotą PRL-u, prowadzonej po 1989 r. w najnowszej historiografii i publicystyce historycznej. Wskazał on przy tym na wyraźny związek pomiędzy oceną niedawnej przeszłości a systemami światopoglądowymi preferowanymi przez poszczególnych historyków.

Mikołaj TYRCHAN

## WSPOMNIENIA

Mieczysław BORNET

### WSPOMNIENIA Z BAZY LIKWIDACYJNEJ WP – ASZHABAD (SOWIETY) 1942 I MESZHED (PERSJA) 1942-1943

W czerwcu 1941 Niemcy zaatakowały Związek Sowiecki, który stał się nagle naszym sprzymierzeńcem. Rząd polski, wówczas w Londynie, zawarł z Sowietami traktat Sikorski-Majski (Majski był ambasadorem sowieckim w Londynie), mocą którego Sowiety wypuściły jeńców wojennych, deportowanych i łagierników, zaś rząd polski miał zorganizować armię polską dla współpracy z Armią Czerwoną w walce z Niemcami. Generał Władysław Anders został mianowany dowódcą. Ochotnicy do wojska zaczęli szybko napływać, tak że doszło do jakichś 100 000 żołnierzy. W zimie 1942 rząd sowiecki zażądał wysłania na front natychmiast jednej dywizji, która otrzymała od Sowietów sprzęt i broń. Gen. Anders nie zgodził się, bo uważał, że wojsko polskie powinno iść na front w całości. W rezultacie Stalin zgodził się, czy zażądał, by tworzące się polskie wojsko ewakuowało się z Sowietów. Porozumienie zawarto między rządami polskim i sowieckim, a również brytyjskim, pod którego organizację i pomoc mieliśmy wejść. Generał Anders uzyskał również zgodę Stalina na ewakuację rodzin wojskowych.

Ewakuacja odbyła się w dwóch rzutach: pierwsza w końcu marca, druga w końcu sierpnia 1942, obie z Krasnowodzka (portu nad morzem Kaspijskim), statkami na stronę perską. Po

pierwszej ewakuacji, gdy stało się jasne, że żołnierze wyjadą wszyscy, zdecydowano utworzyć dodatkowo Bazę Likwidacyjną dla żołnierzy (i członków rodzin) spóźnionych na drugą ewakuację. Bazę umieszczono w Aszhabadzie, stolicy sowieckiej Republiki Turkmeńskiej, na linii kolejowej z Taszkientu do Krasnowodzka, blisko granicy z Persją, dokąd szła z Aszhabadu szosa przez góry.

Dowódcą Bazy został mianowany płk Edward Perkowicz, który – o ile wiem – zajmował się poprzednio w dowództwie Armii weryfikacją oficerów zgłaszających się do naszego wojska w Sowietach. O jego przedwojennej karierze nie wiem nic. Dla nas żołnierzy Bazy był to starszy pan, bo dobrze po pięćdziesiątce.

Ja byłem wówczas sierżantem podchorążym łączności i zostałem przydzielony do Bazy w Aszhabadzie, żeby uruchomić radiostację dla łączności z dowództwem Armii w Jangi Julu koło Taszkientu. Pierwszym problemem było znalezienie (zdobycie?) dwóch słupów dla zmontowania anteny. Nasze specjalne anteny, oparte na doświadczeniach przedwojennych polskich radioamatorów, pozwalały na łączność na „fali odbitej” na kilkaset kilometrów – obiekt dumy nas łącznościowców. A używaliśmy sprzętu wojskowego sowieckiego RB (radio batalionowe) obliczonego na łączność jedynie na kilka, może kilkanaście kilometrów. Odległość do Jangi Julu i później do Teheranu (gdą dowództwo wyjechało z Sowietów) była z grubsza 700 km.

Baza miała dwa lokale – biuro w niewielkim budyneczku w środku miasta i większy budynek oraz wolny teren na przedmieściu, gdzie była radiostacja i gdzie mieszkali szeregowi z obsady Bazy, z nami radiotami włącznie. Oficerowie mieszkali w hotelu w centrum miasta. Oprócz Bazy był jeszcze w Aszhabadzie polski sierociniec, gdzie były dzieci, które jakoś tu przyjechały, ale nie były uprawnione do ewakuacji. Rosjanie wypuścili sierociniec za jakiś czas po wyjeździe Bazy.

We wrześniu 1942 Baza aszhabadzka była ogromnie czynna, bo przyjeżdżali nie tylko spóźnieni żołnierze i rodziny, ale przez Aszhabad, a nie przez Krasnowodzk, ewakuowało się dowództwo Armii z Jangi Julu – choć sam gen. Anders odleciał samolotem. Z powodu nawału pracy na radiostacji miałem mało kontaktu z samą ewakuacją. Baza miała kilka ciężarówek i przewoziliśmy

„klientów” przez góry do Meszhedu we wschodniej Persji, skąd jechali do Teheranu. Szosa po stronie sowieckiej była bardzo dobra, zbudowana zapewne dla celów strategicznych. Szosa przez góry po stronie perskiej była mniej wspaniała, typowo górską, ale wystarczającą. Z czasu tej masowej ewakuacji pamiętam zabawny epizod. Mianowicie wyjeżdżał Józef Czapski, malarz, który potem mieszkał w Paryżu i współpracował z „Kulturą”. Czapski był bardzo wysokiego wzrostu i nie już się zmieścić do szoferki, więc musiał leżeć z tyłu w ciężarówce, gdzie się potężnie wytrząśł.

Nastrój ogólnie był doskonały, gdyż wszyscy cieszyliśmy się z opuszczania sowieckiego „raju”. Ale była też smutna strona wydarzeń, bo przyjeżdżali dla ewakuacji ciężko chorzy żołnierze. Tych Baza umieszczała w miejscowym sowieckim szpitalu i wysyłała do Persji po wyzdrowieniu. Niestety, wielu zmarło i zostało pochowanych na cmentarzu w Aszhabadzie. Płk Perkowicz lubił efekty historyczne i zgromadził na cmentarzu oddziałek naszego wojska dla oddania honoru zmarłym. Pułkownik sam dowodził tym oddziałkiem, co wzbudziło uśmiechy, bo mógł być zlecić to któremuś z młodszych oficerów. Pułkownik kazał sporządzić i przybić na grobach metalowe tabliczki z nazwiskami zmarłych żołnierzy. Pomysł był doskonały, ale koniec smutny. Kiedy już byliśmy jakiś czas w Meszhedzie w Persji, to jeden z szoferów dla załatwiania czegoś przejechał na stronę sowiecką i będąc w Aszhabadzie poszedł na cmentarz. Tam stwierdził, że metalowe tabliczki zostały zerwane i ukradzione. Znając brak absolutnie wszystkiego w Sowietach nie dziwiliśmy się, że tak się stało, ale było nam bardzo przykro.

Niedobry wstrząs przeżyliśmy wcześniej we wrześniu, kiedy dołączyli do nas żołnierze z Bazy Ewakuacyjnej w Krasnowodsku, która została zlikwidowana. Otóż nie dołączył do nas płk Berling, dowódca Bazy krasnowodzkiej, bo został w Sowietach i później utworzył drugie polskie wojsko w ścisłej współpracy z Sowietami. Obawialiśmy się, że w tak zmienionej sytuacji władze sowieckie nie pozwolą nam wyjechać. Ale nic złego się nie stało i Baza nadal funkcjonowała normalnie. Najwyraźniej Rosjanie chcieli pozbyć się kłopotu z Polakami, a może też unikać konfliktu z władzami brytyjskimi, pod których opiekę wchodziliśmy po wyjeździe z Sowietów.

Gdy masa ewakuacji przewalała się w połowie września, a przyjeżdżali już tylko pojedynczy żołnierze (i rodziny), to miałem mało zajęcia w radiostacji i zacząłem zwiedzać miasto – sowieckie, ale ciekawe. Było nowe, najwyraźniej z czasów władzy sowieckiej, ulice szerokie, domki parterowe z wyjątkiem jednego dużego budynku w centrum, gdzie mieściły się biura lokalne oraz hotel. Przede wszystkim szukałem starego meczetu, jako że to niby kraj muzułmański, ale to nie Samarkanda, meczetu ani starego, ani nowego nie znalazłem. Zwiedziłem natomiast muzeum, gdzie spodziewałem się Historii, ale znalazłem tylko kolekcję pięknych lokalnych dywanów, niby to turkmeńskich, jednak według mojego gustu „perskich”.

Zacząłem też chodzić do teatru. W publicznym parku był ładny letni budynek teatralny, częściowo na otwartym powietrzu. Zobaczyłem tam jakąś operetkę Straussa, muzyka przyjemna, ale przedstawienie słabiotkie. W kinie ogrodowym szedł film *Aleksander Newski* zrobiony w 1938 roku przez Eisensteina, znanego reżysera filmowego rosyjskiego, o trzynastowiecznym konflikcie Moskwy z Krzyżakami (u nas zwanych Kawalerami Mieczowymi z siedzibą w Rydze). Film piękny, sceny batalistyczne wspaniałe. Dla mnie film miał specjalny urok, bo widziałem go już w łagrze! Pod koniec mojej łagiernej kariery władze przypomniały sobie o „kulturze” – było to już pewnie po wybuchu wojny z Niemcami, gdy reżym obozowy zelżał. Więc przyjechał do łagru aparat filmowy, tylko żeby już było w zgodzie z sowieckim bałaganem, nie przyjechał dźwięk i film miał napisy, jak za dawnych czasów niemego filmu. Naturalnie poszedłem na ten pokaz w łagrze, a potem w Aszhabadzie oglądałem z przyjemnością film po raz drugi, tym razem już z dźwiękiem. A we właściwym teatrze widziałem pokaz miejscowych tańców ludowych tzn. turkmeńskich. Piękne kolorowe stroje, ciekawa orientalna muzyka. Przedstawienie na poziomie, tylko za długie – w długiej przerwie dawano kolację dla ważnych gości, pewnie dostojników partyjnych; my, zwykła publiczność, musieliśmy czekać na głodno.

Najciekawszy wieczór to był kabaret ewakuowany z Leningradu – było to na początku bitwy o Stalingrad. Przedstawienie było dla wyższych oficerów sowieckich i polscy oficerowie byli zaproszeni. Ja przyjaźniłem się z por. Czesławem Kurowskim,

trochę starszym panem, inżynierem leśnictwa. Otóż Kurowski wziął mnie ze sobą na przedstawienie, no bo podchorąży miał towarzyskie przywileje oficerskie – Rosjanie nie protestowali. Publiczność to byli wyżsi oficerowie od majora w górę, ciekawe spotkanie dla młodzika, a dla Rosjan obcokrajowca. Sam kabaret niewiarygodnie słaby, trochę piosenek, trochę dowcipów, ale oczywiście jak najbardziej poprawnych i sowiecko-patriotycznych.

Jak bardzo rozmaici ludzie byli wówczas w Aszhabadzie, przekonałem się poszedłszy któregoś dnia do miejscowej *bani* (łaźni). No więc siedziałem sobie wygrzewając się przyjemnie i zacząłem rozmawiać z mężczyzną obok mnie. Okazało się, że był to Żyd rumuński, który uciekał przed Niemcami, aż zajęchał do Azji Środkowej. Nabrał widocznie zaufania do polskiego żołnierza – co prawda bez munduru – i opowiadał o swojej podróży na wschód. Utkwił mi w pamięci jego pobyt we wsi ukraińskiej, sowieckiej, nie na „Zachodniej Ukrainie”, czyli byłej polskiej. Mój znajomy był tam tuż przed wkroczeniem armii niemieckiej. Wieś była podeksytowana, zbudowano bramę triumfalną i przygotowano kwiaty, żeby powitać wybawicieli od komunizmu...

Innego dnia, jako że to było późne lato, poszedłem na basen popływać. Przy samym wejściu stał kontroler, który kazał opuścić spodenki i najwidoczniej sprawdzał klienta dla ewentualnej choroby wenerycznej. Nie wiem, czy ten interesujący proceder był ogólnie przyjęty w Sowietach, czy też był to wymysł aszhabadzki. Basen był bardzo duży. Zdziwiła mnie niespodziewana częściowa segregacja płci, mianowicie kobiety koncentrowały się w większości z jednej strony basenu, a mężczyźni w drugiej. Większość kobiet – na ogół młodych – nosiła dwuczęściowe kostiumy kąpielowe, co było według mody wprowadzanej względnie niedawno w Europie (naturalnie dla nas dzisiaj kostiumy te były bardzo skromne, to było jeszcze szereg lat przed bikini).

Poszedłem raz na spacer po przedmieściach Aszhabadu i ku mojemu zdumieniu zobaczyłem przedziałnię bawełny. Przed wojną byłem na studiach włókiennictwa w Anglii, więc zainteresowała mnie sowiecka fabryka. Niewiele myśląc zadzwoniłem z bramy do menadżera, przedstawiłem się jako polski żołnierz, a poza tym student włókiennictwa i poprosiłem o pozwolenie obejrzenia fabryki. Jak było do przewidzenia, menadżer

odmówił. Ale przegadałem go mówiąc, że odmawiać powinien u siebie w biurze. Zgodził się i jeden z robotników poprowadził mnie, a droga szła przez halę, gdzie były przędzarki. Maszyny były podobne do tych, które znałem z Anglii, ale nie było używanych na Zachodzie ssawek, które by odciągały włókno z atmosfery. W hali była więc chmura drobnych włókien, zabójcza dla płuc robotników. Nie wiem, czy to była sytuacja ogólna w przędzalniach bawełny w Sowietach, czy też była to specjalność aszhabadzka. Może po wojnie system pneumatyczny został wprowadzony, ale ówczesna sytuacja była dla mnie ciekawa. Rozmowa z menadżerem była uprzejma i zdawkowa, mam nadzieję, że nie miał potem kłopotów z powodu wizyty cudzoziemca. Po czasie wpadło mi, że powinienem był zwrócić się do sowieckiego oficera łącznikowego przy Bazie z prośbą o pozwolenie zwiedzenia fabryki – odpowiedź byłaby rzecz jasna negatywna albo nie byłoby żadnej.

Ponieważ Aszhabad był sporym miastem, więc poszukałem czytelnika i znalazłem partyjną. Było pusto, ale kierowniczką z lekko ironicznym uśmiechem pozwoliła mi przychodzić i czytać książki. Wybrałem *Upadek Paryża (Padnienie Paryża)* Erenburga, pisarza sowieckiego, który dużo przebywał na Zachodzie i napisał szereg (złośliwych) książek o świecie kapitalistycznym. Ostatnią w tym czasie książkę wydał w r. 1941, a więc w rok po wkroczeniu Niemców do Paryża. Niechęć Francuzów do walki z Niemcami przedstawiona była dobrze, ale fantazjował, że tylko komuniści francuscy chcieli walczyć. Jak się później dowiedziałem, komuniści do walki z Niemcami przystąpili dopiero po ataku niemieckim na Sowiety. Ale książka była interesująca i dobrze napisana.

Oryginalną częścią ekwipunku Bazy był osobowy samochód (Packard, dobra klasa wozów), który Polonia amerykańska w zrywie patriotyzmu przysłała dla gen. Andersa. Samochód przywędrował razem z dostawami dla wojska. Gen. Anders miał oczywiście inny transport i w czasie ewakuacji samochód został przysłany do naszej Bazy Likwidacyjnej. Płk Perkowicz jeździł nim przez przeszło pół roku i ostatecznie zajechał nim do Teheranu. Tam okazało się, że potrzeba części zapasowych, bo-dajże opon i istniejąca jeszcze Baza zwróciła się do brytyjskiej składnicy wojskowej w Teheranie. Przysłała odpowiedź odmow-



na, a formularz pokazano mi jako znającemu angielski. Napisane było tylko „NA” (*not available* czyli „nie mamy”). Na tym skończyła się kariera naszego Packarda. Mam nadzieję, że nie poszedł na złom, a trafił do cywilów Persów, którzy by opony na pewno jakoś skombinowali...

Po wyjeździe dowództwa Armii do Persji mieliśmy przez kilka tygodni łączność radiową z Teheranem. Pamiętam zabawny epizod, charakteryzujący po trosze naszego Pułkownika. Mianowicie zażądał on czegoś od dowództwa – nie pamiętam o co szło – i odpowiedź przyszła z dużym opóźnieniem. Starszy pan zirytował się i zadesperzował, że „nie potrzebuje musztardy po obiedzie”. Dowództwo z lekka zbeształo Pułkownika za nieodpowiednią formę, ale łagodnie – bądź co bądź pułkownik.

Po kilku tygodniach władze sowieckie kazały zaprzestać łączności radiowej z Teheranem, sprzęt radiowy zdać, a polegać na zwykłej poczcie i telegrafii. Pułkownik dał mi wtedy inne zajęcie. Mianowicie do dowództwa Armii przychodziły listy od zesłańców Polaków, głównie z Kazachstanu, w których ludzie błagali o włączenie do ewakuacji albo o inną pomoc. Listy te dowództwo przekazało do naszej Bazy i Pułkownik dał mi je do załatwiania. Był to spory pakiet co najmniej setki listów.

W odpowiedzi na listy Pułkownik kazał wysyłać depezę brzmiącą (po rosyjsku) „Ewakuacja zakończona, zwracacie się do Ambasady”. Uważałem już wtedy, że można było ułożyć jakiś życzliwszy tekst, ale nie miałem na to wpływu i telegramy wysyłałem. Ważniejsze było, że mieliśmy możliwość dawania jakiej takiej pomocy, bo mieliśmy – nie wiem dlaczego – kredyt coś koło 100 000 rubli, jakoby część jakiegoś sowieckiego odszkodowania dla wywiezionych Polaków. Czytałem więc te rozpaczliwe listy i ułożyłem sobie taryfę pomocy – tyle rubli dla rodziców, tyle dla każdego dziecka. Pieniądze przekazywaliśmy zwykłą pocztą, a urzędnicze na poczcie to się podobało, bo dostawała podobno stachanowską premię od wysyłanej sumy.

Pracy z tym było mnóstwo, dostałem więc do pomocy trochę starszą dziewczynkę z sierocińca, rozwiniętą i inteligentną. Przyjechała do Aszhabadu sama, rodzina została w Kazachstanie. Pośleliśmy im naturalnie pomoc trochę ponad mojej „taryfy”. Dziewczynka miała lat może 14, ja nie tak dużo więcej, więc zabawne jest dzisiaj wspominać, że według przedwojennych

polskich zwyczajów byliśmy, a jakże, na „pan i pani”. Pomoc jej w załatwianiu listów była ogromna. Imienia jej i nazwiska nie pamiętam, o dalszych losach nic nie wiem, musiała z sierocińcem wyjechać do Persji już po naszej ewakuacji. Dzisiaj to już starsza pani. Jeśliby jakimś trafem słowa te trafiły do ciebie, to pragnę gorąco po tylu latach podziękować ci w moim imieniu za współpracę, a w imieniu Polaków, do których pisaliśmy, za okazaną im pomoc.

Mam do dziś żal do Pułkownika, że dał mi te listy późno, tak że do wyjazdu do Persji zdążyłem załatwić może tylko jedną trzecią. A wydaje mi się, że była to w ogóle moja najbardziej przyteczna czynność podczas pobytu w Sowietach. A nie załatwione listy oddałem w dowództwie Bazy, gdy wyjeżdżaliśmy do Persji. Chciałbym wierzyć, że nie zostały ostatecznie wyrzucone, a trafiły do jakiejś polskiej czy polonijnej organizacji, jako świadectwo losu wywożonych Polaków.

Szosa przez góry szły do Aszhabadu wojenne dostawy alianckie dla Sowietów. Pewna część tych transportów przeznaczona była dla Polaków – to dla biur pod administracją Ambasady (której podlegał aszhabadzki sierociniec) i trochę dla naszej Bazy. Dostawaliśmy indywidualnie różne konserwy, ja dostałem o ile pamiętam trzykilową (a może trzyfuntową) puszkę tłuszczu. Jedzenia nam nie brakowało, więc koledzy szoferzy sprzedali mi tę puszkę na czarnym rynku i miałem mnóstwo pieniędzy. (Czytelniku XXI wieku, nie gorsz się zbytnio, takie były czasy i nic tej niby to nielegalnej sprzedaży nie żałuję). Za zdobytą forszę kupowaliśmy owoce, których w Aszhabadzie nie brakowało, ale zostawało sporo pieniędzy, za które nie było co kupić. Któregoś dnia wybrałem się więc na bazar, gdzie ludzie sprzedawali co mogli, po prostu żeby przeżyć. My w polskim wojsku żyliśmy skromnie, ale dobrze, i bolesne było zetknąć się znowu z sowiecką nędzą. Jakaś kobiecina sprzedała mi mały woltomierz. Zażądała, co dla niej pewnie było wysoką ceną, dobrze ponad 500 rubli. Zapłaciłem bez targowania – powinienem był dać jej więcej – uśmiechnęła się, pochwaliła, że dzielny wojak. Woltomierz służył mi przez szereg lat.

Mając sporo luźnych pieniędzy zaczynaliśmy myśleć o przekazaniu ich na Zachód, bo ruble po perskiej stronie nic nie były warte. Jeden z szoferów znalazł gdzieś i kupił parę złotych

rubli, a my inni kupowaliśmy aparaty fotograficzne FED, imitację Leica, podobno wyrabiane w łagrze dla młodocianych, gdzieś na Ukrainie. Był to jedyny cenny towar, który można było znaleźć w na ogół pustych sklepach. (Ta mentalność zabezpieczania sobie przyszłości zakwitła potem w 2 Korpusie. Po bitwie pod Monte Cassino zaczęliśmy jeździć na urlopy do Egiptu i tam kupowaliśmy „kasztany” – złote funty – które sprzedawało się we Włoszech po czterokrotnej cenie).

Problemem było przewiezienie FED-ów do Persji, bo indywidualny eksport z Sowietów był zakazany. Przygotowując się do wyjazdu Baza zorganizowała pomieszczenie w Meszhedzie i jeden z szoferów, który jechał na stronę perską, bez problemu zawiózł mojego FED-a do Meszhedu. Ale żeby było zabawniej, to inni szoferzy zupełnie niepotrzebnie zaczęli kombinować, jakby to aparaty przemycać przez granicę, gdy będziemy ostatecznie wyjeżdżać. Kilka aparatów umieścili w oponie zapasowego koła. Rzecz była niby robiona w tajemnicy, ale na pewno byliśmy pod obserwacją NKWD i Rosjanie doskonale o naszych planach wiedzieli.

Ostatecznie zapóźnieni przestali przyjeżdżać i Baza wyjechała do Persji bodajże 23 listopada 1942 jako ostatni żołnierze polskiego wojska. Na granicy przechodziliśmy rewizję bagażu – mnie zabrano książkę wypożyczoną z publicznej biblioteki, którą „zapomniałem” oddać, ale nie zabrano mi atlasu Związku Sowieckiego, który mam do dzisiaj. Co gorzej, sowieccy żołnierze zażądali otworzenia zapasowego koła, najwyraźniej znając naszą niby tajemnicę. Padł na nas strach; siedziałem w którejś szoferce i widziałem się już w sowieckim więzieniu. Jako element humoru pamiętam, że niecierpliwie zaczął się nasz lekarz obozowy, por. dr Szancer, który o niczym nie wiedział. Nie powiedziano mu nie dlatego że oficer, ani dlatego że Żyd, tylko dlatego że gaduła. Oficerowie już odjechali na stronę perską, a Szancer jakoś został z nami, chodził i gderał, dlaczego nie jedziemy. Uspokoił go dopiero nasz szef, starszy sierżant Szymakowski, spryciarz nad spryciarze, tłumacząc, że robimy co się da. Szofer, który miał otwierać koło zapasowe, jakoś się przeciągał. Więc Szymakowski zaczął na niego krzyczeć, dlaczego się tak guzdrze, a równocześnie odwrócił uwagę *bojca* (żołnierza) i szybkoitko wymienił koło na inne. W tym innym

kole nic naturalnie nie było, rewizja była skończona i ruszyliśmy do Persji. Zgodnie z obietnicą, którą dałem sobie jeszcze w łagrze, gdy tylko zatrzymaliśmy się po perskiej stronie, ukląknęłam i ucałowałam ziemię, nie polską co prawda, ale już nie sowiecką...

W Meszhedzie Baza miała zostać tylko parę dni, a potem dołączyć do ogółu wojska w Teheranie, względnie w Iraku. Pułkownik ciągle nas zwodził, że lada dzień wyjedziemy, a z drugiej strony tłumaczył, że czekamy na Trzecią Ewakuację, podczas której przydamy się będąc blisko granicy sowieckiej. O żadnej dalszej ewakuacji z Sowietów mowy oczywiście nie było, a Pułkownikowi zależało po trochu na dowodzeniu osobnym oddziałem, bo z powodu wieku nie mógł liczyć na normalny przydział. Problem był atoli w tym, że Baza zostawała we wschodniej Persji nielegalnie, bez rozkazu Armii. Po paru tygodniach Pułkownik wysłał więc do Teheranu swojego zastępcę, kapitana, który zajmował się sprawami gospodarczymi, żeby nasz wydzielony pobyt zalegalizować. Dowództwo Armii zgodziło się na nasz osobny byt, ale nie dawało funduszy, tak że Baza musiała sama zarabiać na życie. Włączyliśmy wtedy naszych szoferów do płynącej do Sowietów pomocy *lend-lease* i nasze ciężarówki woziły do sowieckiej granicy aliancki towar wraz z wynajętymi ciężarówkami perskimi. Któregoś razu szoferzy zabrali mnie na tę przejażdżkę i mogłem podziwiać zręczność naszego sierżanta Szymakowskiego. W połowie drogi powstało zatarasowanie perskimi ciężarówkami. Szymakowski tak tych Persów przegadał i usunął na bok szosy, że mogliśmy przejechać.

Z początkiem wojny Persja wykazała dużą sympatię i chęć pomocy dla Niemiec. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Wielka Brytania porozumiała się z Sowietami i zorganizowano wspólną okupację Persji. W zachodniej Persji stacjonowało wojsko brytyjskie, a we wschodniej Persji sowieckie; w Teheranie byli Anglicy, a w Meszhedzie Rosjanie. Okupanci nie wtrącali się do normalnego perskiego życia, a w Meszhedzie żołnierzy sowieckich w ogóle nie było widać. Raz tylko spotkałem na głównej ulicy pułkownika Czerwonej Armii, zamieniliśmy parę uprzejmych słów; pamiętam, że powiedział – nie wiem dlaczego – „no cóż, uczyli nas, teraz i dywizją potrafilibyśmy dowodzić”.

Meszhed był sporym miastem, oceniam ludność na kilkaset

tysięcy. Miasto mało ciekawe, ale na nas przybyłych z Sowietów wrażenie robiły sklepy na głównej ulicy, takie sobie normalne sklepy świata kapitalistycznego, nawet w biednej Persji czasu wojny. Ale Meszhed miał swoją sensację – meczet – będący jednym z głównych szyickich meczetów. Był tam grób imama Rezy, powiedzmy proroka szyickiego. Meczet był duży, zewnętrzna architektura podobna do innych meczetów w Persji czy w krajach arabskich, tj. dziedzińce, sadzawka itp. Kilka razy pozwolono nam niewiernym obejrzeć wnętrze meczetu, a było nadzwyczajne. Kandelabry i inne ozdoby ze szkła wyglądały jak bajka, gdy zaświeciło się światło. Jednego wieczoru wybrałem się na spacer z por. Kurowskim i zaszliśmy na dziedzińczyk w obrębie meczetu, naokoło którego biegła galerijka. Stanęliśmy sobie, a z drugiej stał najwidoczniej ktoś z administracji meczetu. Było za daleko, żeby rozmawiać, pomachaliśmy sobie przyjaźnie, a po dłuższej chwili zjawił się służący meczetu z tacą i na niej dwiema filiżaneczkami czarnej kawy. Przyjemnie jest dzisiaj wspominać te życzliwe czasy.

Z zarobionych pieniędzy Baza zorganizowała nam życie, ale żołądu nie dostawaliśmy, chyba że dla wyjątkowych powodów. Musiałem pójść do dentysty i dostałem na to pieniądze jako zaliczkę żołądu. Po paru tygodniach nabawiłem się szkarlatyny, na szczęście lekkiej, i Baza zapłaciła za pobyt w szpitalu. Przychodzili mnie odwiedzać miejscowi Ormianie i przynosili mi klasyczne rosyjskie książki, które mieli w domu od lat. Musiałem wciągać się do przedrewolucyjnej rosyjskiej ortografii. Ormianie byli prawosławni i gdy wyszedłem ze szpitala, wzięli mnie raz na ormiańskie nabożeństwo, ciekawe, ale tak długie, że trudno było wytrzymać. A innym razem ormiańska rodzina zaprosiła szeregowych z Bazy na przyjęcie wieczorem. Naokoło pokoju biegła ławeczka, na której siedzieliśmy my goście, a także członkowie rodziny – dziewczęta skromnie osobno. Poczęstunek miał porządek odwrotny do naszego, bo zaczęło się od słodyczy, a potem dopiero przyszło mięso.

To był jedyny mój kontakt z miejscową ludnością, natomiast utrzymywaliśmy przyjazne stosunki z polskim sierocińcem, gdzie były dzieci ewakuowane z Sowietów. Mieliśmy też poprawny kontakt z miejscowym konsulem brytyjskim, którego poparcie w stosunkach z miejscowymi władzami

sowieckimi niewątpliwie było korzystne. Oprócz służbowych mieliśmy też stosunki towarzyskie, raz zostałem zaproszony na *afternoon tea* do domu jednego z urzędników konsulatu i zawarłem znajomość z bardzo angielskimi *scones*. Był też romans i jedna z pań pracujących w sierocińcu wyszła za mąż za pana Hadow, urzędnika konsulatu – jej pańskiego nazwiska nie pamiętam. Niestety małżeństwo nie było szczęśliwe i po wojnie się rozleciało. Ale na razie w Meszhedzie wspominano niezbyt mądrze panią Walewską.

Po jakimś czasie Pułkownik zdecydował, że musimy odnowić przysięgę żołnierską. Ja osobiście nie widziałem potrzeby, bo uważałem, że przedwojenna przysięga w podchorążówce wystarcza na całe życie. Ale nikt nie oponował i Pułkownik sam poprowadził ładną ceremonię przysięgi, po czym kuchnia przygotowała lepszy obiad.

Pułkownik miał duże zamiłowania historyczne i zorientowany się, że ja też byłem historią zainteresowany, wyłuszczył mi swój pogląd na narody w środkowej i wschodniej Europie w czasach starożytnych. Otóż były tam wówczas dwa plemiona, Sarmaci i Scytowie. Sarmaci zamieszkiwali z grubsza na terytorium obecnej Polski, natomiast Scytowie żyli w obecnej południowej Rosji i Ukrainie. Po pewnym czasie, chyba na długo przed „wędrówką ludów”, Scytowie ruszyli na zachód, przeszli przez terytorium Sarmatów, a potem zaczęli przeć z powrotem na wschód, by wyprzeć Sarmatów. Oczywiście Polacy to są byli Sarmaci, a Niemcy to byli Scytowie. Już wtedy miałem wątpliwości, czy to widzenie przeszłości zgadza się z naukowymi badaniami. Ale przyjemnie było usłyszeć historyczne uzasadnienie, w jakim kraju od dawien dawna zamieszkują Polacy i jak starą tradycję mają walki polsko-niemieckie.

Niedaleko Meszhedu było muzeum, a może grób – nie pamiętam – Firdusiego, wielkiego poety perskiego, który żył około roku 1000. Jego *Księga Królów* jest eposem literatury perskiej. Wybraliśmy się naturalnie obejrzeć to muzeum i Pułkownik orzekł, że musimy zostawić tam ślad po Polakach. Przygotowaliśmy więc tabliczkę z napisem polskim i angielskim – perskiego nie zaliśmy – że ...żołnierze polscy w drodze do ojczyzny... na gościnnej ziemi perskiej... oddajemy hołd wielkiemu poecie... Pojechalismy drugi raz, tabliczka była wdzięcznie

przyjęta; ciekawe, czy dzisiaj po latach jeszcze tam jest.

Zyliśmy więc przyjemnie w Meszhedzie i kto wie, jak długo by to jeszcze trwało, gdyby nie odkrycie grobów katyńskich przez Niemców. Rząd polski zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o zbadanie sprawy i wówczas Sowiety, świadome swojej odpowiedzialności, zerwały stosunki dyplomatyczne z Polską. Pułkownik uznał wtedy, że nie możemy dłużej pozostawać w kraju pod okupacją sowiecką i zdecydował wyjazd Bazy do Teheranu. Miejscowe władze sowieckie zgodziły się na nasz wyjazd – może pomógł w tym konsulaty brytyjski – i ruszyliśmy do Teheranu. W Meszhedzie pozostał jeszcze polski sierociniec, do którego dołączył niedługo sierociniec aszhabadzki, któremu Rosjanie również pozwolili wyjechać. Dzieci potem rozesłano po krajach brytyjskich, najwięcej do Palestyny i Afryki, ale także do Indii i Nowej Zelandii.

Podróż do Teheranu trwała trzy dni. W nocy oczywiście spaliśmy na otwartym powietrzu. Pod głowę podchodziły szakale; hałasowały, ale nic nam złego nie robiły. Podczas ostatniego postoju Pułkownik zarządził zbiórkę i uroczyście awansował jednego ze starszych szeregowców na kaprała. Wspomniał, że jako dowódca wydzielonego oddziału ma pewne uprawnienia dowódcy dywizji łącznie z daniem awansów. O ile wiem, ówczesny awans został uznany przez dowództwo 2 Korpusu.

W Teheranie zostaliśmy może dwa tygodnie, a potem, jeszcze jako Baza, ruszyliśmy do Iraku, gdzie organizował się 2 Korpus. Po drodze Pułkownik kazał zatrzymać się w historycznym miejscu, mianowicie jakichś 5 metrów nad szosą był wyryty wizerunek perskich wojowników oraz napisy. Tablica była sławna, napisy podobno pomagały w odczytaniu starego pisma, a poznałem, że była to ilustracja w moim gimnazjalnym podręczniku historii. Tablicę kazał wyryć Dariusz Wielki, twórca Persji jako największego w owym czasie imperium. (W r. 490 przed narodzeniem Chrystusa to Dariusz zorganizował pierwszą wyprawę na małą Grecję, która skończyła się zwycięstwem greckim pod Maratonem). Jako zakopiańczyk oczywiście nie mogłem wytrzymać i, ku uciesze kolegów z Pułkownikiem włącznie, wspiąłem się po skałkach do tablicy i dotknąłem ręką Historii Starożytnej.

W Iraku istnienie Bazy się skończyło. Pułkownik dostał

ciężarówkę i zabrał mnie do przejechania do Qizil Ribatu, gdzie było dowództwo Korpusu, a także oddział łączności, do którego dostałem przydział. Otóż Pułkownik wybrał się w drogę w dzień podczas upalnego lata. Po drodze wstąpiliśmy do brytyjskiego oddziału po benzynę. Młody oficer Anglik benzynę dał, ale najwyraźniej był zdumiony taką jazdą w upalny dzień i to jeszcze w niedzielę – wbrew brytyjskim obyczajom w krajach tropikalnych. Nic nie powiedział, widocznie uznał, że Pułkownik musiał mieć coś bardzo pilnego do załatwienia. Pułkownika zobaczyłem jeszcze raz będąc na przepustce w Bagdadzie, gdzie mieszkał w hotelu. Wybierał się zwiedzać ruiny starożytnego Babilonu niedaleko Bagdadu i mam do niego żal, że mnie nie zawiadomił i nie zabrał ze sobą. Babilonu już nie zobaczyłem, Pułkownika więcej nie spotkałem, ale będąc w Palestynie spotkałem p. Irenę Trochimowską, która była sekretarką w Bazie. Pani Irena była od nas dużo starsza, przed wojną była urzędniczką Ambasady Polskiej w Ankarze i tam nauczyła się języka tureckiego. Przydawało się to w Iranie, gdzie najczęściej rozmawialiśmy po rosyjsku, ale spotykali się też starsi ludzie znający turecki. W Bazie byliśmy wszyscy bardzo zżyci i Pani Irena powiedziała mi, że widuje Pułkownika i że licząc na naszą lojalność chce on z nas zrobić oddział do zrzutu do okupowanej Polski. Rzecz była najzupełniej nierealna, oczywiście odmówiłem, może zbyt ostro, uważając mój przydział łącznościowy za najbardziej odpowiedni. Panią Irenę spotkałem jeszcze raz będąc na przepustce w Rzymie, gdzie urządziła się na jakiś czas. Siedzieliśmy w parczku niedaleko Schodów Hiszpańskich i wspominaliśmy czasy meszhedzkie. Pani Irena powiedziała mi, że w Rzymie jest płacyk czy pomnik Firdusiego. Była godzina 6-ta i rozdzwoniły się dzwony Wiecznego Miasta. Było pięknie. Pani Irenej więcej nie spotkałem, słyszałem tylko, że w Anglii pracowała w BBC, zapewne w sekcji polskiego radia.

Po przyjeździe do Anglii Pułkownik zrobił ostatnią demonstrację, mianowicie jako punkt honoru odmówił wstąpienia do Polskiego Korpusu Przynależenia i Rozmieszczenia (PKPR, Polish Resettlement Corps – PRC), który Anglicy zorganizowali dla okresu przejściowego przed demobilizacją polskich żołnierzy. Formalnie PKPR był częścią armii brytyjskiej, bo po zakończeniu wojny Anglicy nie uznawali więcej polskiego rządu



w Londynie. Pewna ilość naszych żołnierzy, nie wiem ilu, może setka, odmówiła wstąpienia do tej niby to brytyjskiej armii, bo składali wojskową przysięgę na wierność Polsce. Anglicy nie zgodzili się na demobilizację bez PKPR. „Opornych” (jeżeli nie wstąpili się do PKPR) oraz tych, którzy nie zgłosili się na powrót to Polski wywieźli do brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Płk Perkowicz był najstarszy rangą i zapewne wiekiem wśród Opornych. Zażądał wysłania go do Brazylii, gdzie – niepoprawny romantyk – miał nadzieję na dobre życie wśród Polaków w Kurytybie. Już mieszkając w Kanadzie, może we wczesnych latach sześćdziesiątych, dostałem skądś adres Pułkownika i napisałem do niego serdeczny list prosząc o wiadomości. Odpowiedź starego człowieka była rozpacзлиwa, list zresztą podyktował pewnie pani, u której mieszkał, bo pisać już nie mógł. (List Pułkownika niestety mi zginął). Żył w nędzy, prosił o pomoc w dostaniu się do Stanów, gdzie podobno były pensje starcze. Wstyd mi, ale nie odpisałem, bo cóż mogłem powiedzieć o emigracji do USA. Przypuszczam, że niedługo później zmarł. A mógł być, gdyby się nie uniósł honorem, dokonać życia w Anglii we względnym dobrobycie, tak jak inni starsi polscy oficerowie. Pozostał mi po nim uśmiech i szacunek.



I jeszcze parę słów o losie innych przyjaciół z Bazy. Najgorzej wyszedł mój serdeczny kolega por. Czesław Kurowski. Po przyjeździe do Teheranu został przeniesiony do Drugiej Grupy oficerów, dla których nie było przydziału. Byli na pół-emeryturze, mieli zmniejszony żołd, ale mogli mieszkać prywatnie i dorabiać sobie. Najwięcej z nich mieszkało w Palestynie i w Libanie. Kurowski zamieszkał w zonie Kanału Sueskiego i pracował jako wartownik w którymś z oddziałów brytyjskich. Będąc na urlopie w Egipcie odwiedziłem go dwa razy; życie tam było niezłe. W PKPR prosił jako inżynier leśnik o jakąkolwiek posesję w leśnictwie. Odmówiono i posłano go do kopalni węgla, gdzie brakowało wówczas siły roboczej. Nie wiem, czy zjechał kiedykolwiek pod ziemię, zgłosił się na powrót do Polski i tam wkrótce zmarł.

Średnio wyszedł por. Józef Czerechowicz, który był komen-

dantem oddziału w Bazie w Aszhabadzie. Był to przystojny mężczyzna i złośliwi mówili, że kobiety na niego leciały, żeby je wpisać na listę ewakuacyjną, na co on nie miał żadnego wpływu. We Włoszech ożenił się z siostrą z polskiego szpitala wojskowego. Wyemigrowali do Kanady, najpierw mieszkali w Toronto, potem w rejonie Niagary. Pracował w Ontario Hydro, prowincjonalnej firmie produkującej i rozprowadzającej elektryczność i powodziło im się nieźle. Odwiedziliśmy ich kilkakrotnie, byłem na jego pogrzebie.

Największą karierę zrobił por. dr Henryk Szancer, lekarz Bazy. Po PKPR wyjechał do Stanów i dostał posadę lekarza w szpitalu dla niepełnosprawnych na Staten Island, dzielnicy Nowego Jorku. Pracując naukowo w Toronto jeździłem często do Nowego Jorku i odwiedzałem Szancera. Zaprzyjaźniliśmy się i jestem mu ogromnie wdzięczny za ważną poradę lekarską, której mi udzielił. Po szeregu latych został mianowany – a to nie bagatela – naczelnym lekarzem tego olbrzymiego szpitala; niestety po paru latach zmarł na serce.

A ja? Jestem dozgonnie wdzięczny Pułkownikowi, że przetrzymał nas tak długo w Meszhedzie, bo tam w sierocińcu poznałem moją przyszlą, i obecną, żonę. A potem był to normalny los Polaków, którzy wyjechali z Sowietów do Persji. A więc kampania 2 Korpusu z przydziałem do Dowództwa Łączności Korpusu, potem politechnika w Manchesterze. A narzeczona była najpierw w Szkole Młodszych Ochotniczek (SMO) w Nazarecie, a następnie na studiach w Bejrucie. Wreszcie ślub, dyplom inżyniera i wyjazd do Kanady, gdzie zadomowiliśmy się od przeszło pół wieku. Naszą Bazę wspominamy z przyjemnością i wzruszeniem.

Toronto, luty 2008

*Mieczysław BORNET*

«DROGA DO...» – WSPOMNIENIA 1939-1942

(II)

*Mascara*

Z ciasnego, czy, by lepiej je określić, z wąskiego Carnot przeniesiono nas do o wiele szerszego światka miejscowości Mascara. Oczywiście nie w nagrodę za moją ucieczkę z Anglikami i nie na łono francuskich Mascaryjczyków, by dzielić z nimi uroki i wygodę tego miejsculka. Mascara to już miasteczko zamożne, wcale ładne, otoczone winnicami. Wmuszone w terytorium piaszczyste z pewnym rozmachem i dobrym smakiem, wyrażonym także przez dość udane próby zadrzewienia, tak zazwyczaj obce potrzebom arabskim. Pozycja pewnie korzystna ze względów handlowych i może strategicznych. Stał tam w śródmieściu piętrowy hotel z białą fasadą, pysznił się nazwą Grand Hotelu; z dala od niego Hôtel de Toulouse, szarawy, niski, o niewielu pokojach, małych, gdzie przewody do lampy ukrytej pod sufitem w zabrudzonym kloszyku, przykrywała drewniana listwa, od podłogi aż do skutku, tj. tam gdzie na suficie zakręcała nad moje łóżko, sięgając lampy. (Nie darmo się o tym rozpisuję na wstępie. Ja tam zamieszkałem. I jeszcze dodam, że na suficie listwa biegła, patrząc w górę z poduszki, do pół metra wewnątrz brzegu mego łóżka. Kto w Afryce bywał, ten wie co z sufitu na łóżko nocą spada). Mascaryjczycy, Francuzi, *les colons*, zasiedzieli tam od niezbyt wielu lat, czuli się u siebie na zawsze. Algieria przecież została włączona do Francji, jako jej departament. Mascara od swych narodzin całkowicie nasączona stylem ich życia, rozkładem dnia czyli pór na *petit déjeuners*, *apéritifs*, *déjeuners*, *digestives*, *diners*, *soupers* z doskonałym czerwonym winem tamtejszym, zapewniała żywocik łatwy, zaopatrzone nad to, przy stolikach przed kawiarnią, taką sobie, w niezłą kawę, lecz ponad to – we francuskie koniaki! Restauracja tegoż właściciela, też taka sobie, nie mogła konkurować z

drugą, drogą, odwiedzaną przez elitę, z majorem, dowódcą oddziału wojsk tam stacjonowanych i z jego rodziną, tj. z żoną i córką – szesnastolatką włącznie. Może dla ozdoby. Tamta restauracja słynęła. Nie wiem z jakich smakołyków, bo mnie nie było na nie stać, ani mnie żaden lokalny prominent tam nie zaprosił. Nie interesowano się nami, nie poczyniono żadnych prób poznania nas. Może to i dobrze, bo po pierwsze – niebawem okazać się miała nasza zdradziecka natura przez nowe próby ucieczki do wrogów, do Anglii, po drugie trudno by mi przyszło wytłumaczyć się mej żonie, po powrocie na jej łono w dwa lata później, z wizyt w lokalu tak dziwnym, bo krytym jednym dachem z domem publicznym. Restaurację prowadziła *madame* obu przedsiębiorstw. Pani szczególnie przychylna wojsku. Każda jej instytucja dbała o przyjemności cielesne Maskaryjczyków, jedno bez wielkich rozróżnień etnicznych, lecz drugie, restauracja, stanowczo kończąc *egalité* na bardzo małych niezgodnościach dotyczących manier. Mianowicie dom publiczny służył ludności męskiej obu ras równie: podbitej – arabskiej i zwycięskiej – francuskiej. Dzieliły ich prawa składania wizyt w tamtym domu jedynie dni tygodnia. Łączyła zaś antysegregacyjna otwartość dla wszystkich młodej i miłej panienki z Marsylii, gdzie jej narzeczony czekał na radosną chwilę jej powrotu z uskładanym posazkiem. Ale w restauracji segregacja absolutna! Tam poza wieprzowiną chętnie podawano baraninę, lecz i tę jadało się wyłącznie widelcem i nożem. Tam nikt nie mógł pozwolić sobie na operowanie na talerzu palcami!



Skwer rozległy, jasny. U jego południowej podstawy kładła się, ze wschodu na zachód, szeroka droga, póki w miasteczku, ulica. Ważna. Na niej odbywały się rewie wojskowe, w odpowiednie dni. Tam pewnego odpowiedniego dnia przeżyliśmy moment euforyczny! Opowiem – gdy nadejdzie czas, jak ten pociąg w Wołkowysku. Po jej południowej krawędzi ustawiono parterowe domki, niebrzydkie, jeszcze nie francusko-arabskie w stylu, ale. Patrzyły one na swoje rozsfoneczone centrum poprzez rzędy ładnych drzewek, szczupłych lecz zielonych.

Na wschodniej ścianie skweru wspomniana kawiarnia *cum*

restauracja zwykłych ludzi, nasza domena. Około jedenastej rano kilku z nas siadywało przy stolikach na zewnątrz kawiarni, tamtejsi Francuzi, *les colons*, wzdłuż baru, wewnątrz, w cieniu. Zgodnie unikaliśmy bliskości. Nie łączył nas język ni przeszłość, ani daleka, tym mniej niedawna. Przeciwnie, oni wyznawali mocno zakodowaną polityczną wiarę w Vichy i na niej opartą wiedzę o nas według „goebelsówki”: My winiliśmy „wojny o Gdańsk” ściągniętej na głowę paryskiej Marianny, przyjaciele wrogów, Anglików. I przeważnie milczący. (Trudno w ten fakt uwierzyć – wtedy nie rozgadani). I jakże się odróżnialiśmy. Inni. Nie pasujący do tych uliczek, domów, ludzi, ani, właściwie, do tych alkoholi i kawusiek popijanych z nie tak dawno nabytą przyjemnością. Każdego należałoby już tutaj, przed tą kawiarenką, obrysować choćby oszczędnie, kilkoma linijkami. Mawialiśmy: „Chodźmy zająć miejsca”, nieco za pompatycznie w stosunku do tamtego *frontonu*, ale. Inny teren stanie się odpowiedniejszy dla napacykowania choćby sporej grupki kompanów. Tam chwycimy wielu z nich zanim przeminęli. Było nas pięćdziesięciu kilku... A jednak już teraz nie mogą pominąć np. Jerzego X. Wysoki, raczej tęgawy mężczyzna, o dużej głowie, łysawej, o krótkich włosach i bródce ograniczonej do podbródka, poważnych oczach, mówiący powoli, z zastanowieniem, lub nie mówiący nic, jeśli rzeczy nie miał przemyślanej. Ten nieszczęściem naznaczony przyjaciel mój, cierpiał straszliwie na miłość do swojej żony. Ona w Polsce. Kiedy dostał się do Anglii (wtedy mówiło się: „Wrócił do Anglii”) zgłosił się bez zwłoki jako ochotnik do skoku do Kraju. Po przeszkoleniu poleciał. Tak, początek dalszego ciągu do przewidzenia. Jego żonę miał już kto inny. Ona nie zgłaszała pretensji do losu. Zakończenie? Schwytyany przez gestapo, rozszyfrowany, jako wysłannik rządu polskiego z Londynu, zamordowany na Szucha. Smyczyński. Staś? Duży chłop, wszystkie mocne członki luźno na nim wisały, długie ręce ledwie zaczepione na stawach ramion, silne, myślałem: karierę zrobi jako masażysta; gdy mówił podnosił brodę, odchyłał głowę w tył, zabawnie marszczył nos i rozciągając słowa kładł nacisk na ich początek i wypowiadał niespiesznie co uważał za wesołe i mądre. No, czasem tak. Nigdy nie siadał z nami Popiel. Kiedy zaafierowany przechodził (uważał, że jego przeznaczeniem było wykreować filozofię naszych dalszych przypadków)

swoją twarz u dołu zakończoną bródką profesorską zwracał ku nam na część sekundy, witał, jednak spoglądając w dół i nie zwalniając tempa, a że podnosił pięty przy każdym kroku, huśtał czubek swej głowy i rysował nim sinusoidę na tle nieba. Mijał. Pojawiał się Jurek Kraiński, nasza wzajemna przyjaźń w zalążku przyjemnych uśmiechów. Niewielu nas tam regularnie przychodziło, część udawała się do farmera, poza miasteczko, tam kąpali się w basenie wody utrzymywanej do obsługi pól i tam gospodyni fetowała ich drobiem, po francusku. Ba! To na razie tyle.

Plus „George”, Belg. Zaplątany między nas, belgijski kawalerzysta, oficer rezerwy. Starszy już pan, o wydostaniu się do Anglii nie myślał. „Nic tam po mnie. Kawalerii nie mają, jeśli mają to kiepską. Ja na niczym innym się nie znam” – powiedział. A znał się bardzo dobrze na kawalerii polskiej. Zawodowiec! Pasjonowała go polska husaria. Jej wygląd. Znał jej stany liczbowe, uzbrojenie, jej taktykę, jej ważne bitwy, ich topograficzne usytuowania, podziwiał stosunki sił i rodzajów wojsk atakowanych i rozbijanych. Znał Koniecpolskiego, Lubomirskiego! A Jana Sobieskiego uwielbiał. Rozumiał przerażenie dzielnych Turków na dźwięk jego imienia pędzącego ku nim. Wobec takich przykładów naszych wielkości, dla niego bieżąco żywych, „George” lokalnych *colonów* nazywał – *les microbes constipés*. Im w oczy! *Les microbes constipés* nie rozumieli o co chodzi, przyjmowali tę obrazę z humorem. Uczynili sobie z niego figurę zabawną, ostatecznie to jakby krewny, Belg, a przy tym lubili jego francuski. W ustach „George’a” miał on wszelkie atrybuty wspaniałości: akcentu, słownictwa, znajomości skrytek języka i smaczków w jego wszelkich im znanych i w nowych, z wojny zrodzonych wariantach. Trzeba im dać brawko za te ich rafinady. Stawiali mu gęsto piwa i koniaki. „George” wypalał im co chciał, powtarzał się, choć prócz tego potrafił dołożyć im czymś nowym, zazwyczaj tym co usłyszał był między nami. Śmiali się.

O Belgii wiele nie opowiadał. Zbrzydziło go to, co zobaczył podczas najazdu Niemców, uciekł do Francji. A tam czym dalej, tym gorzej. I gdy się na ten temat po swojemu głośno wyrażał, przesunięto go z Francji do naszego towarzystwa w Mascarze, również na *Résidence surveillée*. Mawiał o swojej wyspie. Miał własną wysepkę blisko ojcowizny. Tam dom niski, długi, niemal

od brzegu do brzegu, bardzo stary i bardzo niewygodny, to nie szkodziłoby, lecz bez telefonu, więc choć ogromnie gościnny, cóż komu po nim. Dla nas wtedy telefoniczne połączenia z PCK w Algierze, by się dopytywać o wieści od rodzin z Polski *via* Szwajcaria i o podziemne wiadomości z frontów, rzutowały na każde inne układy. Więc jego zaprosiny nawet na powojenne libacje nie frapowały nas.

Wśród nas najlepiej francuskim władał Tadeusz Sokolnicki, brat ambasadora, pisarza, historyka. Poza nim wspomniany Janusz Popiel, Adam Ostromęcki, Zbigniew Pachoński, kilku innych. Ja przez regularne pomyłki w całym moim wykształceniu operowałem wtedy jako tako niemieckim, co na szczęście wkrótce ze mnie wywietrzało. W tamtej sytuacji polsko-europejskiej, choć oczywiście chwilowej, nie był to język do mówienia. I to, mimo iż utrzymywałem, że „znać należy język wroga, bo z przyjaciółmi dogadasz się na migi”. (Też dziwactwo!) Nie pominę porucznika piechoty, inżyniera Józefa Schoenfelda, którego dołączono do nas z Oranu czy Algieru. Interesujący pan. Rezerwista z dni chwały w armii Hallera w Polsce, po ustaleniu się Polski, w roku 1922 wrócił do Francji. Zachował przynależność i wierność dla Polski. Gdy wybuchła ostatnia potrzeba, niezwłocznie zgłosił się do jakiegokolwiek służby w polskiej armii we Francji. Znał Francję. Jej ludzi na wyrwyki i w rozmaitych sytuacjach. Dlatego powiedział mi przy poobiedniej kawie: „Niech pan przyjmie to ode mnie i zapamięta: jeśli panu dobrze na świecie, jedź pan na południe Europy. Jeśli panu niedobrze, jedź pan co siły na północ”. „Właśnie”, powiedziałem. „Właśnie”, zgodziłem się. Był to czas kiedy uczyłem się angielskiego z impetem i niekiedy „układałem” wierszyki chwytające obserwacje życiowe na gorąco, bez filozofii, np. ten: „Nie obiecuj sobie wiele/ gdy ci Francuz przyjacielem// Gdy ci Francuz przyjacielem miej Anglika w pogotowiu/ Nie obiecuj sobie wiele, gdy ci Anglik przyjacielem!” Och, przepraszam! To nie przykład mego byłego jasnowidztwa, to jedynie obecnie „chwilowa” pomyłka w czasie przeszłym. I nieustannie bieżącym. Ta ostatnia linijka. *I mean*, czyli mam na myśli.

Słońce biegło coraz wyższym torem i wydłużało dni, temperatury mu towarzyszyły. Dlatego uczyłem się języka docelowego wieczorami i późno w noc. Odwodziły mnie od skupień

nad pracą moje złośliwe zabawy z pluskwą. Ale konieczne, by jej namiętność do mnie wypalić w niej zmęczeniem, znużeniem. Była to duża szaro-brązowawa szatynka o pięknej płaskiej linii, po długiej widać kuracji odchudzającej. Stąd ten szaf na mój temat. Mieszkała pod listwą przewodów elektrycznych koło kontaktu i pewnie świetnie się orientowała kiedy zaczynałem się jąkać po angielsku. Dawała sobie pół godziny na moje pełne wejście na ścieżki ku wiedzy, na zaangażowanie uwagi... Wtedy ostrożnie, stopniowo, wymykała się spod listwy i w jej cieniu prędyutko przebierała nóżkami po ścianie, do sufitu, żeby stamtąd na mnie spaść i „radością się upoić”. Nie wiedziała, że ja mam zły charakter. I że nawet pochylając głowę nad książką potrafię ją szpiegować kątem podstępного oka. Prawego! Więc kiedy ona spieszenie, drobniutkimi kroczkami oddalała się w górę – ja powoli wstawałem i wznosząc swój ponętny dla niej korpus na wysokość jej pozycji, wyczekiwałem aż do chwili, kiedy ona oddaliła się jeszcze wyżej, na długość mego ramienia... Wtedy, wtedy, zaczynało się moje znęcanie się nad nią. Nie lubię tego rodzaju szatynek. Mój masochizm... Zbliżyłem dłoń do niej i nie miała wątpliwości, iż za chwilę ją utulę... Cudowny zapach mej dłoni oszałamiał ja tak szybko i tak całkowicie, że spodziewając się rozkoszy padała ze ściany bezradna! Na brutalnie zimną, bezwoną, kamienną podłogę. Żal we mnie wzbierał i podawałem jej rękę. Gdy się biedactwo znowu zaczynało radować, że to była tylko pomyłka, potknięcie w zbyt namiętym dążeniu, i wstępowała na ścianę u samego dołu i milionami kroczków biegła do góry, prowadzona zachwycającą wonią mych bliskich palców, a tam, u szczytu jej syzyfowej, prostopadłej wżwyż drogi, omdlewała, padała! Płakała... Tego co prawda nie byłem pewien. Gdyby głośno rozpaczła, może bym nie był w stanie dłużej jej dręczyć niż raz-dwa co wieczór. Wobec jej milczenia doprowadzałem ją do kryzysu sił za czwartym razem. Wtedy wracał mi dobry nastrój i z uśmiechem brałem się ponownie do mego jąkania się po angielsku.

Rano, koło dziesiątej, przychodził Tadeusz Sokolnicki. Pukał, wchodził, widząc, że nie śpię spoglądał na siebie w moim kiepskim lusterku na ścianie, pociągał swoim arystokratycznym nosem, wymawiał formułkę: „Gęba już jak kalosz”, czemu ja żywo i słusznie przeczyłem, bo jakże męski był i przystojny i



golać się zdawałem przed nim egzamin z nocą wyuczonych anglicyzmów o niewiadomych formach dźwiękowych. On czasami mnie poprawiał w sposób dla mnie nie do wiary. Po czym szliśmy do kawiarenki na dzień dobry z kolegami i kilka śmieszek z „George'em”.

Byliśmy weseli, bo zupełnie pewni zwycięstwa, nawet bez nas na drodze Rommla, nawet z nami w Mascarze, a poza tym wiedzieliśmy, że już niedługo zostaniemy wezwani do... Ale na razie to tajemnica!

Straszliwe wiadomości z Kraju nie były nam jeszcze znane.



Spodziewane – nadchodziło! Na pewno! Hrabia Emeryk Hutten-Czapski brawurowo zadziałał ze swego biura w Algierze, uprzednio konsulatu RP, od upadku Francji – niby to tylko Polskiego Czerwonego Krzyża. Ucieczka będzie masowa! Prócz nas z Mascary, ponad trzystu pięćdziesięciu podoficerów i szeregowych z Saïdy, z koszar Centrum Legii Cudzoziemskiej. Oni tam, praktycznie internowani, na tę szansę wyczekiwali... Razem ponad czterystu chłopca. Tylu nas sobie Francuzi uzbierali. Ale pocieszą się. Jeszcze im przyplyną nasi z Francji. Ale my! Nareszcie! Kiedy! Niedługo, niedługo. Czuj duch i milcz. Czekaj. Pan Emeryk dał znać, pewny dyscypliny. *Ça va*. (Tyle francuskiego chwyciłem z powietrza. Francuski sam wpadał w ucho, choć gramatykę i tę okropniejszą od naszej ortografię, gubił po drodze. O wiele później doszedłem do przekonania, że każdy z nas na kuli ziemskiej ma dwa dźwiękowo najpiękniejsze języki do dyspozycji: swój i francuski).

Czekać. Ciągnęło się. Wszystkie czeeeeekaaania się ciągną. Tamto ponad inne. Ale los o nas dbał i przysposobił nam niezwykłą przyjemność.

14 lipca! Święto Francji, Europy, Ameryki, nasze! Mascara postanowiła okazać wielkość i serce. Na *Grande Parade* (wojskową) kilku *anciens combattants* z 1918 roku oraz z wojny właśnie przepartolonej, kilku żandarmów i plutonu wojska, zaproszono także i – czekajcie, czekajcie! – i nas! Nas, dobre półtora plutonu samych oficerów i podchorążych. Na ten dzień, na ten raz, mieliśmy wystąpić jako eks-kombatanci. A to

komedia! I problem! Przyjąć czy nie przyjąć? Ostatecznie byliśmy na utrzymaniu francuskich władz wojskowych... (Na utrzymanie asygnowano nam po FR 900 miesięcznie). Ale przyaresztowani! Niech, wobec tego, zdejmą z nas tę infamię. Wtem dowiedzieliśmy się, że przybędzie i raporty od oddziałów odbierze, nie do wiary, sam bohater z Francji z 1918 roku („znakomity szef sztabu Focha”, pisze o nim generał Marian Kukiel), potem obecny w Warszawie, gdy nasz Marszałek sprawił bolszewików – generał Maxime Weygand! Obecny dowódca wszystkich wojsk w całej Afryce Francuskiej. No, to skoro tak, to upadają zbyteczne sprzeciwy, murem stajemy w dwuszeregu, w czym kto miał co „galowego”, a przynajmniej świetnie wygoleni. Z moim przyjacielem z Pierwszego Pułku Lotniczego w Warszawie, kapitanem Eugeniuszem Prusieckim, do niedawna dowódcą eskadry Łosi – na czele! Oczywiście, żeby się nam co w głowach nie poprzewracało, na lewym końcu (bo przecie nie na „skrzydle”) tego zbioru. (Nie pamiętam gdzie my umieściliśmy „George’a”, naszego Belga. Wydaje mi się, że go widzę na naszym prawym skrzydle). I wyobraźmy sobie tę niepowtarzalną – już ani w historii Francji eks-kolonialnej, ani w historii Polski Bezpiecznej Przyszłości – tamtą linię: a. francuskich byłych wojaków, dawniej przypuszczalnie bardzo dzielnych, na prawym końcu, b. francuskich nie sprawdzonych, być może dzielnych, w środku i c. pragnących ponownie dowieść swej dzielności... na ogonie. To my.

Słońce złociło, piekło. Mascara patrzyła. Generał przybył punktualnie. Wyprostowany, szykowny, przystojny. „Jakby znowu miał dwadzieścia lat...” O raczej małej głowie i dużych, błyszczących oczach. Nie dbał o formalności, od razu przystąpił do rewii, przeprowadzenia lustracji, do zachęcenia wpatrzonych w niego do utrzymywania wspaniałego ducha, a przynajmniej postawy. Przechodził przed oddziałami, odbierał raport, salutował, głośno wypowiadał sakramentalne słowo: *Continuez!* i nie zmieniając frontu, przesuwiał się do następnej formacji. Aż, ku jego zdumieniu, usłyszał meldunek Gienia – po polsku! Nasz chwilowy wódz w ostatniej i krytycznej chwili słusznie zdecydował, że tak będzie najlepiej, bo naj-najnaturalniej i – zobaczymy... Zobaczyliśmy! Cała Mascara zobaczyła! Generał rozjaśnił się, uśmiechnął, zsalutował, podał naszemu dowódcy

rękę, temu dowódcy jedynie! Wszyscy to widzieli, nagle oczy ich zaprzeczyły innym zmysłom. On powtórnie zasalutował, tym razem całemu naszemu oddziałowi, i odszedł do spiorunowanych, obrażonych, od nas na zawsze już odwróconych, Franko-Mascaryjczyków, na, dla nich, niepojęcie kwaśny obiad. Po obiedzie generał jeszcze porozmawiał z naszą starszyzną, zapewnił, że nie dopuści do deportowania nas do Francji i pozostając w naszej naprawdę wzruszonej, trwałej pamięci, odjechał – nieświadomy swego pobocznego dokonania. Mianowicie nad Mascara ogromny „merdalloryzm” przyćmił światło dnia tego i następnych, aż do dni Wszystkich Świętych, gdy okazało się, że to Mascara słusznie, wbrew jego sympatiom, miała nas za bezpieczny, bez poczucia przyzwoitości, źdźbła wdzięczności, zakalec w polityce innego generała. Generała Pétaine’a. A do odkrycia naszej brzydoty doszło tak...

W czas Wszystkich Świętych Algieria podróżowała. Francuzi samochodami a rzesze Arabów zapychały kolejki. Zapchanymi kolejkami jechali dokąd kolejki wiodły: przede wszystkim na północ, potem na wschód lub zachód a niekiedy i na południe. W odwiedzin. Dla odmiany. Oczywiście także na uczty baranie, ale gdzie indziej. Bo Arab też człowiek i czasem chce choćby na innym piasku. Był to początek okresu dorocznej krótkotrwałej zamożności po sprzedaniu wełny, baranów i owiec, skór, niewielkich płodów rolnych. Wędrówki, jazdy i zabawy.

Ten ruch, tłok, rozgardiasz i bałagan nam zapewniał kamuflaż a na francuską żandarmerię działał jak pigułka na zubożenie. Pan Emeryk Hutten-Czapski i jego sztab w Algierze z dawna te okoliczności przewidywali i czerwonym kółkiem otoczyli datę ich początku. Na tę chwilę pan Emeryk wznosił się do poziomu adwersarza generała Weyganda, w imię polskiej racji, i tak dalej. Generał pewnie to rozumiał, w miarę jego ograniczeń. Co bez zbytecznych komentarzy wskazuje, że w pierwszy z tamtych świątecznych dni my tłumnie ruszyliśmy do zorganizowanej przez pana Emeryka ucieczki, według jego bardzo dobrego planu. Dokąd? Do Gibraltaru! Czym? Rybackim kutrem angielskim pod polskim kapitanem, z polską załogą. Ba! Wysypałem cały kosz informacji... Ale nie calutki i „nie tylko”, jak się u nas takie stany zaskakujących niedomówień określa. Denerwująco. Bo o to chodzi. Z tego stanu zawieszenia sko-

rzystam, żeby pana Emeryka wziąć na warsztat. Przecież generała obgadałem, choć pragnąłem tylko odmalować. *Encyklopedia Popularna PWN*, wydanie z roku 1992, o nim jeszcze nas nie informuje, na stronie 156 oznajmia tylko, że jego poprzednik tego samego nazwiska i imienia „Czapski-Hutten, Emeryk, 1828-1896, zasłużył się jako: numizmatyk, twórca jednego z największych zbiorów polskich monet (wielu unikatów) i medali; autor ich katalogu po francusku; fundator muzeum i biblioteki Czapskich w Krakowie”. Co uzupełniam ze źródeł własnych i mieszanych: pan Emeryk Czapski to z kolei twórca jednego z najpoważniejszych zbiorów map Polski, przekazanych do muzeum w Krakowie i opiekun muzeum Czapskich w Mińsku (o czym wczesna postkomunistyczna encyklopedia nie wspomina) jak długo na to tamtejsze polityki zezwalały. W 1933 roku „nasz” hrabia Emeryk Hutten-Czapski został Komandorem Patronackim Zakonu Rycerzy Maltańskich. Pod koniec drugiej niemieckiej wojny europejskiej, był pułkownikiem Armii Polskiej, wysoko odznaczonym. Ja znałem go od roku 1941 i pamiętam dobrze pana niemal wysokiego wzrostu, o sztywnym karku – w przerośni bardzo, w zarysie jego sylwetki znacznie, o głowie rudawej, twarzy pociągłej, wygolonej, z rzadka uśmiechniętej; z brązowymi oczyma skupionej powagi, które prosty, długawy nos rozsuwał na boki wystarczająco. Mówił spokojnie, bez gestykulacji i bez podnoszenia głosu. Potrzebne naciski wywierał lekkim pochyleniem głowy ku rozmówcy, uniesieniem brwi... Podaję jego obraz i to, co go tyczyło z widoczną przyjemnością, nie tylko dlatego, że po kilku latach bywałem gościem w jego rzymskim domu i zatrzymywałem się w założonym przez niego w Rzymie Hospicjum Rycerzy Maltańskich, gdzie wielu naukowców polskich z Kraju znajdowało bardzo przystępne warunki pobytu, tak im potrzebnego. Mówię „Nie tylko!”, bo właśnie chcę opowiedzieć anegdotę z nim związaną, niezwykłą i dlatego w tej chwili wracamy jeszcze do Algierii, gdyż tam, „w owych dniach” miejsce miało wydarzenie ciekawe, charakterystyczne i może i pouczające? Otóż generałowi Maxime Weygandowi Hitler złożył był hołd za jego działalność w Afryce, jak również za stosunek do swej osoby – żącąc go odwołać do Francji, tam aresztować przez gestapo, deportować do Niemiec i więzić do końca swej kadencji w urzędowaniu Europy. Rząd Vichy

przysłał do Algieru, na razie dla chwilowego tylko wypełnienia pustki w wojskowej administracji, generała Alphonse'a Juina z tytułem i prawami dowódcy wszystkich wojsk francuskich w całej północnej Afryce, podległych mu jako przedstawicielowi rządu w Vichy. Generał Juin zaraz po przybyciu do Casablanki wysłał swego adiutanta do dyrektora Polskiego Czerwonego Krzyża, chwilowo przebywającego w skromnym hoteliku w tym mieście, z zapytaniem, czy może być przyjęty z wizytą kurtuazyjną? Prosił o udzielenie mu audiencji... Obaj panowie, Rycerze Zakonu Maltańskiego bardzo wysokiej rangi, różnili się pozycją w najwyższej hierarchii – pan Emeryk Czapski przewyższał generała o jeden czy dwa stopnie...



Ucieczka! Miejsce akcji końcowej określono. Czas – zaczynać! Czterech z nas wysłano dla szczegółowego opracowania sposobu przyjęcia dużej ilości ludzi, rozmieszczenia ich w terenie trudnym, niewygodnym, a jednak poręcznym dla szybkiego schodzenia nad wodę i ładowania się na łódź możliwie bez wypadków i wypadków. Jak z Algieru ustalono z kapitanem w Gibraltarze miejsce i czas tej imprezy pod brzegiem Algierii na wschód od Oranu, nie jest mi wiadome. Nie pytałem o to pana Emeryka nawet po latach, przy okazjach przyjaznych spotkań u niego, w Rzymie, nawet gdy chodziliśmy na jego ulubione lody. Wydaje mi się, że w tych sprawach trzeba być dyskretnym: doraźnie wypracowane umiejętności służą podobieństwem innym sytuacjom. Tak zbiera się doświadczenie oryginalne. On niewątpliwie zamknął je we właściwe akta.

Wysłańcy. Trzeba ich uhonorować, bo z fantazją, z wyobraźnią, w nowych warunkach szybko, bez usterek wykonali wszystko, co im zlecono. Oto ich nazwiska: Jurek Kraiński, Józef Wyganowski, wąsacz okrutny, Zygfryd Zawalski (von Nibelungen?), Witold Radziejowski, Czesław Sztajer. Nawiązali z kutrem kontakt, przyплыnęła od niego łódź, przywiozła zbieraninę francuskich, niemieckich, angielskich kanistrów z benzyną dla kutra na drogę powrotną, ustalili dalsze procedury. Łódź odплыnęła, by powrócić, gdy wszyscy będą gotowi do zabrania. Następnej nocy.

Z mej strony rzecz się miała prawie zwyczajnie. Wydarzenia dla mnie ważne lubią się zrazu maskować obojętną formą. Mój majątek i szkołę nauk języków obcych włożyłem do teczki (po zdobyciu ostróg w angielskim, planowałem nabyć – niespełnioną – znajomość hiszpańskiego), poszedłem na stację, kupiłem bilet do Oranu. I wysiadłem na stacyjce zwanej La Macta. Pusta. Dosłownie i szczęśliwie pusta. Poszedłem na wysoki brzeg morza ucieszyć się jego widokiem, obrazem i spodziewanej z jego strony pomocy. Ledwie tam doszedłem i zobaczyłem żywą, mocną barwę jego gładkiej powierzchni, capnął mnie któryś z naszych wykonawców planu i skierował do lasku, bym się w nim skrył, bo od tej pory cały światek dookolny zagrażał nam w najwyższym stopniu.

Lasek karłowatych sosenek wykarmionych tamtejszą szczególną ziemią nadmorską i powietrzem morza, gęsto pokrywał ciemnozielonym kożuchem kilometry wysokiego wybrzeża, zasłaniał jego urwiste spadki do wąskich plaż i, co najważniejsze, krył nas od południa, od strony nadbrzeżnej szosy, którąś my przybywali, ale nie życzyliśmy sobie przybycia nią nikogo innego. Te miłe drzewka wykształciły swe korzenie w kosztowny *briar*, wrzosiec, najlepszy materiał na fajki, najdroższe francuskie i sławetne angielskie Dunhilla. Wiedziałem. Paliłem wtedy fajki. Oczywiście paradoks czyhał, czyli w lesie doskonałych drzew fajkowych nikt arcydzieła z ich korzeni zapalić nie miał zamiaru. Wystarczał nam cenny aromat ich igieł. Tego dnia zebrało się nas w lasku pod La Macta około dwustu.

Noc minęła twarda, jak tamtejsze kamienie. Następnego dnia doszła druga dwusetka. Wszyscy! Wszyscy dostali się na teren zborny, bezpiecznie. Jeszcze jedna noc i o trzecim świcie zacznie się schodzenie do łodzi, ładowanie na kuter i... uda się! Do trzech razy sztuka! Jutro, jutro!

Około szóstej wieczorem nagły wiatr! Zerwał się. Właśnie! Zerwał się czy go diabli spuścili ze smyczy – wzmagął się, już targał drzewkami, niskie chmury gonił po niebie, już morze bieleło od piany, już tam w dole biło o skałki. Ale do świtu daleko. Może jak się podniósł tak i opadnie...

Oddam głos Jurkowi Kraińskiemu. On czatował na decyzje kapitana kutra: „Mając trochę doświadczenia w sprawach morskich, zdawałem sobie sprawę, że załadunek w tych warunkach

byłby bardzo trudny, jeśli w ogóle możliwy. Czekaliśmy na sygnał z morza. Około dziewiątej wieczorem zabłyśło światło. Naszemu radiotelegrafście trudno było odbierać, bo rzucały fale statek to unosił się, to opadał i fale zasłaniały sygnał, a ponadto musiał się trzymać dość daleko od brzegu. Wreszcie udało się odcyfrować wiadomość. Kapitan zdecydował, że ze względu na tę pogodę musi oddalić się od brzegu, poza wody terytorialne francuskie, i powróci następną noc. Wszyscy trzęśliśmy się z zimna. Odnalazłem Miecia Różańskiego i tak jak poprzednio schroniliśmy się w grobowcu arabskim, który stał nad brzegiem morza. Przypomniałem sobie Odyseję, walczyliśmy ją w IV Gimnazjum we Lwowie... nie braliśmy tego poważnie. W tamtym momencie, jak nigdy, zdałem sobie sprawę z rzetelności jej opisów. Prawda o zdradliwości Morza Śródziemnego była już wtedy dobrze znana. Nad ranem przestało wiać, morze też ucichło, a nad widnokrąg wypłynęło czerwone słońce. Wszystkim dokuczyła ciężka noc i teraz szukali słońca, by osuszyć zwilgotniałą odzież. Niektórzy mieli trochę żywności. Około południa całkiem pocieplało i zapowiadała się pogodna noc". I ładowanie się?

Podobno jak arabsko-francuski diabeł nie ma co robić, to wyprowadza mera miasteczka na polowanie. Z koleżkami. Dlatego na południu Francji i na północy Algierii biegają i latają tylko mrówki w czasie swego wesela. Ale diabeł dalej w każdy świętek burmistrza miasteczka i jego koleżków na polowanie prowadzi. Po męsku niosą dubeltówki, z zapalem stają do zawodów w strzelaniu do rzutków, po czym z samochodów dobywają pyszności i doskonałe mascaryjskie wino na piknik. Tym razem diabłu udało się złowrog figiel: naprowadził ich na nas.

My usłyszeliśmy rozgwar ich wesołych głosów i... raptem urwał się ten gwarek. Cisza! Zamarliśmy... Wszyscy. To jest, my zamarliśmy tu, oni zamarli tam. Potem wyjaśniło się, że oni natknęli się na stos kanistrów z benzyną! A gdzie spojrzeli tam spod drzewek sterczały buty, nogi, przecie tam tłum ludzi, a kanistry angielskie, niemieckie i nawet francuskie! Co się tu dzieje! Co się będzie dziać! Inwazja? Czyja? Nie ruszmy tego! Broń Panie!... Po kilku minutach usłyszeliśmy odjeżdżające samochody...

...a po kilku godzinach, gdy ściemniało się, inne, grube,

powolne charkoty motorów ciężkich wozów przesuwaly się po szosie. I zatrzymywały... Wkrótce po podszyciu lasku poszedł szept: wojsko, żuawi i *Garde Mobile*... wyciągnięta linia wzdłuż szosy... daleko w obie strony... zastawa... otaczają las... i znowu szept: nie ruszają się, stoją... Nie wiedzą co robić... po ciemku boją się wejść... Żebyż ten nasz kuter przyplłynął! Załadujemy się w nocy, nad ranem...

Nie przyplłynął. Nad ranem *Garde Mobile* ruszyła w lasek wrzosowców. Brutalnie, z wrzaskiem. Odwaga w nich wezbrała gdy zorientowali się, kto my zacz. Podobno niektórym z nas zakładali kajdanki. Podobno jednego z oficerów oficer francuski zamierzał uderzyć, ten zdążył krzyknąć: „Jestem oficerem!” Pamiętam, wyszliśmy na szosę, ustawiliśmy się w czwórki pod dowództwem najstarszego oficera, chyba kapitana Kazimierza Dworakowskiego. Przez krótką chwilę oczekiwaliśmy jak nas paskudny los zaprawi. Oczywiście: załadowanie. Na ciężarówki. Wygodniejsze to niż płynąć do kutra w rozhuśtanym morzu. Do Mostaganem, do komisariatu. Upchani, stojąc, zobaczyliśmy na niebie patrolujący samolot, w dali na morzu kontrtorpedowiec. Poczuliśmy swą wagę. W Mostaganem nie mieli dość dużego więzienia, trzymali nas przez noc w jednej sali i telefonicznie szukali dla siebie rozwiązania tego dziwactwa przez władze w Algierze. Decyzja: tymczasowy powrót do hoteli w Mascarze i trzymanie tam pod domowym aresztem, bez żadnych praw. Mascara trzęsła się od dowcipnych opowiadań. Zadowolona.

Wracam do pamiętnika Jurka Kraińskiego. Pisze on: „Teraz, gdy patrzę z odległości lat, to muszę stwierdzić, że ucieczka była wyjątkowo dobrze zorganizowana i gdyby nie zła pogoda, byłibyśmy wszyscy następnego dnia w Gibraltarze. W latach pięćdziesiątych spotkałem w Londynie maszynistę okrętowego, Filipkowskiego. Powiedział mi, że on był na tamtym kuterze jako członek załogi. Pamiętał dobrze nazwę miejscowości, La Macta, i tę fatalną pogodę, która nie pozwoliła im podejść pod brzeg”. Tyle Jurek.

No, tak. Zła pogoda i operetkowy paradoks: w dniu świątecznym urządzamy ucieczkę, w dniu świątecznym burmistrz Oranu urządza „polowanie” w naszym lasku.

Jesteśmy znowu w Mascarze. Wiadomo to, że po przegranej „bitwie pod La Mactą” zostaniemy przepchnięci w pusty worek



południowej Algierii. I rzeczywiście, jak powiadał pewien pan z galerii figur alegorycznych. Siódmego grudnia ruszyliśmy wąskotorówką w podróż. Z niewiadomych od razu wyłoniła się wiadoma: kierunek na południe. Po prawie dwudziestuczterech godzinach przebyliśmy około 180 kilometrów i o zmierzchu na zawsze już przykrego dnia przybyliśmy do tamtejszego końca świata. No, do jego przedsonka. Do Méchérii.

Méchéria była poza cywilizacją. Z miejsca upewniła nas o tym pierwsza zaproponowana nam kolacja. Dwóch roześmianych Arabów – dozorców przyniosło wielką blaszaną micę pełną krwawiących, porąbanych nóg wielbłądzich, z dodatkiem sierści. I piasku. I kamyczków. Postawili. Poszli. Czy to kucharz Arab chciał zadziwić nas dowcipem, czy dowódca obozu uchylił rąbek jego planów karnego postępowania z nami? Raczej to ten pan major – za czasów wojny w Hiszpanii wysługiwał się tam Niemcom.

### *Méchéria – 1941/42*

Nasza „Bitwa pod La Mactą” przegrana. Czy tamten bardzo dziwny zbieg, nie tyle okoliczności, co niepożądanych osób na naszym terenie uciezkowym (nie mylić z „wycieczkowym”) miał jakikolwiek inny sens niż ten, jaki mają wióry, które lecą, kiedy ktoś rąbie drwa?

Wiedzieliśmy, że tym razem na długo zakończył się nasz stan pogotowia do przeprowadzania najbardziej nieprawdopodobnych z najdziwniejszych prób wydostania się z rąk Francuzów, a więc Niemców, i oddania się w ręce Anglików, by nas wystawili przeciw Niemcom, na korzyść Francuzów. I swoją. Taki mieli przywilej ci nasi alianci wobec nas w ich geo-pozycji w tamtej drugiej już w tym wieku niemieckiej wojnie. A my? (...my? Zaczęliśmy niekiedy myśleć: „Skoro się jest pchłą w piasku pustyni...”). A jednak tak rwaliśmy się do tych angielskich ewentualności, bo to znaczyło – do naszych wyobrażanych heroizmów – a tak nam Francuzi przeszkadzali. To „rwanie się” wydawało się jedynym zadaniem w pełni odpowiadającym statusowi obywatela Polski czy tylko jeszcze Polaka z upodobania, gdziekolwiek on się znajdował. Francuzi powinni – i mogli byli!

– inteligentnie wykombinować sposoby i sposobiki, by pomagać sobie, pomagając nam. Oślepli. Poprawili swój stan psychiczny wyzwalaniem, wymyślaniem, w końcu neo-kreowaniem „historycznej”, ostatnio jakże propagandowo chwytliwej nienawiści do „podłych Anglików” – patrz Mers el Kebir – i to w czasie, gdy im u gardła wisiał najpotworniejszy tamtych czasów, najgłupszy, najkrwawszy wróg Europy! I jej, przez Francję, bogato, aż rozrzutnie, zaprawionej kultury! A my? Kiedy Niemcy się załamają, a my jeszcze tutaj, to stracimy możliwość okazania się współzwyyczajcami w prawdziwie europejskim świecie, godnymi chwały i odznaczeń (a przyjdzie czas, że odznaczenia się posypią! jak ziemniaki z worka), i uznania siebie, prywatnie, za ludzi „co to proch wężali”. Stracimy na resztę życia zadowolenie, że się jednak kogoś zabiło. (Albo trzeba będzie wymusić na swej psychce zadowolenie, że się jednak nikogo nie zabiło i chwalebnie nie otrzymało się odznaczeń). W tym miejscu warto zauważyć jak co pewien czas tworzą się „marsze historii”: kilku facetów, nie wykluczone, że niedomytych, udających przed kamerami filmowymi elegantów wielkiej wagi, nieznanymi ci osobiście, w nieznanym ci miastach, ale często, w strzępach twojej historii, o fatalnej opinii, podpisują jeden drugiemu w nieznanym ci językach i równie nieznanym lub ledwie na trójkę minus alfabetach, tajne umowy o zagrabienie nieznanego im twojego miejsca urodzenia, rzucenie na kupę ognia wszystkiego im nieznanego a co twoje: twoje cele życiowe, zdolności, wykształcenie, wyobraźnię, artyzm. Ukraść ci cały, być może ogromny wór twórczych sił, talentów, instynktów, uczuć, myśli i faktów i tego, co się do końca wyliczyć nie da – których suma nazywa się „twoim życiem”... A męki twojej matki, jej najtrudniejsze lata częściej trwogi przy wychowywaniu ciebie a przecież to jej lata najlepsze... To jest – jeśli nie uda się im zabić ciebie i twoich rodziców, twoego brata – szybko, tanio.

I te nieznanne ci brudasy, załatwiają sobie i tobie, twoją poniewierkę czy zgon, zaskakując cię nawałnicami łajdacko wykwalifikowanych kryminalistów, ubranych jednakowo, jednakowo żywionych, straszliwie jednakowo uzbrojonych, jednakowo sprzysiężonych by zmarnować, spalić, wysadzić w powietrze brudne od ich oddechów, wszystko co twoje. Dla tych złodziei twoje życie wyobrażalne jest tylko jako cel mordu. Kryminaliści

wiedzą co kraść, palić, kogo mordować, poniewierać. I bezczelnie nazywają się – „żołnierzami”.

Do szlachetnej nazwy „żołnierz” ma prawo tylko obrońca swojej – i cudzej – ojczyzny. On broni jej przed każdym atakującym ją kryminalistą państwowym, to jest złodziejem-złoczyńcą wyhodowanym przez państwo złego sąsiedztwa. Najczęściej historycznie cuchnącego zbrodniami. Obowiązkiem żołnierza jest walka w obronie jego ojczyzny przeciw wszelkim bandytom, bez względu na czyje terytorium jest zaproszony, pod jakim dowództwem, jakim sprzętem *etc.*, *etc.*, to są już poszczególne i szczególne warunki wykonywania jego obronnych zadań. Żołnierz ma prawo walczyć w każdy sposób, w każdym terenie. Jego wrogiem jest cały naród wydzielający z siebie hańbę umundurowanych kryminalistów. I czym większej hańby taki naród dopuszcza się swymi zbrodniarzami, tym się bardziej nimi chlubi, ba, pyszni. A powoduje powszechną zapaść kultury.



Jasno zobaczyliśmy co straciliśmy pod La Mactą. Póki mieliśmy szanse szybkiego powrotu na inne pozycje nadstawiania łbów, żadna strata nie rysowała się tak ostro w naszych inteligencjach, teraz raptem wybystrzonych ostateczną klapą.

Wieżli nas Francuzi, wystraszeni Niemcami, do klatki bez wyjścia, otoczonej pustyniami, pustynnymi górami, milami pustek i pustych Arabów, chętnych pustymi oczami śledzić nas wszędzie i obojętnych im, sprzedawać równie obojętnym im Francuzom za groszowe stawki.

Francuzi wieźli nas do *kennelu* jak rozwydrzone, rozwłócone kundle wojny, niczyje. Na kwarantannę, aż zadecyduje się do czyjej niewoli się nas odda: niemieckiej? czy może francuskiej przez wcielenie do Legii Cudzoziemskiej na 25 lat?

Tak truciznami wyobraźni podnieciliśmy w sobie ówczesny stan uczuć i nieodłączne myśli klekoczące w głowach w rytm starych kół na starych szynach i pogłębialiśmy swój kolosalny upadek ducha. Na razie. Bo zaskoczyli nas tą nagłą jazdą kolejką do stacyjki Nad-Saharyjska Francuska Cywilizacja Zapaść, odpowiednik stacji Handra Unyńska, gdzieś w mordobijskim powiecie... Méchéria. Po drodze do Colomb Béchar (ch=sz).

Pociąg – taradajka wąskotorowa z Oranu do Colomb Béchar, czy może dalej, taradajkowała powoli wśród zwodniczej, pozornej nijakości, ledwie niekiedy splamionej ruchomym punktem nieco ciemniejszym niż pustynia, przecinkiem człękokształtnym, sunącym szybko od studni A i niczego więcej, do studni Z, równie jedynej ostoi wśród widnokręgów, od początku istnienia konających na nieugaszalne pragnienie. A jednak słyszeliśmy, że tam rośnie kępami jedyna w Afryce trawa, *alfa-alfa*, właśnie przyczyna powstania i trwania tej kolejki-taradajki. Trawa wysoka, nie o źdźbłach, ale o prętach okrągłych, sprężystych, co ziemię pod sobą trzymają mocno, nie pozwolą się wyrwać wichrom, ani spalić słońcu, ani zniszczyć kolosom fal ruchomych piasków. Można z nich upleść sznury, zrobić maty rozmaite, wiązać je na palikach w płoty, na nich spać, siedzieć, nakrywać nimi miski z jedzeniem, kryć co się chce skryć – można wśród *alfa-alfa* żyć. Jak ona. I można z niej zrobić papier! A nawet bibułki! Papier... Więc zbudowano tę wąskotorówkę do trzewi pustyni, po *alfę-alfę*. A teraz wieziono wśród niej nas, eks-aliantów, do więzienia. Bo już przy planowaniu kolejki dojrzano inne walory tych podbrzuszy Afryki i tej kolejki – założono przy jej końcówce dwa duże obozy karne. Jeden dla więźniów cywilnych, głównie Arabów i obcych szumowin, drugi dla najciężej karanych legionistów, z Legii Cudzoziemskiej. I trzeci obóz – siedzibę konnej policji arabskiej dla ochrony-dozoru-pomocy władzom tamtych dwu, na czas buntów i ucieczek. Okrutna trójca. Teraz wieziono nas tam, do więzienia, w Afryce i bardziej, dokładniej-umiejętniej dotkniętej Europą.

Taki jest jeden załączek tej opowiadki. Drugi: ciuchcia zatrzymywała się na przystankach znanych tylko lokalnym Arabom i wojskom Legii Cudzoziemskiej. Więc Saïda, Tizi, *etc.* To zatrzymywanie się, na oko wojskowo zaprogramowane znanymi potrzebami, kilka razy miało zabawny przebieg, ale w wyniku, pod koniec przyszłej wąskiej strużki wydarzeń, pojawił się i poważny grymas.

Całość mówi, że nasze doświadczenia wyginały się w coraz kształtniejszy znak zapytania: czy tak było pomiędzy F. i P. tylko „na tamten czas” czy sygnalizują, że i każdego przyszłego „dnia dzisiejszego” będziemy się sobie nawzajem „wyobrażali w podobnym duchu”? Próbką?

Tedy – ten drugi – podzałązek. Wysiadanie na przystankach szybko nabrało niespodziewanego sensu: że to przygody z psami pojawił się i humor! Tam łążyły psy. Nędzne. Na stacyjce Tizi obszczał swoje nas, przyszło szczęście, najmniejszy z później zebranej trójki, brązowawo-żółtawo-bury psi smarkacz, który potwierdzał swą marność piskliwym hałasowaniem. Ale nie uciekał. Dostał więc kawałek czegoś, co tak zwariowało jego powonienie i smak, że się natychmiast na nowo narodził jako nasz przyjaciel. Dostał pierwszy raz w życiu kawałek mięsa. I nowe imię: Tizi.

Na przystanku „Starego Łapcia”, tak go nazwijmy, rzucił się na naszych pierwszych wysiadających duży czarny pies i zaraz z jękiem i skowytym niemal uderzył pyskiem o ziemię, bo mu się podwinęła lewa przednia łapa. Ten czarny, średniej wagi zawodnik, kundel krwi i arcy-kundlego wyglądu, poderwał się na trzy nogi, zawrócił jak błyskawica i odgrzając się nam mocnym chrapliwym pół-szczekiem, lecz równocześnie pół-skowytym-błaganiem o darowanie mu właśnie popełnionego nietaktu – odskoczył. Ale i on skuszony kawałkiem smażonego barana na zimno, pobiegł, chwycił mięso a my jego i choć się wił przerażony ale nie gryzł, wpakowaliśmy go do wagoniku. Pojechał z nami na wygnanie. Tam szybko się przekonał, że co dnia udaje mu się coś zjeść, a z razu nawet za dużo, wiele, bo mięsa dobrego dla psów im oddawaliśmy, gdyż przynoszono nam jedzenie właśnie psie a nie ludzkie. O tym zaznaczam tutaj, a niebawem się rozpiszę, będzie to blisko początku dalszego ciągu. Więc! Tymczasem on otrzymał imię Łapeć. Lub Dziad.

I trzecia ofiara psiej nędzy typu arabskiego napotkała swoje wyzwolenie i szczęście, na prawie dwa lata w *Quartier Polonais* w Mechérii. Nie pamiętam gdzie odebraliśmy ją bieżącemu losowi, chodzi tylko o nią, o nią, bo to była chyba młódka, chyba rodzaju żeńskiego, wyglądu rozmaitego, jakby wynikła z ówczesnych tamtejszych, niezdecydowanych prób klonowania owcy z psyco? Korpus miała rozmiarów dorosłej już osoby psiej, niby-wilczurki, o sierści krótkiej, średnio szarej, z należnym tego rodzaju stworowi ogonem z tyłu, jak trzeba. Najciekawszą częścią tej naszej, od popołudnia tamtego dnia – maskoty, okazała się jej głowa: kształtem miła gębusia *à la* wilczycy, oczy poczciwe, gotowe wyrażać uczucia słodkie, ale uszy... uszy

wąskie, długie, wiszące, zawsze oklapłe, jak przeważnie u owiec. A może jednak naprawdę jej mamie przydarzyła się – sodomia? Może dopadł ją on, wspaniały kozioł z wysokiego Atlasu, gdzie zapędziła się w jego wyżynne ogrody w zabawach i gonitwach z jego ulubioną kózką, a on – niepewny jej intencji wobec kózki, na wszelki wypadek runął na nią! Mamcia, zaskoczona, próbując mu ująć, ledwie zdążyła się od niego odwrócić tyłem... On tak ją mile ukarał! Ich przypuszczalną dziecinę od razu nazwaliśmy Diana, choć niepewni czy to pies, czy bies. Wszystko następnej wiosny okazało się. Warto było poczekać.

A więc już. W gorącym mroku ponurej wieczornej pory, musimy pójść kawał drogi pod górę, po skalistym szlaku, po jego wyrwach i ostrych kamieniach – do czegoś na wzgórzach, co tam ciemnym ogromem zagradza nam drogę. Idziemy, odzyskujemy elastyczność ruchów po niemal dwu dobach w ciasnocie kolejki, psy na sznurkach, już zupełnie nasze. Diana wyróżniona czerwonym paskiem na szyi i smyczą z baraniej skóry. Idziemy pod niebem zasypczym cudownymi gwiazdami, tą rekompensatą natury dla ziemi bezlitośnie pozbawionej lasów. Dochodzimy do spodziewającej się nas, ostrzegawczo zaciśniętej, gniewnie rozkraczonej bramy. Stajemy. Bramczyśko wysokie, bardzo wąskie, pomalowane na czarno. A na obie strony, jakby jej brudne skrzydła, lecą dokoła mury i ujmują cały wielki czub wzgórz. Przed murami majaczą arabskie warty z karabinami. Sępie gniazdo. Teraz widać, że potworki Zodiaku, tak wyraźnie na czarnym niebie widoczne, brzydko nam życzą i wróżą psi okres życia za tą bramą koszar dawniej złowrogiej arabskiej konnej policji.

Otwierają ją od wnętrza. Przy wrotach stają dwaj wartownicy arabscy z karabinami w rękach. Gotowymi. Sądzymy, że bez amunicji. Wchodzimy. Przed nami rozległy plac. Po prawej stronie mur biegnie prostopadle do swego załamania pod kątem prostym na południe, na tle dalekich wyniesień podgórz Atlasu, tu, blisko bramy, po drugiej stronie muru, kwatery dowódcy tego karceru i jego zastępcy, młodego oficera, który ma wkrótce zamieszkać tam z rodziną. Tyle nam w drodze zdawkowo raczył wyjawic sierzant żandarm, typowy, czerwonołęby brunet, od krótkiej szyi do szerokiego zadu obciśnięty mundurem, dozorca na czas podróży z Mascary. Teraz powiedział „kolacja w tamtym

baraku” i wskazał budynek w głębi pod murem przy końcu placu naszego *quartier*. Jeszcze dodał, operując promieniem światła latarki, przeciwny kraniec placu i stojące tam budynki: „Tam kuchnia. Arab zrobi wam kolację. A za kuchnią ustępy, łaźnia. Woda dobra”. Poczym zadowolony, że ma nas zabezpieczonych w docelowej pułapce, zostawił w prezencie karbidową lampę i bez pojednawczo-pożegnalnych ceregieli nareszcie nas opuścił. Wyczuwało się, że raczej zdziwiony zupełnie bezproblemowym przebiegiem zadania, jakie mu zlecono. Nikt nie uciekał, zabawiano się piaskami, nikt mu nie narzucał się z podejrzanymi rozmowami, pytaniami. Kiedy zaraz po wyładowaniu nas na stacyjce Méchéria pospieszył ostrzec, że będą nas pilnie strzegli uzbrojeni Arabowie rozmieszczeni za murami, nasz dowódca, przez nas demokratycznie uproszony o przyjęcie tego kłopotu, kapitan Dworakowski, odpowiedział mu ostro, krótko: „Zbyteczni”. On zaskoczony, spojrzął mu czelnie w oczy, urażony, obrażony, podejrzliwie pokręcił głową.

Byli zbyteczni. Pan Emeryk Czapski, szef placówki PCK w Algierze, uprzednio konsul generalny RP tamże, pan o rozgałęzionych stosunkach (wysokiej rangi członek Zakonu Rycerzy Maltańskich) zapewnił nas, że postara się o przeniesienie nas na teren Maroka. Stamtąd ewakuacja morska do Gibraltaru funkcjonowała. Uprawiał ją ten sam kapitan Marynarki Polskiej, tym samym kutrem, który miał nas zabrać z brzegu La Macty. Ostatnio jego pracę utrudniała wyspa pod Casablanką. Trzeba będzie cicho przeczekać awanturki i wybuszki gniewków z biurach Kwatery Głównej wojsk francuskich w Algierze. Tamta wyspa marokańska miała charakter i wynik oczekiwane z dawna. Mianowicie nasi nocą szli z obozu dość odległego od morza do punktu zbornego, by załadować się na kuter i odpłynąć do Gibraltaru. Szli grupkami. W milczeniu. Droga bita. Polami tam się nie chodzi, szczególnie po nocy. W połowie drogi pierwsza grupka natknęła się na patrol żandarmerii. Dwóch ich było. Zaaresztowali, kajdanki pozakładali spokojnym awanturnikom. Ale kajdanek im rychło zabrakło. Następne polskie grupki zaproponowały im zdjęcie żelastwa aresztowanym i założenie go sobie. Pójdą bowiem razem na polski statek. Popłyną do Gibraltaru. Trudno. I cicho. Bo!... Reszta planu została wykonana. Ale w Gibraltarze zapytano Francuzów czy chcą dołączyć do sił

generała de Gaulle'a czy może wrócić do Maroka. Jeden wybrał de Gaulle'a, drugi powrót. Rozkazano kapitanowi kutra zabrać go, gdy popłynie po następną grupę uciekinierów. Widocznie James Bond operował poza Gibraltarem, a doradcą operacyjnym na Skale (Gibraltaru) był już Kim Philby. Żandarm po raz drugi obserwował całą polską procedurę. I napisał raport. Jakież głowy policyjno-żandarmeryjne potoczyły się pod stoły w Casablance. A my wobec tego ciuchcią do Mechérii, aż do obiecanego, oficjalnego przeniesienia nas do... wyżej wspomnianego obozu po drugiej stronie gór Atlasu i następnych naszych prób ewakuacji morskiej. Autorem obietnicy był (przypominam z przyjemnością) pan Emeryk Czapski, opiekun i kierownik naszych spraw. On, naturalnie, prosił o ciszę. (Hrabia Hutten Czapski, lecz z powodu tej wojny opuścił przedrostek na H. Dziś, kiedy to piszę, w dwutysięcznym i pierwszym roku myślę, że niezdrowa to litera, to H. Dla Austrii. Dla Europy. Dla świata. Takie jest pogrobowe zwycięstwo onego wielkiego Austryjaka – H.)

Czas na spojrzenie z lotu ptaka. (Bez pomocy ptaków. Tam ich nie widywałem! Podobno w całej francuskiej Afryce, jak i na południu Francji, ptaki nie istnieją od pierwszego Galla. Wystrzelano je do najmniejszego, nie czekając na wynalezienie prochu.) A więc spójrzmy na pusty prostokąt placu więzienia, przez nas odczuwany jako pobojuwisko post-La Maktyńskie. Okiem niechętnym, lecz nie mam ochoty zapuszczać się głęboko w tamte zakłęśnięcia mojej historii. Wystarczy humor i odraza. Czasem zabawne potknięcie się o uczucia. Zagojone (?). Bawmy się w prawdziwe opowiadki o nas.

Okolice. Mój przyjaciel z czasów méchéryjskich i do dzisiejszych dni, Jerzy Kraiński, opisał wczesne wrażenia widoków tamtych okolic tak zgrabnie, obrazowo i węzłowato, że chcę je tu przytoczyć z pamięci, jemu na chwałę, czytelnikom dla przyjemności, oto tak: „Méchéria jest już poza cywilizacją. Z jednej strony toru starej, sfatygowanej wąskotorówki mała osada arabska a z drugiej fort zbudowany w latach wojen kolonialnych. Wszystko otacza niezmierna dal *bledu* porośniętego *alfą-alfą*. W niektórych miejscach wyrastają z tej płaszczyzny łańcuchy dość wysokich wzgórz, które nie wiążą się w sensowną całość z otaczającym krajobrazem. Przy pewnym oświetleniu porannym,



wyglądają one jak wyspy wynurzające się z bezkresnego oceanu. Są to resztki gór Atlasu rzucone przez przypadek geologiczny na ten przedsiónek Sahary”.

Nie przypuszczam, żeby cywilizacja w naszym rozumieniu już rozbudowała tam coś, co ludzkie, ale i nie potrafiła zniszczyć czegoś, „co można z przyjemnością oglądać przy pewnym oświetleniu porannym”. Pewnego więc dnia...

Nie, tamtego wieczoru. Po zamknięciu bramy kryminału, siedliśmy gdzie kto miał na czym i filozofowaliśmy na temat ewentualnego przespania nocy, w tej zniszczonej, niby to poszpitalnej sekcji, gdy uchylono drzwi baraku i dwóch Arabów wniosło duszą nieckę blaszaną pełną czegoś, co jeden z nich, z lekka chichocząc, określił wyraźnie: *Ceci manger pour vous* i obaj szybko opuścili nas. Mieli rację. W misce leżały porąbane kawały nóg wielbłąda, nie całkiem oprawione ze skóry, niedogotowane, ciekła z nich krew. Podsypane to piaskiem, a nawet dały się dojrzeć drobne kamyczki.

Tu należy wyjaśnić kto zagrał tego wieczoru swoją rolę przyjmującego nas gospodarza. Jaki to rodzaj ówczesnego (czy tylko?) Francuza rządził i miał nam długie miesiące pobytu uwstrętniać. Nie pamiętam jego nazwiska, jeśli je przypadkiem znałem. Dowiedzieliśmy się później, lokalnie, że ten Vichyniowiec za czasów wojny domowej hiszpańskiej ponoć służył tam w niemieckich oddziałach pomocniczych.

Starannie pożywiliśmy ciała, a i dusze, małą częścią naszych dużych zapasów. Doświadczeni podczas uprzednich ucieczek w Afryce, że wobec braku jedzenia i kropli wina, dusza mdleje, teraz nie daliśmy się zaskoczyć „hitlerowcowi”.

Kuchnia, arabscy strażnicy-kucharze, dość długo, jakby celowo partoliła względnie dobre produkty sprowadzane z miasteczka M. Po naszych nieustających protestach do komendanta złej woli i do naszego „biura” w Algierze, krzyżujących się z jego raportami do Departamentu Armii, której podlegaliśmy, o naszym nieznośnym zachowaniu, jemu rozkazano ustąpić! (A więc *monsieur le comte* Emeryk Czapski górą). Wtedy u nas rozpoczęła się farsa wyborów niczym dzisiaj na kandydata na posła: żaden z nas nie miał zamiaru ciężko harować przy robocie, o której miał w najlepszym razie „harcerskie pojęcie”. Wtem ukazał się nam siedzącym na szkieletach łóżek szpitalnych

potrzebny bohater – stanął przed nami wysoki, kanciasty, o chropowatej twarzy, o szczęce dolnej, wyprzedzającej górną, o nosie uciętym zgodnie z rysunkiem szczęki dolnej, bystrooki, kapitalny kandydat na bohatera, dowojenny wybijający się architekt, dekorator teatrów lwowskich: proszę państwa – Mieczysław Różański! I krótko powiedział: „Ja obejmuję kuchnię!” Zdumienie! „Mieciu! A skąd ty do kuchni?” milczała reszta nas. Mietek zrozumiał tę niewypowiedzianą niezgodę. Opowiedział świetnie, sam Franz Fiszer by mianował go swoim następcą: „Kiedy bywałem w Warszawie, jadłem «Pod Bukietem», więc proszę mi tu niczego nie kwestionować!” Miecio – już niewątpliwie Mieczysław. I tak on w naszym sejmie niemym, z radości, otrzymał zatwierdzenie, choć wiedzieliśmy, że nie chodziło Mieciowi, kochanej szelmie, o mielenie wielbłądziny na kotlety dla nas ale o nieograniczony dostęp do naszej beczki wina, przywożonej do naszej kuchni przez Arabów-wartowników, z miasteczka cierpiącego swój los u podnóża naszego wzgórza. Tam pewien Francuz trzymał wcale dobrą *café-restaurant*, dla wszelkiego rodzaju władz francuskich. Naturalnie. Kulturalnie. A raczej – cywilizowanie.

Po kilku miesiącach komenda oddała nam lepsze, obszerniejsze baraki. Posiedliśmy je z zadowoleniem – według ustalonych już między nami poziomów. Bo politykowanie wewnętrzne, ścichapęk skrzypiały na skrzypkach i pod swe melodyjki dzieliły społeczność, na klasy sobiepanów i na panów, ale tylko na przyszłych adresach. A ten plebs, tych maturzystów z cywila, oficerków, podchorążych czasu wojny i tak się samorzutnie rozlatywał na karcjarzy, na gaduły, sucho-gęby, popijaków i na kpiarzy, i wróżbiarzy, na te typki niezbadane, tę resztówkę, co na wojnie bywa podziwiana, kiedy swe życie kładzie, krzyże zbiera, sławę rodzi dla narodu, jak najlepsze jego syny. Często ponad tych najlepszych. Potem żyją, jeśli żyją, za dwa grosze. Wspominają swoje dzieje i dowódców. Ale były tam wyjątki wręcz specjalne. Nasz dowódca, wzór autorytetu, jakże spokojnego, rozumnego, świetny kapitan Kazimierz Dworakowski; Cezary Szaszkiewicz, intelektualista, co zawadzał o krytykę literatury; dowódca eskadry Łosi z Warszawy, Eugeniusz Prusiecki; Tadeusz Woyniłłowicz, starszy pan, lecz gimnastyk czarujący i nieustający, albo częsty; Dal Krahelski

Antoni, atleta, zatwardzenie z charakterem; Zdzisław Raczyński, inżynier z prawdziwej Politechniki Warszawskiej; Miecio Chan, okaz mistrza prac w baraniej skórze, bez warsztatu; Żuralski Jerzy, najbardziej z nas cierpiący tęsknotę za rodziną; Złotnicki Staś, elegant w starej marynarce, więc teoretyczny, a gdy wreszcie przywdział mundur – pancerniak, schowany w czołgu. W którym zginął; Karmański Stefan, miłego mi imienia, z „Iskry” krakowskiej, której farbami wodnymi uczyłem się pacykować; Ostromęcki i Szczerbik Dobrosław, inżynierowie elektrycy z prawdziwego zdarzenia, których, po latach, w czas innego zdarzenia, odwiedziłem w ich firmie w Buenos Aires, z której oni wysyłali druty telefoniczne i telegraficzne, by wreszcie przykryć nimi resztę Argentyny.

A teraz czas na postać! Proszę Państwa – Jan Majeranowski! Postać mała, przez Henryka Sienkiewicza uznana za standardowe wcielenie wielkiego ducha. I nie mylił się mistrz taki. Jan potwierdził jego zdanie. Roztropnością w swych rozmowach, więc rozumem, swą skromnością, oczywistym przemyśleniem słów mówionych, później we Francji cichociemny, gdzie zrzucony już z Londynu, walczył swoim charakterem niczym szablą, gdy go Niemcy, zdradzonego, pojmanego, mordowali biciem i francuskim wynalazkiem – w wannie zatapianiem, po ostatnie znaki życia. Jan nie poddał się. Wypuścili, by go śledzić. Uciekł im i powrócił jako cichociemny, znów zrzucony z samolotu, w innym mieście. Tam to spotkał brakującą mu część losu bohatera: cichociemną lecz jasną Polkę. Razem pracowali, razem ich odznaczano, razem ułożyli sobie życie i rodzinę. Nie ma już ich. Nie ma. W Grenoble na jego starania i dla ich zasług – francuskie władze miejskie postawiły pomnik ku czci polskiego Podziemia. Syna pozostawili w Nicei, głowę francuskiej rodziny, co jeszcze polski rozumie.

Ja „nie należałem” i natrafiłem na drugiego „nieprzynależnego”, Jurka Kraińskiego, związała nas konieczność i „chęć szczerą” nauczania się co-nieco języka nam co-nieco przychylnego: angielskiego. Dość łatwo dostaliśmy osobny, spory pokój. I stół. Duży, długi stół. Ten wkrótce zasypały *Assimile*, świetne francuskie samouki, najlepsze ze znanych mi do tej pory. Oczywiście dla samouczniów znających język francuski. Nie dla mnie. Ja, w Siedlcach (*Anno* 1934), zdając egzaminy maturalne, dla

udowodnienia mej dojrzałości także i językowej, wypowiedziałem płynnie kilka zdań po niemiecku. Wobec obehwładniającej sytuacji w 7 lat później, wziąłem się do budowy swego sposobu uczenia się z pomocą miłego mi *Assimila*. I tak: trzy słowniki, francusko-polski – lekcja przeczytana; francusko-angielski – lekcja zrozumiana; słownik angielsko-polski – własnoręcznie napisany; Teraz – tekst angielski pojęty, przepisany, przeczytany – milcząco i myśląco. A na dworze powtórzony głośno, po dwa razy, skorpionom, albo i trzy, jeśli po drugim razie nie dało się uniknąć błędów w powtórcie, a skorpiony jeszcze ciekawie słuchały. Stało mi się prawdą niemylną, że należy wprzęgać do pracy wszystkie zmysły: wzrok, słuch, cały ustrój jamy gębowej, tj. wargi i język, w angielskim i zęby; dalej, palce przy pisaniu, one zapamiętują ortografię, mimo, że często angielskie dźwięki słów nie chcą mieć z nią nic wspólnego. I powtarzać, powtarzać, jak bajeczny kowal, co z żelaza, po co dziesiątym uderzeniu, wybijał złote podkowy. Kuliśmy, rozochoceni wynikami, wprost ciągle kuliśmy.

Minęła lepsza pora roku, zima. Rzuciła się na nas wiosna. Tamtejsza! Najtrudniejszą okazała się (kto by pomyślał, kto by cios odwrócił?) dla – Diany! Znikła jej uległość, uszy podnosiła niemal do połowy ich długości, patrzyła prawie bystro, łepkę przechylała chyba zalotnie, chód jej nabrał elastyczności, rozglądała się na wsze strony... Nikt nie zwracał na to uwagi. Aż przepadła! Jak! Gdzie! Kto ją widział ostatni? Nie pomagały wołania, na nic obiecania pysznej kolacji ani nawet kawałka czekolady, za którą przepadała. Strach nas ogarnął i trzymał wraz z bratem lękiem, a ten zaraz powymyślał najgorsze, że to w restauracji, na dole zabrakło mięsa i Francuz podkusił Araba z warty, żeby ją porwał, to dostanie skórę na sprzedanie dowódcy garnizonu, temu hitlerczykowi co nas nie znosił, ten się ucieszy, dobrze zapłaci. Brednie, brednie, a Diany ani-ani i w jaki, u diabła, sposób, bez czyjejś „roboty”, przeskoczyła mury? Otworzyła bramę? Szczekanie Tizi i Łapciucha przestało nas ożywiać. Taka troska, co szarą pustką nam zagroziła, świadczyła o naszych uczuciach dla niej. Może normalnie nie dość objawianych. Aha, to może o to jej chodziło? Po dwóch dniach wyjaśniło się co ją nieodparcie a sprytnie za nos wyprowadziło na szeroki *bled*. Wróciła. Zmarnowana, zganiana, wygłodniała,

brudna, wlaża u nas pod łóżko i wyjść nie chciała. Czasem wyglądała bardzo smutnym okiem. Cierpiała. „Cierpi za prawa Matki Przyrody, które ją zwyczajnie wiosennie sponiewierały. Dorastanie jest bolesne, potem przyjemne, potem trudne. Doświadczyła. Pewnie w tych pagórach, jak podobno kiedyś jej matka” powiedział i westchnął nasz poeta, Janusz Ząb. (To jego pseudonim).

I znowu méchéryjski upał robił z naszymi psychologami i fizykami co chciał.

Któregoś dnia, jak co dnia...

Nadciągnęła popołudniowa, skwarna cisza. Z kuchni gęsto dymiło. Miecio Różański, wielce obiecujący, póki we Lwowie, nasz samozwańczy kucharz, coś tam usiłował wykombinować z niczego. Do pomocy wyobraźni miał pod ręką naszą beczkę wina i publicznie mu przez nas przyznane prawo nieograniczonego czerpania z obu. Z wyobraźni i beczki.

Mietek już miał za sobą próby nieudane, potrawy z chudych nóg wielbłądzich, z kaszy *kus-kus*, jakieś zupy nieszczęsne, bo kłujące w podniebienia. Zupy kłujące! Dla ulgi powracał, ciągle gotując, do swoich innych światów, pomysłów teatralnych, dekoratorskich. Stąd nad wejściem do kuchni błysnęła napisem czarnym, obramowanym różami. Napis czytało się jako skromną gadkę dostosowaną do Mietkowej okoliczności życiowej. I tak: „Komu Zupa Nie Smakuje Niech Mnie W D... Pocałuje!” Krzyk artysty w rękach losu. Wybaczyliśmy.

Mietek opracowywał naprawdę poważny projekt, projekt ołtarza z obrazem Matki Polskiej, Matki Boskiej, na przywitanie Białych Braci angielskich z afrykańskiego oddziału zakonu. Dali znać oficjalnie, że to w ramach ich misji pocieszenia beznadziejnie grzesznych. Oczywiście dla bezbożnych dozorców naszych brzmiało to podejrzenie, lecz równocześnie zwiastowano z Algieru inne godne i ważne wizyty, może warte obserwacji przez „służbę” władz obozu: pana Emeryka Czapskiego, pani Kazikowej Józefkowiczowej z niemowlęciem synem – do Kazika-męża i do mnie, bym mógł zostać jego chrzestnym ojcem.

Mieczysława dręczy brak materiałów, kartonów, tektury, barwników, ma węgiel drzewny, trochę tartej cegły i tyle. Czerwień wyczerpał na różę w obronie swej chwilowej roli. Malować węglem i winem? A choćby! Ale na czym?

I oto z jego kuchni, w skwarnej ciszy południa Południowej Afryki Francuskiej, dym za dymem dymi. Widoczny dowód jego nowego garnko-patelnianego niepowodzenia. Wkrótce głodni koleżkowie podejną po swoje kubki wina i dadzą sobie upust krytyki Mieciowego kuchmistrzowego partactwa. Licząc się z takim atakiem Mieczysław Dzielny wychynął na dymiący próg, ocierając twarz, łzawiące oczy. Podniósł blaszany garnuszek do ust, zatoczył wzrokiem i sobą, nieco, i wtem miast zatoczyć się ponownie – sztywnieje, przeciera oczy, dopija wino i znowu znad oczu odgarnia czuprynę. Patrzy. Spoziera. Milczy. Przed nim odległy o dwadzieścia może metrów, dwumetrowo-trzymetrowy, niewiadomej miary i pochodzenia – wąż! Fatamorgana! Tam nigdy żadnego takiego... Nawet żadnego szczura, myszki... Ani pluskiew... Pchłyśmy z psów wygubili... Mnogie skorpiony i tyle... Nawet muchy tam nie bzycały... No, mrówki. A tu raptem – wąż!

Chwila szlachetnego uniesienia artysty! Patrzy i w wyobraźni widzi węża-wybawienie: właściwej długości, ciemnej barwy, połyskliwej skóry, godnej przeznaczenia, upiękzonej białymi wypustkami łusek! Cudo! Jak on pięknie powoli faluje całą tęgą długością mięśni opiętych tą skórą... Mietek podchodzi... Wąż zobaczył, że jest widziany – zmarł. Straszne okrągłe oczy nieruchomo patrzą.

Niespodziewany krzyk w oddali: „Panowie! Wąż! Koło Mietka przed kuchnią – wąż!” Biegli. A Mietek myśli: spłosziliby go, uciekłby, kamieniami popsuliby mu skórę!... Mietek rzucił się węża bronić, osłonić, bo potrzebował go, tego właśnie, tego zesłanego w tę porę! A nikt pojęcia nie miał co Mietek w swej wizji zobaczył.

Wąż, głuchy jak cały ród wężowy, brzuchem wyczuł drgania, tupot nóg biegnących, zwinął się w pagór potęgi, okrągłym okiem twardo patrzył na najbliższego mu wroga, błyskawicami języka groził mu, może szybko rozważał czy by trucizną nie strzyknąć mu w oczy? Ale czy truciznę miał?

Mieczysław z Mietka stał się Mieczysławem! Choć na razie częściowo, bo gdy w nagłym rozbiciu myśli i drapieżnym wyzwaniu podbiegał do gada – zdał sobie sprawę, że w rękę miał tylko kubek do wina. W zawrocie do kuchni po broń poplątały mu się długie nogi, potknął się, padał, wyciągnął rękę, nie

dotknął ziemi, ale jak byk na arenie galopem runął w kuchnię, by jedyną broń właściwej długości tam chwycić i chwilę potem stanął do walki z wężem przed spornym już półkolem kolegów, a w garści na długim kiju trzymał – miotłę! Półkole huknęło śmiechem.

I tak rozpoczął się bój ogromny, nigdy do owych dni w żadnej Afryce nie opiewany.

Wąż uderzony grzmotem fali drgań śmiechu wysokiej częstotliwości jemu nieznaney, natychmiast rozsunał się ze swych potężnych zwartych form obronnych, wyciągnął na całą faktyczną długość, pppponad ttrzy mmmmetrową!... i ruszał do uciezki, gdy Mieczysław prawą stopą wdepnął mu ogon w twardą skałę podwórca! Wąż zwrócił się ku niemu i rzucił w ataku okrutny łeb, lecz Mieczysław z ogromnym rozmachem swych długich ramion i wagą tułowia pchnął mu poprzeczkę szczotki na szyję, przyduślił ją do pustyni, stanął na niej swoją lewą nogą w tym momencie na pewno dłuższą, przy czym podniósł z ogona stopę prawą, a wąż w jednej chwili całym kolosem potężnego tułowia owinął się na jego prawej nodze od stopy do wysokiej pachwiny. I tak Mieczysław nad wężem, obaj na moment zastygli w posąg. Grecki.

Wtem Mieczysław krzyknął do świadków z otwartymi gębami: „Do kuchni! Po tasak!”, „Ale ty nie masz tasaka!” odkrzyknął mu bardziej przytomny Miecio-drugi. „A ja mówiłem, żeby od tamtego żandarma! Żeby od tamtego żandarma odkupić rewolwer! Mówiłem!” zawołał pewien kapitan.

Na to Mieczysław wrzasnął: „Pierwszemu, który mi przyniesie mój nóż z kuchni – zafunduję befszytk z polędwicy węzowej! Prędeż, bo mi nogi drętwieją!”

Na to dwóch uciekło do baraków.

Trzech kolegów popędziło do kuchni, w jej ciemni i dymie przy pomocy niezwykłej inteligencji dorwali się do przedmiotów podłużnych i jako-tako ostrych i przypędzili pod posąg godny tytułu: Mieczysław Przeciw Potworowi (i prawie W Obronie Koncepcji Obrazu! Ale o tym jeszcze nikt nie wiedział nic.) Natychmiast Mieczysław, znów Mietek-kucharz, chwycił nóż, ciachnął wroga Chrześcijaństwa w poprzek jego wąskiej szyi i otrzymał brawa. Wężowe sploty opadły z jego uda. Mieczysław zachwiał się, jak należało po takim naprężeniu. Otrząsnął się z

podpierających go i nastąpiło Mieczysławowe zaproszenie do beczki wina. Naszego! I przy beczce obiecane wystawnej kolacji, „jak z węgorza «Pod Bukietem»” (Nasz pocziwy polski wężyk – zielątek, zaskroniec, nie nadawałby się. Nie zagrałby takiej roli).

Również po stronie spraw nie przewidywanych: Miecziowa godna wizja „Obrazu Świątości” zrealizowała się – na naszych oczach! Zaczęło się od tego, że gdy Mietek dowiedział się o całkiem pewnej wizycie, a więc obecności wśród nas świątobliwych zakonników, irlandzkich Braci Białych, którzy szli przez swe życie nawracając lub utwierdzając w jednej wierze nie całkiem straconych – powziął myśl o zaskoczeniu ich pięknym ołtarzem Matki Polskiej, Matki Boskiej! I swoim trzecim okiem artysty wyraźnie zobaczył ten obraz... w obrazie. Mietek zdecydował, pod stopami postaci Matczynej z Dzieciną nowo-tradycyjnie miał wic się wąż a poniżej węża staro-tradycyjnie po polsku winne krzyżować się – dwie polskie karabele! Lecz, Chryste Panie, w jakich pochwach? I oto stało się! W węzowych skórach! Właśnie „mamy takie skóry, mamy!” (Nieśmiertelny pan Juliusz nie przyjmie tych słów za plagiat, wierzę...)

Niektóre początki rozwijają się w dalekie fantazje, niebываłości, powodują wybuchy zdumień i nieustannych zdziwień. Niekiedy w ciurki jakże miłej nieprawdy.

Otóż podobno (sam to mam za bajkę) wśród podoficerów więzienia Legii Cudzoziemskiej w niedalekim już Colomb Béchar (ch=sz) pewien starszy szeregowiec legionista – Niemiec, ratował swe zmysły malarstwem. Taką to pokutę nałożył na barki swej duszy za to, co na rozkaz, w 39/40, dokazywał w Polsce. „Do wyzwolenia przez pędzel”. I usłyszał on o Mieczysławie malarzu w méchéryjskim obozie, który cierpiał bez pędzli i farb. Jednym skokiem czulej myśli uwolnił się od dalszych pokut, drugim anonimowo przesłał (i doręczono!) Mieczysławowi pół swego warsztatu. I oto Mietek odzyskał moc malarskiej potencji. Obraz narodził się! I spełnił to, czego oczekiwaliśmy. Z nadwyżką. Uznaliśmy talent Mietka – tym razem bez wyjątku...

Biali Bracia przybyli. Do miasteczka Méchéria. Powiadomiono o tym naszego gospodarza-dowódcę. Kapitan Dworakowski, po krótkiej naradzie w kuchni oznajmił nam, że przywita ich tam, lecz nie podejmie ich obiadem w francuskiej knajpce,



ale tu, u nas, dziełem naszego mistrza naszej, zlokalizowanej, sztuki kulinarnej. Spełniło się.

Bracia najpierw zostali oczarowani kapitanem, następnie obiadem z kotletami wielbłądzimi (Mieczysław podkupił był w knajpce maszynkę do mielenia mięsa!) i podsmażanymi ziemniaczkami (na wężowym tłuszczu! Co? Jakim? Sza!), przybranymi gotowanymi strączkami zielonego groszku... Na deser złożyły się przypadkiem odkryte zapomniane czekoladki paryskie plus po kieliszku portu. Powiedział starszy z Braci: „Mamy materiał dla «Geographic Magazine». Odkrycie odcinka polskiej Europy w kącie Algierii i to w jej kącie złej sławy, w Méchérii”. Po odpoczynku, bowiem podróżowali byli z bardzo daleka, aż z okolic Blidy pod Algierem czy Constantine, odprawiona została niespodziewana w tym kącie świata, aż dziwnego w jego prostocie – niesłychana uroczystość odsłonięcia obrazu Matki Polski, Matki Boskiej. Wszyscy przeżegnaliśmy się z rzetelną nabożnością. Ojcowie zupełnie spokojnieli, poddali się zachwytwowi obrazem i jego twórcą, Mietkiem. My równie. Po uczczeniu obrazu poświęceniem, modlitwami, po błogosławieństwie dla nas, przyszedł czas na niedługie rozmowy, zabawnie ukazujące, że angielski język Ojców a nabywany przez Jurka i przeze mnie, już dla nas raczej żywy, są różnymi tworami ludzkich inteligencji językowych: ich całkowitej, naszej częściowej, bośmy obznajmili się zaledwie z czytaniem i pisaniem tekstów *Assimilowych*. Opisuję ten fakt rzetelnie i pokornie, lecz się nasze-moje pocieszenie rychło i niespodziewanie wyłoniło, znowu ze skrytki w zakątku historii tamtych czasów. O czym za grosz cierpliwości.

Mietek nie powrócił do statusu „Mietka” lecz utrwalił się w Mieczysławie lub kochanym Mieciu. Gdy został zwolniony z ciężkiego obowiązku kucharza przez zawodowego twórcę (czy to także sprawa pana Emeryka?) tzw. jadalnych potraw, Mieczysław oddał cały swój czas właściwemu zawodowi – architekturze. Z tej strony jego talentu powstała koncepcja i przemiana charakteru złowrogiej bramy wejściowej do obozu – z kryminału do, no, do czegoś zdradliwie interesującego... Mieczysław nadał mu styl mauretański! A to by przez długie lata intrygował, stawiał znak zapytania, tym samym upamiętniał nasz-jego pobyt w tym miejscutku. Dzięki pracom nad nową szatą bramy dojrzelśmy pewien szczegół sterczący przed tą bramą: kamień biały z datą

założenia fortu w latach wojen kolonialnych – 1863. Zrazu wydało się nam, że to doprawdy aż przesada.

Po wojnie Mieczysław wybrał kraj dobrego wina – i dotarł do jego burzliwego dalekiego krańca („coś dla wygnańca”... Hemar) – Argentynę i jej Ziemię Ognistą. Tam budował domki dla przyszłych zespołów budowniczych lotniska oraz jego Szklanych Domów. Zarabiał znośnie, dorabiał obrazkami, rysunkami, za wino płacił tylko sztuką, po roku czy dwóch zebrał tyle, że on, góral przeniósł się do argentyńskiej Cordoby, pięknie położonej na podgórze. Jakoby kupił hotelik i tam szczęśliwie, zawsze niezależny, nie dokończył ostatniej butelki. Własnej.

A co się „wyłoniło” w Méchérii naszych czasów, a wyłoniło się tak, że nam szczęki opadły, oczy wyskoczyć czy nie wyskoczyć się wahały... Niemal zaraz po wyjeździe Ojców Białych, wczesnym popołudniem otworzyła się brama i weszło ośmiu obcych tu ludzi w charakterystycznej formacji: dwie trójki, tj. po dwóch podtrzymujących ramiona jednego, skulonego, podskakującego na jednej nodze kaleki, przed nimi i za nimi arabscy dozorczy... Korowód ten skierował się do naszej łązni. Dozorcy zdecydowanie zatrzymali nasze próby zbliżenia się. Ale nie przepuściliśmy ich wyjścia, oczyszczonych, umytych. Jeden z pomocników kalekom zawołał do naszej czujki: *They escaped, today brought back!* Dozorcy, Arabowie, zamachali rękami przerywając dalszy ciąg informacji i zaśmiali się pokazując palcami wykąpane ofiary.

O tej próbie ucieczki nie wiedzieliśmy. A przede wszystkim o kim tu mowa? O dużej grupie marynarzy ocalałych z angielskich statków zaopatrujących Maltę i Egipt. Czyli o tych, którzy po potwornych rejsach z portów Anglii poprzez pola peryskopów Zeissa i torped Kruppa docierali do wejścia na Morze Śródziemne i wpływali pod naloty Capronis, Macchis, Fiatów, Stukasów, Heinkli, Messerschmittów, Dornierów i torpedy U-bootów, by od Słupów Herkulesa poczynawszy, bronić się kilkoma działkami każdy i przeciw do Malty, inni poza Maltę, gdzie nasycenie nieba i morza wrogami wydawało się mniej gęste. Wydawało się. Rzecz nieznaną czy ustalona? Utrwalona? Ile statków zostało zatopionych gdy musiały skradać się wzdłuż pobrzeży Afryki francuskiej, a tam, bliżej lądu, czekały na nich działa artylerii francuskiej, zmuszały do poddania się, lub

zatapiały; ilu uratowało się? Tych i w dalszych rozłogach Morza żeglujących rozbitków szukały francuskie ścigacze uzbrojone w działka i KM-emy. Kogo dopadły tego zabierały do... Méchérii. Do *Quartier Anglais*. Od *Quartier Polonais* odgródzone solidnym, wysokim murem kamienia i milczenia.

Ale nie od mego pisania a ich czytania. W tym względzie byłem osobiście zamotany, nader zainteresowany. A jak się zamotało?...

Kiedy tamte grupy przywieziono do Méchérii, nas o tym powiadomiono zakazami wszelkich kontaktów, w tym „prób tworzenia grupek niby to dla nauki języka angielskiego” albo innych wykrętnych kombinacji zdobycia większych możliwości domagania się czegokolwiek. A my życzyliśmy sobie wiadomości od tamtych, jakichkolwiek o biegu wojny, o nich samych, o tym, co przeżyli, o ich przypuszczeniach, nastrojach, nadziejach. O Anglii. Wtedy jakby skrawku Polski. Zakazy – w porę i na szczęście – rozbudziły, pomnożyły energie i odgałęzienia pomysłowości, w tym Jurka i moje: założyć pocztę dla Anglików, dawać im komunikaty radiowe, pisane przeze mnie według naszego odbioru Polskiej Sekcji BBC z Londynu. A jeśli się da zrozumieć mój angielski, to odpadnie męka i okropności moich tłumaczeń. Radio! Dawać nam radio! Ale nie ma radia! Jak to nie ma? A przecie mamy naszych specjalistów radiowców! Radio trzeba zbudować, zaraz, a najpóźniej – co prędzej! Oni mieli części, ale wysiłki ich łamał brak baterii do takiego radia. Raptem narodził się podstęp i zakwit! Ugodzić majora w jego francuską piętę... Mianowicie dotychczas pijaliśmy dozwolone nam przydziały wina w blaszanych kubkach. Po wyjeździe Białych Ojców podnieśliśmy przykry dla ucha francuskiego gwar, że musieliśmy gości na francuskim terytorium traktować winem – w blaszankach! Wino wcale nie podłe, ale co za wstyd! Wstyd! I w ogóle wstyd, że my, oficerowie i podchorążowie, do tej pory taką irytującą, oburzającą sytuację cierpimy. Należą się nam szklanki. Zwykłe, szklane szklanki! Szklane. (Bo tylko takie nadawały się do zbudowania baterii do radia!)

Jaki on tam ten Francuz był, ale wymaganie szklanek do wina od razu do niego dotarło. Zgodził się na zakup dla nas, około stu szklanek. Powstała bateria, powstało radio, powstała POCZTA!

Zostałem redaktorem *etc.* Gotowy komunikat przerzuci-  
liśmy przez dość wysoki mur: papierek owinięty na kamyku. Nie  
wydało się. A na papierkach niekiedy jarzyły się treści przejm-  
ujące, skłaniające do wiwatów! – mowy Churchilla.



A teraz krótka, szarpiąca, opowieść o psie. Wiem, może  
wstrząsnąć i pozostać zakodowana w pamięci, na wysokich pół-  
kach, na tak zwane „zawsze”. Wystarczy ją czasem, przypadkiem,  
trącić. A tak zaczęła się ona. Przywieźli nas. Z czasem dostoso-  
waliśmy otoczenie do siebie, o ile się dało. Zaczęły się prace,  
nauki, gadania – „szurania” czyli polityki-bzdury spod latarni, bez  
latarni, niemało się pijało. (Nalej, nalej mu wina, bo mu się, bo  
mu się głowa się nie kiwa!), oczywiście znalazł się poważny  
stawiacz kart. Gdy podpił, duch z niego wyłaził, co on, spazma-  
tycznie wrzeszcząc, krótko oznajmiał i ten duch rajcował z  
przyjaciółmi duchami, które mu objawiały czegośkolwiek ani on,  
ani oni nie wiedzieli, ani przed tym, ani potem. Wystarczało.  
Był on nie musiał kilkakrotnie oznajmiać, że udaje się po  
wiadomości między duchy.

Pisano pamiętniki, w przyszłych perypetiach pogubione, od-  
bywały się gry wojenne. Lotnicze! Obecny w obozie przedwojen-  
ny dowódca eskadry Łosi występował w zwycięskich nalotach na  
niemieckie cele, ja zaś jego bombowce niszczyłem latając na  
wczesnych modelach niemieckich myśliwców. Potem otrzymałem  
jego zgodę na operowanie Spitfire’ami II a nawet V, bo on za-  
skoczył mnie rezygnacją z Łosi i Wellingtonów i podjął operacje  
na amerykańskich Fortecach 17. Chodziło o obronę czegośkolwiek  
a nie kogokolwiek. Zdumiewające objawy wczesnego humanizmu?

Przez tamten okres niebytu, nauki dla niewiadomej przy-  
szłości, nikłego humoru, psy podtyły, zleniwiały. Piskliwy Tizi i  
charkotliwy Łapciuch, oficjalnie zwany Dziadem, otrzymywały  
codzienną rację pogłaskań i przykazań, żeby nie wyskakiwały ze  
skór na widok Arabów, posługujących w obozie (zupełnie ludzka  
ta ich zjadła pamięć krzywdy od urodzenia). Zachowywały syty  
senny spokój. I my także byliśmy tak nudni, że skorpiony nas  
omijały. Aż pewnego dnia stało się, że piorun z jasnego nieba  
przybrał kształt psa!

Bez zapowiedzi przyszedł do naszego gospodarza *cum* dowódcy, kpt. Dworakowskiego, starszego pana, całą postacią nakazującą szacunek, młody porucznik Francuz, nowy nieznan nam adiutant komendanta, Vichy-niowca, nie, żeby się kapitanowi przedstawić, ale by kapitana-więźnia zobaczyć. Może go sobie ocenić, Żeby popatrzeć na nas. Siebie pokazać.

Jego i nasz pech postanowił przy tej okazji zaliczyć sobie złowrogi kawał. Doradził mu przyprowadzić do nas jego psa. Ależ, co za psa! Niebywałego! Psa nad psy! Takich psów więcej na świecie nie było! I nie ma! Jakby go odtworzyć... Lub choć opisać? Oto próba... Duży, atłasowo biały, o długawej sierści co okrywała potężne, śmigłe ciało i przylegała doń tak dokładnie, że widziało się muskuły jego nóg a one przydawały jego biegowi pozór lotu nad ziemią, nieoczekiwany, zachwycający. On w biegu ziemi nie tykał. Głowę proporcjonalnie dużą, trójkątną, lśniącą białą, o wielkich, czarnych oczach, niósł ponad wszystkim, co go otaczało, wszystko widział i nic go nie interesowało – najmniej nasze psy, roztrącał je, pomiędzy nimi i ponad nimi przenosił się jak biała zjawa, biegał, bo do biegu był pomyślany, stworzony, był nieustannym ruchem. Ledwie za nim nadażał jego świetny ogon.

Nasze zignorowane psy zaszalały, oszalały, napadły go po swojemu. Tizi rozpieszczany, rzucał pyszczek do przodu, skakał zadkiem do tyłu, uciekał na boki, Dziad-Łapciuch jęczał, krztusił się, opadał głębią na podwijającą mu się lewą, przednią łapę, uciekał jak kiedyś przed nami, bokiem poglądając, czy go nikt nie goni i chrypliwie przydawał niskich tonów Tiziemu. My pękaliśmy! Zauroczył nas. Wołaliśmy: „Odkupić go od niego!” „Od niego”, bośmy z miejsca go odczuli, zrozumieli, zlekcewazyli małą literą. Awantura trwała, nasze nie dawały posłuchu najsroższym groźbo-prośbom i wszyscy zajmowali się tylko nimi, a zapatrzeni na Bielika, Bielasa, na Białą Szał! Nareszcie ktoś go zdefiniował! Białą Szał! Zakasował jego właściciela. Ten pozieleniał. Nasz gospodarz stał bez słowa, uśmiechnięty, francuskiego znał ledwie nieco i nieśpiesznie się poduczał. Psi pan przyjął tę scenę za obrazę jego stanowiska i osoby. Zabrał psa, za bramą znikł bez słowa i widocznie przysięgł sobie, że nigdy, nigdy więcej itd.

A szkoda. On, jak przyniosła do nas plotka, miał żonę *très*

*joli et charmante*, mogło byłoby wykluc się coś towarzyskiego, może nawet dla naszych panów znających język – towarzystewko polsko-francuskie i cotygodniowe obiady w restauracyjce, za bramą, na dole, co? Coś choćby pseudo-normalnego? Przy tym na uboczu od hałastry.

Psy odpoczywały. Zbliżał się szybki zmierzch Południa, kolacja „Pod Mietkiem”, śmiechy, wino, spokój. A tu raptem jakby z bata trzask! Tam, pod murem grodzącym nas od dowództwa, Tizi i Dziad z wrzaskliwą mieszanką psiego falsetu z baryto-chrypem, galopują w tę i we w tę, pędząc to tu, to tam, dlaczego? Aaa... widocznie na lekkim wiatorku doleciał do nich zapach czy dźwięk Białego Szału i wściekają się, na ślepo kotłują i swoim szczekiem śledzą-prowadzą jego wieczorne wybiegi dla zdrowia. Tam, po jego stronie. To okazało się wstępem do psiej „zimnej wojny” z „tamtą stroną”. I co gorsze, faktem powtarzającym się, szczególnie nocami. My chowaliśmy psy na noc w zamknięciu. Ale nie zawsze, albo nie dość zabezpieczając wyjście. A one nocą galopem pod mur dowództwa i słuchają, i poszczekują, i przy byle potwierdzeniu, że on tam biega – w nas psi wrzask.

Plotka, dobrze poinformowana, przyniosła, że pani pana porucznika nie może tego znieść, a nocami nie może spać wśród szczeku, ani w spodziewaniu masowego szczeku. Tego ujadania. Że już do Algieru wraca, męża polskim psom zostawia.

W kilka nocy później ja też nie mogłem spać. Nasze psy doprowadziły nas do cholery. Zamknęliśmy bestie. Obóz otuliła, utuliła cisza. Wtem, za murem, bryznęły strzały! Raz, dwa, trzy! Rewolwerowe...

Nie miałem wątpliwości. On zabił swego psa! On „nauczył nas rozumu, dał nam lekcję kultury zachowania”.

Ten fircyk uratował sobie dłuższy pobyt z nim żony. W Méchérii. Za fatalną cenę. I bez żadnej gwarancji.

Tak zginął fenomenalny pies.

Niekiedy w krótkich rozmowach z komendantem poruszano z naszej strony naukę francuskiego. Pewnego dnia – wypaliło. Pojawił się przed nami mistrz języka F.

Człek jak wymalowany z lewego brzegu Sekwany, lecz bardzo niepowodzeniami dotknięty. Nieco ponad średniego wzrostu, pod czarnym grzybem przechylnego beretu twarz nie

za wąska, bardzo opalona, nos szerokawy, usta duże, nawykłe do mówienia, szyja chuda, cały korpus słaby, wycieńczony już na zawsze, odziany górą w lekki granatowy kaftan, spodnie szare, flanelowe, za szerokie, równie podniszczone jak kaftan i beret, i on sam – od a do z.

Oczy. A! Jego oczy czarne, żywe, naturalnie towarzyskie, pełne opowiadań, rozmowne, zaciekawione, roztropne, inteligentne. Uważne... Od razu wiadomo po co go przydzielono. Ale tak późno? Widocznie nie miano go na składzie lub dłaczegoś dopiero w tamtym czasie zdecydowano, że jego praca między nami zasługuje, być może, na opracowania przez niego, wysokiego rangą penetranta-donosiciela.

Gdy mówił, słyszało się... walce i mazurki Szopena. No, oczywiście nie, ale kiedy on mówił, jego francuszczyzny chciało się słuchać. Pamiętam, siadywał na stopniach naszej „kancelarii” i malował powolną, wyraźną, soczystą mową Francję w Algierii. Głos jego wpływał do uszu nawet tak oddanych do dyspozycji języka angielskiego jak Jurka i moje. Uważałem wysłuchiwanie jego pięknych treli, rulad za przyjemność, lecz także sądziliśmy, że to ozdoby, przynęty, syrenie śpiewy a celem ich dopuszczanie go do naszych ciemnych, podziemnych, prawdziwych knowań. O nim nie wiedzieliśmy nic. Ale tak zbliżał się do nas, że któregoś późnego poranka zaprosił się – na kawę! Gest przyjazny, a jakże, lecz oceniliśmy jako na pewno podstępny! Siedliśmy wkoło kuchni. Mieczysław poużywał nam oszczędnie swej „wyborowej kawy” i, popijając ją, zapytał ten dziwny pan, czy ktoś z nas wie kto to był Stawiski? Stawiski... Stawiski? Tak. Ja przypomniałem sobie. To był, w latach dwudziestych, we Francji, aferzysta przekraczający umiejętnościami i zasięgiem swych akcji wszystko, co do jego czasu znano, a potem zdumiewało mistrzostwo w podrywaniu co ważniejszych ministrów do pokrywania jego siucht. I to za darmo, przez publiczne świadczenie mu przyjaźni, przyjmowanie zaproszeń do Opery, do Ritza, Moulin Rouge, pokazywanie się razem w łóżach i przydawanie mu honorów za fikcyjne zasługi. Ja, jako osiemnastolatek, usłyszałem o karkołomnej karierze Stawiskiego od mego kochanego dowcipnego filozofa, wujka, prezydenta Siedlec, Sławomira Łaguny, posła na sejm. On się w tych sprawach orientował. Chyba w trzydziestym drugim roku

przytoczył nazwisko Stawiskiego, gdy wiązało się to z paskudstwem tego rodzaju w Polsce. Tylko na mizerniejszą skalę. Bez Opery, bez Ritza, za to często w czerwonym młynie – komunizmu. Nasz prelegent w Méchérii rozwinął skrzydła! Sypnął iskrami z oczu, rozradowany potoczył nimi po nas, jego zdobywcą na ten wypad, i powiedział prostując się: „Ja byłem jego adwokatem, głównym obrońcą we wszystkich procesach przeciw niemu”. Powiedział to z takim ferworem, takim patosem, że ciche pytanie Włodzia: „...a kto to był ten Stasiński?” zabrzmiało boleśnie. „Nie Stasiński, nie Słowiński, nie Stamiński, nie, nikt inny tylko *Monsieur* Stawiski, mistrz nad mistrze, geniusz!” Jego bohater zdołał zainteresować nas jedynie wskutek niezmożonego afektu jakim otaczał go jego mistrz-obrońca. Po latach! Natomiast nareszcie dowiedzieliśmy się kim był ten niebywały adwokat paryski, w latach wczesnych dwudziestych już sławny, kiedy my dopiero zaczęliśmy się dorywać do papierosów, lub po prostu rodzić. Oraz jak załatwił sobie dojsię do naszego towarzystwa w Méchérii. Nie pytaliśmy go o nazwisko. To wydawało się niestosowne.

Po tamtym wstępie, jego rewelacje odślaniały naszym niewinnościom coraz mniej znane światy. W skrócie wyjął: „Tak. On wstawił się obroną kilku poważnych przestępców, za wielkie pieniądze. Kiedy szczęście Stawiskiego skończyło bieg po swym kole i Stawiski wyjął się w całej krasie – jego przerażeni opiekunowie czym prędzej rzucili go przed stół sędziowski. Klęska Stawiskiego rozmiarami równała się jego talentom. Wówczas Stawiski powołał jego, obecnie „naszego reportera” z brzydkiego kryminału do swej obrony, sądząc, że przy takiej pomocy ujdzie tzw. sprawiedliwości przez duże „s”. Mówiono, iż temu obrońcy Stawiski otworzył wszystkie swoje czarne tajemnice o zasięgu ministerialnym, a wśród nich, w przewidywaniu ewentualnych potrzeb, także którym to sędziom kupował jedwabne podszewki do tóg. On podjął obronę – tym skazał siebie. Stawiskiego po kolosalnym procesie „uniewinniono”, nieoficjalnie poradzono mu usunąć się do Szwajcarii. A potem gdzie go oczy poniosą. Obiecano tajne przejście granicy. Po kilku dniach dziewczę zbierające grzyby w lasku przypadkiem znalazło zabitego. Nie udało się ustalić kto był to zacz. Natomiast ostatni i najważniejszy obrońca Stawiskiego szybko



skazany i wywieziony do Gujany naturalnie stracił głos. Po dziesięciu latach przewieziono go do Algierii. Na zawsze, eks-Gujańczycy nie wracali do domu. Tylko do kolonii.

Nawiązała się między nami i nim sitwa. Przez kilkanaście wieczorów opowiadał szczegółowo, obrazowo, bajecznie, pięknie dźwiękowo, dobitnie, kryminalne życie oficjalnej Gujany. On wiedział, że przypadkiem trafił na sytuację nie do uwierzenia w jego świecie, że ludzie, których kazano mu obrabiać i wydawać – dla żadnej racji nikomu nie powtórzą jego zdrad systemu tamtej kolonii ani żadnych innych jego wyznań, z żadnego innego okresu jego historii. Przyjeliśmy, że on pragnął, raz w życiu, odstąpić komuś to, co w euforii przeżył w okresie prawdziwych a w końcu katastrofalnych sukcesów, co strasznie przeżył w Gujanie, wyrzucić z siebie czy choćby powiedzieć nam-komuś, co go od tamtej pory przerażało, a więc co go biejąco zmuszało do ratowania się donosicielstwem w więzieniach.

A może i takie podejście do nas było – podejściem? Więzienie pozostawia prostacki nałóg podejrzliwości.

My spodziewaliśmy się wyjazdu z Méchérii otwarcie. Nam patronował dyrektor biura Polskiego Czerwonego Krzyża, nieoficjalny delegat rządu polskiego w Londynie na całą Afrykę Północną. Wystarczyło by paznokci nie obgryzać i zachowywać męczącą pogodę ducha. Po zajęciu przez wojska alianckie decydujących pozycji na tamtych terenach, pan Emeryk Czapski objął stanowisko konsula generalnego, a po niedługim czasie został mianowany ministrem pełnomocnym RP w Algierze. Jako wysokiej rangi Kawaler Maltański również dysponował pewnymi stosunkami i być może ułatwieniami? Nieoficjalnie, oczywiście, ale skutecznie.

Stało się więc, że nasz wódz uprzedził lądowanie Amerykanów w Algierii i w Maroku. O ponad pół roku. Raptem dowiedzieliśmy się, że wyjeżdżamy do końcowej stacyjki, znanej nam wąskotorówki, do ostatniego obozu na południu Algierii, do Colomb Béchar, do siedziby osławionej, wielkiego i ciężkiego więzienia Legii Cudzoziemskiej. Tym zaskoczeni, lecz bez obaw, z chwilowym zdziwieniem, gdyż pan Emeryk zawiadomił nas jak najszybciej, że to postój „przelotowy” w drodze do Erfud w Maroku, więc jako podróżni, spokojni-cum-podnieceni

oczekiwaniem *Pożegnania z Algierią* i tego – Er Fud czy Erfud? Doszło do nas z restauracyjki w Méchérii, że właśnie w okolicach Erfud, Francja zakończyła podbój Maroka w 1932 roku, Legią Cudzoziemską, dowodzoną przez wybitnego generała Lyautey. Wtedy z nagłą otworzyła się przede mną studzienka wiadomości przypadkiem zebranych w Lyonie w roku 1940. Przypadkiem, a że przypadki bywają kolorowe – opowiem o nim w jego całości.

Do czego więc się zbliżymy, co nam jeszcze zawadzi i w jaki sposób? Tymczasem obserwując co się oczom, a szczególnie uszom, uchwycić dało z pobrzeży tamtej instytucji Legii Cudzoziemskiej, przed dalszym ciągiem o drodze do Erfud i o jego kolorowej chwili w naszym pokonywaniu przestrzeni do Anglii.

Nasze pierwsze zetknięcie się z eks-legionistą, jeszcze ciepłym Algierią, pamiętam wyraźnie, bo okazał się eks-Polakiem. Zdarzyło się to nam zimą roku 1940 w Lyonie, w czasie francuskiej *drôle de guerre*. My, piloci, siedzieliśmy po hotelikach Lyonu czekając na przydziały do samolotów. Oczywiście. Odwiedzały nas tam dziwne osoby, zaciekawione, niekiedy ciekawe. Jedną z nich – on, świeżo emerytowany podoficer najwyższego stopnia w Legii, bardzo odznaczony, właśnie za brawurę pod Erfud. Zupełnie sfrancuziały. Tylko jego oczy wciąż patrzyły jak kiedyś w polskiej wsi. Zdziwił się, pijąc swoje poranne *un ver de blanc* w barze naszego hotelu, gdy usłyszał, że przy stoliku śniadaniowym mówi się w języku, który rozpoznał jako jego zapomniany i że my się aż roimy na dwóch piętrach własności *madame* Papillon. Tegoż dnia coś – oryginalność niespodzianki czy poważna ciekawość – sprowadziło go na nasze piętro z butelkami szampana w dużej torbie. Nie mogliśmy odmówić mu miłych uśmiechów. Sam przyniosłem mu z baru szklanki. (Mój pierwszy Mumm). I zaczęły się jego naprawki-wprawki w używaniu słów, zdań ongiś domowych. I jego nadzwyczaj interesujące opowieści. Żył on bowiem w służbie Legii od swej wczesnej młodości, przeszedł najcięższe walki we francuskim świecie kolonialnym, znał Legię od podszewki. Jako emeryt otrzymał dobrą pensję, trafikę tytoniową, podróżować – wiele by chęci w duszy zakwitło – bezpłatnie. Człęk urządzony, wdzięczny Legii. I tyle. Samotny.

Dobry powód dla którego rozpijał nas szampanem, bo choć słabo gramotny, to przecie niektóre osiągnięcia kultury francuskiej pojmował! I opowiadał! Pewnie i błagował, lecz czegoż szampan nie zmyje? Niemniej dał nam wgląd z pierwszej ręki w stosunek Legii do legionistów – w zasadzie odwzajemniony. Pozostawił nam dobrze opowiedziane wydarzenie z roku 1932: po decydującym zwycięstwie nad Marokiem, prezydent Francji złożył wizytę Legii, w jej bazie algierskiej, w Saïdzie. Generał Lyautey przedstawił mu najdzielniejszego z dzielnych. Prezydent przypiął mu wysokie odznaczenie i zapytał: „A jakiej to narodowości jesteście?” Na to szybko odpowiedział generał: „Panie Prezydencie, jego narodowość – legionista, a ojczyznę – Legia!” Jednak zdarzały się dezercje z tej „ojczyzny”. Przyczyną częstą – dyscyplina. W jego czasach, taka panowała tam miazdząca pięść Legii, że nas ogarniały dreszcze bardzo postępowego wstrętu. Ale już tamten świat się cywilizował. Dyscyplina pozostała żarłoczna, oni jej chcą! lecz wyważona i otwarta na pewne wyłamania z niej, by tłumiony temperament mógł znaleźć chwilę ukojenia w szaleństwie. Poza polem walki! Naturalnie. Za wyłamanie kara nawet ciężka, ale i natychmiastowe zapomnienie, że był niegrzeczny. Żadnych zapisów w ewidencjach, przeszkód w awansach. „Kara oczyszcza”.

Wiosną roku 1942, w Colomb Béchar, temat żywo dzwignął się przed nami jako potężne, bolesne słuchowisko. Przywieziono nas i osadzono przed murami wielkiego więzienia Legii, a za nimi codziennie odgrywano okrutną operę, ku przerażeniu niepoprawnych, złamaniu prawdziwie zbuntowanych, tych co zaatakowali serce Legii: **DYSCYPLINĘ LUB HIERARCHIĘ!**

Nas, Polaków schwytych na gorącym i powtarzanym uczynku ucieczki z Francji *via* Afryka do Anglii, uzbierało się około czterystu, różnych stopni i broni. Tam, w Colomb Béchar, zatrzymano oficerów i podchorążych, podoficerów i szeregowych wysłano dalej, na Saharę, do niewolniczej budowy drogi trans-saharyjskiej Adrar-Timbuktu. Pod dozorem chamskich Arabów, bijących pałkami, pod komendą Francuzów – od brutalnych grozących i praktykujących stosowanie specyficznych saharijskich więzień, jak wobec zwykłych przestępców, do bardziej ludzkich, bardzo wymagających więziennych

służbistów. Tam skończyły się złudzenia o alianctwie.

W Colomb Béchar ulokowano nas w koszarach Legii, tuż przy więzieniu. (Czy była to ciemna pogrożka? Przesadzam? Naturalnie. Oni byli pewni, że stamtąd nie uciekniemy). Prymitywnie ale czysto, żadnego robactwa, niemal bez much. Przed „naszym” długim, niskim barakiem, rósł hen, wysoki mur, oddalony od nas o kilka metrów grubego żwiru. Mur narzucał się swoją bliskością, swoją grubą figurą, wysokością. Poza nim – jakby żywego ducha. Popołudnie mijało nam na grzebaniu się, urządzaniu, drzemaniu. Wtem, gdy słońce zaszło i dotknęło szczytu muru i tam pękła cisza! Zduszona wrzawa, tupot wielu nóg, komendy. Ostre. I zaraz cisza. I gwizdki. Gwizd jeden – szurania nóg. Cisza. Gwizd drugi – szurania, brzęki, cisza. Gwizd trzeci – to samo, cisza. Cisza. Po małej przerwie chropawy głos, zadudnił jakby z beczki. Wykrzykiwał zdania. Po francusku, trudne do zrozumienia. Gdy kończył, chór męskich głosów powtarzał te zdania. Głos wychrapywał następne. Chór zwawo je powtarzał. I tak trwało to „modlenie się” bardzo długą chwilę. Na drugi dzień, wczesnie, te same modlitwy za murem. Byliśmy zbudowani pobożnością tamtego oddziału Legii. Rano litania, wieczorem litania. Przyzwyczailiśmy się do chropowatego głosu. I do jego świetnie zgranego chóru. Wzbudzał w nas niemałą ciekawość. Ale dociec kto się modlił i o co – nie dało się. Tamta część koszar, opatrzona ogromną żelazną bramą, miała swoją drogę dojazdową; furtą wprawioną w bramę wychodził niekiedy wartownik Legii. I tyle. Aż pewnego wieczoru, po „litaniach”, gdy za murem osiadła martwa cisza i zapaliliśmy karbidowe lampki, bo ciemność nocy laźła do izb nim się zmierzch nad murem wypalił – chropowaty głos zaskoczył nas – odezwał się tuż koło nas, przed barakiem: „A jedźcie tamój chtóry?” Poderwaliśmy się! On stał na naszym żwirze, z przodu ciemny, jego głowa z tyłu, białe *képi* i płachetka na karku czerwieniły się od ostatniej zorzy. Zaprosiliśmy tę zjawę. Cudak wszedł do naszej izby, *képi* zdjął i pokazał gębę ospowatą, ponurą, nieufną, wzbudzającą nieufność, nieprzychylność, życzenie sobie więcej nie spotkania jej. I on przyniósł wino, *pinard*, dobry, mocny, ciemny „burgund algierski” rodem z Mascary. Znany nam, lubiany. To umożliwiło mu pobyt u nas do końca jego dwóch dużych manierek. I później je przynosił,

mimo naszej rzetelnej odmowy, mieliśmy dość swojego wina. I jego. Ale on chciał bywać u nas, z nami, dopóki się nie zraził naszym stosunkiem do jego rodzaju służby i jego opinii o tym, co i jaka dyscyplina czyni wojsko doborowym. Był starym, wysłużonym sierżantem, również wysoko odznaczonym, z linii przeniesiono go do Colomb Béchar na *profosa*, czyli szefa ciężkiego więzienia. Nie było to najcięższe więzienie Legii, takie podobno także istniało, ale wystarczająco podłe, by zdrowie więźniów wyniszczać. Psychiczne również. On pochwalał je i dziwił się, nieprzyjemnie się dziwił, że my wyrażaliśmy zastrzeżenia na temat tego, co on opowiadał o swoich metodach. Nas przestał uważać za dobre wojsko. Przecie on tam, za murem, miał takich, co się na podoficerów porywali, a nawet na oficerów podnosili rękę! Takich, co kolegę poranili w bójce, co uciekać próbowali, co aż broń porzucili! No! Grzechy ciężkie. Kary? Potworne. Złe. Nasze pierwsze, jeszcze niewinne pytanie dotyczyło owej „litanii” porannej i wieczornej. Tym swoim ochrypłym głosem powiedział, że odczytuje litanie przestępstw przez „tych tam” już popełnionych i przewidywanych. Profilaktycznie. Oni powtarzają jego słowa z przedśłowiem: „Nie będę...” A więc: „Nie będę porywał się na zwierzchnika! Nie będę próbował ucieczki!” Itd., itd. Jedynie nie poruszają porzucenia broni. To zbyt straszne. I tak co rano, i co wieczora, codziennie, tygodniami, miesiącami. „Latami?” „A są i takie. Te to służo za starszech”. O więźniach mówił „moje”, co miało znaczenie jak najdalej od jego czułości wobec nich. Oznaczało jego nad nimi absolutną władzę. A co oznaczały gwizdki po „litanii”? A, one regulowały procedurę dotyczącą posiłków. „Jego” więźniowie na pierwszy gwizdek biegiem stawali w szeregu. Ciasno (Pochwalił się, że to był jego dodatek do procedury). Naczynia, blaszane kubki i menażki stawiali na ziemi, blisko przy stopach. Na gwizdek ścieściali się bardziej. Na gwizdek – nalewanie do naczyń gorących płynów, kawy czy zupy. Na gwizdek oni chwyтали gorące naczynia, usiłowali w nie dmuchać i łyk wessać. Na gwizdek stawiali je na ziemi, tuż przy stopach Szybko! Ciasno stali, więc potracali się. Rozlewali na ręce gorące płyny. Parzyli wargi, gardła. Na gwizdek – koniec posiłku. Jeśliby któryś wystąpił ze skargą, odmówił lub rozwścieczony uderzył kolegę – dostawał *tombeau*, „grób”.

Delikwenta wsadzano na noc, nagiego, do grobu cementowego, nakrywano płytą z otworem i wlewano tam dwa, trzy wiadra wody. Jak wszędzie w północnej Afryce, w Colomb Béchar temperatura po upalnym dniu gwałtownie spada. Kilka nocy w takim „grobie” pozostawiało konsekwencje na resztę lat. Stawy, kości, mięśnie.

Na naszą dezaprobatę obruszył się: „To są kary? Im się za dobrze powodzi! Co tam dzisiaj za dyscyplina!” „Panie sierzancie, my słyszeliśmy jeszcze w Méchérii, że jak przywożą wam nowego więźnia, to przy wejściu walicie go pałkami i musi on na kolanach kilka razy obejść podwórze, podobno umyślnie wybrukowane ostrymi kamieniami. Czy to prawda?” „No... tak. Tak, no, to co? To sobie zedrze trochę tyj skóry, ale wi gdzie przyjechoł. To sobie na gorsze nie zarobi. Co tam, panie, gadać! Tu za Lyauteya i potem, za tech drugiech, dawni, to było jak trza. Tera to nic!” I rozgniewał się na dobre. „Legia bez te dyscypline ma sławe. Dlatego żadne tam Arabcy nie dali jii rady. Żadyn fanatyz nie strzymał”.

Gdy wspominał tamtych dwóch *Légionerów*, zdają sobie sprawę, że żaden z nich, ludzi doświadczonych na rozmaitych polach bitew, nie pojmował swoich dawnych zrywów inaczej, niż oddanie się całym duchem i rozumieniem obcemu przymusowi. Nigdy nie chwycili tej projekcji mocy duchowych, tworzących w oddziałach wspólnotę unoszącą je do czynów niemożliwych bez niej. Wyłączeni. O zastanawiających siłach samotnicy. Czyżby, paradoksalnie, ratowało ich umiłowanie obcego im i odległego o całą legendę wodza, w tym wypadku, generała Lyauteya – choć teorii jego nieświadomie przeczyli. Lecz chyba jednak, w niej streszczała się ich wrażliwość na muzykę ich własnych dziejów w Legii.

Nie było w niej nut Mazurka Dąbrowskiego.



Na Zachód więc! Tymczasem, jaki on, ten Erfud? Wciąż po wschodniej, naszej stronie licznych, ogromnych, w pół pustynnych strzępów potężnego Atlasu. Jaki on? Czy go naprawdę można brać pod uwagę z naszego punktu widzenia? Jako trampoliny do polskiego statku oczekującego nas na strzał z łuku od

brzegu Oceanu Atlantyckiego? Naprzeciw osłoniętych pagórami okolic Agadiru? Od Erfoud dobre 550 kilometrów rozmaitych terytoriów, uzbrojonych band Arabów. Arabów policjantów, policjantów francuskich. Ano. Da się widzieć.

Jazda! Podstawowa zmiana w systemie transportowania nas. Dziś, kiedy to piszę, jestem zachwycony pozostałymi w wyobraźni mojej pamięci (bo moja pamięć szczyli się swoją dowolnością pamiętania) barwami i blaskami tamtych podróży. Stojąc, po dwudziestu kilku, na otwartych platformach ciężarówek! Widoki! Ruch powietrza! Swoboda gadania, śpiewania, zdumiewanie się doskonałą drogą w skalnym terenie, łagodnie złotawym, wśród pagórów, a czym dalej w głąb Maroka, tym wyżej wstawały nagie wzgórza po prawej stronie drogi, a prawie każde kokietowało płamą lub jakby niemal rysunkiem w poprzeczne, niespodziewane pręgi kolorowe, czarne, krwistoczerwone, zielonawe. A może już nie „widzę” i innych oszołomień. Po lewej stronie drogi płasko i daleko, gdy wtem – urwisko i głęboko w dole – *palmeria* dokoła jeziorka, ono niemałe, otoczone zielenią. Przejrzysta woda błękitna i niebieska rzeczka i brązowa wioska. A za wioską suchy *chor*. „Malowana pustynia”, Arizona czy inna kraina na południu Ameryki Północnej. Jakie szczęście, żeśmy już poza ogromem pustaci południowej Algierii, na które można, tylko w niewielu miejscach, przez skąpą chwilę o wschodzie słońca, patrzeć z podziwem.

Po dwustu z czymś kilometrach wjechaliśmy do Erfodu, do pięknego, czyściutkiego miasteczka niskich domów o ścianach malowanych czerwono, z zielonymi *à la* fryzami ciągnionymi pod płaskimi dachami dla ochrony francuskich oczu od szalonych promieni słońca rażących w tej krainie, wolnej od atmosfery Francji, ale nie od Francji. Pierwsza *semi*-przykrość – nad długim, nieco wyższym domem – flaga Francji. Czyli garnizon – pułapka. Znowu. A co? Mieliśmy wjechać do „Paradis Wolności”? Koszary po pułku *spahisów*. Tam schludny adiutant dowódcy oświadcza, obojętnie, choć ze zmarszczką na czółku, że major komendant przyjmuje do wiadomości naszą obecność, przyznaje nam swobodę poruszania się na terenie miasteczka, lecz nie poza nie, wyżywienie i utrzymanie pułkowe, lekarz wojskowy jest do naszej dyspozycji. *À propos* lekarza – kapitan-lekarz otrzymał polecenie zbadania nas pod względem ewentualnych

schorzeń genitaliów. Następnie kapitan-lekarz przydzielił nam osobny dzień odwiedzin domu publicznego, utrzymywanego wyłącznie dla załogi francuskiej. Pod jego opieką. Poczuliśmy się przyjętymi do społeczeństwa wielkiej Europy.

Dom publicznego ukojenia miał w ówczesnej Afryce imię dobre, jak od wieków we Francji i podobnie jak w metropolii, niektóre o imieniu bardzo dobrym, lub wykwintne, otrzymywały normalne uznanie towarzyskie. Klub, restauracyjka, specjalizująca się w lokalnych pysznościach stołu, pokazy taneczne, trudne do osiągnięcia w europejskich fantazjach, tam zawsze spodziewane. Często co w Erfud oferowano, mogło równać się, lub mogło przekraczać limity serwisów Czerwonego Młynka, jeśli nie Młyna. Dla gości – żadnych przymusów. Humor, odprężenie, odpoczynek, swoboda myśli i dowcipu. Bez alkoholu! A nadprogram? Żadnych środowiskowych konieczności.

W Erfud atrakcję stanowiła dwojaka przyjemność: nadzwyczajnie urodziwa, młodziutka tancerka, Arabka, wręcz kwintesencja pojęcia – arabeska, w dziewczęcym kształcie. Doszłyby do majątku i sławy w Paryżu. Patrząc na nią doznawało się rozkoszy wzrokowych i równocześnie tamtejszy dwurodzajowy *kus-kus* zachwycał podniebienie. Oboje nie mieli równych.

Naturalnie, po stronie francuskiej nie wyobrażano sobie dzielenia dni odprężeń, ani innych dni, z nami, przecie stanowiliśmy niemal przykład zdrady samej francuskiej racji bytu – sprowokowaniem wojny z Hitlerem o jakiś tam Gdańsk. Niemniej, o ile moja wesoła pamięć podsuwa mi to, co widziałem, co przypuszczałem, to raz, przychodząc na pocztę, kątem oka schwyciłem naszych frankolubów, frankoparlantów, zdrajców naszego życia przymkniętego – najzwyczajniej popijających z oficerami francuskimi – *whisky*. Stali w cieniu, przy stole przed ich messą. Butelka jak byk pomiędzy nimi. I syfon! Żebyż to choć dobre maskaryjskie wino! Ale *whisky*? Co za hipokryzja! I to po obu stronach. Ta francuska, widocznie, pomyłka, nie powtórzyła się. A szkoda. A jednak szkoda.

W tym czasie wyczerpałem źródła nauki angielskiego. Zacząłem szarpać się z hiszpańskim. To zdawało się właściwsze niż francuski w francuskim kryminale, a na zewnątrz koszar, pustka sympatycznego Erfudu. Arabów w dekoracjach ani śladu. Są schowani w podrzędnych miejscach, w podrzędnych pracach.



I w legendach walk o wyzwolenie, przegranych ostatecznie w 1932 roku, a więc zaledwie o 10 lat wcześniej, w bitwach wśród gór, niedaleko na południe od tegoż Erfudu. Nas to nie bolało. Oni nie cierpieli z nami. Byliśmy i jesteśmy sobie, normalnie, po ludzku obcy. Oficjalny język operowany przez Arabów, urzędników niższego stopnia np. na pocztach, to cudo-farsa. Poszedłem do, patrzę z kim by, stoję z zastanowieniem na twarzy. A tam pyta mnie Arab z za lady: *keski ti wi, misiu?* Zrozumiałem, i to natychmiast, że on się ode mnie nie dowie, że jest na świecie Andora a w niej Zbyszek Słubicki, polski cichociemny z Londynu, przeprowadza uciekinierów z Francji do Portugalii i on ma kontakty z moją, w polskim Londynie, że ja chcę do niego depeszować... *Misiu, si vi depesze? Porki?...* Zgroza. Wracam do hiszpańskiego. Czytam „czego pragnie *doña Clara?*” To się zasadniczo różni od pragnień Józefa Łobodowskiego w kryminale hiszpańskim, w Mirandzie, lecz znając go co-nieco, nie miałem wątpliwości, że właśnie on, tam, nauczył się hiszpańskiego i jego wariantów tak, że przetłumaczy wiele uroków hiszpańszczyzny na polszczyznę. I tak się stało. A ja, po prostu, tak sobie, żeby sobie...

Jednak, przecie, trzeba było wychodzić na spacer po placu, po kilku uliczkach. Ale na krótko, bo po co? No, żeby nogi chodziły. Jechać, jechać dalej, prędzej! Owszem, tu ładnie. Jeszcze przed-upalne ciepłko, kolory od różowych do jasno czerwonych, według planu, na całych ścianach i zielone pasma u ich szczytów – to niezwykle; wiatarki lekkie. Wszyscy śpią, a ja sobie chodzę, tym razem dla sekretnego odpoczynku od *doñii* Clary i Amelii. To moja druga racja „po co”? Wtem, w kilkanaście dni po zakwaterowaniu się „Pod Spahisem” zaskoczyła mnie znajomość. Stojąc w południe na pustym placu i patrząc na pozamykane drzwi i okna sklepika tobakonisty – myśląc „a niech to szlag trafi, dość już tego, do jasnej cholery!”, dla żałobnego kawału zawołałem: „Kto tu rozumie co znaczy psiakrew-cholera, czyli mówi po polsku?” I jakby mnie prąd uderzył z ukrytego kontaktu: „Co pan potrzebuje? Chodź pan do środka”. Z właściwym akcentem i błędem językowym. Uchylił drzwi. Wszedłem. No, pewnie. W sklepiku z chwilowego mroku wyłonił się wysoki, starszy człowiek, w okularach, pod czarnymi brwiami i na mocnym nosie; oceniał mnie przez chwilę, dla mnie

jasne było kto zacz, on jakby westchnął i cicho powiedział: „Pan kupuje papierosy i zapalniczkę. Ja dla pana otworzyłem, bo przedtem pan pytał czy ja mam co pan chce. No, to ja mam, a co pan chce, to niech pan kupi”. I patrzył na mnie, i przyjaźnie, i nerwowo. Najwyraźniej wypadało mi kupić to moje nieznanne zamówienie z niewiadomego dnia i wyjść. Gdy wychodziłem, on rzekł: „Pan może czasem przyjść”. I uchylił dla mnie drzwi. Zaraz je zamknął. Ciekawość zaczęła mnie wodzić do niego. Nie poznałem całej awantury jego życia, tyle, że wyjechał z Polski do Francji, gdzie mieszkał przez dwadzieścia lat, uciekł z niej w porę i już nigdy nikomu nie wierzy. Raczej on mnie wypytywał o moje historie, ale obydwu nam dobrze to robiło. Wreszcie zaszedłem do niego jako klient, gdy sklepik funkcjonował. Kiedy zostaliśmy sami, z przykrością i z niepokojem powiedział: „Tylko niech pan kolegom nic nie powie. My się nie znamy. Do pana jednego – to już trudno. Jakby co, to ja panu daję lekcję pięknego *patois* z Maroko”. Teraz wyglądał i mówił, i grał Francuza np. z Agadiru. Coś go bieżąco zamykało. Co mu zaszkodziło? Jego pierwsza odzywka do mnie to był zryw człowieka na dźwięk głosu wpojonego od dzieciństwa, ale w jego chwilowym „tutaj”, nikt nie powinien był tego zauważyć. Oczywiście wiedział kogo tu przywieziono, cały Erfud aż trzeszczał. W swojej samotności, na moje zawołanie, ze zdziwieniem doznał szarpnięcia kompleksu „Laternika” a nie zdawał sobie sprawy, ani on (ani ja), że takie kompleksy się koło nas kręcą, uwijają, czekają na szansę, by nam swoje prawa udowodnić, w tym wypadku, że obaj nosiliśmy na sobie części pyłu wspólnej historii. On dla swoich racji kamuflował się, samotnie żył i udawał samotnika z natury. Dostarczał tytoniu. Nie pił. Zostawiano go w spokoju. Ja na ogół też.

Gdy nieco później zaszedłem po papierosy powiedziałem mu, że chciałbym kupić sobie mocne łapcie z wielbłądziej skóry. On miał gotową poradę. „Ja wiem, że z pana taki człowiek, co go wszystko ciekawi. Będzie pan pisał? To ja panu powiem, co pan zobaczy. Tylko niech pan nie myśli, że ja do niego chodzę albo on do mnie. To jest szewc, wszyscy się u niego obuwają w sandały. On ma dużą rodzinę. Niech pan idzie. To jest prawdziwy marokański Żyd. Ciekawe”. Poszedłem na skraj miasteczka. Dom stał trochę osobno. Nieduży, niski. Gdy do niego dochodziłem, zaczął dręczyć mnie lekki fetorek gnijącego mięsa.

Wzmagał się. Do domu szły dwie kobiety. Starsza ubrana jak zamężne Arabki tamtych stron, odróżniała się od nich długim, dość grubym wątkiem z materiału okrywającego jej głowę, umocowanym w poprzek jej czoła. Dziewczyna bez chustki na głowie, ubrana w raczej obcisłą prostą sukienkę, bez kołnierzyka, bez wzorów, ciemną. Panna. Obydwie zeszyły po schodkach w dół do tego domu. Ja po policzeniu do pięciu za nimi, zszedłem w ciemność dużej, długiej izby i ciężki, obrzydliwy stęch. Wstręt – natychmiast się wynieść, ciekawość zatrzymała. Po mojej prawej stronie, kupa gnijących skór wielbłądzich. Po lewej, nieco dalej, warsztat, szewc przy nim siedział, z twarzy i ubrania Arab, i szył z miękkiej, podgniłej wielbłądziny duże łapcie, właśnie takie przyszedłem zamówić. Żeby chodzić po piaskach jak wielbłąd. Gdybym był uciekł, nie zobaczyłbym, że w lewo o kilka metrów dalej ich dzieci bawiły się bałwankami, pewnie zrobionymi przez czulego ojca z obrzynków tejsze skóry, podgniwanej przy wejściu. Łapcie kupiłem. Szybko zwietrzały. Moje bezradne współczucie wietrzało wolniej. Na szczęście ludzie żyją jak żyją, gdy nie wiedzą jak żyją.

Pod koniec października 1942 powietrze zaczęło drgać w Erfudzie. Piątego czy szóstego listopada, dowódca garnizonu E. raptem udał się na północ do swego szefa, a tego samego przedpołudnia, u nas „Pod Spahisem”, *raïs* – oficer służbowy, z podoficerem, przeszukują nasze kwatery. Sztywni, urzędowi. Szukają radia. Znajdują. Rekwirują. Władza i przestępcy.

Zbyteczna przykrość. Wczoraj byłem z wizytą popołudniową u tobakonisty, po cygarniczkę wiśniową, jakie on miewał. Podsuwając mi tackę z nimi, cicho powiedział „za kilka dni będzie pan miał amerykańskie, do wyboru...”. On posiadał radio i telefon, swoje kontakty-konszachy handlowe. Jego nie obszukano. Nie było żandarmerii, a on obywatel Francji. (Opozycjonista. Wolał nas.)

Przeniosłem informacje zebrane od niego do naszego kapitalnego dowódcy, kapitana Kazimierza Dworakowskiego. Byliśmy nim obdarzeni. On posiadał postawę i temperament właściwy, oceny należyte, opanowane. Głosem przyjemnym, nieśpiesznie wypowiadał decyzje przemysłane. Stanowcze.

Od moich informacji do potwierdzenia ich oficjalnie przez kancelarię dowództwa, dzieliły nas „dwa kroki”. Nasz szef, po

wczorajszej debacie ze mną i po dzisiejszej obserwacji kancelarii, wysłał tam, pomimo ich milczenia i porwania nam radia, jednego z naszych frankolubów, bliżej im znanych, po tak istotną dla nas ocenę prawd czy plotek-prawd. Ten wrócił odprawiony. Powiedziano mu, że rozmowy na takie tematy nie mieszczą się w naszym statusie. *Résidence surveillée*, a w tej sytuacji może określonym inaczej. Możemy spróbować zwrócić się do dowódcy garnizonu, gdy on wróci z podróży służbowej. Na to kapitan Dworakowski podjął swoją decyzję. Mnie wysłał po dalsze wiadomości do sklepikarza – teraz naszego cichociemnego. Wróciłem na stu koniach! W porcie Algieru okręty amerykańskie, w okolicach Casablanki bitwa francuskiej artylerii polowej z łodziami desantowymi z okrętów USA, strzelali na wprost, jak do kaczek, aż pancerniki zmiotły ich, bez reszty. Wody Atlantyku czerwone.

Kapitan Dworakowski oficjalnie przekazał zastępcy dowódcy garnizonu w Erfud, następujące żądanie na piśmie: „Jako dowódca oddziału wojska polskiego w Erfud, w bieżącej sytuacji żądam natychmiastowego przyjęcia przez lokalne Dowództwo Francuskie do wiadomości, że polski oddział pod moją komendą jest w dyspozycji polskiego Konsula Generalnego, urzędującego w Casablance. Mamy żołnierski obowiązek stawić się tam bez zwłoki. Żądam transportu”.

Zdumiewające, ale to podziałało. Lecz szkoda, że i ta okazja poprawienia stosunków z nami została zmarnowana. Zamiast ocenić „naszą sytuację” jako oczywiście zmienioną, próbowano tylko w nabzdyczony, niesmaczny sposób ociągać się.

„Dowództwo nie posiada należytego transportu. Posiada jedynie dwie otwarte ciężarówki”.

„Wystarczy. Przyjmiemy ciężarówki”.

„One nie mają pokrycia. Dachów”.

„Dobrze. Weźmiemy je bez dachów”.

„Nie mamy szoferów Francuzów, tutaj są tylko szoferzy arabscy”.

„Zgadzamy się na szoferów Arabów. Jutro ruszamy po wczesnym śniadaniu. Polskie flagi będą zatknięte na budach szoferek”.

„Dowództwo nie zgadza się na polskie flagi. Flagi będą francuskie”.

„Polskie dowództwo nie zgadza się na pominięcie flag polskich”.

„Francuski oficer prowadzący konwój musi mieć swoją flagę nad pierwszym wozem”.

„Owszem. Obok flagi polskiej”.

„Francuski oficer żadnej innej flagi nie przyjmie.

„Polskie dowództwo godzi się na obie flagi”.

„Francuski oficer pod inną flagą nie pojedzie”.

„Polski konwój wyruszy jutro rano bez francuskiego oficera. Dziękujemy”.

I następnego dnia wcześniej ruszyliśmy przez góry Mniejszego i Średniego Atlasu do Fezu. Pod swoją flagą. Nie pożegnani. To jeszcze raz – szkoda. Z Fezu kolejką elektryczną do Casablanki. Tam, serdecznie powitani przez żołnierzy amerykańskich, w większości pochodzenia polskiego.

Zakończył się nieszczęsny występ francuski na naszej smutnej scenie, w ich tragicznie krzywym, marnym teatrzyku amerykańskim.



Za nami został milczący Erfud. Nikt nie pożegnał nas, nawet ukradkiem, lub może wyzywająco do braci oficerów, braci Francuzów – wobec ich przyszłości, ogromnej, otwierającej się dla nich tak łatwo. I wobec naszej mini wskazówki.

Dwie duże ciężarówki – „kamiony”. Może trzy. My stanęliśmy w nich gęsto, uprzednio nauczeni.

Po obu stronach dachów szoferek polskie flagi chwycił wiatr. Zadowolone łopotwały nam przed nosami.

Nie będę opisywał rozkoszy patrzenia na wielki Mały Atlas, na jego wijące się, pnące się, więc i spadziste drogi i nasze chwianie się w oczywistej zgodzie z częstym zamaszystym rozkołysaniem wozów, gdy zręczni Arabowie-szoferzy prowadzili je zawieszane na skrajach dróg, bardzo dobrych, lecz o brzegach ściętych w pionowe ściany, aż do dalekich nizin. Pokazać się chcieli, białe zęby szczyrzyli kiedy opony skrzypiały.

Istotą, duszą tamtych chwil naszego istnienia był wśród – górski wolny lot!...

Zachwyceni, rozradowani. Chyba w uniesieniu! Nie

obchodziło nas kto tam mieszkał, kogo się bał, komu ulegał, kto mu stale zagroził. Przelatywaliśmy przez cudzy kraj, przez jego piękna, nagości, zbocza wyniosłych drzew, ogromy traw, stada kóz – przelatywaliśmy jak wielkie dziwactwa i tyle. My dla samych siebie nie istnieliśmy jeszcze.

Potem był Fez i elektryczny pociąg do Casablanki. Skok ku Europie i znów – obóz poza miastem, oczekiwanie na statek do Anglii, ostatnie dni opieki oficjalnej ekscelencji, już naszej, polskiej, przedstawiciela jedyne legalnego rządu polskiego, pana Emeryka Czapskiego. Operującego bieżący stan rzeczy wyraźnie ku naszemu zadowoleniu, w ramach tymczasowości i skromnych finansów. Rzecz prosta – jego samego niewidocznego. Aż do – po długich latach – „prywatnych” spotkań w Rzymie.

Odwiedził nas oficer amerykański i zapowiedział, że jego żołnierze, ciekawi nas, rychło się pojawią. Wydelegowano mnie do niego i potem do nich: mój angielski tak wskazywał. Okazało się, że z bliska, przy silnie napiętej uwadze, wzajemnieśmy się rozumieli. Najpierw z nim. Sympatyczny pan, życzliwy, a tematów od razu dostarczył nam inny oficer USA, niższy stopniem niż mój rozmówca Murzyn. Podszedł, złożył meldunek, przyjął rozkaz i od razu odszedł.

Patrząc za nim mój porucznik rzekł: oni powinni mieć swoje oddziały. I wtedy, delikatnie dotykając kwestii kolorów skór w USA, poruszyliśmy wspólną nam postać generała Pułaskiego! I ja odpowiedziałem mojemu Amerykaninowi jak to „Pułaski” przyjął opiekę nade mną w mej drodze z Aten do Marsylii. Byłem pod wrażeniem, że ja tam, koło w dali szumiącej Casablanki i wobec spokojnych fal Atlantyku, objawiłem się mojemu porucznikowi USA jako ktoś, niewiadomo właściwie kto i skąd, a jednak niespodziewany świadek potwierdzający historyczne istnienie prawdziwego generała wielkiego imienia w jego Kraju. Kto by się czegoś podobnego tam – spodziewał? Rychło zegnaliśmy się i on napomknął, mile uśmiechnięty, że w domu postara się o lekturę o generale.

Na drugi dzień zajechały na plac w naszym obozie dwie wielkie ciężarówki – pełne puszek najrozmaitszych doskonałości. My, gospodarze, wymiętoszeni, nie strzyżeni po ludzku, oni, wygoleni, wyprasowani, z opaskami-wycinkami sztandaru USA

na lewych ramionach, patrzyli na nas zrazu niemo, stojąc koło wozów grupkami, bez ruchu, bez uśmiechów... Aż, bodaj że Smoczyński, zawołał – prawie jak w Erfud – śmiejąc się: kto z was mówi po polsku? I pękło! Ich polskość, rozmaitych stopni i napięć, przywiodła ich do nas. Na tym obcym dla nas wszystkich terytorium dały się odczuć nici wspólnoty, przynależności, korzeni, swojskości, widocznie, uderzająco – czy to zupełnie niepojęte? Wtedy naturalne.

Zabrzmiało od usiłowań wyjęzyczeń się w naszych rodzimych, bieżących a nawet nabytych językach. Pamiętna to przygoda. Wtedy tamte „wrażenia” otoczyły nas i dotknęły jak rzeczywistość! Może, nie „na zawsze” trwała... Ale istniej słowo „ślad”.

Do portu Casablanki wpłynął angielski transportowiec zastawiony czołgami. Bez rozważań – po co? Zbyteczne czołgi szybko zdjęto ze statku i z wojenną energią załadowano nas. Odpłynęliśmy do Gibraltaru. A tam, ledwie ktoś zdążył nam powiedzieć, że na górach Gibraltaru są stadka oficjalnie chronionych małp, bo „dopóki rodziny tych małp tam żyją, Gibraltar będzie angielski!” i bez dania nam czasu na rozglądanie się, przeładowano nas na ogromny eks-pasażerski statek, jakoby nadzwyczaj szybki i bez eskorty ruszyliśmy skrajem Atlantyku, do Szkocji. Do jej małego portu Gourrook. Udało się. (Po kilkunastu latach, wśród rozkoszy Malty, dowiedziałem się od mego przyjaciela, ówczesnego pilota Dywizjonu 304, Edwarda Zarudzkiego, że to właśnie oni trzymali niemieckie U-booty hen! – precz z naszej drogi).

W Gourrook nie żądano od nas wiz, przepustek. Patrzone na nas uważnie, spokojnie. Ale zadziwienie widocznie w obserwatorach wzrastało. Aż starszy z urzędników, stemplujący moją obcą mu legitymację, zapytał: Skąd wy jesteście? Bo nie z Afryki?

- Z Afryki.
- No, ale...?
- Z Polski.
- O?
- Tak. Z Polski.
- To Pan jest Czech?
- Nie.

- Gdzie jest Polska?
- Na wschód od Niemiec.
- To w Rosji?
- Nie. Polska jest Polską. Pomiędzy Niemcami i Rosją.
- *God! I newer knew...* A jak tam jest – w Polsce?
- Tak samo jak w całej Europie.
- Tak samo?
- Prawie. Tylko nasz księżyc jest kwadratowy.

Roześmieliśmy się obaj. Ale on stemplując mój *document* pokręcił głową.

Rozpierzchliśmy się. Wszyscy mieli skierowania, przydziały. Ktoś wiedział, co trzeba, co trzeba doskonale załatwić. Za wyjątkiem dla nas dwu z lotnictwa. Kapitan Eugeniusz Prusiecki, w Polsce wojenny dowódca eskadry Łosi i ja załatwiliśmy sobie sami wieczorną podróż pociągiem do Londynu. Zaczęliśmy następną część drogi w tym samym kierunku.

I do odkrycia – w polskim kręgu wiadomości i oficjalnych informacji – o pełni potworności wojny, prowadzonej w naszym kraju z żywiołową, nie znaną nam, niewyobrażalną nienawiścią do nas.

*Stanisław WUJASTYK*



## OKRUCHY HISTORII

Ewa KURYLUK

### HŁASKO A KURYLUKOWIE

Sprawę Hłaski pamiętam dobrze, gdyż jego wielbicieleką była mama<sup>1</sup> i z entuzjazmem, choć nieskutecznie, starała się przekonać ojca<sup>2</sup>, że młody pan Marek, którego poznała w Związku Literatów, to wybitny talent. Raz czy drugi czytała nawet na głos fragmenty opowiadań Hłaski i ojciec słuchał cierpliwie, lecz bez przekonania. O planowanym przez Hłaskę stypendium do Paryża nic nie słyszałam. Natomiast pamiętam rozmowy rodziców o stypendiach zagranicznych. Ojciec, który Uniwersytet

---

1. Maria Kuryluk (1917-2001), ur. w Bielsku-Białej, z domu Miriam Kohany, pisarka i tłumaczka poezji niemieckiej. Po śmierci męża podpisała z „Czytelnikiem” umowę na zredagowanie tomu wspomnień i zebrała je do końca 1968 roku. *Książka dla Karola* ukazała się dopiero pod koniec 1984 roku pod redakcją Kazimierza Koźniewskiego. Z *Książki dla Karola* pochodzą cytowane przeze mnie wspomnienia *Uśmiech* Henryka Voglera (s. 244) i *Tożsamość* Tadeusza Różewicza (s. 172).

2. Karol Kuryluk (1910-1967), ur. w Zbarażu, polonista, absolwent Uniwersytetu Lwowskiego, założyciel i redaktor lwowskich „Sygnałów” (1934-1939), 1941-1944 działał we Lwowie w AL i AK, zaangażowany w ratowanie Żydów. Po wyzwoleniu redaguje „Odrodzenie”. Nie daje sobie narzucić stalinowskiego kursu i w lutym 1948 podaje się do dymisji. 1956-1958 jest ministrem kultury, 1959-1964 ambasadorem PRL w Austrii, 1965-1967 dyrektorem PWN. Umiera na zawał serca w trakcie nagonki na PWN, zapowiadającej już Marzec 1968. W roku 2003 uhonorowany przez Yad Vashem tytułem Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata. Więcej informacji o Kurylukach można znaleźć na stronie internetowej [www.kuryluk.art.pl](http://www.kuryluk.art.pl).

Lwowski ukończył na niewielkim stypendium państwowym, popierał wszelkie formy pomocy stypendialnej i był gorącym zwolennikiem wysyłania na Zachód młodych pisarzy i artystów. Na tym tle powstał szybko konflikt z Gomułką, który stypendia zagraniczne uważał za zbędny luksus i demoralizację. Ojciec skarżył się mamie, że ma w tej sprawie coraz mniej do gadania, bo albo mu odmawiają dewiz albo w podania ingeruje UB. Ale cieszył się też z każdej osoby, którą „psim śwędem” udało się pchnąć na stypendium. I powtarzał, że trzeba się spieszyć, bo lepiej nie będzie. Znam wielu wdzięcznych stypendystów ojca, ale ograniczam się do dwóch relacji.

Kiedyś wraz z Tadeuszem Różewiczem zamarzyliśmy o wspólnej podróży do nie znanego nam wtedy jeszcze Paryża – pisze Henryk Vogler. – Było to w 1957 roku na jednym z zebrań lub zjazdów Związku Literatów w Warszawie, na którym – już jako minister kultury i sztuki – obecny był również Karol Kuryluk. Podczas przerwy w obradach podeszliśmy doń obaj i w toku pogawędki zwierzyliśmy się z naszych planów, zapytując o możliwości ich realizacji. Kuryluk uśmiechał się tylko enigmatycznie, milcząc jak zwykle. Wkrótce rozdzielił nas tłum innych uczestników zjazdu i nie ujrzeliśmy wtedy więcej ministra. Ale już po paru dniach otrzymaliśmy oddzielnie urzędowe pisma z ministerstwa, zawiadamiające o przyznaniu nam obu stypendium twórczego do Francji.

Stypendium wynosiło wtedy chyba 60 000 franków – pisze Tadeusz Różewicz – nie zobaczyłem wtedy w Paryżu ani jednej restauracji, o których czytało się lub słyszało, ale zobaczyłem Giocondę, wieżę Eiffla, Notre-Dame, Sekwanę, Pigalle, metro... Pamiętam ten „pierwszy Paryż mojego życia”. Właśnie za „panowania” Kuryluka w Ministerstwie Kultury i Sztuki zobaczyłem Paryż (w którego istnienie zaczynałem wątpić).

O tym, że Hłasko „wziął azyl” w Paryżu, rodzice dowiedzieli się z wieczornych wiadomości Wolnej Europy\*. – Trudno się

---

\* W świetle dostępnych źródeł wspomnienie nie zupełnie odpowiada chronologii wypadków.

Ponad miesiąc przed wyjazdem do Francji Marek Hłasko otrzymał – 11 I 1958 r. – pierwszą w latach powojennych nagrodę literacką Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek za tom opowiadań *Pierwszy krok w chmurach*. 20 I 1958 r. odbyła się w Warszawie premiera filmu *Pętla* w reżyserii Wojciecha Hasa, według scenariusza Hłaski.

30 I 1958 r. w Warszawie zostaje zatrzymana a następnie aresztowana

Markowi dziwić – skomentowała mama, która sama marzyła o podróży do Paryża – a dla Niego (Gomułki) będzie pretekst, żeby ci dać po głowie. – Gdy nazajutrz wróciłam ze szkoły,

---

– pod zarzutem przechowywania i rozpowszechniania wydawnictw „Kultury” – Hanna Rewska – działaczka Klubu Krzywego Koła (skazana w lipcu 1958 r. na 3 lata więzienia).

Hłasko przylatuje do Paryża 21 II 1958 r. i mieszka w domu „Kultury” w Maisons-Laffitte.

24 III 1958 r. ukazują się w Instytucie Literackim, w nakładzie 2 tys. egzemplarzy, jego opowiadania *Cmentarze. Następny do rajy*. Autor otrzymuje równocześnie nagrodę literacką „Kultury” dla pisarza krajowego.

27 III 1958 r. w paryskim konsulacie PRL Hłasko uzyskuje przedłużenie ważności paszportu (wystawionego 3 X 1957 r.) oraz jego rozszerzenie na inne kraje. 31 III oraz 2 IV 1958 r. Hłasko udziela Polskiemu Radiu krótkich wywiadów telefonicznych opowiadając o swych planach, dementując jednocześnie pogłoski, jakoby nie chciał wracać do Polski.

2 IV odbywa się w Warszawie krajowa narada aktywu partyjnego wydawców z inicjatywy Wydziału Propagandy KC PZPR. Niektóre utwory odrzucone przez wydawców oraz cenzurę (m.in. Hłaski) zostają uznane jako „wulgarna, antykomunistyczna literatura porachunkowa, judząca przeciw partii i jej ludziom”.

Kilka dni później, w wielkanocnym numerze „Trybuny Ludu” (5-7 IV), ukazuje się artykuł Z. Wasilewskiego, podpisany pseudonimem Skiz pt. *Primadonna jednego tygodnia?* O napaści na Hłaskę pisze warszawski korespondent „New York Times” Sydney Gruson (*Polish Reds Hide a Critical Writer*, 7 IV), a także Ludwig Zimmerer w „Die Welt” (*Hass und Liebe des Polen Marek Hłasko*, 8 IV). Na atak „Trybuny Ludu” Hłasko odpowiada listem otwartym *Chwileczkę, grabarze...* datowanym na 9 IV, którego redakcja „Trybuny” nie publikuje (zob. *Marek Hłasko a «Trybuna Ludu»*, „Kultura” 1958, nr 6/128, s. 139–145). Hłasko rozsyła swoją odpowiedź do znajomych w Warszawie oraz Związku Literatów Polskich. 11 IV spotyka się prywatnie ze swoim dawnym znajomym, byłym sekretarzem redakcji „Przeglądu Kulturalnego” a wówczas sekretarzem ambasady PRL w Paryżu – Jaromirem Ochęduszką. Hłasko wręcza mu list do „Trybuny”. Ochęduszko powiadamia o spotkaniu ambasadora Stanisława Gajewskiego, który natychmiast depekuje do MSZ w Warszawie. Kilka dni później w prasie paryskiej ukazują się obszernie wywiady Hłaski. Ambasador Gajewski w kolejnej depeszy (17 IV) stwierdza: „Oba wywiady [...] nadają sprawie posmak polityczny, winny być wzięte pod uwagę co do naszego udziału w Cannes”. Film produkcji polsko-niemieckiej, oparty na opowiadaniu Hłaski *Ósmy dzień tygodnia*, zostaje wycofany z Międzynarodowego Festiwalu Filmowego oraz niedopuszczony na ekrany w Polsce.

We wrześniu 1958 r. Hłasko zwraca się do Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim o kolejne przedłużenie ważności paszportu. Wobec odmowy władz – 8 X 1958 r. występuje o azyl polityczny. Por. A. Czyżewski, *Piękny Dwudziestolecie, biografia Marka Hłaski*, [Warszawa 2000], M. Fik, *Kultura polska po Jalcie. Kronika lat 1944-1981*, Londyn 1989 (przypis redakcji).

ojciec leżał na swoim tapczanie w stołowym tekturowy na twarzy. Rano zastał swój gabinet w ministerstwie zamknięty na klucz. Od dozorczy dowiedział się, że został wyrzucony, i wrócił do domu. Potem szukał pracy z marnym skutkiem. – Chcą się mnie pozbyć z kraju – skarżył się mamie albo żartował: – Nie dam się stąd wykopać tylko dlatego, że w Paryżu został twój ulubiony literat. – Jesienią pojawił się na stole globus, nocą włączany do kontaktu. Przed śmiercią mama mi powiedziała, że najpierw proponowano ojcu Mongolię i Grecję. Odrzucił je dziarsko i dopiero w listopadzie, po przejedzeniu wszelkich zapasów, w tym weków ze spizarki, zaczął się na serio zastanawiać nad placówką w Austrii. Rodzice pochodzili z Galicji i znali biegle niemiecki, ale martwili się o dzieci, a przede wszystkim o mnie, że nie poradzę sobie, nie będąc już małym dzieckiem, z gimnazjum w języku niemieckim. 1 stycznia 1959 roku ojciec został w Wiedniu pierwszym ambasadorem PRL-u i wnet zorientował się, w jak delikatnym znalazł się miejscu.

Inaczej niż Niemcy, Austria nie przeszła porządnej denazyfikacji, Armia Czerwona wycofała się zaledwie trzy lata przed naszym przyjazdem. W szkole prześladowała mnie nauczycielka eks-nazistka. Mama, uratowana przez ojca polsko-niemiecka Żydówka, szybko wylądowała w szpitalu psychiatrycznym. Austria okazała się dla nas krajem raczej niefortunnym, z pobytu w Wiedniu skorzystałam najwięcej ja. Na krótko przed zgonem przypomniał się mamie nasz wyjazd z Warszawy i powiedziała: – W ślad za Hłaską ruszyliśmy na Zachód i my. Ale nie pod wieżę Eiffla tylko tam, gdzie człowiek czuł się jak między młotem a kowadłem: w tramwaju znajome mordy lwowskiego Gestapo, na obiedzie w ambasadzie Mołotow<sup>3</sup>.

*Ewa KURYLUK*

**E. Kuryluk (ur. w 1946 r. w Krakowie), jest córką Karola i Marii, pisarką i artystką.**



---

3. Władysław Mołotow (1890-1986), sowiecki minister spraw zagranicznych (1939-1949) był w Austrii szefem misji ZSRR przy Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Jego wizytę u nas opisuję w *Goldim*, (Warszawa 2004).

Notatka  
w sprawie wyjazdu do Paryża M. Hłaski

Wczesną wiosną (marzec) 1957 r. zgodnie z przyznanymi na ten cel przez Ministerstwo Finansów kwotami dewizowymi, zostały ustalone w Ministerstwie Kultury i Sztuki stypendia zagraniczne dla literatów, artystów, historyków sztuki itd. Stypendia te nie przekraczały na ogół dłuższego okresu niż 3-6 tygodni pobytu za granicą. Kandydatów na stypendystów wyznaczały specjalne Komisje stypendialne złożone z przedstawicieli stowarzyszeń artystycznych i pracowników Ministerstwa.

Na ogólną ilość 1189 podań Komisje stypendialne wyznaczyły 378 kandydatów do stypendiów w następującym rozbięciu:

literatura – na 157 podań przewidziano 41 stypendia

muzyka – na 283 podań przewidziano 93 stypendia

plastyka – na 374 podań przewidziano 112 stypendia

teatr i film – na 149 podań przewidziano 64 stypendia

muzealnictwo, bibliotekarstwo, ochrona zabytków – na 226 podań przewidziano 68 stypendia

Z przewidzianych łącznie 378 kandydatów wyjechało w 1957 roku 247 stypendystów, nie wyjechało – m.in. z powodu ograniczeń dewizowych w III i IV kwartale – 131 osób.

Zgodnie z uchwałami Komisji stypendialnych, głównymi kandydatami do stypendiów byli w przeważającej mierze młodzi artyści, pisarze, plastycy, muzycy, bibliotekarze, muzeologowie, historycy sztuki, archiwiści itd.

M.in. kandydatem był również Marek Hłasko. Dnia 10 sierpnia 1957 (byłem wtedy na urlopie w Czechosłowacji) wystąpiono do Biura Paszportów Zagranicznych w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych o wydanie dla Hłaski paszportu zagranicznego. Wniosek podpisał dyrektor Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, tow. Eugeniusz Markowski.

Jak się teraz dowiedziałem, Hłasko miał trudności w zdobyciu niektórych dokumentów (zdaje się, sprawy wojskowe) i dlatego paszport podjął sam w Biurze Paszportowym dopiero 8 stycznia 1958 r. Należy zaznaczyć, że istniało w tym czasie porozumienie między Biurem Współpracy Kulturalnej z Zagranicą Min. Kultury i Sztuki a Biurem Paszportowym Min. Spraw

Wewn., że stypendyści będą sami „chodzili” koło paszportu, zdobycia wiz, biletów itd. Jest luka w istniejących przepisach, które mówią o tym, że po powrocie z zagranicy wyjeżdżający ma zwrócić paszport w ciągu 24 godzin, nie mówią natomiast nic na temat tego, jak długo wyjeżdżający może przetrzymywać paszport przed wyjazdem. Na skutek tego 53 osoby (kandydaci na stypendystów), w tym samym czasie co Hłasko, miało od tygodni i miesięcy paszporty, czekając na okazję wyjazdu. Po wypadku Hłaski poleciłem wszystkie te paszporty zainteresowanym odebrać i zwrócić do Biura Paszportowego MSW.

Jak te sprawy trudno uregulować, pragnę zaznaczyć, że w roku 1957 wyjechało z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki za granicę ogółem 3156 osób, w tym 1797 do krajów socjalistycznych i 1359 do krajów kapitalistycznych. Wyjazdy te obejmują zespoły pieśni i tańca, teatralne, estradowe i wyjazdy indywidualne. Przyjechało ogółem 1662 osób, w tym z krajów socjalistycznych 926 i z krajów kapitalistycznych 736 osób.

Wracając do sprawy Hłaski, należy zaznaczyć, że jesienią i zimą 1957/1958 Hłasko kilka razy interweniował w Biurze Współpracy o przyznanie stypendium, a Zarząd Główny Związku Literatów w dn. 10 listopada 1957 r. wystąpił ponownie o przyznanie dewiz 9 literatom, m.in. Hłasce.

Około 10 stycznia dzwonił do mnie Jarosław Iwaszkiewicz prosząc, żebym przyjął Hłaskę i przyznał mu stypendium na wyjazd za granicę. Powiedziałem, że sprawa stypendiów na rok 1958 nie jest jeszcze załatwiona, ponieważ nie mamy jeszcze puli dewizowej, w każdym razie będzie ona znacznie mniejsza niż w roku ubiegłym. W poniedziałek, 13 stycznia br., w dzień przyjmowania przeze mnie skarg i zażaleń – zgłosił się do mnie Hłasko (widziałem go pierwszy raz w życiu). Prosił o przyznanie stypendium na wyjazd do Paryża. Zapytałem, dlaczego do Paryża. „Bo chcę poznać tamtejsze życie”. „Czy zna pan francuski?”. „Nie znam; znam tylko rosyjski i niemiecki”. „Jak zatem, pan, jako pisarz, może poznawać życie kraju, w którym pan przebywa, nie znając języka?”. „Będę oglądał sobie wieżę Eiffla”. „Czy nie taniej byłoby wyjechać do Krakowa i tam oglądać wieżę Kościoła Mariackiego? Albo wieżę Eiffla na fotografii?” Po krótkiej kontrowersji Hłasko wyszedł urażony.

Rozmowę tę rozpowiedział po Warszawie, komentując, że

minister kultury i sztuki tępi niedawnego laureata nagrody wydawców.

Dnia 21 stycznia, na posiedzeniu Rady Kultury i Sztuki, zabrał w tej sprawie głos znany muzyk J. Mycielski, domagając się wysłania Hłaski za granicę. Na posiedzeniu Komisji Kultury Sejmu dnia 6 lutego br. wystąpił poseł Jarosław Iwaszkiewicz, przytaczając przykład niewysłania Hłaski za granicę jako fakt niewłaściwego postępowania Ministerstwa.

Tegoż dnia, 6 lutego br., otrzymałem notatkę z Biura Współpracy Kulturalnej, zawiadamiającą mnie, że Biuro otrzymało pismo z Biura Paszportów w sprawie zwrotu paszportu zagranicznego Hłaski. Ponieważ w naiwności ducha niczego złego nie podejrzewałem, bo przecież nie zgodziłem się na przyznanie mu stypendium, napisałem, że „co do sprawy Hłaski nie wypowiadam się. O ile wiem, istnieją przepisy w sprawie przechowywania paszportów zagranicznych. Nie ma jeszcze decyzji w sprawie wyjazdu ob. Hłaski do Francji”. Zaznaczam, że nikt z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na temat Hłaski ze mną nie rozmawiał.

Na posiedzeniu Rady Ministrów w pierwszych dniach marca (zdaje mi się, 6 marca) tow. Wicha zapytał mnie, czy wiem o tym, że Hłasko jest w Paryżu. Byłem zaskoczony tą wiadomością. Powiedziałem, że nie wiem i tym bardziej jestem zaskoczony, że dewiz nie otrzymał. Wróciłem do Ministerstwa i tu towarzysze potwierdzili wyjazd Hłaski. Dowiedzieli się o tym z radia. Poleciałem natychmiast zrobić listę osób, w których rękę są paszporty (było ich 53) i zażądałem ich zwrotu. Dnia 10 marca odbyłem konferencję z tow. Wichą z udziałem tow. tow. Dobieszaka, Zaorskiego, Markowskiego i Płazy (BWKZ) oraz Roszaka (Biuro Paszportowe) i ustaliliśmy zasady współpracy na odcinku wydawania paszportów. Zasady te ustalono w formie pisemnej. Towarzysze poinformowali mnie, że Hłasko otrzymał bilet na podróż do Paryża.

Poczuję się całkowicie do odpowiedzialności, że zlekceważyłem sytuację i że doprowadziłem do tak poważnego wydarzenia.

19 IV [19]58 r.

*Karol Kuryluk*

NOTATKA UZUPEŁNIAJĄCA  
w sprawie wyjazdu do Paryża – Marka HŁASKI

1) Po szczegółowym zbadaniu, okazało się, że fałszywa była moja informacja, jakoby Hłasko „paszport podjął sam w Biurze Paszportowym dopiero 8 stycznia 1958 r.,” jak podałem w notatce z dnia 19 kwietnia br. Dnia 24 września 1957 r. podjęto w Min. Spraw Wewnętrznych decyzję o wydaniu Hłasce paszportu; dnia 26 września 1957 r. urzędnik Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą – Stanisław Ksybek – został poinformowany o wystawieniu paszportu. Ob. St. Ksybek nie podjął jednak paszportu, gdyż nie było dewiz na wyjazdy. Podjął go dopiero 8 stycznia 1958 r. Jak wyjaśnia pracownica Biura – ob. Janina Wołosiuk, zrobiono to dlatego, gdyż dopiero wtedy ob. Hłasko dostarczył dokument wojskowy, konieczny przy wydawaniu paszportu.

2) Dnia 27 marca 1957 r. przedstawiono wiceministrowi T. Zaorskiemu listę literatów na stypendia zagraniczne. Wiceminister Zaorski zaakceptował na 28 marca tę listę. Na liście tej znajduje się nazwisko M. Hłaski. (Byłem w tym czasie w delegacji rządowej w Azji).

10 sierpnia wystąpiono do Min. Spraw Wewn. o paszport dla Hłaski. Wniosek podpisał dyrektor Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą – ob. Eugeniusz Markowski. Ponieważ były trudności dewizowe w III i IV kwartale, Biuro Współpracy wystąpiło do Komisji stypendialnych o rewizję list kandydatów na stypendystów. Pismem z dnia 20 listopada 1957 r. Zarząd Główny Związku Literatów Polskich przedstawił nową listę kandydatów, złożoną z dziewięciu osób, na miejscu 9-tym jest nazwisko Hłaski. Mimo, że lista nie została zaakceptowana przez nikogo z kierownictwa Resortu, ani nawet przez dyrekcję Biura, stała się ona podstawą działania pracowników Biura. Jak mi wyjaśniła ob. Wołosiuk, stało się tak na mocy ustnej decyzji dyrektora Biura. Na tej podstawie złożono wiceministrowi Zaorskiemu do podpisu wnioski do Banku Narodowego o zezwolenie na zakup w złotych polskich biletu kolejowego z miejscem sypialnym, na trasie Warszawa–Paryż–Warszawa. Dnia 21 grudnia 1957 r. tow. Zaorski wniosek ten podpisał. Tegoż



dnia starszy inspektor Wydziału Dewizowego NBP wydał takie zezwolenie – Nr 18177. Zezwolenie to nie zostało Hłasce wydane. Natomiast dnia 20 lutego zakupił on w „Locie” czekiem wartości 110 dolarów 90 ct bilet lotniczy. Instytucją wpłacającą jest „reprezentant «New York Times»” Sydney Gruson.

3) Ponownie stwierdzam, że z nikim z Min. Spraw Wewnętrznych nie rozmawiałem na temat wyjazdu Hłaski.

Rozmawiałem natomiast dwa razy na temat wyjazdu Tyrmanda z tow. Wichą. Tow. Wicha podał mi powody, dlaczego Tyrmand nie może wyjechać. Wobec tego wydałem polecenie wstrzymania starań o wydanie mu paszportu.

4) Załączam odpisy:

1. notatki ob. Wołosiuk z dnia 26 marca br.,
2. notatki ob. Wołosiuk z dnia 28 marca br.,
3. notatki dyr. Markowskiego z moją adnotacją,
4. biletu „Lotu” wydanego dla Hłaski.

Zał.

Warszawa, dnia 28 IV 1958 r.

*Karol Kuryluk*



Warszawa, dnia 29 IV 1958

Przewodniczący Rady Państwa

Obywatel  
Karol KURYLUK  
w miejscu

Rada Państwa uchwałą z dnia 29 kwietnia 1958 r. odwołała Obywatela ze stanowiska Ministra Kultury i Sztuki.

Przewodniczący Rady Państwa  
(-) [Aleksander Zawadzki]

## LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 25 marca 2008

Szanowna Redakcjo,

Nawiązując do artykułu prof. Krzysztofa Tarki pt. *Stanisław Olszewski «Olcha»: donosiciel-sambobójca* chciałbym poinformować zainteresowanych, że w ubiegłym roku Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego otrzymało w darze część spuścizny dr. Olszewskiego. Była przechowywana przez lata w Londynie u rodziny znajomego dr. Olszewskiego.

Obecnie uporządkowana i zinwentaryzowana znajduje się w dziale kolekcji osobowych i rzeczowych Archiwum pod sygnaturą: KOL. 660. Akta pochodzą z okresu pomiędzy 1938 i 1948 rokiem, oprócz jednego ogólnego dokumentu z 1954 roku. Spuścizna, dar Pani Krystyny Niedenthal, obejmuje 23 jednostki archiwalne. Obszerny inwentarz do kolekcji został opracowany przez jednego z pracowników honorowych Archiwum dr. Jana Titowa. Spuścizna zawiera: akta Ministerstwa Skarbu 1938-1939; materiały z okresu pracy w Angers; materiały dotyczące uchodźców polskich w Palestynie 1943-1946, Komitetu Uchodźców w Tel-Avivie, „Głosu Polskiego”, którego S. Olszewski był redaktorem, w tym różne jego artykuły, różne wydawnictwa prasowe w Palestynie, osiem teczek związanych z Polskim Stronnictwem Demokratycznym (koła w Palestynie i Londynie); akta Rady Polskich Stronnictw Politycznych oraz Polskiej Koncentracji Demokratycznej z lat 1947-1948.

Łączę wyrazy poważania,

*dr Andrzej SUCHCITZ*  
Kierownik Archiwum IPMS



Hudson Heights, Quebec, 1 czerwca 2008 r.

Szanowna Redakcjo,

„Zeszyt Historyczny” nr 163 zawiera ciekawe opracowanie pt. *Na marginesie wspomnień Edwarda Kossoya* pióra Anny Olszewskiej. Na stronie 174 autorka pisze: „blisko 3 tysięcy żołnierzy pochodzenia żydowskiego, którzy w Ziemi Obiecanej «zdezerterowali» z 2 Korpusu”. Ponieważ taka dezercja miała miejsce i jest faktem historycznym, dlaczego autorka użyła cudzysłowu? Nie ulega wątpliwości, że dla wielu był to akt zasługujący na potępienie, jak dla innych, albo w pełni uzasadniony lub nawet godny pochwały.

Dlaczego cudzysłów przy „zdezerterowali” a nie na przykład przy „opuścili” (...w pierwszej ewakuacji...) – bo przecież jasnym jest, że nie chodzi tu o zwykłą cytatale ale o podkreślenie tego słowa. Wic dlaczego?

Z poważaniem,

Adam J. MERCIK



Łódź, 3 czerwca 2008 r.

Szanowna Redakcjo,

Wkrótce po przeniesieniu Armii Polskiej na Wschodzie do mandatowej Palestyny szeregi 2 Korpusu opuściło około 3 tysięcy żołnierzy, czyli ponad 60% spośród wyznawców religii mojżeszowej. Tak liczna – masowa dezercja – jest faktem historycznym, który można by traktować tylko w zakresie liczb, a jednak miała ona znacznie bardziej złożony charakter. Wszystkie jej aspekty opisał Edward Kossoy w artykule *Żydowskie podziemie zbrojne w Palestynie i jego polskie powiązania* w 157 numerze „Zeszytów Historycznych” (2006 r.).

W przypadku wielu z tych „dezercji” trudno mówić o samowolnym uchylaniu się od obowiązków wojskowych w czasie wojny, a raczej o samodzielnym odejściu z oddziału, niejednokrotnie poprzedzonym „odmeldowaniem się”. Część „dezserterów” opuszczając swój oddział, zasilila szeregi innych formacji, pozostających w ścisłej wspólnocie interesów z APW.

Jeszcze inaczej przedstawia się *casus* Menachema Begina. Jak wynika z materiałów Biura Dokumentów 2 Korpusu (K. Zamorski, *Dwa tajne biura 2 Korpusu*, Londyn 1990) opinie uznające Begina za deztertera – u Anglików nadano mu status AWOL (*absent with-*

out official leave, nieobecny bez oficjalnego zezwolenia) – są w świetle dokumentów całkowicie bezzasadne. Begin, jako kandydat na członka delegacji żołnierzy 2 Korpusu do USA, został z APW zwolniony – w grudniu 1943 r. Chociaż wyjazd w celu przeciwdziałania propagandzie sowieckiej w USA i Kanadzie nie doszedł do skutku, bezterminowe zwolnienie Begin'a zostało zamienione na fikcyjny urlop z APW (z punktu widzenia dokumentacji), z datą do pierwszych dni stycznia 1945 r.

Różnorodność ówczesnych celów oraz dostępne obecnie materiały świadczące o faktycznym przebiegu wielu z tych tysięcy „dezercji” są według mnie uzasadnionym powodem do używania cudzysłowu.

W swoim tekście na s. 174 błędnie napisałam: „[...] Sowiety opuścili w pierwszej ewakuacji w sierpniu 1942 r. [...]”. Kiedy Kossoy wypływał z bazy ewakuacyjnej w Krasnowodzku trwała druga ewakuacja (pierwsza odbyła się między 24 III a 4 IV).

Czytelnikom należy się jeszcze jedno sprostowanie. Nieuwaga redakcji „Zeszytów” uczyniła z archidiakona Worobiowa – Worobiovowa, zmieniając deklinację jego nazwiska na s. 171.

Anna OLSZEWSKA

Berlin, 2 czerwca 2008 r.

Drogi Panie Redaktorze,

W numerze 162 „Zeszytów Historycznych” profesor Piotr Wandycz opublikował list, w którym wraca do mojej publikacji o próbach kolaboracji polityków polskich z Niemcami w 1940 roku<sup>1</sup>. Zainspirował go do tego artykuł Ireneusza (nie: Janusza) Wojewódzkiego o generale Sosnkowskim<sup>2</sup>, w którym autor analizuje raport Hansa-Adolfa Moltkego, wówczas już byłego ambasadora Niemiec w Polsce, do sekretarza stanu Ernsta von Weizsäckera z 25 września 1939 roku. W tymże raporcie Moltke, w niezobowiązującej formie, wysunął kandydaturę gen. Sosnkowskiego na stanowisko premiera rządu polskiego, zależnego od Trzeciej Rzeszy.

Komentując artykuł i przypominając sondaże niemieckie z

---

1. B. Wiaderny, *Nie chciana kolaboracja: polscy politycy i nazistowskie Niemcy w lipcu 1940*, „Zeszyty Historyczne” 2002, z. 142, s. 131-140; por. również moją wypowiedź: *Wolna trybuna*, „Zeszyty Historyczne” 2003, z. 143, s. 228-234.

2. I. Wojewódzki, *Generał Sosnkowski – kandydat na polskiego Quislinga?*, w: J. Dudek i in. (red. nauk.), *Europa Środkowo-Wschodnia. Ideologia, historia a społeczeństwo*, Zielona Góra 2005, s. 303-310.

jesieni 1939 roku, prof. Wandycz kończy swój list następującą uwagą pod moim adresem: „[...] twierdzenie, że od początku Niemcy nie byli zainteresowani utworzeniem kolaboranckiego rządu w Warszawie, jest w świetle powyższych danych wielkim uproszczeniem”.

Raport Moltkego, o którym pisze prof. Wandycz, był już wielokrotnie publikowany<sup>3</sup> i omawiany w literaturze przedmiotu<sup>4</sup>. Żeby zrozumieć kontekst jego powstania, trzeba zaznaczyć, że został on przygotowany na rozmowy dyplomatów niemieckich z ich sowieckimi kolegami na temat przyszłości ziem polskich, kiedy to Niemcy nie byli pewni, na jakie rozwiązanie strona sowiecka się zdecyduje<sup>5</sup>. Ustalenia niemiecko-sowieckiego Traktatu o Granicach i Przyjaźni z 28 września 1939 r. – co do tego badacze przedmiotu są zgodni – zamknęły rozważania na temat ewentualnego szczerkowego państwa polskiego<sup>6</sup>. Przy tym miały one niezobowiązujący charakter. Moltke wymieniając Sosnkowskiego, użył trybu warunkowego – napisał „wchodziłby [on] może w grę” a pod koniec raportu zaznaczył, że doświadczenie własnej państwowości w latach 1918-1939 i związane z tym odrodzenie uczuć narodowych w społeczeństwie polskim doprowadziło do tego, iż nie można oczekiwać, że wśród „mających nazwisko” (tak w oryginale) polityków znajdzie się odpowiedni kandydat na premiera rządu kolaborującego z Niemcami<sup>7</sup>.

Nie mniej istotne dla zrozumienia raportu jest umiejscowienie go w kontekście sporów wewnątrz niemieckiej elity władzy. Jak wiadomo, Moltke został 9 sierpnia 1939 r. w trybie nagłym wezwany przez Ribentropa do opuszczenia ambasady w Warszawie i

---

3. Po raz pierwszy został opublikowany zapewne w: *Documents on German Foreign Policy 1918-1945*, Ser. D, vol. VIII, Washington 1954, s. 138-139, następnie w ogólnie dostępnym wydawnictwie *Akten zur Deutschen Auswärtigen Politik* [ADAP], Seria D, vol. VIII: 1937-1941, Baden-Baden 1961, jako: Załącznik do notatki Sekretarza Stanu Ernsta von Weizsäckera z 26 IX 1939 r., s. 107 n. W j. polskim ukazał się wielokrotnie, ostatnio w: T. Jędruszczak i in. (red. nauk.), *Dokumenty z dziejów polskiej polityki zagranicznej 1918-1939*, t. 2: 1933-1939, Warszawa 1996, s. 335 n.

4. O raporcie Moltkego pisał M. Broszat w swej pionierskiej pracy o historii stosunków polsko-niemieckich: *Nationalsozialistische Polenpolitik 1939-1945*, Stuttgart 1961, s. 16. Obszernie omówiłem go w mojej książce *Der Polnische Untergrundstaat und der deutsche Widerstand 1939-1944*, Berlin 2002, s. 83-85, ostatnio pisał o nim E. C. Król w: *Polska i Polacy w propagandzie narodowego socjalizmu w Niemczech 1919-1945*, Warszawa 2006, s. 286 n.

5. Por.: Notatka Sekretarza Stanu Ernsta von Weizsäckera z 26 IX 1939 r., w: ADAP, s. 107.

6. Tego zdania są badacze przedmiotu, por.: E. C. Król, *op.cit.*, S. Dębski, *Między Berlinem a Moskwą. Stosunki niemiecko-sowieckie 1939-1941*, Warszawa 2007, s. 118 n.

7. Załącznik w: ADAP, *ib.*, s. 108.

powrotu do Berlina, ponieważ starał się nakłonić swoich przełożonych do rozmów ze stroną polską<sup>8</sup>. Od tego czasu znajdował się w stolicy Niemiec, zajmując się po wybuchu wojny polsko-niemieckiej m.in. publikacją polskich dokumentów dyplomatycznych<sup>9</sup>. Bez wątpienia oznaczało to skierowanie tego dyplomaty na boczny tor. Obok niego wpływy utracili inni przedstawiciele tzw. „wilhelmińskich imperialistów” jak Göring czy Weizsäcker, a politykę zagraniczną kreowali coraz bardziej narodowi socjaliści<sup>10</sup>. Też z tego powodu adresowany do Weizsäckera raport Moltkego nie miał szans realizacji. Również Wojewódzki jest zdania, że byłaby to próba z góry skazana na niepowodzenie ze względu na patriotyczną postawę Sosnkowskiego. Istotne dla zrozumienia intencji autora zdanie pytające w tytule artykułu prof. Wandycz zamienił na oznajmujące, czym zniekształcił jego intencje i przy okazji skrzywdził Sosnkowskiego.

Na koniec uwaga w sprawie mojej rzekomej wypowiedzi, jako-by Niemcy „od początku” nie byli zainteresowani utworzeniem polskiego kolaboranckiego rządu. Zarówno w cytowanym artykule, jak również w odpowiedzi na głosy polemiczne odniosłem się wyłącznie do wydarzeń latem 1940 roku, ewentualnie późniejszych. Do tematu sondaży niemieckich w 1939 roku nie wracałem, uważając je za ogólnie znane. Bardzo więc proszę prof. Wandycz, żeby nie przypisywał mi czegoś, czego nie napisałem.

Załączam pozdrowienia dla redakcji,

Bernard WIADERNY

---

8. H. Batowski, *Z ostatnich warszawskich raportów Hansa Adolfa Moltkego*, w: A. Czubiński (red.), *Polacy i Niemcy. Dziesięć wieków sąsiedztwa*, Warszawa 1987, s. 401; por. również: Polecenie Ribentropa do Ernsta von Weizsäckera z 9 VIII 1939 r., w: ADAP, Seria D, vol. VII, Baden Baden 1956, s. 1.

9. Szczegółowy biogram Moltkego został opublikowany w oficjalnym wydawnictwie niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych: M. Keipert i in. (red.), *Biographisches Handbuch des deutschen Auswärtigen Dienstes 1871-1945*, Paderborn 2008, t. 3, s. 282 n.

10. Termin „wilhelmińscy imperialiści” wprowadził do historiografii K. Hildebrand: *Deutsche Außenpolitik 1933-1945. Kalkül oder Dogma?*, Stuttgart 1971, s. 19 n.; jego interpretację przejął ostatnio R. F. Schmidt w: *Die Außenpolitik des Dritten Reiches 1939-1939*, Stuttgart 2002, s. 121-132.

## SPIS TREŚCI

Sławomir M. Nowinowski: <i>Zakończenie działalności Ambasady i Konsulatów RP w Związku Sowieckim jesienią 1939</i> .....	3
Krzysztof Tarka: <i>«Watażka» na celowniku. «Rozpracowanie operacyjne» generała Andersa przez wywiad PRL</i> .....	61
Robert Skobelski: <i>Gomułka wobec rozbieżności sowiecko-chińskich w latach 1956-1970</i> .....	75

## DOKUMENTY

Marek Kornat: <i>Działania prezydenta Roosevelta i dyplomacji amerykańskiej na rzecz uwolnienia Józefa Becka (1940-1941)</i> .....	121
--	-----

## KSIĄŻKI

Andrzej Dyja: <i>Artyści polscy we Francji 1890-1918</i>	160
Mikołaj Tyrchan: <i>Przegląd krajowych publikacji historycznych</i> .....	162

## WSPOMNIENIA

Mieczysław Bornet: <i>Wspomnienia z Bazy Likwidacyjnej WP – Aszhabad (Sowiety) 1942 i Meszhed (Persja) 1942-1943</i> .....	171
Stanisław Wujastyk: « <i>Droga do...</i> » – <i>Wspomnienia 1939-1942 (II)</i> .....	187

## OKRUCHY HISTORII

Ewa Kuryluk: <i>Hłasko a Kurylukowie</i> .....	241
--	-----

## LISTY DO REDAKCJI

Andrzej Suchcitz .....	250
Adam J. Mercik .....	251
Anna Olszewska .....	251
Bernard Wiaderny .....	252



# ZESZYTY HISTORYCZNE

ASSOCIATION INSTITUT LITTÉRAIRE KULTURA  
Adres Redakcji: 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04  
Fax: 01-39-62-57-52  
e-mail: [kultura@club-internet.fr](mailto:kultura@club-internet.fr)

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egzemplarz pojedynczy	Cena prenumeraty rocznej
<b>Ceny na rok 2008</b>		
<b>AUSTRIA:</b> Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, tel.: (1) 526-31-14	€ 22,00	€ 80,00
<b>FRANCJA:</b> do nabycia w redakcji i w księgarniach polskich w Paryżu	€ 22,00	€ 80,00
<b>KANADA:</b> Maciej Głodowski, 6025, Boul. Langelier, Montréal Québec H1M 2B6, tel. (514) 255-48-84, e-mail: <a href="mailto:mglodowski@sympatico.ca">mglodowski@sympatico.ca</a> ; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 7986 Parkway Rd., Metcalfe, ON K0A 2P0, tel./fax: (613) 821.10.08	€ 22,00	€ 80,00
<b>NIEMCY:</b> Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Janusz Łątka, Polnische Buchhandlung, Franz-Marc-Str. 36, 50374 Erfstadt, <a href="http://www.polbuch.de">www.polbuch.de</a> , e-mail: <a href="mailto:J.Latka@t-online.de">J.Latka@t-online.de</a> , tel. (223) 598-93-73	€ 22,00	€ 80,00
<b>SZWAJCARIA:</b> Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE, tel.: (22) 343-05-84	€ 22,00	€ 80,00
<b>SZWECJA:</b> Wojciech Luterek, PostGiro konto 614 8710-4	€ 22,00	€ 80,00
<b>USA:</b> Ada Dziewanowska, 2462 North Prospect Avenue # 425, Milwaukee, WI 53211; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541, tel.: (650) 327-55-90 & (650) 851-07-48; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, NY 10018, tel.: (212) 594-22-66	€ 22,00	€ 80,00
<b>WIELKA BRYTANIA:</b> Orbis Books Ltd., 206 Blythe Road, London W14 0HH, tel.: (020) 7602-55-41	€ 22,00	€ 80,00

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konta:

– pocztowe: La Poste, SCE 4797689V033

IBAN: FR 51 20041 01012 4797689V033 49

BIC: PSSTFRPPSCE

– bankowe: Credit Lyonnais, 2, Avenue de Longueuil,

78600 Maisons-Laffitte, Agence 023 32, nr konta 79595 P.

IBAN: FR 13 3000 2023 3200 0007 9595 P53

BIC: CRLYFRPP

ACHEVÉ D'IMPRIMER  
LE 13 AOÛT 2008  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE NOUVELLE  
16-24, RUE SOUBISE,  
93400 SAINT-OUEN  
Dépôt légal : 2<sup>er</sup> trim. 2008  
N° d'imprimeur : 13995

€ 22